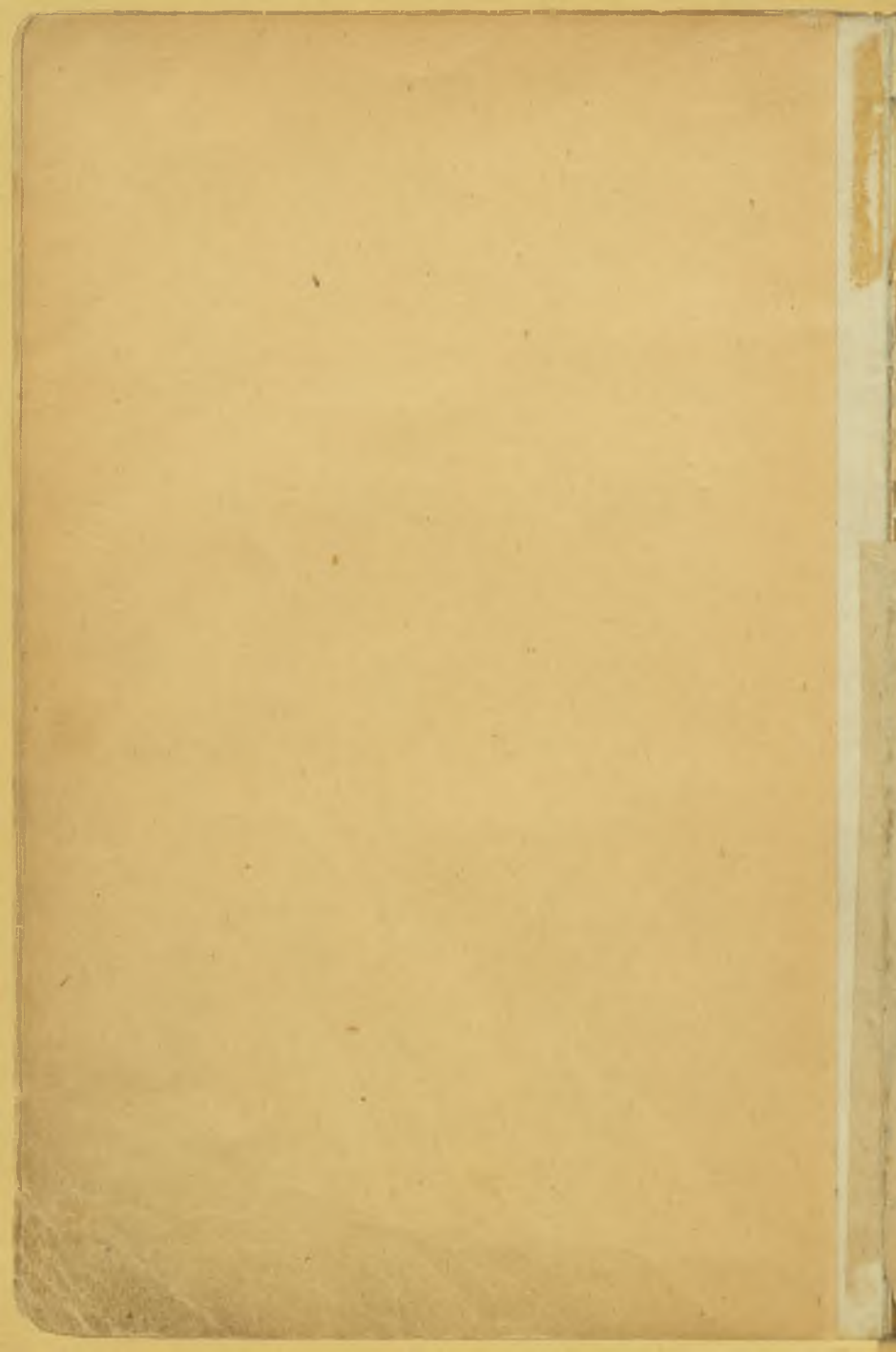


WANDA DOBACZEWSKA

Tam, gdzie się
serca palą...

RÓJ





1165

toralna 3, tel. 5.81-92.

WANDA DOBACZEWSKA

TAM GDZIE SIĘ SERCA PALĄ...

Motto:

„Mniemam, że zrobię ci przyjemność, donosząc o niektórych szczegółach życia ludzi, którzy dla żyjących z nimi byli ludźmi, a nam się nadzwyczajnymi istotami być zdają“.

Z listu Odyńca do Czeczota.

28 lipca 1823 r.

W A R S Z A W A 1938

WYSTAWA WYDAWNICZE „RÓJ“

TEJŻE AUTORKI

- RYCERKI POLSKIE — szkic — Warszawa 1919.
NA CHWAŁĘ SŁOŃCA — poezje — Poznań 1920.
WILNO — poezje — Wilno 1923.
TRYPTYK — ulotka poetycka — Wilno 1925.
KAMIENICA ZA OSTRĄ BRAMĄ — powieść —
Wilno 1928.
MINIATURA — nowele — Wilno 1929.
NASZA DOLA — poezje — Wilno 1932.
WILNO I WILEŃSZCZYŻNA W LATACH 1914—
1920 — szkic — Wilno 1923.
ZWYCIĘSTWO JÓZEFA ŻOŁĄDZIA — powieść —
Wilno 1934.
DZIEJE KULTURY WILEŃSKIEJ MIĘDZY DWO-
MA POWSTANIAMI — szkic — Wilno 1937.



404.1938

Czerwona kula słoneczna, zimna i bezpromienna, staczała się zwolna gdzieś za przedmieścia, za Zwierzyniecki las. Mroźne mgły snuły się po Wilnie, sinymi smużkami przeplatały gałęzie starych drzew w Bernardyńskim ogrodzie, czepiały się dymów miejskich, utrudniały lot wronom, wracającym do okolicznych lasów na noclegi.

Gruby kożuch śnieżny stłumił głosy i szmery, zagłuszał zwyczajne turkoty pojazdów, huki wozów po koślawych brukach, stukoty nóg ludzkich po kamieniach. Dzwoniły tylko dzwoneczki eleganckich sań; piękne damy, modni kawalerowie, otuleni w szuby, futra, chusty i szale, przelatywali tam i z powrotem gwarnymi ulicami śródmieścia. Niekiedy zatrzymywali się przed modnymi sklepami i, po krótkim rozkazie rzuconym furmanowi, znikali w ich wnętrzu. Wówczas ogniste konie, stygnąc na wietrze, buchały kłębamii pary i zawadiacko a niecierpliwie potrzęsały brzękadłami u chomontów.

Wesołe głosy przechodni miały także jakiś podźwięk dzwoniący. Więc kiedy jeszcze do tego wszystkie kościoły przypomnially sobie, że bliski już Anioł Pański, kiedy zaświegotaly klasztorne sygnaturki, rozbrzęczało się całe miasto jak olbrzymi ul.

Na wieczór mróz brał coraz silniejszy. Spieszący ludzie przytulali grube rękawice do zziębniętych uszu. Śnieg zaczął zlekka chrzęścić pod nogami, i gęściej tężały oddechy.

Ludzie szli coraz szybciej, coraz energiczniej

przytupując nogami: zarówno pewne siebie „sobole“, jak i znacznie skromniejsze „baranki“. Raz wraz ktoś z baranich kozuchów wpadał do szynku, a wówczas buchał na ulicę brzęk szklanek, szcęk butelek, lub zgoła pijany wrzask. Raz wraz ktoś z „soboli“ wchodził w sklepioną bramę, a stamtąd na szerokie drewniane schody, pociągał dzwonek, lub kołatką uderzał w drzwi. Po chwili już siedział w zacisznym salonie, uroczej pani domu prawił dworne komplementa, unosił się nad ostatnim koncertem dobroczynnym, robił przewidywania na przyszły karnawał, powtarzał najświeższe ploteczki towarzyskie, uniwersyteckie, albo polityczne, wypijał szklanekę herbaty, czy kieliszek wina i pędził dalej, do następnego salonu. po nowy ładunek plotek.

Na Ratuszowym Placu., wracający od swoich interesów i zajęć, mieszczanie zatrzymywali się chętnie poradzić o tym i owym. Poważniejsi kupcy gadałi o cenach i koniunkturach, brać cechowa, głośno tego samego trzymając się tematu, na ucho udzielała sobie tajemniczych wiadomości o tym, co zamyśla w swoim pałacu generał-gubernator Korsakow, i o tym, że Jakób Jasiński naprawdę nie zginął na Pradze, tylko, cudem śmierci uniknąwszy, wyjechał do Włoch i stamtąd czuwa. Nowy plan insurrekcji gotuje, czekając sposobnego czasu, a wedle tego planu niema już być więcej szlachty.

Od czasu do czasu w rozgwarzony tłum mieszczkański wjeżdżał z rozpędu kudłaty chłop w zrudziałej czapie, na skrzypiących rozwalinach i, zobaczywszy gdzie wpadł, umykał corychlej ścigany szyderczymi przekleństwami, albo mocnym kułakiem.

Dokoła uniwersytetu studenci w czujkach naj-

częściej wiatrem podszytych kręcili się pracowicie, dźwigając stosy książek i seksternów pod pachą. Pokończyły się właśnie popołudniowe lekcje. Studenci zbierali się w gromady i znowu rozpryskiwali się na wszystkie strony jak wróble. Większość ich z trudem dosięgała lat dwudziestu, ten i ów przecie zdawał się być poważniejszym. Takim wodził za sobą całe łańcuchy zasłuchanych adeptów, utrzymując ich w nieustannym podnieceniu śmiałymi żarcikami, rzucanymi dokoła jak szmermele. Niekiedy dwóch takich starszych spotkało się ze sobą, przerzuciło się znamiennym półśłówkiem, porozumiewawczym spojrzeniem i rozbiegło się znowu w dwie strony.

Mrok zimowy zapadał powoli i statecznie. Okna kamienie rozpały się kolejno, za chwilę stały się już złotymi różańcami, ogrzewającymi ciepłym blaskiem zaśnieżone ulice. Pojazdy znikają teraz szybko w lunetach bram. Nie było pogo jeździć późnym wieczorem: adwent pętał zbyt chętne do tańca nóżki pięknych dam i wcześniej zapędział do łóżka, by o czarnym świecie grudniowym tym pewniej wygnać je z domu na roraty.

Gdzieniedzie okna szczelnie zasłonięte maskowały przed zjadliwymi oczami spóółstwa towarzystwo zebrane przy „faraonie“. Nie należało w adwencie dawać spóółstwu zgorzenia.

Bezpiecznie zato gorzały okna w salonach dobroczynnych starszych matron. Tu liczne grona ciemnoubranych panien i młodych męzatek migotały pilnie drutami, wypracowując ciepłe pończoszki i kaftaniczki dla biednych dzieci ze szkółek Lan-kastra. Nieodzowni kawalerowie, starzejący się i młodzi, trzymali im włóczki na wyciągniętych rękach lub czytali głośno najmodniejsze poezje.

A noc zbliżała się ciągle. Opanowała okoliczne lasy, weszła na przedmieścia. Najpierwsze usnęły wąskie oparkanione zaułki wijące się w niczem nieusprawiedliwionych skrętach pomiędzy Katedrą i Bulwarami nad Wilią, aż hen, ku Łukiszkom. Drewniane dworki wtulone bezpiecznie wgłęb swoich ogrodów, na widok gęstniejących ciemności pogasiły okna i przysiadły niżej ku ziemi, przyniecione olbrzymiemi czapami śniegu, brzemieniem zaciężkiem na ich słabe siły. Nad tą skurczoną hołotą kościół świętego Jerzego dźwigał się mocno ku niebu ze swojego pagórka.

W obszernych ogrodach przedmiejskich, w ogrodzonych murami ogrodach śródmieścia, dokoła pni drzewnych za każdym podmuchem nocnego wiatru owijały się z sykiem białe węże śnieżne.

Gdzieś około dziesiątej wieczornej skłębione ciemne obłoki obrzeżyły się srebrem. Księżyc przebił ich zwały, wyblysnął nad szczyty kamienic, stanął chwilę nieruchomy, namyślił się i potoczył zwolna po niebie. Duża sowa wyleciała ku niemu z ciemnego wykuszu Zamkowej Bramy, kocim lotem, wskos, przemknęła nad dachami i przysiadła na Zegarowej wieży Uniwersytetu. Gorejącymi oczami patrzyła na pałac generał-gubernatorski, przed którym strażnik moskiewski w grubym tułupie trwał nieruchomy i milczący jak oną.

Był grudzień, rok Pański 1820.

W uniwersyteckim domu, przy Zamkowej ulicy, na parterze, jedno okno świeciło mocno pomimo późnej godziny. Z ulicy ukazywał się pokój skromnie umeblowany: zielony przysadzisty piec w tej chwili pełen ognia, żeby spać było ciepło, wąskie łóżko, stół pod oknem, książki w szafce i sztychy na ścianach.

Młodzieniec siedział przy stole nad rozłożoną kartą papieru; wczytywał się pilnie w nieczytelne litery niedbałym, niecierpliwym pismem rozrzuczone po karcie. Młodzieniec wąskie czoło podparł zwiniętymi pięściami, wargę dolną zagryzł ostrymi, drobnymi zębami. Blade policzki rumieniły mu się w miarę czytania, rzucał głową, brwi marszczył i poruszał ustami, a z ruchu warg znać było, że przepowiada wiersze.

Nagle pchnął krzesło, porwał się od stołu, uniesiony entuzjazmem rzucił się do okna, przycisnął płonące czoło do obojętnej szyby. Słowa przeczytane paliły się w nim, musiał je z siebie wyrzucić. Rozpostarł ramiona i deklamował mroźnej nocy zimowej:

„Młodości! Ty nad poziomy
wylatuj! a okiem słońca
ludzkości całe ogromy
przeniknij z końca do końca!

Księżyc przyglądał się tej scenie i uśmiechał się ironicznie, jak na księżyc przystało.

II.

Styczeń w następnym, 1821 roku był na podziw mroźny: przypominał Wilnu straszliwe obrazy z przed dziewięciu lat i sprawił, że karnawał tego-roczny przycichł na początku, by tym weselszą wrzawą wybuchnąć w zapusty.

Później przyszła wiosna ciepła i wczesna, ale już nic poradzić nie mogła na straty i szkody. U pani rotmistrzowej Łuczkowej, na Oстрыm Końcu, zmarły dwie grusze-sapieżanki. To był ciężki cios, bo pani rotmistrzowa Łuczkowa w sekrecie przed dziećmi sprzedawała gruszki, by ulżyć nieco swoim wdowieńskim kłopotom. Teraz maluteńki dochodzik

urywał się i pozostawiał po sobie dziurę, której znikąd załatać nie będzie można.

Poranne odkrycie ogrodowej kłęski wprawiło panią Łuczkową w głuche rozdrażnienie; przypalona i zmarnowana pieczeń obiadowa zamieniła rozdrażnienie w tłumiony gniew, a gniew wybuchnęła płomieniem, kiedy Oleś Łuczko zapowiedział popołudniu, że wychodzi na długo i nie wie, kiedy wróci. Pani Łuczkowa poczuła, że musi się wykrzyzczyć. Załamała nad głową wychudłe ręce i rozpoczęła swoją zwykłą litanię:

— Żebyś ty był dobry syn, tobyś książek pilnował, to czyłybys się, a nie za miasto kto wie zaco latał! Wdowa jestem! Z resztek żyjemy. A co potem? Na łaskę do obcych ludzi? Wszystko czekam, kiedy to mój syn dorośnie, na ludzi wyjdzie, a wyszedłszy — starą matką zaopiekuje się, dawne stanowisko jej przywróci. Dlatego tylko oczu nie wyplakałam, dlatego tylko dusza się we mnie kołacze. A ty, jak tylko możesz, od nauki uciekasz. Korepetytora drogo płacę. W tym roku musisz skończyć gimnazjum. A ty...

Zachłysnęła się swoim gorzkim żalem i zamilkła, a spocony, rozgorączkowany Oleś mógł wstawić jakieś słowo.

— Cały tydzień uczyłem się... Dziś Zielone Świąta... Trzebaż odpocząć.

— Aha, odpocząć! — Pani Łuczkowa roześmiała się szyderczo, a potem przytknęła prawie twarz do twarzy syna i zaszeptala syczącym szeptem: Z nimi pójdiesz, za nimi jak zwarzjowany polecisz! Za nimi! Ja bardzo dobrze wiem! A czy to jaśnie wielmożny pan rektor nie zakazał tej promienistości jeszcze w zeszłym roku? A czy to pan sowietnik Ławrynowicz nie ostrzegął? Oj, źle to wszystko

skończy się. A kto będzie łyzy ronił? Matka. Ale tobie moje łyzy obojętne.

Oleś pochylił głowę pod ulewą matczynej wymowy. Pozornie słuchał ze skruczą należytą, naprawdę zdradliwie, krok za krokiem, posuwał się ku drzwiom. Byle już prędzej do sieni, za próg, na wolność!

Panna Aniela wyjrzała ze swego pokoiku. Na jej krągłej, rumianej twarzyczce malowało się wielkie zakłopotanie: wtrącić się, czy się nie wtrącić? W głębi duszy była po stronie brata, wołała jednak nie ściągać na siebie zbyt wiele uwagi matczynej. Zarazby się zaczęły wypominania, że pan Łoziński, kręcąc się przy niej, odstrasza godniejszych kawalerów. Aniela umiała to już na pamięć, a rozgoryczenie jej potęgowała całkowita niesłuszność wyrzutów. Gdzież byli ci godniejsi kawalerowie? Jak dotąd w krainie pięknych marzeń i nadziei. Wzruszyła ramionami i już chciała się wycofać niepostrzeżenie, kiedy Oleś zwrócił na nią tak błagalne spojrzenie, że nie wytrzymała.

— A co mamie szkodzi, że Oleś pójdzie na majówkę? I tak święto, któż to się uczy w Zielone Świątki? Pan Tomasz będzie na tej majówce, pan Teodor...

Luczkowa odwróciła się do córki jak szydłem dźgnięta.

— Co ty rozumiesz, dziewczyno? I czego się wtrącasz? Uważaj ty lepiej, żebyś dla swojego pana Teodora starą panną nie została, bo za takiego hołysza nie wydam, na cienie ojca przysięgam, nie wydam!

— Mama wszystko na pana Teodora gderze, a on zacy kawaler i Olesiem tak serdecznie zajmuje się — zapiszczała rezolutnie panna Aniela, ale już zza drzwi swego pokoiku. Rozsrożona matka sko-

czyła tam za nią, z czego skorzystał Oleś i natychmiast był w sadku jabłonnym, na rozmięklej od wczorajszego deszczu ścieżce.

Świadomie i rozmyślnie wybrał drogę przez płot i sąsiednią posesję, żeby matka prędzej straciła go z oczu. Teraz mknął z kopyta przedmiejską, niebrukowaną ulicą, aż mu błoto kląskalo pod krzywymi butami. Przed kaplicą stanął na chwilę. Wąską uliczkę zalegała właśnie jakaś zielonoświątkowa pielgrzymka. Obraz był odsłonięty i świecił w popołudniowym słońcu złocistą glorią. Oleś naprędce zgął kolano, wymruczał modlitwę i począł jak mógł najostrożniej przepychać się przez zwarty tłum, złożony przeważnie z bab chusteczkowych. Pomimo całej ostrożności — niejednej pobożnej duszy nastąpił na boscie nogi i niejedno posłyszał za sobą gniewne, chociaż stłumione warknięcia. Wydostał się wreszcie i biegł prawie ulicą Zamkową wdół, wykręcając nogi na wyboistym bruku, wywijając się nieraz w ostatniej chwili z pod rozpędzonych pojazdów.

Był fatalnie spóźniony: uroczystość „pocałowania i mleka“ wyznaczono na godzinę czwartą po południu. On nie otrzymał zaproszenia wypisanego na krągłym bileciku, próżne były umizgi do pana Teodora; uczniów gimnazjalnych nie dopuszczano z zasady. Na przyszły rok...

Oleś Łuczko nie chciał czekać tak długo. Wołał przemycić się w głębokiej tajemnicy przed Teodorem Łozińskim, korepetytorem, opiekunem i przyjaciele, mentorem nieprzebręganym w sprawach zasadniczych. Tej tajemnicy Oleś Łuczko nie uważał sobie za winę, miał przecież najlepsze chęci.

Tak. Teraz mimo Bernardynów, na prawo i wzdłuż biegu Wilejki, przez, Popławy. A najlepiej

mokrą łąką naprzęta, nic to, że nogi grzęzną i rzadkie błoto wlewa się za cholewy.

Modre powietrze jest rzeźkie, aż krzycheć chce się z uciechy, krzycheć na cały głos! Na zboczach gór połyskują atlasowe płachty fiołków. Późna wiosna w tym roku, fiołki jeszcze nie przekwitły... Można by nazbierać i sypnąć Adamowi pod nogi... Czczot z Łozińskim przedwczoraj na spacerze rozmawiali o tym, że przyjedzie... Ale możeby to była zbyt duża poufałość? Najlepiej nic nie robić bez pozwolenia i nie zdradzać się ze swoją obecnością. Tu się zawraca do Gór Pacowskich, a tu, przy drodze, są niskie, gęste zarośla olszowe. Można zanurzyć się w nich z głową, zatonać bez śladu i widzieć — nie będąc widzianym.

Zaledwie zdążył Oleś przykucnąć w olszynie, kiedy rozległy się kroki, zmieszane głosy i śmiechy. Przez szpary między liśćmi widać było doskonale całą drogę, idących po niej młodzieńców i błękitną wstążkę Wilejki poza nimi.

Na czele pochodu szedł Czczot, jasnowłosy, pulchnutki i różowy jak panienka, podług swego niezmiennego zwyczaju — w wytartym ubraniu i doskonałym humorze. Pan Łoziński tuż za nim dźwigał z trudem pod górę swoją barczystą, kwadratową figurę. Olesiowi wydało się, że korepetytor, mijając go, rzucił krzakom podejrzliwe spojrzenie, skulił się więc jeszcze mocniej i już tylko kątem oka widział pana Tomasza i tego, który szedł obok Tomasa: Adama.

Tak. To był Adam. Oleś poznał go odrazu, chociaż nigdy przedtem nie widział. Małoż to się nasłuchiwał o nim opowiadań? Począł tedy patrzeć co siły, żarłocznie, na zapas. Alboż się zdarzy prędko druga taka okazja?

Adam szedł z odkrytą głową, wiatr targał mu bujne, ciemne włosy. Kapelusz niósł w ręku i machał nim wesoło. Od czasu do czasu wybuchał głośnym śmiechem. Mówił coś do Tomasza i rozglądał się dokoła z takim rozczuleniem w twarzy, jakby witał na nowo ulubione, dawno niewidziane miejsca. Słońce świeciło mu prosto w twarz, że jaśniała jakby własnym blaskiem. Guzik u surduta napół urwany wisiał na jednej nitce. Ten fakt nappełnił Olesia niezrozumiałą uciechą.

Wiatr przynosił pojedyncze słowa rozmowy. Tomasz o coś wypytywał, o coś się niepokoił, Czeczot dogadywał z boku coś zabawnego. W pewnej chwili Adam powiedział:

— Ja tu, z wami, zawsze wesoły.

Piękne aksamitne brzmienie głosu Adama tak mocno chwyciło Olesia za serce, że aż zęby zaciął, by się nie porwać, nie skoczyć do idących, nie przycisnąć ust do Adamowej ręki. Powstrzymał się w porę. Cóżby to była za egzageracja! Zan tego nie znośli, a Łoziński z tego kpił. Jeden Czeczot byłby może zrozumiał.

Tamci szli szybko, trzeba im było dorównać. Oleś począł pełznąć mozolnie na łokciach i kolanach. Potargał sobie włosy, podrapał nos, lecz pełził wytrwale, bo mu nad głową, na wzgórzu, rozległy się dźwięki znanej pieśni:

„Hej, radością oczy błysną
i wieniec czoło okrasi,
i wszyscy się mile ścisną,
bo to wszystko bracia nasi!“

Znaczyło to, że starszyzna wspina się już na górę i podchodzi do miejsca uroczystości. Oleś stanął na nogi i pobiegł przez krzaki, zgięty we dwoje.

Pieśń cichła — to wybuchała nagle, w miarę

tr zrywał się, to zacichał. Gdy zmilknie zu-
— Adam wręczy Tomaszowi pierścień. O tym
eniu wiedziała już cała młodzież w Wilnie.
e parę kroków, krzaki urwały się, jak nożem
Dalej było strome trawiaste zbocze, na któ-
muchę był dojrzał. Oleś zazgrzytał zębami z
paczy i złości.

„Pochlebstwo, chytróść i zbytek
niech każdy przed progiem miota,
bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!

Jeszcze tylko jedna zwrotka. Oleś rzucił się zno-
wu na płask w trawę i czołgał się chytrze, korzystają-
jąc z każdej nierówności gruntu. Tamci na górze nie
zwrócili na niego uwagi, za bardzo byli zajęci uroczystością. Trzymali w rękach szklanki pełne mleka,
podniesione na wiwat. Parasole: amarantowe, ziele-
lone, różowe, błękitne, fiołkowe, barwiły się nad
głowami przewodników poszczególnych gron fila-
reckich nakształt olbrzymich motyli. Na starszyznę
oczekiwał, zatknięty pośrodku płaskowzgórza, naj-
większy parasol, tęczowy. Gdy Adam, mając Zana
obok siebie, stanął pod tym parasolem — podniósł
się zaraz ogłuszający wrzask powitalny. Przez chwile
nie było nic widać, oprócz kłębowiska machają-
cych rąk, chustek, kapeluszy, rozbawionych twarzy,
podrygujących nóg, rozwiewających się płaszczy.
Oleś ułożył się wygodnie tuż pod krawędzią płas-
kowzgórza, w małej wyrwie piaszczystej, oparł
brodę na rękach, łokcie zanurzył w piachu i czekał,
aż się uspokoi.

Uspokoilo się wreszcie, a najwালniej przyczynił
się do tego Teodor Łoziński. Jednych odsuwał, dru-
gich przysuwał, tu i ówdzie popchnął zlekka, lub
wyłajał grubym półgłosem. Tak pracując, poparty

nawoływaniem przewodników, ustawił wszystkie grona filareckie z powrotem porasolami.

Oleś ze swego ukrycia rozpoznawał z twarze: Czeczota na czele błękitnego grona tów, ślicznego Stasia Morawskiego, przewodnigo granatowym medykom, białowąsego Kozakacza, zaganiającego jak pasterz owce liliowych przewodników.

Powoli między tęczowym parasolem, a resztą towarzystwa utworzyła się pusta przestrzeń, wolny placyk, na którym można się było poruszać. Wówczas Czeczot i Łoziński wystąpili naprzód, skłonili się głęboko przed Zanem i w zabawnie uroczystych wyrazach zaprosili go do wyjścia z pod parasola. Zan wyszedł, oddalił się o parę kroków i obrócił się twarzą do Adama.

Oleś podciągnął się trochę wyżej. Dobry los chciał, że tu właśnie urywało się stromo wdół piaszczyste osypisko, więc nikt tu nie stał, bo nikt nie chciał nabrać piasku w buty. W ten sposób widok na Adama i Tomasza był całkowicie odsłonięty. Obaj starannie zachowywali powagę i obu kąciki ust zlekka drgały. Adam mówił: wychwalał Tomasza, jego zasługi i cnoty, podnosił jego wpływ promienisty na braci filaretów, opisywał barwnie i żywo spodziewane stąd na przyszłość owoce.

Zgromadzenie chłonęło w skupieniu każde słowo. A kiedy Adam zaszczyt wyboru siebie na odawcę pierścienia przepisał jedynie temu, że tak szczerze i serdecznie kocha Tomasza — podniosły się głośne wiwaty na cześć obu. Oleś nie mógł dojrzeć pierścienia, chociaż tego wyciągał szyję. Widział tylko, jak Łoziński z Czeczotem włożyli Tomaszowi na głowę wieniec z młodych, jeszcze złotych, dę-

bowych liści. Adam wyciągnął rękę i coś jakby złota iskierka błysnęło mu w palcach, a głos spotężniał jeszcze, zabrzmiał głęboko jak dzwon:

— Ty wiodłeś młódz naszą w ów święty przybytek, gdzie królują nauka i cnota. Wiodłeś ją za sobą ku chwale uciśnionej Ojczyzny... Pozwól, by ten dar skromny, a z serca płynący, tobie dziś ofiarowany, przypominał ci zawsze...

W tej chwili sypki piach obsunął się pod Olesiem, cała lawina drobnych kamyków z hałasem runęła wdół.

Zakotłowało się na górze, kilkanaście par rąk chwyciło nieszczęsnego i ani się opamiętał, kiedy już stał przed starszą, rozpalony ze wstydu, dławiący się łzami i zgnębiony do ostatnich granic możliwości.

Nie mógł ani słowem odpowiedzieć na sypiące się gradem pytania: A kto ty? A skąd ty? A czemu podpatrywałeś? — Czuł gorzko swoją krzywdę: o cóż go posądzano? A wytłumaczyć się nie mógł, gardło miał jak kleszczami ściśnięte. Nareszcie Arcypromienisty wódz, Tomasz Zan, podniósł rękę i uciszyło się jako tako. Stłoczeni dokoła Olesia Filarci rozstąpili się trochę i chłopak z rozpaczliwą nadzieją, że Zan go pozna — podniósł głowę, gdy tuż nad nim zagrzmiał zbawczy bas Łozińskiego:

— A toż Oleś Łuczko! Za cóż osłe nie zawołałeś na mnie odrazu? Zostawcie jego, bracia, to mój uczeń. Nie pozwoliłem błażniukowi iść z nami, bo jeszcze nie akademik, a on, widzę, zakradł się pokryjomu. Cóżes tu chciał zobaczyć? Ha? Odpowiadaj.

— Pana Adama.

Odpowiedź padła niespodziewanie dla samego Olesia. Jeszcze przed chwilą powodowała nim raczej ciekawość, teraz świat odmienił się dokoła niego.

Adam stał o dwa kroki i patrzył wprost na niego swoimi świetlistymi oczami. Pod wpływem Adamowego spojrzenia Oleś poczuł w sobie gorące pragnienie jakiejś wielkiej bohaterkiej ofiary, czegoś na miarę starożytnych Greków i Rzymian. Musiało się to odbić w jego oczach, bo roześmiane spojrzenie Adama zamgliło się nagle i zwilgotniało. Poruszył się, podszedł do chłopca, położył mu rękę na głowie. Przez mgnienie chłopiec trwał pod dotknięciem tej ręki ze zmrużonymi oczami i zapartym tchem. Adam powiedział:

— Tomaszu, tego małego weźmiemy pod naszą opiekę. Wychowamy go sobie na prawdziwego wiw... Na zanego obywatela. Godzien jest być promienistym.

Arcy pokazał wszystkie zęby w olśniewającym uśmiechu.

— Widzisz, mały, jakiego dostąpiłeś zaszczytu? Uczeń gimnazjalny — Filaretą. A to „Szeroki“ tak dobrze swoich uczni wychowuje. Chodź tu, Szeroś, daj swojemu Telemakowi mleka.

— I pocałowanie też — huknął Łoziński. — Na, masz, — wetknął mu w rękę szklanke mleka i dużą bułkę. — A pamiętaj, że teraz słuchać trzeba, ani mru-mru! I być wiernym piętnastu prawdom. Inaczej... Ha!

Zrobił straszliwie groźną minę, a reszta starszyzny wybuchła śmiechem. Oszołomiony Oleś łyknął dwoma haustami mleko, a bułkę raz ugryzł i schował do kieszeni. Prędko strzepnął okruchy z czamarki, która bardziej niż kiedykolwiek wydała mu się znoszona i staromodna. Uwaga całego zgromadzenia ciążyła mu na plecach tak mocno, że zgarbił się mimowoli.

Zan krótkim rozkazem oczyścił plac dokoła, wy-

stąpił przed Olesia i przemówił do niego wierszem. Podniósł przy tem obie ręce i wykonywał dziwne ruchy, jakby chwycił coś z powietrza i rzucał Olesiovi na głowę.

Ty, niebieski promionku, w myśl moją rzucony,
co wiążesz z sobą, łączysz różne świata strony,
przez który ziemia żyje... skąd się miłość rodzi,
co wszeteczność obrzydza, życie nasze słodzi,
prawdziwemi rozkoszy i szczęściem prawdziwem
robi człeka cnotliwym i mądrym i tkliwym,
bądź pochwalon... Przez ciebie litewski młodzie-
niec

chce prawdziwej zasługi zyskać sobie wieniec.

Potem odczytał piętnaście prawideł promienistych. Oleś był już wystarczająco oprzytomniały, by dostrzedz, jak szczegółowo regulują mu one życie i jak mocno biorą w przyjacielskie kluby. Waliły się na niego obowiązki względem ojczyzny, powszechności, rodziny, szkoły... względem przyjaciół i promienistości. — Jakże ja to wszystko wypełnię? kiedy zdążę? — Przestrach ogarnął Olesia, ale Zanowi oczy śmiały się tak wesoło, że przestrach zatonął natychmiast w wysokiej fali radosnej dumy. Stał przed Zanem wyprostowany jak żołnierz na warcie. Na końcowe pytanie: — A cóż? Obiecujesz? — Odpowiedział głosem zimnym z nadmiaru wzruszenia: — Obiecuje.

— Potem wszyscy zajęli się oglądaniem pierścienia, ofiarowanego Zanowi. Był złoty, ślicznie cdrobiony i wyryte były na nim słowa: „Przyjaźń — zasłudze“. Przechodził z rąk do rąk, a Zan, udając, że nikomu nie dowierza, z tysiącem żarcików na ustach stawał przy każdym, kto brał pierścień w rękę. Zapewniał, że się nigdy z bezcennym darem nie rozstanie, że będzie mu on droż-

szy od pierścionka zaręczynowego. O małym Oleśiu zapomniano.

On sam, nieprzytomny ze szczęścia, podszedł nieśmiało do gromadki najmłodszych Filaratów błękitnych. Jeden z nich, bardzo młody i niebrzydki chłopaczek, szturchnął łokciem sąsiada i powiedział mu coś na ucho. Tamten parsknął śmiechem i podał dowcip dalej. Po chwili cała kompania śmiała się, popatrując na Olesia.

Oleś zarumienił się z przykrości. Poczł dobrze, że śmieją się z niego. Spojrzał po sobie: ubranie miał pomięte i wyzielenione, buciki żałośnie obłoczone, ręce podrapane o krzaki. Nie wyglądał elegancko. Tamci chłopcy byli widocznie tego samego zdania.

— Wasan pod Troją byłś? Z Odysem się tułałeś? — zapytał z udaną powagą ów niebrzydki, czarnoloki.

Oleś czuł, że najlepiej byłoby zbyć sprawę milczeniem, ale nie mógł się wstrzymać od niezgrabnego pytania:

— Dlaczego?

— A bo wasan wyglądasz, jakbyś Polifemowi z gardła uciekł — wypalił czarnoloki, a cała reszta gruchnęła śmiechem.

Oleś patrzył na nich skonsternowany. Nie rozumiał nic z ich postępowania. Czyżby i tutaj „nowy“ musiał przejść frycówkę? jak w szkole? Ale już czujny przewodnik grona, Jan Czeczot, dostrzegł zajście i szedł w tę stronę, jak mógł najszybciej na trochę przykrótkich nogach.

— Co to? Śmiechy bezmyślne? Z czego wyśmiewacie się, błazny? A potrafiłby z was który, z zapalu dla promienistości, pełznąć przez mokrą łąkę, jak ten oto zuch? Dalejże! Przyjąć go po przyja-

cielsku, jak na filaretów przystało, dać sobie buzi z dubeltówki i żeby mnie żadnych fochów nie było!

Chłopcy roześmieli się już teraz przyjaźnie; jeden przez drugiego wyciągali ręce do Olesia, wymieniając swoje nazwiska. Tylko czarnoloki, posławszy mu niechętnie spojrzenie, zawieruszył się zręcznie w gromadzie, by nowemu nie podać ręki, a sam jął się łąsić do Czeczota iście kocim sposobem, dopóki przodownik grona nie roześmiał się wreszcie i nie poklepał go po policzku. Wtedy rzucił Olesiovi spojrzenie tryumfujące i Oleś zrozumiał, że pozyskał wroga. Na chwilę zrobiło mu się bardzo smutno, ale zaraz spojrział w stronę Adama i otrząsnął się z tego smutku. Alboż nie był pod mozną opieką?

Nie wzruszyło go już i to, że w chwilę potem jego nowy wróg stał się celem powszechnej uwagi: na wezwanie Czeczota stanął pośrodku kręgu i zaczął deklamować z przejęciem jakąś długą balladę. Starał się mówić głosem balladowym, więc bohater-skim i grzmiącym, co przy jego dziecinnej jeszcze buzi wypadało trochę zabawnie. Olesiovi nie podobał się wiersz, wydał mu się napuszonym i sztucznie górnołotnym, ale Adam słuchał uważnie i życzliwie, to samo Zan. Oleś myślał o tym, kto mógł być autorem tego wiersza, gdy tuż za nim odezwano się półgłosem:

— Patrzcie, Odyniec znowu swoje wiersze deklamuje.

— Z księżycy spadłeś? Toż bawi nas od kwadransa — odpowiedział, krztuszając się z uciechy drugi szept.

— Ależ, kiedy on ładne wiersze układa, czego wy się śmiejecie? — ujął się trzeci głos.

Odyniec? Nazwisko wydało się Olesiovi bardzo

zabawne. — A ja Łuczko, to ja Odyńca ustrzelę z łuku — obmyślił sobie kalambur, śmiejąc się w duchu. Zaraz potem spojrzął na słońce i przeraził się.

Staczało się ku zachodowi, ogromne, rumiane. Długie cienie ześliznęły się ze zbocza na łąkę w dole.

W domu dzisiaj goście, wieczerza na siódmą wieczorną, spóźnienie tedy pewne. Oleś westchnął ciężko: każdą radość okupić trzeba cierpieniem.

Roztarł ścierpnięte kolana i obliczył w myślach, którędy bliżej: tą samą drogą, czy też polami? przeciąć Czarny Trakt we wsi Góry, wyróżnić się tamtędy na Trakt Oszmiański, a stamtąd już prosto na Ostrý Koniec. Zdecydował się na to ostatnie, bo zawsze przyjemniej w polu, gdy posłyszał swoje własne imię, rzucone mu przez mroczejące powietrze skądś od strony starszyzny. Jak sprężyną rzucony porwał się w tamtą stronę i ze zbytku gorliwości omal nie wpadł pod nogi Zanowi. W samą porę zarył się mocno w piasek i tylko chybnął się niebezpiecznie, aż Zan musiał nieco uskokoczyć.

— Ostrożnie! Jak ty się rzucasz. Głowa tobie płonie, — położył mu pieśczośliwie rękę na czole. — Słuchaj, przyjdiesz do mnie za trzy dni... Tak. Za trzy dni. We czwartek. Stoję na Skopówce, w domie Święckiego, razem z Chodźkami. Znajdziesz? Nie zapomnisz?

— Znajdę. Nie zapomnę.

— Dam tobie zlecenie jedno... ważne... Położę w tobie wielkie zaufanie. Czy ty aby potrafisz?

— Ja wszystko potrafię, co pan Tomasz każe.

— Tak? To dobrze. Ileż ty masz lat?

— Piętnaście.

— A umiesz ty milczeć?

— Ja będę milczeć, jak pan Tomasz każe.

— No, to dobrze. Ale idź już, idź... Ty taki młody... Rodzice w domu czekają. Idź!

Popchnął go zlekka i Oleś posłusznie stoczył się z góry, by wspiąć się zaraz na następne zbocze i już płaskowyżem rwać przed siebie, możliwie najprędzej. Późno było. Po drodze zarzucił plan dostania się na Oszmiański trakt i biegł naprzelaj ku Rossie. W niskich dolinkach, między wzgórzami, żaby rozpoczynały swoje koncerty. Tu i ówdzie słowik zanosił się od śpiewania, aż się perliło w liliowym powietrzu. Oleś rozpamiętywał w sobie uśmiech Zana, jego ostatnie słowa o tym zaufaniu i, dudniąc butami po twardo ubitej ścieżce, martwił się, że teraz sam już nie wie dokładnie, kogo bardziej uwielbia: Adama, czy Arcego?

III

Pani Łuczkowa poprosiła gości do jadalnego pokoju i już wszyscy usiedli za stołem, kiedy Oleś wsunął się ostrożnie i zajął swoje zwykłe miejsce na szarym końcu.

Starał się pilnie zachowywać jaknajciszej i nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, ale pani siewietnikowa Ławrynowiczowa dopatrzyła go zaraz i pokazała krzątającej się dokoła stołu matce.

— Patrzajże, moja duszo, twój Oleś powrócił raczyl! I gdzież to był, że ma siano we włosach, czy jakieś tam liście? Zdrożony nieboraczek! Ale mój mąż by synom nie pozwolił na takie mitrężenie czasu, na takie wałęsanie się Bóg wie gdzie i Bóg wie z kim. Nieprawdaż, Wincusiu? Och, ale u nas posłuch jest w domu. Tak, tak. Źle, kiedy dorastający syn bez ojca chowany. Ciężka dola wdowy — trajkota-

ła po swojemu, mizdrząc się słodziutko i wzdychając z afektacją. Nie zwracała żadnej uwagi na wściekłe spojrzenia Łuczkowej, a może właśnie bała się niemi?

Siedząca obok jej męża pani Albina Deybellowa zdawała się przytakiwać tym wywodom miarowym kiwaniem wąskiej, suchej głowy, przyczem zaciskała złośliwie cienkie, blade wargi.

Oleś starał się zmaleć: głowę wciągnął w ramiona... najchętniej wlaźby pod stół. Unikał rozgorzałego wzroku matki, natomiast zerkał żałośnie ku Anielce. Siostra siedziała opodal, między Felą Micewiczówną, a Welą Zborowską, i szeptała coś z niemi nieustannie. Nie odpowiedziała na wzrok brata, ale zato Fela kiwnęła mu przyjaźnie głową i położyła palec na ustach, zalecając milczenie.

I tak nie byłby się odezwał. Nieśmiało wyciągnął rękę po najbliższy półmisek, nałożył sobie kurczęcia na zimno, doprawił ogórkami ze śmietaną i jadł chciwie, wygłodniały po dalekim spacerze, kontent, że się powszechna uwaga od niego odwróciła.

Pochłonął ją pan Deybell opowiadaniem, jak to młodzież uniwersytecka znowu niebezpiecznie ruszać się poczyna, wznawiając zeszloroczne mleczne majówki, przez jaśnie wielmożnego pana rektora surowo przecież zakazane.

Pan Deybell, mówiąc, ocierał pot ze śpiczastej łyliny bawełnianą chustką w wielkie kraty. Zgrzał się. W jadalnym pokoju było bardzo duszno, bo, mimo ciepłego wieczoru, okna dające na ogród były szczelnie zamknięte. (Pani sówietnikowa Ławrynowiczowa jak grzechu śmiertelnego obawiała się przeciągów). A przytem emocjonowała go cała ta sprawa: przedwczoraj matka najbogatszej uczernicy ich pensjonu, pani Białopiotrowiczowa, rozpy-

tywała natarczywie, czy imć pan Zan podtrzymuje jeszcze koneksje z niektórymi pannami w pensjonie? oraz czy to prawda, że jest on Niemcem z pochodzenia i kuzynem osławionego Zanda?

Pan Deybell zląkł się o przyszłość swojego pensjonu i grzmiał teraz co siły w płucach na jakobińskie maksymy, nurtujące do dziś dnia wśród młodzieży i na łoża masonskie, które owe maksymy jakoby podsycali. Poparło go całe towarzystwo i zgodnym chórem poczęło biadać nad tą niesłychaną zuchwałością akademików, która na całą Litwę ściągnąć może nieprzewidziane kłeski.

Pani Łuczkowa w gruncie rzeczy nie lubiła takich rozmów. Coprędzej podsunęła Deybellowi kopiasty półmisek wędliny i przerwała tem potok jego wymowy. Ale Deybellowa przejęła ostatnie słowa męża i ciągnęła je dalej swoim nieznośnie kwaskowatym, cedzącym głosikiem:

— Wszystkiemu winien pan Tomasz Zan. Cóż to u nas, w pensjonie, wyrabiał? Jakie myśli pannom podsuwał? Niech Bóg broni! Prosiłam... przekładałam... Nic. Musiałam przeprosić i od lekcjów odsunąć. Panowie Zan i Łoziński pogniewali się o srodze... A co my winni? Bo gdybyż gadania pomogły... to nie mówię... Ależ pan Zan, ani pan Łoziński głową muru nie przebiją, wyroków Opatrzności nie zmieniają. — Urwała i poszukała oczyma po obecnych potwierdzenia swoich wywodów. Młodzież milczała pochmurnie, oboje sowietnikostwo dawali głowami usilne znaki gorącej aprobaty, reszta towarzystwa wyglądała jakby trochę zwarzona, czy zakłopotana. Deybellowa odczuła to i zagryzła wargi. Znowu zaczęła mówić; tym razem głos miała zlekka podrażniony.

— Wiem ja dobrze, jako niektóre uczenice w

obronie usuniętych panów nauczycielów nadtoż są gorliwe, a na święte obowiązki wdzięczności względem troskliwych o ich serca i dusze wychowawców — zgola niebaczne... — Wpadła mimowoli w uroczysty ton szkolnych pouczeń i błysnęła gniewnym spojrzeniem ku Feli Micewiczównie. Biedaczka Fela poczerwieniała ogniście i wpatrzyła się w swój pusty talerz. Wela Zborowska trąciła ją lekko i prawie niedostrzegalnym ruchem powiek wskazała Olesia.

Oleś wsparł się obu rękami o stół w takiej pozycji, jakby się chciał jednym rzutem odepchnąć od tego stołu, porwać się z miejsca i zrobić coś niezwykłego. Na szczęście nikt na niego nie zwracał uwagi; przytem rozmowa już poczynała nacichać, a zebrani goście spoglądać uważniej po sobie. Fela przechyliła się do Anieli i powiedziała jej parę słów. Anielka wstała pod pozorem podania jakiegoś półmiska, obeszła stół dokoła i, przechodząc za krzesłem brata, niby przypadkiem dotknęła jego ramienia. Obejrzał się ku niej — spojrzała nakazująco i szybkim ruchem położyła palec na ustach. Oleś westchnął ciężko, osunął się w tył na krzesło, oparł się wygodnie o poręcz i nakrył powiekami iskrzące się oczy. Było mu bardzo boleśnie nie wystąpić w obronie Tomasa. Było mu bardzo żałośnie, że jest tylko szesnastoletnim wyrostkiem, któremu wogóle wobec starszych otwierać ust nie uchodzi, a cóż dopiero, żeby im się przeciwstawiać? I to w przytomności sowietnika Ławrynowicza, człowieka starszego, dobrego znajomego domu, a nawet opiekuna po śmierci ojcowskiej? Gdybyż być człowiekiem dojrzałym, na stanowisku. Gdybyż być choćby akademikiem! Już onby im wszystko wypowiedzieć potrafił, wszystko, naco zasłużyli.

Z nienawiścią prawie patrzył na nich po kolei:

na rozczzerwienione po domowej ratafji, a w białych chustkach tonące oblicza mężczyzn, na rozanimowane twarze dam, nawet na te urocze dzierlatki, dla których „Oni“ czuli niczem nieusprawiedliwione uwielbienie. Bo proszę tylko zważyć: po chwilowym zakłopotaniu już się rozszczebiotały na nowo, rozchichotały dosyć głupkowato, a Elka z Welką rzucały ukradkiem, z pod rżęs, powłóczyście spojrzenia na pięknego Brunona Suheckiego.

Trzy gracje, trzy charyty: Fela, Ela i Wela... Szczególniej Ela, jego rodzona siostrzyczka, po domowemu, najzwyczajniej, Anielka. Ot, pucułowata, niebieskooka, biała jak cielęcina. I czegoż się w niej dopatrywał pan Teodor Łoziński? Złość tylko bierze, nic więcej.

Przypatrywał się trzem pannom ze zjadliwą, wręcz wrogą uwagą; skrupulatnie notował w pamięci wszelkie skazy i plamy, jakie znalazł na ich osławionej między akademikami urodzie. Chichotał w głębi duszy za każdym nowoodkrytym pryszczkiem, plamką czerwoną, lub brzydką fałdką skóry. W ten sposób przekonał się, że Wela Zborowska ma rzadkie włosy i zlekka zaczerwienione powieki, a Fela, ubóstwiana Zanova Feli, zgrubiała płeć, przez którą z trudem przebijały się nikłe rumieńczyki. O Anieli szkoda mówić: jest brzydka i tłusta, a pan Teodor, przykro to przyznać, nie ma wyrobionego smaku.

Rozprawiwszy się tak gruntownie z pannami zabrał się Oleś do Brunona Suheckiego, o którym słyszał od Łozińskiego, że jest zdrajcą. Na czemby polegała ta zdrada — rzecz prosta, Oleś nie wiedział, ale świadectwo pana Teodora wystarczało mu w zupełności. Bawidamek! Fircyk w zalotach! Uch! Aż ręce świerzbiały, zby wziąć półmisek, cisnąć tam-

temu w łeb z trzaskiem i brzękiem! Tożby sowietnikowa dostała spazmów i mdłości. A Deybellowa, matczyzna „Albinezka- duszka“ zapiszczałaby przenikliwie, jak to ona jedna potrafi. A matka? Lepiej nie myśleć o matce...

Uśmiechała się do swoich gości przytakiwała im gorąco, godziła się z nimi we wszystkim. Dbała ogromnie o zgodę z sowietnikowstwem, o ich uznanie i łaskawość dla siebie i swoich dzieci. Liczyła na pomoc Ławrynowicza w karierze Olesia i tak była o te sprawy niespokojna, że aż płaszczyła się nieledwie. Jakaż była teraz uprzedzająca i słodka! Należy przyznać, że nietylko z powodu Ławrynowiczów; była wogóle gościnna, lubiła przyjąć wystawniej, niż pozwalały skromniuchne środki. Przypominało jej to dawne dobre czasy za życia ojca. Jakaż była uprzejma! A gdyby ją tak ktoś z tych gości posłyszał, jak się rozkrzyczy o byle co na kogoś z domowników! Niechby ją zobaczył, jak miota się i wrzeszczy po czterech stancyjkach mieszkania, w brudnym szlafroku i przydeptanych pantoflach.

Tu Oleś przerwał swoje myśli, bo sam się ich zląkł. Jakże można tak... o własnej matce... Gdyby „oni“ wiedzieli, nigdyby już nie przypuścili go do kompanii. A może należało przyznać się za następnym widzeniem chociażby tylko panu Tomaszowi? Tak. I zasłużyć na surową naganę na początku filareckiej kariery?... Tak, i żeby tamten czarny... Odyniec?... w dalszym ciągu kpił z niego?

Głęboko zatroskany — wziął sobie Oleś kawał piernika i żuł machinalnie, gdy znowu bardziej podniecona rozmowa przy stole zmusiła go do słuchania.

Zainteresowanie tematem było nadzwyczajne. Damy pochyliły się naprzód, że prawie już wisiwały

nad stołem i świecące chciwie oczy wlepiły w perorującą sowietnikową. Panowie źle udawali obojętność. Pani Ławryowiczowa opowiadała o wyprawie Tekluni Walentynowiczówny, która właśnie przed paru tygodniami została księżną Zubow. Lwią część tej zaiste książęcej wyprawy ofiarował sam pan młody. Doprawdy, było o czym słuchać. Nawet trzy panny nie wytrzymały i zapominając, bardzo niepromieniście, o całej zgrozie onego ślubu, wyciągnęły ku mówiącej swoje łabędzie szyjki.

Sowietnikowa poprostu wpadła w natchnienie: przewracała oczy i mdlała z zachwytu, mówiąc o kaszmirach, grodeturach i atlasach, o perłach na szyję i brylantowych kolczykach. Mówiła o złotej zastawie stołowej, którą książę Platon otrzymał ongiś w darze od imperatorowej, a teraz sprowadził z Petersburga na ucztę weselną... I o tem także, że spłaca wszystkie długi, ciężące na walentynowiczowskich Pikiliszkach. Mało tego: że starej Walentynowiczowej rentę roczną wyznaczył wysokości... wysokości... Nie. Sowietnikowa boi się powiedzieć, bo i tak jej nie uwierzą.

— Pewno, że renta wysoka. Musiał przecież starej czemś zapłacić za córkę — burknął milczący dotąd gość, odstawny porucznik Szutowicz.

Ławryowiczowa udała, że nie słyszy herezji. O Zubowie z naciskiem mówiła: książę Platon, niby o dobrym znajomym. Rozwodziła się szeroko nad splendorem, jaki spotkał Waletynowiczową, zaznaczając mimochodem, że splendor to niezupełnie zasłużony. Teklunia — ładna błaznica, prawda, ale są w mieście inne, wcale nie brzydsze — pojrzała z zachwytem i dumą na swoją Laurę, rozmawiającą żywo z Brunonem Suheckim.

Łuczkowa znów przytaknęła, ale już o wiele

chłodniej, raczej przez grzeczność. Ona spojrzała na swoją Anielkę. Inne mają szczęście, a do tej, Boże zmiłuj się, zaleca się korepetytor brata, akademik, biedny jak mysz kościelna, w dodatku usunięty za jakobińskie przekonania nauczyciel. A co z tego będzie, oprócz nowych trosk?

Sowietnikowa paplała dalej bez wytchnienia.

— Już jak komu powodzi się choć trochę — zaraz nosa zadzierać zaczyna. Tak i Walentynowiczowa. Starych znajomych nie zawsze poznać raczy. Mówię ja do niej kiedyś: „duszo moja kochana...”

Pani sowietnikowa znasz ją tak blisko? — zapytała słodziutko Albina Deybellowa, pochylając się nieco przez stół.

Ławrynowiczowa na tak aroganckie zwątpienie aż wtył się rzuciła, przyczem paśowa kropla z wiśniowych konfitur kapnęła jej zdradziecko na obfity biust, obciążony fiołkowym atłasem.

— Znam — wycedziła dostojnie — bardzo dobrze znam. Jeszcze z panieńskich czasów. O, nie robiło się z nią wówczas wielkich ceremonij... I księcia znam. Spotykałam na rejunjonach u gubernatorstwa.

Sowietnik Ławrynowicz, usłyszawszy w głosie żony dobrze sobie znany groźny ton, czemprowadzając wyciągnął tabakierkę, stuknął w nią palcem i podsunął Deybellowej.

Był w tem towarzystwie pierwszy z wieku i urzędu, więc pani Albina po chwilowym wahaniu wyciągnęła dwa palce i wzięła szczyptę tabaki. Zadowolony sowietnik zażył także i utarł siny kartoflowaty nos w kraciatą chustkę, aż szyby w oknach zadzwoniły lękliwie.

— Co tu mówić. Jeśli kogo fortuna spotyka — to szczęść mu Boże. Nie mówię ja, by w Wilnie ład-

ných panien nie było, ale jak skoro książę Zubow upodobał sobie Teklunię, przyznać trzeba, że piękna z niej będzie księżna. Bo i foremna, i buziak jak malina. A i to splendor dla Wilna, że magnat, co u nóg swoich miał cały Petersburg, nie gdzieindziej tylko z naszej grzędy zerwał sobie różyczkę.

— Jabym na miejscu Tekluni wołała pana Wyżyckiego — palnęła niespodziewanie Lorcja Ławrynowiczówna. — Pan Wyżycki taki piękny, a książę ze wszystkim stary...

Urwała, bo matka spiorunowała ją rozszroczonymi oczami. Żeby młoda, przystojnie wychowana panienka wrywała się tak, wobec starszych, ze swoim zdaniem? Niesłychane rzeczy! Ale rozmiłowany w swojej pierworodnej ojciec dobrodusznie pokiwał głową.

— Młoda jest. Korzyści własnej nie rozumie — szepnął usprawiedliwiająco sąsiadce swojej, Deybellowej.

— Że inne matki i panny na wydaniu zazdrościć będą, to pewna — zaczął Deybell i urwał także wpół słowa, bo wpadł mu jak grom z jasnego nieba gniewny okrzyk Olesia:

— Czego zazdrościć? Że za Moskalá idzie?!

Martwa cisza zapanowała przy stole. Goście spoglądali po sobie przerażeni i zaskoczeni niezwykłością zdarzenia. Dopiero po dłuższej chwili podniósł się srogi głos Łuczkowej:

— Odejdź do twojej stacji. Później ze sobą porozmawiamy.

Oleś ochłonął natychmiast i zgroza nad własnym zuchwalstwem przygniotła go literalnie do ziemi. Wstał posłusznie, dźwigając z trudem ciężar swojej hańby, skłonił się wszystkim niezgrabnie i

wyszedł. Nim drzwi zamknął za sobą, doleciało go jeszcze nabrzmiące łkaniem zawołanie matki:

— Państwo dobrodziejstwo sami widzą, co ja z tym błaznem cierpię...

I dudniący bas Ławrynowicza:

— Skóry łoić niema komu, w tem cała bieda.

IV

Księżyc czerwony toczył się nisko i świecił nie-dbale. W ogrodzie między krzakami malin i agrestu było ciemno i bardzo wilgotno.

Oleś siadł na starej, spróchniałej ławce, tak obrosniętej koralowym bzem, że nikogo na niej do-rzeć nie można było nawet w najjaśniejszy dzień, a cóż dopiero w nocy. Tu był bezpieczny i mógł dać folgę zgoła niemieckim łzom. Matka potraktowała go jak młokosa, jak dzieciucha. Iść precz kazała przy gościach. A toż wodę z mlekiem trzeba było mieć w żyłach, by wytrzymać, co tamci gadali. Tfu!

Oleś splunął z obrzydzenia. I gdzież to ma po-chowane sumienia? A matka? czy dałaby Anielkę, gdyby... A czyby Anielka chętnie poszła? Chyba — nie... Chociaż... kto wie? baby wszystkie jednako-we, — pomyślał z niezgłębioną pogardą i drgnął nieprzyjemnie, bo właśnie szły tutaj wszystkie trzy.. nie, cztery, bo i Lorka Ławrynowiczówna z niemi była. Ich jasne sukienki potraciły kolory w pomroce i białeły jednostajnie przez bzy i gąszcz. Na ra-batach pachniały spóznione narcyzy, w sąsiednim ogrodzie raz po raz odzywał się słowik i milkł za-raz, wystraszony dziewczęcym śmiechem.

Ten śmiech drażnił Olesia. Cieszą się jak cie-lątka, bez żadnej przyczyny. -Chyba wstać i prze

kraść się chyłkiem do furtki od podwórza, skąd już blisko do kuchennych drzwi?

Postąpił kilka kroków i, zaraz na zakręcie ścieżki, wpadł na Fełę Micewiczównę. Przyjaciółki chciały niedaleko w altanie, a ona szła sobie zamysłona, rwała narcyzy i układała w równiankę, pracowicie przeplatając białe gwiazdeczki jakimś kosmatym ziele. Zobaczyła, kto się zbliża i uśmiechnęła się serdecznie.

— Jaki Oleś był dzisiaj odważny! Ja zlekłam się za Olesia. Myślałam, że sowietnik Ławrynowicz chyba jego wybije... taki był zły. To niedobrze, tak drażnić starszych, Olesiu.

Przymierzyła białą równiankę narcyzową do czarnych warkoczy. — Ładnie tak? Proszę powiedzieć i uśmiechnąć się. Za co Oleś taki smutny? A może sam rozkochał się w pannie Walentynowiczównie i kniaziewi zazdrości?

Oleś uśmiechnął się mimowoli.

— Pani sobie żartuje, a ja dziś nie poznaję Feli. Któż jak nie Feli, powinnyby ująć się za panem Tomaszem? Tu stara Deybellowa językiem miele, a tu nikt... nic... Panny jakby wody w buśki nabrały. Czy to pięknie? czy to się godzi?

Dziewczyna poczerwieniała tak gwałtownie, że Oleś dostrzegł tę czerwoność nawet poprzez księżycowy mrok, ale zaraz potem roześmiała się swobodnie.

— Chciałby Oleś, żeby i nam kazali odejść od stołu, tak jak Olesiu? Cóż przyjdzie ze sprzeciwiania się starszym? My jesteśmy młodzi i powinniśmy słuchać, bo inaczej to grzech. A za co ja mam bronić pana Tomasza? Czy on mój brat, albo narzeczony? — śmiała się kokieteryjnie, a Oleś stał

przed nią, oszołomiony jej ładnością i nie wiedział zupełnie, co ma odpowiedzieć.

Tymczasem Fela skończyła składać równiankę, prędkim ruchem obejrzała się dokoła, a potem pochyliła się i zapytała cichutko:

— A czy Oleś był dzisiaj w Górach? na promienistym całowaniu? I widział Oleś jak ten pierścień...

Chłopak z przejęciem, uroczyście, skinął głową.

— Proszę mi opowiedzieć, jak to było. Mój złoty Olesiu!

Więc Oleś zaczął opowiadanie i mówił stłumionym, przejętym głosem o wszystkim co widział, o najdrobniejszych szczegółach.

Fela słuchała uważnie, od czasu do czasu wzdychała cichutko, albo poczyniała szybko mrugać oczyma, jakby chciała strząsnąć z rzęs jakąś lżę niedskretną.

— Złoty pierścień dali?

— Złoty — przytwierdził Oleś.

— Jak w śpiewku!...

— I pieśniarz dawał, sam Adam.

Zamilkli oboje i nasłuchiwali, jak słowicze trele świetlicie, srebrzyście toczą się po liściach jabłoni. Po dłuższym milczeniu Fela zapytała niepewnie, rozciągając w zmieszaniu słowa:

— Aa... pan Oleś... prędko... jego zobaczy?

— Kogo? Adama?

— Nieee. Pana Tomasza.

— We czwartek — wyrwało się Olesiu. — Nie wiem — poprawił się szybko. Może prędko.

— To... jeżeli prędko... jeżeli prędko... niech Oleś jemu to odda.

Szybkim ruchem wyrwała zatkniętą w warkoczu narcyzową rówiankę i wcisnęła Olesiu do ręki. A sama skoczyła z miejsca, że tylko sukienka

zafurczała, a długie, czarne warkocze świsnęły jak bicze. Jednym skokiem dogoniła przyjaciółki, szepczące coś pod altaną.

Oleś stał jeszcze chwilę, machinalnie zaciskając w garści kruche łodyżki narcyzów. Był jednocześnie rad i skłopotany: misja nie należała do najłatwiejszych, a zanim uda się jej dopełnić — kwiaty zwiędną. Chyba żeby zasuszyć je w książce? W Iljadzie? albo w Horacym? To się zobaczy.

Księżyc podniósł się nieco wyżej i rozświetlił jako tako bżowe gąszcza. Słowik zapanował już niepodzielnie w uciszonym ogrodzie i wyśpiewywał zapamiętałe, a z łąk zamiejskich odkrzykiwał mu derkacz. Białe baldachy koralowego bzu chwiały się tajemniczo i pochylały ku Olesiowi, podając mu perły rosiane jakby na talerzach. Było pusto; panny odeszły do domu. Oleś przez chwilę słyszał na ganku ogrodowym pożegnalne głosy i śmiechy, potem trzasnęły w dali zamykane drzwi.

Oleś starannie rozprostował palcami białe płateczki i schował narcyzy do kieszeni. Szedł teraz, skradając się trochę, przez podwórze, przez kuchenne drzwi i sionkę, po stromych schodkach na salkę, gdzie mieszkał. Szedł na palcach, ostrożnie, by schody nie zaskrzypiały, przemykał się jak złodziej, byle uniknąć matki. Dość już na dzisiaj przykrości.

Łóżko zastał zasłane jak zwykle, dzbanek wody przy łóżku, świecę ktoś zapalił i tuż obok, pod ręką, położył szczypce do objaśniania; rzuconą w pośpiechu czapkę ktoś podniósł i powiesił na kołku. Oleś na te wszystkie szczegóły nie zwrócił najmniejszej uwagi, jako na rzeczy zupełnie naturalne, które zawsze dzieją się same przez się. Wizyta matki w jego pokoju nie przeszła mu przez głowę.

Ułożył narcyzy w potarganej i spuchniętej od

ciąglego czytania Iliadzie, by zaschły do czwartku. Potem napił się wody i stanął w oknie, wprost naprzeciw księżycy. Zejść do matki? powiedzieć jej „dobranoc?“ Zawsze to robił od kiedy siebie pamięta. Ale jakże dziś? Przeprosić? Czy tak tylko pożegnać na noc, jakby nic nie zaszło? Przeprosić? Ale za co przeprosić? Nigdy!

A jeżeli ona tam czeka? Raz już tak było. Wahał się... poszedł i okazało się, że czekała. Ale nigdy jeszcze nie spotkał go od niej taki despekt... I nigdy nie była taka rozgniewana. Więc co? Pójść i narazić się na długie, gderliwe kazanie? Stał jak przykuty do okna i wsłuchiwał się w ostatnie szmery i odgłosy układającego się do snu domu. Były coraz cichsze i rzadsze. Jeszcze tylko skrzyknięcie drzwi pokoju matki — i cisza. Jeżeli zejść — to natychmiast, za sekundę nie będzie już warto.

Z trudem odrywając stopy od podłogi posunął się parę kroków ku drzwiom. Laźł przez pokój, jak mucha przez miód. Uchylił drzwi, wysunął głowę... Cisza niby makiem siał.. Śpi matka, nic nie pomoże.

Odwrócił się, jednym susem skoczył na łóżko, zdarł z siebie ubranie i czempredzej naciągnął kołdrę na uszy. Za chwilę młodość zwyciężyła wszystkie troski i Oleś chrapał aż dzbanek z wodą podskakiwał leciuteńko na stole, a szklanka wtórowała ci-chutkim brzęczeniem.

A Łuczkowa siedziała na dole, w swoim pokoju, zupełnie ubrana, na fotelu, z różańcem w ręku. Niby to odmawiała pacierze, a naprawdę nasłuchiwała pilnie, czy schody nie skrzypią pod synowskimi krokami, czy syn nie idzie powiedzieć jej dobranoc?

W głębi duszy przyznawała mu rację, jej mąż — nieboszczyk tak samoby postąpił z wszelką pewnością. No, oczywiście, powiedziałyby swoje zdanie w

sposób bardziej kurtuazyjny, tak, że damy nie mogłyby się żadną miarą obrazić... Już to braku galanterii nikt nie mógł nieboszczykowi zarzucić. I gdyby los Walentynowiczówny padł na ich Anielkę — nie zezwoliłby nigdy. I kto wie, czy ona by zezwoliła? Czy dałaby córce postąpić tak zupełnie wbrew jego przedśmiertnym zaleceniom?

Ale umarł i leżał na Rossie, a na jej barkach pozostała cała ciężka troska o przyszłość dzieci. Ciężka troska... Sowietnik Ławrynowicz był wielką podporą, całą nadzieją rodziny... jakże można sprzeciwiać się... drażnić?... Oleś powinien zrozumieć, nie dziecko przecie... Niechno Ławrynowicz zrzeknie się opieki? Co wtedy? Jak bez stypendium przejechać się przez uniwersytet? Jak zapewnić sobie dalszą drogę? Ławrynowicz, w gruncie rzeczy, człowiek miękkiego serca i, jak dotąd, opiekę swoją pojmuje bardzo po szlachecku, jak należy. Żeby nie on... Ten błazen Oleś ani się domyśla... Dużoby wskórały te hafty kościelne, w najgłębszym sekrecie od sióstr-Wizytek brane... bo czyż to wypada pani rotmistrzowej? A na wieczystą zupę z warzyw jakże Oleś urąga... Cóż przecie, warzywa z własnego ogródka, nie kosztują... Ale, ale, trzebaby Olesiovi już przerobić tę czamarę po nieboszczyku... Chaim więcej dwóch rubli za robotę nie weźmie... a wykroi się z tego jeszcze wcale niezła surducina... Trzebaby o tem jutro pogadać z Olesiem... tylko, żeby już przyszedł przeprosić... Ucałowałyby... przytuliła, poskarżyłaby się trochę na te wszystkie swoje utrapienia... Możeby zrozumiał, że jak jej bardzo ciężko, to naprawdę nie może powstrzymać się od zrzędzenia. Ściśnie ją coś w piersiach i wypycha z gardła obce, złe słowa, których ona nigdy nawet nie myślała... Dobrzeby to wszystko wytłumaczyć

Olesiowi, ale już późno i on pewnie już nie przyjdzie.

Wstała z fotelu, uchyliła drzwi do sionki... cicho na schodach i cicho na górze. Nie widać złotej szpary u dołu drzwi. Zgasił świecę.

Powoli, ociągając się, powróciła do siebie i klękała przy wysoko zasłanym łóżku. Słowa pacierza nie były jakoś dzisiaj żadną pociechą: plątały się obojętnie, suche i zimne. Promień księżycy wśliznął się przez serce w okiennicy, pogłaskał klęczącą kobietę po siwiejących włosach... Ot, księżyc pożałuje... Trzeba spać... Może przyśni się Oleś malutki i bezradny... Taki, jakiego na rękach nosiła... Może przyśni się i ucałuje we śnie.

V

Wczesnym czwartkowym popołudniem Oleś Łuczko pędził na Skopówkę do domu Święckiego. Gorąco było, słońce rozpaliło mury, że szło się jakby przez środek chlebowego pieca. Na trawiastym podwórzu kamienicy rósł samotny klon i rozsypywał na wszystkie strony puszyste nasionka. Pod klonem brudna i obdarta stróżka karmiła również brudne niemowlę o zaropiałych oczkach. Zagadnięta o panów Chodźków, obejrzała dosyć nieufnie skromną garderobę Olesia i wskazała mu po namyśle piętrową oficynkę w głębi podwórza.

Oleś z ulgą wszedł w chłodną, ciemną klatkę schodową, z przejścia trochę za mocno tagnał dzwonkiem i starł się zawadiackim spojrzeniem z młodzieńcykiem, który mu otworzył i zagroził sobą wejście wgłąb mieszkania.

— Pan Tomasz zajęty. Ma lekcję. O tej porze nie widuje nikogo.

— Ależ sam mnie o tej porze przyjść kazał.

Młodzieniec pokiwał głową z wyraźnym niedowierzaniem.

— No, dobrze. Ja powiem. Proszę, niech tu zaczeka.

Ruchem głowy wskazał ławkę w przedpokoju i stąd tylko pojął Oleś, że ostatnie bezosobowe wezwwanie odnosiło się do niego. Krew w nim zakipiła, byłby niechybnie powiedział coś przykrego, ale buńczuczny młodzieńczyk już znikł, a na jego miejscu pokazał się Tomasz, wołający już zdaleka:

— Ale chodźże, chodź!

Na widok Tomaszowego uśmiechu Oleś momentalnie zapomniał o tylko co doznanej przykrości. Wszedł za Tomaszem i z nabożeństwem rozglądał się po skromnie umeblowanej stancji, której największą ozdobą był obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej nad wąskim żelaznym łóżkiem i wysoki, rozłożysty, staroświecki fotel pod oknem, w które zaglądały gałęzie jabłoni z leżącego poza oficyną sadu.

Oleś chętnie by usiadł przy stole i rozejrzał się trochę w stojącej obok szafce z książkami, ale nie śmiał o to poprosić, bo pan Tomasz śpieszył się wyraźnie. Wyciągał z szuflad jakieś papiery, przerzucał jakieś kartelusze, porządkował jakieś notatki, aż z pod stosu innych wyciągnął kilka arkuszy drobno zapisanych, schował to w zanadrze i powiedział krótko:

— Chodźmy.

Oleś odrazu skierował się z powrotem do przedpokoju. Tomasz otworzył jeszcze drzwi do sąsiedniej stancji i rzucił w jej głąb:

— A uczyć się mnie pilnie! Jak powrócę — wydasz lekcję.

W odpowiedzi na to surowe przykazanie podniósł się głos wywrzaskujący zapalczywie jakieś łacińskie

strofy. Tomasz posłuchał chwilę, potem drzwi przy-
mknął na klamkę i wyszedł za Olesiem na schody.

Zaledwie doszli do półpiętra — natknęli się na
Odyńca, który piękny i wyświeżony jak lala biegł
lekką po schodach na górę. Powitał Tomasza entuzja-
stycznym okrzykiem, na Olesia nawet spojrzeć nie ra-
czył, chociaż poznał go natychmiast, Oleś zrozumiał
to z błysku oczu czarnolokiego dokucznika. Pan To-
masz ściągnął brwi.

— Nie witasz się z Łuczką? Poznaliście się na
Zielone Świąta w Górach. Wszedł do waszego grona.
Nie pamiętasz?

— Pamiętam, poznałem, — powiedział z przymu-
sem Odyńiec i dosyć nonszalancko wyciągnął rękę do
Olesia. — To najmłodszy filareta? Tylko patrzeć,
jak niemowlę w powijakach przyniesiecie. Teraz
pewno mój mentor, pan Czeczot, zajmie się tym ben-
jaminkiem, a ja pójdę w kąć — śmiał się nieszczerze,
a oczy wciąż błyszczały mu gniewnie. — Ale już przy-
jaźni Adama mi nie odbierzecie, u niego zawsze ja
będę pierwszym — powiedział nagle takim złym głó-
sem, że Zan spojrział zdumiony:

— A któż tobie kogo odbiera? At, paploczesz jak
zwykle. Nie idź teraz na górę, tam uczeń Olesia
Chodźki lekcję odrabia. Zastępowałem Chodźkę, ale
i sam wyjść muszę. A może ty mnie zastąpisz?

Odyńiec skrzywił się niechętnie.

— Dziękuję pięknie. Nie umiem bakałarzować.
Pójdę do twojej stacji, usiądę na fotelu i będę
czytał.

Uściskał rękę Tomasza, Olesiovi kiwnął protek-
cyjnie głową i pobiegł na górę, szumiąc czerw-
nym płaszczem, przedmiotem zazdrości wszystkich
akademików z pierwszego roku.

Gdy się znaleźli na ulicy — Zan wziął Olesia pod
rękę:

— Nie martw się. Odyniec wcale nie jest taki zły. On tylko udaje. Zazdrośnik. Rozpieszczone dziecię losu. Adam niepotrzebnie wbija chłopca w dumę słuchając z przyjemnością jego ballad. To niepedagogicznie. Ale cóż zrobić z Adamem?

— Wy wszyscy jesteście dobrzy, a Odyniec jest przecie z wami, więc i on dobrym być musi — powiedział z głębokim przekonaniem Oleś.

Zan przycisnął mu ramię, ale milczał i zamyślił się.

Szli w górę ulicy Zamkowej, mimo Uniwersytetu i Kardynałji, do pałacu Paców. Gdy mijali bramę — Oleś spojrzął zdziwiony na swego przewodnika, ale nie ośmielił się zapytać. I znowu przez bramę i dziedziniec szli do oficyny, tylko tutaj oficyna była dużo i pałacowata, a środek dziedzińca zajmowała figura jakiegoś męża w stroju greckim trzymającego wpół stojącą obok niewiastę.

Oleś gapił się na duże lustrzane szyby w oknach, na ozdobne gzymsy nad oknami, ale Zan pociągnął go niecierpliwie za rękaw i pchnął ku drzwiom oficyny. Weszli przez sień na lewo do dosyć obszernej stancji, gdzie za stołem siedział Franciszek Hieronim Malewski i pisał coś bardzo pilnie w grubym seksternie.

Na skrzypp otwieranych drzwi podniósł swoją ładną, wąską, starannie uczesaną głowę i zrobił okrągłe oczy. Tak wyraźnie się zdziwił, tak wyraźnie to zdziwienie było niechętnie, że Oleś zmieształ się i przystanął niepewnie w progu. Zan podszedł do stołu i szepnął coś Malewskiemu na ucho. Malewski słuchał potrząsając głową. Wreszcie mruknął:

— Dobrze; ale za co tutaj?

Zan znowu coś gorliwie tłumaczył, trochę się unióś, począł machać rękami, wreszcie Malewski westchnął: — na twoją odpowiedzialność — odsunął szufladę i rzucił na stół plik papierów.

Tomasz wyciągnął zaraz te swoje z zanadrza, zgarnął wszystko razem, usiadł przy bocznym stoliku i wziął się do wertowania. Oleś, wyciągnąwszy nieco szyję, dostrzegł, że niektóre karteluszki były zadrukowane.

Zanosiło się na dłuższe oczekiwanie. Olesia zdjęła złość. Dlaczego ma stać jak lokajczyk u drzwi? Ruszył z miejsca, dotarł do stołka pod ścianą, usiadł umyślnie z hałasem. Zan spojrzął i uśmiechnął się. Ale nic. Dalej kreślił po karteluszach, dopisywał coś na marginesach... zdawał się ogromnie zajęty.

Oleś rozglądał się po izbie. Ściany gołe, tylko krucyfiks nad drzwiami. Duży stół pośrodku, mały — na uboczu, dwie ławy, kilka stołków i suchotnicza fuksja w garnuszku glinianym na oknie. Jeszcze w rogu szafka oszklona, w której można było rozeznaczyć jakieś papiery i książki.

Wszedł Czeczot i także obejrzał Olesia od stóp do głowy; zbliżył się do Zana i zapytał prawie głośno:

— A czego on tu?

— Instrukcję poniesie do drukarni — odpowiedział zupełnie już głośno Zan.

— Czyś ty...?

— Ani trochę. To uczeń „Szeroka“, prawość z oczu mu patrzy. Zresztą ja jego czuję „magnetycznie“.

— A... chyba, że tak.

— Czego ty chcesz? Na moją odpowiedzialność.

— A chyba, że tak — powtórzył raz jeszcze Czeczot. — Ale jeśli tak — daj jemu papiery i niech leci. Reszta naszych przyjdzie niebawem.

Zan zwinął swoje papiery w twarde rulon i zbliżył się do przysłuchującego się uważnie Olesia.

— Znasz, gdzie drukarnia Ojców Bazylianów?

— Znam — odpowiedział służbiście Oleś.

— Zaniesiesz to... zapytasz przy furcie o ojca Ig-

nacego. Jemu do rąk własnych, nikomu innemu. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Jakby o mnie pytał — powiesz, że będę na przyszłym tygodniu. Zresztą nie wiesz o niczem. A w ręku nie trzymaj, schowaj w zanadrze. No, leć!

Oleś uczynił zwrot prawie wojskowy i wyleciał jak z procy na podwórze. Zan popatrzył za nim z rozczuleniem.

— Wyrośnie z niego tęgi filomata.

Malewski wzruszył ramionami.

— Bardzo być może. Ale tymczasem zupełnie niepotrzebnie przyprowadziłeś jego na miejsce naszych schadzek. A poco przez niego odsyłać instrukcję?

— Nie chcę ja kręcić się ciągle koło drukarni.

— To słuszna — wstawił Czeczot. — Chłopcu nic nie grozi. Do głowy nikomu nie wpadnie, znają w nim ławrynowiczowskiego pupilka.

Malewski już nie oponował, coś tam jeszcze tylko bąknął o możliwym zagubieniu instrukcji, na której rząd filomacki wielkie pokładał nadzieje. Miała być przewodniczką dla odjeżdżających z Wilna, po ukończeniu nauk, filomatów. Według jej przepisów mieli wkraczający w życie nowi obywatele rozglądać się po całej Litwie, werbować nowych ludzi, coraz dalej i szerzej zarzucać filomackie sieci na połów dusz wybranych do służby Ojczyźnie. Malewski był autorem i samego pomysłu instrukcji, i jej prostych, jasnych, przepojonych troską o dobro powszechne paragrafów. A teraz to jego dzieło było w rękach młodziutkiego chłopca, zdane na jego roztropność i przytomność umysłu. Malewski sposepniał, ale Zan, jakby czytając w jego myślach, zbliżył się do stołu.

— Za cóż ty spolaniałeś? Powiadam tobie: znam

się na ludziach. Ten mały z pewnością nie zawiedzie.
Był list od Jeżowskiego?

Malewski ożywił się nieco.

— Był. Ciężko Jeżowi w tych Grabiakach. Narbutt przykry dla niego, a synkowie — istne czarcięta. Dobrze by ściągnąć Jeża z powrotem, ale jak?

— Bieda — nie družka — mruknął Czeczot.

— Może z tą hodegetyką uda się od jesieni? Za granicą we wszystkich uniwersytetach są docenci. Nad Jeża nie masz zasłużeńszego. Mówiłeś z ojcem?

Malewski rozłożył bezradnie ręce.

— Sami wiecie, czy ja wiele mogę, chociaż ja, z łaski boskiej, rektorowicz. Po dziś dzień, mimo długich koło ojca tańców, dobrać pory do zapytania nie mogę. Zresztą... to nie ojciec się przeciwi... — urwał i zamyślił się smutno, przypominając sobie wszystkie rozmowy z ojcem na temat ukochanych kolegów, kończące się zwykle surowym zaleceniem pilnowania własnych spraw, a szczególnie rozprawy, która miała zapewnić wojaż zagranicą. Ojciec był surowy i nieprzystępny, a matka wiecznie chora i znękana. Nie można jej było nużyć prośbami o pośrednictwo. Duże, rozmarzone oczy Malewskiego zamgliły się jakoś. Zan dostrzegł to natychmiast i trzepnął go energicznie po ramieniu:

— No, co tobie, Jaroszu? Nie bój się, my dobrze wiemy, co ty możesz, a czego nie możesz. Możesz naprzykład nie kwasić nam humorów. Głupstwo! Na jesieni ściągniemy Jeża, Adam dostanie urlop i pobędzie także w Wilnie, a po Nowym Roku wszyscy trzej pojedziecie na wojaż. Wróćcie strasznie mądrzy i strasznie pożyteczni. Tylko wasz pokorny sługa, pan Tomasz, zostanie na Litwie i będzie pracował za czterech, i pomocy żadnej nie będzie miał... Chyba, że Czeczota bieda z pazurów wypuści, albo pocziwy,

dzielny, łający Onufry Pietraszkiewicz powróci z Warszawy i podeprze walący się gmach Towarzystwa.

— Pietraszkiewicz nie wróci. Będzie musiał odpracować swoje stypendium jako nauczyciel i nie wiadomo dokąd go pošlą, ale już raczej w Koronie miejsce dostanie, niż na Litwie. Tylko gmach nasz przez to nie runie, bo jest w sercach naszych wybudowany — mówił zwolna Jarosz patrząc w zadumie przed siebie.

— Ależ promieniowanie, promieniowanie! — gorączkował się Zan.

— No, będziesz promieniował, czego chcesz? I ty, i Janek, i Domejko, Piasecki, Kozakiewicz, Sobolewski i Józef Młodszy... mało was? A na kiedy druga korekta instrukcji? Bo my tu, gadając o rzeczach powszechnych, zapominamy o szczegółowych.

— To dawajcie szczegółowe. — Zan pociągnął ku sobie plan zajęć na kursach pomocniczych dla filaretów. — Wiernikowski źle daje grekę: sucho i obojętnie. Tyle ma wspaniałych sposobności do alegoryj, analogij, aluzyj, a nie korzysta z tego. Na nic taka praca.

— Boi się, czy co?

— Myślę raczej, że nie umie sobie jak należy przedmiotu ułożyć. Obrazi się, a trudno, trzeba mu odebrać grekę i dać... i dać...

— Kowalewskiemu?

— On ma dość swojej łaciny. Ale można mu powiedzieć, żeby znalazł kogo w Związku Przyjaciół. Jako naczelnik pierwszego wydziału filomatycznego, Kowalewski jest za te rzeczy odpowiedzialny.

Czczot rzucił z nad przerzucanego seksternu:

— Józef Chodźko i jego zapisanie się do wojska rosyjskiego...

Malewski mocnym ruchem ręki uchylił kwestię.

— To zostawimy na boku.

— Jakto? Co ty? Filomata idzie do moskiewskiego wojska, a ty mówisz: pozostawmy na boku?

— Cicho. Mówię: nie będziemy o tym gadali. Jeżowski wie. Czy dość ci na tym?

— Ah-ha. No, to trzeba było mówić odrazu. Zawsze te wasze przekłete tajemnice we trójkę z Jeżem i Adamem! Podejrzewam, że chociaż Zan teraz zastępuje Jeżowskiego na prezydentwie — i on także nie wszystko wie. A co, Tomku?

Zan wyciągnął fajkę z zębów.

— Nauczyłem się o to nie gniewać. Jeżowski nam hetmani, jego wola wybierać sobie powierników. Tych rzeczy tykać nie wolno.

Malewski uśmiechnął się przekornie.

— A cóż to za cudowna zgodność, Tomaszu?

— Na dobrą pogodę. Nie mówię ja, że mnie czasem diabli nie biorą, bo biorą i jeszcze nieraz wezmą. Mniejsza z tym. A czy to nie będzie dzisiaj porządnego zebrania rządu? takiego z protokołem i ze wszystkim? Bo ja mam sprawę.

— To gadaj i tak.

Zan dmuchnął w lulkę, aż się rozzarzyła i oświeciła mu zabawnie połowę twarzy.

— Zaraz. Bo to Romer z Duszakiewiczem zaciągnęli mnie do siebie.

— No i?...

—Przysięgać kazali... na nożyczkach... bo nie mieli sztyletu, ani szabli... na wierność, posłuszeństwo i tajemnicę.

— A ty dlatego nam mówisz? — parsknął śmiechem Czeczot.

— Ech, taka przysięga... na nożyczki! Gdybyż to przynajmniej był sztylet!

— Widzieliście kazuistę?

— Teraz mówię poważnie. Filomatom wpieryw przysięgałem.

— A co o tym myślisz?

Zan wzruszył ramionami.

— Płonne marzenia. Despotyzmu moskiewskiego siłą nie przeprzemy. Trzeba długich lat mozolnej pracy. Przez naukę i cnotę wiedzie droga do Ojczyzny, droga dłuższa, ale pewniejsza.

— A ich droga kieruje się na szczyk bitewny?

— Coś w tym rodzaju.

— Ale my także nie wyrzekamy się szabli — Czeczot tupnął zawadiacko i skubnął buńczucznie swoje dwa blond włoski pod nosem.

— My się niczego nie wyrzekamy, co będzie słuszne i potrzebne we właściwym czasie — powiedział poważnie Małewski. — A tymczasem...

— Przypatrzę się i posłucham — zakończył Zan.

— Jeżeli sprawa będzie pomyślna rokować nadzieje — oddamy jej wszystkie siły.

— Jak się to stowarzyszenie nazywa?

Zan pochylił się Małewskiemu do ucha:

— Towarzystwo Patriotyczne. Cyt! Tibi soli! To idzie z Warszawy. Nawet Czeczotowi tymczasem nie... Tylko Jeżowi, jak przyjedzie.

Już dobrze. Warszawa zawsze ma gorączkę. Ale tembardziej: promieniować, promieniować, mości panie prezydencie filaretów.

— U mnie duch dobry. \ . A teraz prywatnie. Do Adama wczoraj pisałeś?

— Nie. Jutro będę pisał.

— To mu donieś, że mam parę rubli dla jego Aleksandra na spodnie. Najwyższa pora. Chłopak gołym tyłkiem świeci—wtrącił flegmatycznie Czeczot,

— Adam mógłby sam zatroszczyć się o brata. Ale on ma łeb Kowalską zajęty. Istny kot w marcu!

— Nie gadaj, Tomaszu. Adam teraz sam w ciężkiej potrzebie. Później odda. A Kowalska — to antidotum. W gruncie rzeczy oszałamia się, żeby nie myśleć o Marii. Ja mu tego oszołomienia najmocniej życzę i nie trzeba moralizować. Dosyć, że Jeź go gnębi. Ostatniego listu nawet posyłać nie chciałem. Poco targać biednego Adama? Cóż to? twój pupil już wraca? ktoś biegnie przez podwórze.

Zachodzące słońce wlewało się przez okno i kłdało się szerokimi złotymi kwadratami na malowanej podłodze. Wróble świergotały zapamiętałe w krzakach bzu obrzeżających podwórze. Ktoś niedaleko kuł młotem w blachę, nieznośny brzęk dzwonił męcząco w uszach. Czeczot zamknął okno i oparł czoło o szybę.

Gorąco, pięknie, szafirowo i letnio! A on znowu przesiedzi zapewne całe lato w dusznym i pustym mieście. Rozpacz! Och, stokroć lepsza zima. Odwrócił się do kolegów.

— Kiedy wyjeżdżasz, Tomaszu? — zapytał żałośnie. — Pierwszego lipca, czy później?

Zan odgadł go widocznie, bo zagadał po swojemu: prędko i żartobliwie:

— Po piętnastym, a może i po dwudziestym, i na krótko. Ot, trochę do Iszkołdzi wpadnę, może do Tuhanowicz skoczę, tyle, co dla Adama po nowinki. I wrócę, wrócę! Będziemy z tobą razem biedować. Nie martw się, nie polanij, zaśpiewaj lepiej: „Hej, radością oczy błysną“, albo chcesz, to ja tobie zaśpiewam?

Skoczył na środek pokoju, nogi szeroko rozstawił, wsparł się pod boki i zaśpiewał na cały głos:

— Gertudko, pokaż mi tyłek,

musi być pulchny i biały,
Gertudko...

Czczot skoczył także, odepchnął Zana i zajął jego miejsce.

— Poczekaj, ja tobie odpowiem: „Felutko, pokaż ogonek...”

— Stój! Tego nie wolno! Wszeteczniku! Wara od Feli!

Czczot roześmiał się zakłopotanym śmiechem, Malewski śmiał się także. Usiadł na stole i kiwał nogami z uciechy. Zan rzucił się kułakować Czczota, który uciekał dokoła stołu przewracając stołki po drodze. Wszyscy trzej śmieli się teraz do rozpuku, ale urwali w pół tonu, gdy Oleś, zziajany i spocony, wpadł do pokoju i stanął jak wryty na widok zabawiających się w ten sposób mentorów.

Tamci znieruchomieli zaraz gdzie kto stał i Zan krztusząc się od śmiechu przybrał srogą minę:

— A czegoż tak leciałeś? Spotniały jak ruda mysz! Wręczyłeś papiery jak należało? Komu oddałeś?

— Ojcu Ignacemu. Pytał o pana Tomasza. Powiedziałem, że przyjdzie na przyszłym tygodniu.

— To dobrze. Dziękuję tobie za gorliwość. A teraz idź do domu. Lekcje masz pewno na jutro?

— To nic, ja zdążę. Ja tu chciałem jeszcze... panu Tomaszowi... dla pana Tomasza... — Bąkał niepewnie, hwytał się za kieszonkę na piersiach i znowu opuszczał rękę. Zan, jak przecuciem tknięty, zarumienił się i powiedział prędko:

— Poczekaj, wyjdę z tobą. Jaroszu, chciałem tobie jeszcze przypomnieć...

Pozatłatwiał naprędce różne drobne sprawy, poźegnał się i wyszli razem na stygnącą pomału w wieczornym powiewie ulicę. Długo szli w milczeniu, nim

Oleś zdobył się nareszcie na wyciągnięcie z kieszonki kilku zeschniętych narcyzów.

— To... panna Micewiczówna dała mnie dla pana Tomasza... żeby pan Tomasz...

Zan porywczym ruchem wyrwał kwiatki z Oleśsiowej ręki i przycisnął namiętnie do ust. Przystanął, przymknął oczy i trwał tak, jakby wdychał aromat żywych kwiatów. Oleś przyglądał mu się z pod oka, trochę rozczulony, a trochę rozbawiony. Te zachwyty nie trafiały mu jeszcze do przekonania.

Zan ocknął się wreszcie, schował kwiatki do pugilaresu i poszli dalej w kierunku Ostrej Bramy. Zan milczał cały czas i był czemś bardzo przejęty. Na Ostrobramskiej przystanął nagle.

— No, ja dalej nie pójdę. A... czy twoja siostra chodzi czasem na szpacjer na Antokol?

— Bywa, że chodzi z pannami od Deybellów i z mademoiselle Ernestine.

— Aaa... czy bez mademoiselle Ernestine nie można?

Oleś roześmiał się porozumiewawczo.

— Rzadko, ale bywa, że można do świętego Piotra na nieszpory.

— Ty jesteś zuch, Oleśku, i kochasz mnie, prawda? A szpacjer — to nic wszetecznego. No, daj buzi i pomysł nad tem, co tobie powiedziałem.

Rzucił mu ręką od ust pocałunek, zawrócił na pięcie i gwizdząc przez zęby poszedł prędko w dół, Zamkową ulicą. Oleś stał przez chwilę i patrzył za nim. Potem roześmiał się sam do siebie, dumny z okazanego mu zaufania i ruszył w dalszą drogę, aż na przedmieście, zwane Ostry Koniec. Szedł między dworkami, zanurzonymi w ogrodach, pachnącymi o tej porze zroszonym zieleń. Szedł i myślał, jak wiele postąpił dzisiaj w „Ich“ zaufaniu i że „Oni“ są osta-

tecznie też tylko młodymi chłopakami, podległymi wszelakim pokusom życia, jakkolwiek nauczą go z pewnością nie tylko dobrego obywatelstwa, ale może nawet i bohaterstwa.

VI

Fela Micewiczówna stoczyła całą walkę z panią Albiną Deybellową o ten spacer; gorzką, pełną łez i gderania walkę, która jednak zakończyła się zwycięstwem.

Chodziło o to, że dzień był powszedni a pani Deybellowa nie uznawała żadnych odchyień od normalnego rozkładu dnia powszedniego, co, mówiąc nawiasem, dobrze świadczyło o jej zdolnościach pedagogicznych, jakkolwiek u niektórych matek zyskiwało opinię pedantki.

Po południu panny miawały repetycję, a w soboty lekcję tańców i dobrych manier. Nieszpory u świętego Piotra — owszem, rzecz godziwa i panny pójdą na owe nieszpory, ale jutro, w niedzielę. Teraz nie można, bo za pół godziny przyjdzie metr — francuz.

Ale dobrze poinformowana przez pana Teodora Anielka wiedziała, że obaj panowie w niedzielę będą zajęci. A potem już kończy się rok szkolny i panny pojedą na wieś. Wymarzony od tyłu tygodni projekt swobodnego spaceru we czwórkę, z Olesiem w roli przyzwoitki, spełźnie na niczem, a następna okazja zdarzy się może za pół roku? Nie można było w żadnym wypadku zgodzić się na zwłokę.

Do ostatecznego zwycięstwa dopomogło to przede wszystkim, że pani Deybellowa nie lubiła sprzeciwiać się zamożniejszym uczniom, do jakich właś-

nie, słusznie, czy niesłusznie, zaliczała się Fela, która nadomiar miała przed sobą jeszcze całe dwa lata studiów. Zdecydowano więc w końcu, że metra się przeprosi, a mademoiselle Ernestine ne demandait pas mieux, que de wyjść z uroczymi panienkami na spacer.

Mademoiselle Ernestine spławiło się zaraz na pierwszym rogu. Uszczęśliwiona wzięła od dziewcząt uroczystą obietnicę, że pójdą naprawdę i tylko na nieszpory, umówiła się gdzie i o której spotkają się na pewno, a sama pomknęła do swojej opiekunki i dobrodziejki stolnikowej Janowiczowej, na kawę i świeże plóteczki.

Obie panny trzymając się mocno pod rękę frunęły w swoją stronę: przez bulwary na Antokol. Szły prędko, zarumienione ze wzruszenia i lęku, bo ich samodzielny spacer zwracał niemiłosiernie uwagę. Oglądały się za nimi strojne damy ze zdziwionym zgorszeniem, a dandysi — ze szczerą przyjemnością. Fela nie powstrzymała się od strzelania z pod spuszczonej powiek czarnymi oczyma. Stateczniejsza Anielka przyciskała jej ramię i błagała szeptem:

— Przestań, Feli! A, nie dobra, nie pocziwa!... Ten blondyn obejrzał się za nami. Oj, ja się boję, może kto znajomy? Przestańże Feli, moja złocista!... Nigdy więcej z tobą nie pójde! Jeżeli matka się dowie — na całą niedzielę zamknie mnie w moim pokoju.

Niepocziwa Fela odpowiadała śmiechem. Jej nikt nie mógł zamknąć, a zanim tam Deybellowa do matki napisze!.. Felę rozpierała szalona radość, coś łaskotało ją w piersiach, że musiała się koniecznie śmiać. Błękitna rzeka świeciła tak mocno jak niebo, a blasku nieba prosto znieść nie było można. Któż

by w takie roziskrzzone popołudnie zamykał się dobrowolnie w chłodnym, mrocznym kościele?

Obie panny nie dochodząc do świętego Piotra skręciły w bok, między lesiste pagórki, ścieżką, na której wynurzył się zniecka i jakby nigdy nic — Oleś Łuczko.

Anielka uznała za swój obowiązek udać wielkie zdziwienie i surowo zagadnąć brata:

— A ty tu skąd? Matka pozwoliła?

Dawniej byłaby z pewnością dołożyła: „błaźnie“. Teraz — nie. Oleś skonstatował to z zadowoleniem. Udał i on z kolei, że zdziwienie siostry bierze za dobrą monetę, wyraził swoją radość z tak przyjemnego spotkania, a potem niewymuszonym tonem zaproponował, żeby skręcić w las, bo on tu zna niedaleko jedno śliczne miejsce, gdzie by można rozkosznie posiedzieć.

Panienki spojrzały po sobie porozumiewawczo, skinęły przyzwalająco. Zawrócili wszyscy troje wzdłuż cmentarnego muru, szli zwolna grzęznąc po kostki w sypkim, nagrzanym piasku. Białe nagrobki wychylały się ku nim z pomiędzy cmentarnych drzew, spoglądali na nie, przesuwali się mimo nich rozpierzchłymi myślami, ani wiedząc na co patrzeć. Weszli między sosny, pięli się po stromym zboczu, panienki wołały, że nie mogą nadążyć Olesiowi; wąskie stopki w prunelowych patynkach obsuwały się im bezradnie. Oleś musiał zatrzymać się, podawać im ręce i wciągać na górę. W innych okolicznościach byłby niechybnie sklął na czem świat stoi przynajmniej siostrę, Anielkę, byłby jej nawymyślał od niezdatnych klusek, byłby może coś złośliwego powiedział i Feli. Dzisiaj śmiał się tylko pobłaźliwie, dodając im odwagi wesołymi okrzykami.

Wreszcie stanęli na małej, wysoko położonej pła-

szczyźnie, okolonej bardzo wysokimi, rudopniastymi sosnami. Rosły tu także leszczyny; drobne, szafirowe kwiateczki kuliły się w wilgotnej trawie. Dziękiocy zawieszzone na czubkach sosen, kuły zapamiętałe. Czyżyki przerzucały sobie nawzajem swoje krótkie, dzwoniące piosenki jak złote kule.

Panny nie zważały na las i rozglądały się niespokojnie, niecierpliwie, jakby spodziewały się, że w tym leśnym ustroniu coś się musi koniecznie wydarzyć. Wydarzyło się istotnie, wychyliło się z gąszczów i wywołało przenikliwe, dźwięczne okrzyki panieńskiego zachwyconego zdziwienia. Teodor Łoziński i Tomasz Zan stanęli we własnych, bardzo filomackich, osobach na polanie.

Witali się zmieszani niezwykłością sytuacji, tej upragnionej swobody, z którą na razie nie bardzo wiedzieli co począć. Tak dalece, że w pierwszej chwili przygasły nawet humory.

Oni byli przesadnie ugrzecznieni i szarmanccy, one sznurowały usta i stąpały z partesa, odpowiadając monosylabami na ich wywody pełne galanterii. I tak sobie poszli wąską leśną ścieżką, we dwie pary, z Olesiem na końcu.

Szli w Sapieżyńskie Doły: w pachnące igliwiem i mchem zielone wąwozy. W miarę jak zagłębiali się w zieloną szumiącą ciszę, w miarę jak przyśpieszali kroku, by jaknajdalej zostawić za sobą, wszystko, co było codziennym przyzwyczajeniem, stawali się coraz śmielsi i głośniejsi. Już po kwadransie panny świegotały na wypródki z czyżykami, a panowie coraz bliżej pochylali się ku zarumienionym twarzyczkom. Zato Oleś zostawał coraz bardziej w tyle.

Włókł się kilkanaście kroków za nimi i czuł się piątym kołem u wozu. Obrzydłe, obmierzłe uczucie! Był odrobinę rozgoryczony. Któż jak nie on te pan-

ny tutaj przyprowadził? A jednocześnie był dumny ze swojej roli stróża ich szczęśliwej, wydartej tylu przeciwnościom chwili. Mimo woli podziwiał swoją siostrę, Anielkę. Na codzien leniwa i ociężała, teraz szła lekko, z wdziękiem, zgrabnie ujmując w dwa paluszki sukienkę. A Fela? Ta rzeczywiście zdawała się leśną boginią. Ci dwoje, Tomasz i Fela byli teraz przedmiotem gorącego Olesiowego uwielbienia. Oczy wilgotniały mu ze wzruszenia, ile razy oni, zatopieni w rozmowie, pochylali ku sobie głowy. Widać było, że rozmowa szła im coraz łatwiej, coraz weselej. Wyglądało jakby każdy krok zbliżał ich ku sobie. Oto już wzięli się za ręce. Oleś zauważył to, kiedy wychylił się z zakrętu i sam się zdziwił, gdy poczuł jakiś niewyraźny, niczem rozsądnym nieusprawiedliwiony żal.

Obie pary szły ciągle naprzód, beztrasko i nieopatrnie, to w górę, to w dół, jak ścieżka wiodła. Powoli przestrzeń między obu parami poczęła wydłużać się i rozciągać, raz wraz jakiś uprzejmy zakręt zasłaniał jednych przed drugimi. Tomasz i Fela zwalniali tak bardzo, że Oleś musiał chwilami przystawać i wówczas czuł znowu ten sam głuchy gniew.

Fela zerwała białą margerytkę i oskubywała płateczki na wróżbę: kocha — nie kocha. Zan był śnać bardzo ciekaw rezultatu wróżby, bo tak się schylił nad kwiatuszkiem w jej ręku, że, (Oleś miał mocne podejrzenie), chyba pocałował ją w rękę. Zaraz potem podniósł ramię i objął plecy dziewczyny delikatnie, prawie ich nie dotykając. Był to raczej uścisk symboliczny, ramię prawie wisiąło w powietrzu, ale i tak Olesia oblał gorący war. Dobrze się stało, że właśnie w tej chwili szerokolistna gałąź leszczynowa, puszczone nieostrożną ręką zajętego swoim bóstwem kochanka, uderzyła Olesia po oczach:

w ten sposób mały argus nie widział narodzin pocałunku, a kto wie, czy jego dobra wola wytrzymałaby tę próbę? Zresztą pocałunek trwał nad wyraz krótko, zaledwie błysnął — spłoszył się sam siebie.

W głębi lasu zakukała kukułka. Zakukała dwa razy i urwała. Wtedy pan Tomasz zawołał śmiejąc się głośno:

— Co? tylko dwa lata? Nie, kukułeczko luba, to trochę zawcześnie! Ja liczę pięć. Prawda Feli?

Fela roześmiała się zamiast odpowiedzi jakimś srebrzycie drażniącym, nieswoim śmiechem. Zan powiedział jeszcze:

— Długie lata walki i pracy przed nami, ale niczego się już nie boję! Tym pocałowaniem złożyliśmy sobie nieodwołalną przysięgę. O Feli!

Dopędzili tamtą parę na skraju lasu i obszernej piaszczystej równiny. Aniela miała płonące policzki, a Teodor szelmowskie iskierki w oczach. W tej chwili przestał być brzydkim: wyprostował się jakoś i wyzgrabniał.

Teraz wszyscy pięcioro usiedli na młodej trawie, w kółeczko. Zapobiegliwy Teodor wyciągnął paczuszkę cukrów z kieszeni. Czas leciał jak wariat, ale któż by się troszczył o czas? Niech tam leci na złamanie karku, kiedy chce.

Oleś zapomniał o swoich rozżaleniach; stał się ujmująco rozmowny i nawet dowcipny. I Tomasz zapewnił po jakimś udanym żarcie, że będą z niego ludzie.

Dopiero, kiedy słońce schyliło się niedwuznacznie ku zachodowi, panny poczęły wydawać spłoszone okrzyki. Do miasta było tak daleko, a mademoiselle Ernestine była wprawdzie bardzo pocziwa, ale nie tak dalece, by dla nich narażać swoją reputację nie-

nagannej nauczycielki. W razie przeciągnięcia struny — napewno nie podaruje swawoli.

Mówiąc to nie zdawały się bardzo przerażone, raczej swoim lękiem kokietowały zatroskanych kawalerów. Mademoisell Ernestine we własnym dobrze zrozumianym interesie musiała jakoś pokryć całą eskapadę. Czyż warto było niewczesnymi troskami psuć sobie chwilę rozstania? Któż wie, czy uda się jeszcze zobaczyć przed wakacjami?

Ptaki już odmawiały wieczorne pacierze, długie cienie sosen pocięły w czarne pasy pół równiny. Jeszcze jeden uścisk ręki, długi, przeciągły, przelotne muśnięcie wargami zimnych ze wzruszenia paluszków... pół figlarne, pół smutne nachylenie głowy, uśmiech rzucony przez ramię, jak kwiat. I już panny zbiegają wdół po stromym zboczach, aż wykręcają się obcasy prunelkowych patynek. Panowie dyskretnie zatrzymują się między ostatnimi sosnami.

Na ulicy Oleś wysunął się naprzód i zdecydowanie objął komendę:

— No, moje panny, gdzież ta wasza Ernestynka oczekuje? Prędko, bo spóźnimy się na wieczerzę. Raz, dwa, trzy!

VII

Wielka narada nad reformą Towarzystwa Filomatycznego odbyła się dnia 30 czerwca 1821 roku w tej samej izbie administratora pałacu Pacowskiego, w której ongiś mieszkał Pietraszkiewicz, a teraz odbywały się ważniejsze i większej tajemniczości potrzebujące zebrania.

Instrukcja statystyczna, pod skromnym tytułem: „Opis Jeograficzny“, którą przed paru tygodniami

Oleś nosił do korekty, była już gotowa. Leżała grubym zwałem broszur na stole, przed Malewskim, a on, rozgorączkowany i uszczęśliwiony, segregował egzemplarze, rozdzielał na paczki, a ciągle gadał przytem z podniecenia.

— To już dokonana praca, przyjaciele! O, teraz będzie znacznie łatwiej. Czy wszyscy już mają instrukcję? Owszem, rozdamy ludziom ze Związku Przyjaciół. Podług tej instrukcji będziemy zbierać wiadomości o całym kraju jak Litwa szeroka. O wszystkim: o bogactwie możnych i o nędzy ludu naszego, o usposobieniu obywatelów dla ojczyzny, dla „niedźwiedzi“, dla uwolnienia włościańskiej braci; wreszcie o zamożności każdego powiatu i o możliwości rozwinięcia się onego pod względem postępów rodzimego przemysłu... I o ulubionych Adamowi gusłach nie zapomniałem; zalecam zbieranie podań i pieśni gminnych, niech nasz bard ma uciechę! Byle każdy z naszych sumienny opis swojego powiatu ułożył, a dowiemy się, gdzie trzeba sięgnąć, gdzie można próbować, a gdzie jeszcze zaczekaćby warto. Co młodszy nauczyciele w szkołach powiatowych, co młodszy obywatele, posesorowie, oficjaliści... Tak, tak, więcej z nich korzyści nieraz, niż z eleganckich paniczów. I młodzi księża, a jakże! Wszyscy nam potrzebni. Uważałbym za rzecz przyzwoitą, gdzie można, wciągać młode niewiasty. Toż to matki przyszłych pokoleń. W wojsku? To trzeba bardzo ostrożnie... To tam od tego będzie Józef Chodźko. My tu, w Wilnie, zgarniemy wszystkie nici... Byleby zapalone głowy przedwcześnie nie popsuły. Co ty myślisz, Tomaszu?

— Ja myślę, że to tak prędko nie będzie. W Towarzystwie Patriotycznym — zniżył głos — każą wprawdzie przysięgać na sztylety, ale nie myślę, żeby coś większego przedsięwzięli. Chyba, że podmu-

chy z nad Newy już nadto się zaostrzą. Podobno „Nietoperz“ bardzo nierad z Warszawy... Tam ciągle uszczypliwości drażnią i do wybuchów przedwczesnych popychają.

Jeżowski zbliżył się do stołu i wziął broszurkę w rękę.

— Tak. Z tym skończyliśmy. Teraz encyklopedia wiedzy elementarnej leży mnie najbardziej na sercu. Mało ksiąg elementarnych wytłumaczyliśmy. Cóż, kiedy te najlepsze — po niemiecku, a u nas niemczyzna po staremu, kuleje. Powoli, powoli, mozolnie idzie... — Ściągnął brwi i wpatrzył się na chwilę w podłogę, ale zaraz podniósł głowę. — Ha, cóż! Naszego życia nie starczy napewno. Przygotujemy zastęp ludzi zacnych i mądrych, a nade wszystko Ojczyznę miłujących, oni zaś dopiero wychowają pokolenie bojowników. Do tego nam dążyć — to mus. Ja na przyszły rok w Wilnie — odwrócił się do Malewskiego. — Ty jedź spokojnie na wojaż, jeżeli ojciec tobie to ułatwi. Adam...

— Jego trzeba wysłać koniecznie — wtrącił górażco Czczot.

— Jeżeli uda się — dobrze. Jeżeli będzie potrzeba — zostanie na jesień w Wilnie, pojedzie po Nowym Roku.

— Ależ zmarnuje połowę urlopu — próbował przekładać zmartwiony Czczot, ale Jeżowskiego nie zdawało się to wzruszać.

— Nie zmarnuje, bo poświęci ten czas Towarzystwu. Mam nadzieję, że nie zajdzie taka potrzeba, ale kto wie? Mało nas. A teraz znowu Sobolewski idzie do Kroź, Rukiewicz — do Białegostoku. Żebyż choć Onufra udało się ściągnąć z powrotem na Litwę.

— Pisałem do niego w tej materii, ale rzecz jest

wątpliwa — rzucił Malewski, wciąż przeglądając swoje instrukcje.

— Musimy pozyskać ludzi. Tylko wspólnymi siłami możemy czegoś dokonać — gniewał się wciąż Jeżowski. — Tak, ludzi, jaknajwięcej ludzi... Kończymy czwarty rok pracy, a iluśmy ich pozyskali? Śmiech powiedzieć.

— Nadto wielkie wymagania stawiamy — ośmielił się wstawić znowu Czczot. Jeżowski roześmiał się gorzko.

— Nadto wielkie? Tak, zapewne. Trudno o ideały! Ależ inaczej nie można. Pamiętajcie na Brunona i Poluszyńskiego. Zdawali się ze wszech miar godni, prawda? Ale już późno. Otwieram zebranie powszechne. Teodor odczyta nam swój projekt nowej reformy. Choć to podobno projekta nie wiele mogą. Gadanie... gadanie... „Non dictis — sed factis“ jest regułą moją. Słuchamy tedy projektu pana Łozińskiego.

Niezadowolone prezydenta zaciążyło wszystkim, zbiło też z tropu Teodora. Odchrząknął zmieszany i począł niepewnym głosem odczytywać tytuł:

— Krótkie zastanowienie się nad Towarzystwem i myśli względem reformowania jego. —

Czytał z początku zająkliwie, a potem coraz płynniej; skupiona uwaga słuchaczy wróciła mu pewność siebie.

Za oknami wisiał ciężki i duszny upał miejski. Coraz to ktoś wstawał, podchodził do dzbanka z wodą i kubka. Muchy brzęczały leniwie na rozpalonej szybie. Krażlutki pomimo wieczystej biedy Czczot sapiąc ciężko ocierał pot z czoła. Myśl o pozostaniu w Wilnie na całe lato przeszkadzała mu słuchać, czarną mgłą przesłaniała całe ustępy tyle ważnego pisma. Łoziński czytał pracowicie:

— ...a naprzód oznaczyć cel, dokładnie zastosowany do potrzeb kraju; podać środki, pewniej do tego celu prowadzące; obmyśleć sposoby niemyślne, przez które by te środki udać się mogły; nadać urządzenie wewnętrzne, więcej mocy i sprężystości mające, aby przedsięwzięcia szły skuteczniej; obmyśleć sposoby wiecznego utrwalenia działań naszych i stosownego do potrzeby ich rozwinięcia za granicą Towarzystwa... Zapuszczając się myślą nad oznaczeniem celu, serce zaraz nań przywodzi kraj ojczysty... miłość kraju... nic równego być nie może... Lecz czynić dla kraju dobrze — to wyraz bardzo ogólny: z rozmaitych źródeł, które w jedną tę, że nazwę, bezdenną rzekę wpadają, szczególniejsze wybrać należy... Poszukajmyż, między licznymi źródłami, stosownego do sił naszych i przez nie wlejmy do ogólnej rzeki dzieło prac naszych. Lecz gdy przychodzę do oznaczenia celu działania naszego, ściągającego się do dobra kraju, jakież smutne wspomnienie na myśl mi się nawija! Rozszarpana na części, z rzędu narodów wymazana, droga spuścizna naddziadów naszych. Mamyż dla obcych pracować? Nie!

— Nie! — powtórzyli chórem filomaci, i to „nie“ chóralne przetoczyło się jak grom po wysoko sklepionej izbie. Łoziński przerwał czytanie, uśmiechnął się, a potem dalej wywodził o despotyzmie i obowiązku walki z jarzmem.

— Poszłyby w niwecz prace nasze, gdybyśmy zostawując innym myślenie nad odzyskaniem bytu narodowego, sami pracowali nad jego dobrem. Trudy nasze łącznie i na jedno i na drugiełożyć winniśmy; i jedno i drugie za cel Towarzystwa naznaczyć potrzeba. Niech więc cel odzyskania, utrwalenia i uszczęśliwienia ojczyzny naszej będzie ukryty w sercu naszym, ale niech będzie istotnym celem, do któ-

rego Towarzystwo wszystkie swoje kroki zmierzać powinno.

Łoziński przerwał na chwilę i napił się wody. Filomaci siedzieli skupieni i zasłuchani. Jeżowski z za prezydialnego stołu spojrzął po wszystkich twarzach i widocznie dostrzegł gdzieś jakąś niepewność, bo powiedział:

— Pierwszy to raz mówimy o tym celu ukrytym nie w rządzie tylko, ale na zebraniu powszechnym. Uważam, że nadeszła pora. Ogromne, nie tylko z pozorów, ale i z samej rzeczy, przedsięwzięcie niech was nie odstrasza. Prawda, że sami wykonać go nie potrafimy, ani nasze siły do tego wystarczą, lecz niektórych środków ułatwienie w naszej leży mocy. Przyjdziemy do celu niezawodnie, gdy zgoda i jedność w chęciach i czynach zaprowadzone będą. Czytaj dalej, Teodorze.

Łoziński czytał teraz o środkach, do celu wiodących: odmianę doli ludu, powszechne oświecenie, rozszerzenie miłości ojczyzny na wszystkie stany, obowiązek ofiary dla stanów dotychczas uprzywilejowanych za takowe uważając. Potem mówił szeroko o rzeczach praktycznych: o tworzeniu spółek celem podniesienia krajowych rękodzieł, umiarkowaniu w zbytkach, na które nieliczni pozwolić sobie mogą, gdy liczne rzesze toną w straszliwej nędzy. Wyznaczał role zebrany w Towarzystwie ofiarnym pracownikom: teraz właśnie, przed wakacjami, trzeba było zdecydować rozszerzenie filaretów poza Wilno i uniwersytet Wileński, teraz właśnie trzeba zacząć oddziaływać jaknajszerzej, jaknajdalej. Mówił długo i szeroko o tworzeniu związków jeszcze niższych od filaretów, przez tychże kierowanych, gdy sami kierownicy zostawaliby pod przewodem Związku Przy-

jaciół, będącego z kolei pod najwyższym kierunkiem Towarzystwa Filomatycznego i jego rządu.

Obraz rozwijał się coraz piękniej i szerzej. Błyskała przed oczami jakaś daleka złota przyszłość. Wszystko w tej chwili zdawało się możliwym, a nawet łatwym. Zan uniesiony zerwał się z krzesła.

— Ależ my za kilka lat będziemy mieli całą Litwę w ręku!

— Potem Najjaśniejszą Rzeczypospolitą Obojga Narodów! — dorzucił Sobolewski.

— I wówczas wstaniemy przeciw despotyzmowi!

— Przeciw niedźwiedziowi północy!

— My, albo nasi następcy!

— I zwyciężymy!

— Musimy zwyciężyć!

— Bo z nami prawda i sprawiedliwość!

— Z nami Bóg!

Zerwali się teraz wszyscy, uniesieni zapalem. Wołali jeden przez drugiego, wyrzucali ręce w górę, oczy im błyszczały. A rozpromieniony Malewski chodził od jednego do drugiego i wszystkim wciskał w rękę swoją instrukcję. Gdy rozdał co miał do ostatniego egzemplarza, stanął na środku izby i przemówił:

— Koledzy, rozjeżdżamy się teraz po całym kraju. Musimy dotrzeć wszędzie. Będziemy posłańcami dobrego dzieła. Na jesieni zwieziemy tu wszyscy owoce naszej pracy. Ziarno przez lato musi być zasiane, zaczątki związków—pozakładane. Przysięgamy sobie, że nikt z pustymi rękami nie wróci.

— Przysięgamy!

Stanęli wkoło i ujęli się za ręce. Śmieli się z radości, jakby już widzieli na jawie te niezliczone ogniska oświaty, porozpalane po wszystkich wsiach

i miasteczkach i powstającą z nich gorącą, mądrą i zbawczą miłość ojczyzny.

Tylko Jeżowski siedział na boku, z głową schyloną na piersi, jak ten, co wziął na siebie brzemię wielkiej odpowiedzialności.

VIII

Rotmistrz Siemionowskiego pułku gwardii cesarskiej, Arkadiusz Iwanowicz Pełskij, wraz ze swoim, skazanym na chwilowe wygnanie, pułkiem, znalazł się późną jesienią roku 1821 w stołecznym mieście Wilnie.

Ta stołeczność niegdyś sławnej stolicy Litwy była krwawym urągowiskiem dla przyzwyczajęń i gustów świetnego petersburszczanina.

Zatopiony po uszy w mgły i błota wileńskich zaułków, zamroczony od rana do wieczora gorzałką, którą próbował gasić palącą tęsknotę, rotmistrz Pełskij, w chwilach wolnych, legiwał w swojej stancji na łóżku i marzył.

Marzyły mu się roziskrzzone, śnieżyste ulice Petersburga, wyślizgane jak lustro płozami stu tysięcy sań... Marzyły mu się trojki na łeb na szyję mknące na „Wasiljewskije Ostrowa“, huczne, burzliwe pijatyki z cygankami, do których te wileńskie kopciuszki ani się umywały.

I jeszcze marzył o szklistych posadzkach petersburskich salonów. Gdzieś daleko zostały przesuwające się po nich piękności. Gdzieś daleko, w przeszłości majaczyły poza nim twarze sprzyjających mu ongiś dam... słodkie spojrzenia i słodsze pocałunki, którym słodyczy niejednokrotnie dodawała mitra książęca na złotych lokach ukochanej. Pozostała za nim tak świet-

nie ze swego zmiętoszonego łóżka i pędził na Bulwawiej łaskawy uśmiech imperatorowej Elżbiety Aleksiejewny.

To wszystko urwało się nagle, z dnia na dzień, nie z jego winy. Za przestępstwo kilku oficerów pokutowała cała gwardia ze swoim wysokopostawionym dowódcą, wielkim księciem Mikołajem Pawłowiczem na czele. W perspektywie była długa i nudna zima w Wilnie, zaprawiona jeszcze lękiem na myśl, że tam, w stolicy, ktoś z wszelką pewnością nieobecnych gwardjaków dystansuje. Rotmistrz był pięknym mężczyzną, mówiły mu o tym, między innymi, błękitne oczy młodzianki frejliny jej imperatorskiej mości, księżniczki Oboleńskiej. Jej imperatorska mość dbała o szczęście swoich dam i bardzo lubiła swoją najmłodszą frejlinę. Istniała nadzieja, że zechce osobiście wstawić się do starego księcia Oboleńskiego.

Jej imperatorska mość lubiła mieć dokoła siebie rozradowane twarze, jakkolwiek sama nie była wcale szczęśliwą.

Ale czyż można budować gmach przyszłości na sercu ośmnastoletniego dziewczątka, jeżeli to serce jest o tyle mil oddalone, a wystawione na wszystkie możliwe pokusy? Przecież nie zdążył nawet jak należy porozumieć się z panną. I jakąż pociechą mogły być wobec tego łaskawe względy, uroczej zresztą, pani Karoliny Sulistrowskiej w Wilnie? Chyba tą, że przed kilku laty pani Karolina miała szczęście zwrócić na siebie uwagę imperatora i być przelotnie zaszczyconą jego względami? W pustce wileńskiej dobre było i to, byle zabić beznadziejną nudę. W ostateczności faraon był zawsze pod ręką. niezawodny pocieszyciel pustych nocy.

Niekiedy zrywał się rotmistrz Pełskij w południe ze swego zmiętoszonego łóżka i pędził na bulwa-

ry, lub Jagiellońskie Pole. Tam przechadzał się wśród tłumu spacerujących i zaglądał polskim pannom w oczy. Panny, jak to panny: jedne odwracały się z pogardą, inne spoglądały ukradkiem, jeszcze inne całkiem otwarcie szczerzyły ząbki. A wówczas akademicy polscy rzucali wytwornemu rotmistrzowi gwardii wściekle spojrzenia. Pełskij miał z tego przednią zabawę.

Tej niedzieli udał się również na Jagiellońskie Pole i swoim zwyczajem rozglądał się dosyć zaczepnie dokoła, gdy nagle stanął nieruchomy, z wrażeniem jakiegoś dziwnego olśnienia.

Nie stało się przecież nic nadzwyczajnego. Poprostu naprzeciw niego szła młoda dziewczyna, z pozoru nie wyróżniająca się niczym z pośród setki innych dziewcząt w jej wieku. Czarne, długie warkocze... płeć śniada... ciemne oczy, twarzyczka ściągła, okraszona lekkimi rumieńczkami, zresztą nic szczególnego, nic z pewnością, coby się dało porównać z księżniczką Oboleńską, albo nawet z panią Karoliną Sulistrowską. Ale rotmistrz Pełskij stał jak urzeczony i patrzył tak pilnie i uporczywie, że, idąca pod rękę z czarnooką, różowa i pulchna panienska trąciła towarzyszkę, pokazała jej oczami rotmistrza i zaśmiała się.

Ciemnowłosa z wolna odwróciła głowę, oczy jej spotkały się z rozognionym wzrokiem rotmistrza. Poczzerwieniała gwałtownie i obejrzała się za siebie, na opiekunkę, starszą osobę, toczącą się pracowicie o dwa kroki z tyłu. Ta korpulentna dama także zachwyła rotmistrza dostrzegła, ale, najniespodziewaniej w świecie, wzięła go do siebie i podziękowała tak powłóczytym spojrzeniem, że rotmistrz splunął i ruszył przed siebie. Panienki zachichotały wślad za nim: śmiech ciemnookiej był jak kaskada, szemrząca per-

liście w cesarskich ogrodach Oranienbaumu. Śmiech ten działał jak magnes. Pełskij odwrócił się i poszedł znowu na spotkanie panienek, patrząc w nie ciągle, uporczywie, modląc się w duchu, jak do świętego obrazu, a nie zważając wcale, co się dzieje dokoła.

Ocuciło go dopiero potężne pchnięcie w bok. Obejrzał się gwałtownie i zobaczył akademika, który uniósł kapelusza nad dziwnie sklepionym czołem i powiedział dobitnie:

— Przepraszam.

To „przepraszam“ nosiło akcent groźby, czy ostrzeżenia. Rotmistrz Pełskij poczuł się głęboko obrażony w swojej gwardiackiej godności. W pierwszej chwili chciał wszcząć hałas, zabrać zuchwałego młodzieńca ze sobą na kordegradę, albo poszukać patrolu żandarmerii, ale przypomniał sobie w porę, że wielki książę Mikołaj Pawłowicz zakazał surowo jakichkolwiek burd z miejscową ludnością, a szczególnie z młodzieżą. Nigdy niewiadomo, jak się młodzież polska zachowa... mało w niej przyrodzonego szacunku dla cesarskiego munduru gwardii. A niech, broń Boże, jaka kompromitacja? i wygnanie przedłuży się jeszcze o parę miesięcy? Wielki książę Mikołaj Pawłowicz nigdyby tego nie darował nieszczęsnemu winowajcy. Rotmistrz Pełskij zacisnął zęby i udał, że za dobrą monetę bierze przeprosiny mniemanego niezgrabijaszka. Podniósł nawet rękę do czapki niby w odpowiedzi na ukłon. Popatrzyli sobie w oczy i dowiedzieli się, że są wrogami na śmierć i życie. Na takie poznanie nie trzeba długich zastanowień. Rotmistrz Pełskij pogardliwie zmierzył od stóp do głowy trochę chuderławę postać akademika, prześliznął się oczami po jego garbatym, cokolwiek za wielkim nosie, wzruszył ramionami i odszedł już tym razem naprawdę, butnie pobrzękując szablą.

Odchodząc myślał, że za wszelką cenę musi się dowiedzieć, kto ona? zbliżyć się do niej i przekonać się, czy to dziwaczne wrażenie uderzenia piorunu pozostawi jakiś trwały ślad? Cóż u licha? Nie był przecież sentymentalnym pasterzem?

Tomasz Zan, który tej niedzieli jak zwykle, w towarzystwie Olesia, spacerował po Jagiellońskim Polu i właśnie, w wyżej opisany sposób, dał wyraz słusznemu niezadowoleniu z postępowania śmiałka, co, będąc Moskałem, pozwolił sobie oczy podnieść na Fełę, teraz patrzył wślad za oddalającym się Pełskim. Oles Łuczko stał również i patrzył w Zana. Był zachwycony; podziwiał swego starszego przyjaciela od stóp do głów i bez żadnych zastrzeżeń. Jednakże Zanowi już wróciła chłodna rozważa. Stanowczo nie należy zadzierać z oficerami gwardii cesarskiej, gdy się jest prezydentem filaretów i członkiem rządu Towarzystwa Filomatycznego. Ten gwardyjak najprawdopodobniej zajście puści w niepamięć, ale może i zapamiętać, a Wilno nie jest na podobne eksperymenty dość duże. Czy nie lepiej zaraz, na gorąco, naradzić się z przyjaciółmi, którzy o tej porze siedzą z pewnością nad szklankami kawy u Sipskiej?

Zan odprawił Olesia pomimo jego wyraźnie wyrażonego apetytu na kawę i poszedł do ulubionej studenckiej kawiarni.

Jeżowski siedział tu rzeczywiście nad szklanką wystygłej kawy i niedogryzioną bułką. Siedział wsparty na rękę i Zanowi już od proga ścisnęło się serce na widok jego zmęczonej, wychudłej twarzy.

— Licho bierz tego Narbutta, u niego Jeż bardziej podupadł na zdrowiu—zaklął, podchodząc do stolika. Jeżowski podniósł głowę i uśmiechnął się blade.

— Dobrze, że jesteś. Mam z tobą do pomówienia.

Ale to potem, najpierw napij się kawy. Proszę tu, pani Sipkowa.

Pulchna jak pączek zapustny gospodyni, wdzięcząc się i krygując, postawiła przed Zanem szklanke białej kawy i koszyczek z bułkami. Potem nie śpieszyła z odejściem, więc Tomasz, widząc, że czeka na dobre słowo, puścił się na przekomarzanie. Dowodził, że kawa wodnista od jej łez wylanych z tęsknoty za Malewskim, który siedział dotąd w Szczorsach i nawet się tam podobno zakochał w pięknej warszawiance, goszczącej u hrabiego Chreptowicza.

Uszczęśliwiona z dowcipów Sipkowa wyszczerzała wcale jeszcze ładne ząbki.

— A bo i prawda, że pan Malewski ze wszystkich panów najładniejszy, nawet od pana Mickiewicza ładniejszy. Ależ szkoda jego dla warszawianki, panowie nie powinni pozwolić.

Jeżowski przerwał jej gadaninę niecierpliwym ruchem ręki i Sipkowa cofnęła się za swoją ladę urażoną i nieośmielona. Zan popatrzył za nią z szerokim uśmiechem.

— Wcale jeszcze niczego. Onufry Pietraszkiewicz miał tu podobno opływać w łaski. No, nie marszcz się, już przestaję. Powiedz lepiej, co z projektem objęcia przez ciebie redakcji Dziennika Wileńskiego?

— Był taki projekt, ale już go niema. Tak ze wszystkimi moimi projektami. Budzą najpiękniejsze nadzieje i ulatują z dymem.

— I ty tak spokojnie o tym?

— Cóż chcesz? żebym płakał?

— Nie wiem. Jabym nie strzymał. Krzyczałbym na całe gardło przeciw podłości i głupocie ludzkiej. Przecież to nikczemność! Niktby jak ty nie potrafił. A docentura?

— Niepewna zgoła.

— Z czegoż ty będziesz żyć, Jeżu?

— Mam parę lekcji. Do przeciwności musimy być przyzwyczajeni i nie to jest ważne. O ważniejszych rzeczach miałem właśnie z tobą...

Pochylił się nad stolikiem z zniżył głos.

— Wczoraj Jundził na wykładzie w jakies do-
wciپی się zabawiał o towarzystwach i prezydentu-
rach. Dawał do zrozumienia, że więcej wie, niż mó-
wi. Musimy być ostrożniejsi.

Zan skrzywił się pogardliwie.

— Jundził? Nie jest bystry w pospolitych spra-
wach żywota, starowina! Niechże lepiej swoich pierw-
szoroczniaków pilnuje, by mu na wykładach psich fi-
glów nie stroili. Tego, co mówi Jundził nie trzymam
za niebezpieczne, choć z niego botanik znakomity.
Już gorzej, gdyby przytyki robili Znosko, czy, nie daj
Boże, Łobojko.

— I do tego przyjść może, jeśli nadal lekceważyć
będziecie moje zalecenia jaknajściślejszej ostrożności.
Ja największe zaufanie pokładam w rektorze Malew-
skim. Nie dlatego, bym nadto wysoko o nim trzymał,
ale dlatego, że obawa o Jarosza kieruje krokami tego
skąpego i wystygłego już starca. Tobie się to może
dziwnym wyda?

— Niekoniecznie. O rektorze tak trzymają wszy-
scy. Pamiętasz szejnekatrynkę?

Jeżowski wyrecytował z uśmiechem: „Oto rektor
Malewski, co dobywa kieski i złotówki daje na ratów-
ki“. Wiem, pamiętam te przekpinki. Ale u niego Ja-
rosz idzie przed złotówkami. A kto wie? Może także
dobro uniwersytetu? Niechby został rektorem jaknaj-
dłużej.

— A możeby się tak przez Borowskiego dowie-
dzieć, co o nas myślą?

— Można, byle ostrożnie.

— Ech jak żal, że dotąd niema Lelewela! Wybrali go na wydziale jeszcze w maju, z miesiąca na miesiąc ma rozpocząć wykłady, a tu nic jak nic.

— Nie sądzę, że się w razie czego na wiele nam przyda. Oni wszyscy pozostawią nas własnemu losowi i bodaj nie będą mogli postąpić inaczej. Mają rację, bo się o uniwersytet boją.

— To pewna, że „Nietoperz“ gdyby mógł — zniszczyłby go z radością. Już jego najjaśniejsza przyjaźń dla naszego księcia kuratora tam poszła, gdzie przebywa ubiegła wiosna. Kiedy „Nietoperz“ przelatywał po raz ostatni przez Wilno, księżę kurator podobno nie mógł dostać się do niego inaczej, jak po długim czekaniu. Ale to sekret, tego, oprócz rektora, no i nas, nikt nie wie na uniwersytecie.

Zan z rozmachem umoczył bukę w kawie i wychylił jednym tchem całą szklanę. Chwilę z niezdecydowaną miną pocierał ręką czoło, potem powiedział nagle z robionym tupetem.

— A ja właśnie przygodę miałem, jak na złość. Potrąciłem gwardyjskiego oficera na Jagiellońskim Połu, zgorączkowawszy się trochę. Wściekły był, bo widział, że zrobiłem to naumyślnie. Myślałem, że gwałt podniesie, ale nie podniósł.

— Za co go potrąciłeś?

— Umizgał się do Feli.

— Powariowaliście z tymi dziewczętami. Możliwe, że gwardyjak będzie dochodził zniewagi.

— Niemożliwa, by mnie znalazł. Małoż akademików w Wilnie?

Zapewna. Ale wolałbym mieć was bardziej zrównoważonymi. Ha, trudno, stało się i nie odstanie.

Rozmawiali jeszcze chwilę, potem wyszli. Zan, pogrążony w myślach, brnął przez jesienne błoto w stronę kamienicy Kukiewicza na Zamkowej, gdzie

stał razem z młodymi Śliźniami, których był korepetytorem, mając przy sobie także młodszego brata, Ignacego.

Zan, będąc zatroskanym, wbrew swoim obyczajom pożegnał się z Olesiem w sposób roztargniony, u niego bardzo rzadki. Oleś zmartwił się zmartwieciem ukochanego przyjaciela i sklął w duchu cały ród niewieści, przyczynę wszelkich zgryzot. Czyż jest nad światem coś durniejszego nad usposobienie namiętnego kochanka? Gotów iść na oślep w każde niebezpieczeństwo. Oleś gwałtowną niechęć do kobiet wyładował rzecz prosta na Anieli, przyszło do kłótni i, jak zwykle w takich razach, wkroczył najwyższy trybunał macierzyński.

Taką drogą dowiedziała się wystraszona nie żartem Łuczkowa, że jej ukochany jednak bierze udział w zatargach z oficerami. Jemu nie zrobiła żadnej uwagi. W ostatnich czasach stał się jakiś drażliwy, nieomal opryskliwy, a ona bała się śmiertelnie wszelkich scen. Ale że była kobietą nad wyraz bojaźliwą i zdolną upatrywać w każdej rzeczy wielkich niebezpieczeństw dla siebie i swojej rodziny, poszła szukać rady i otuchy u sowsietnika Ławrynowicza.

Teraz więc, siedząc naprzeciw jego ważnej osoby i przyciskając co chwila mokrą chusteczkę do oczu, mówiła rwącym się głosem:

Już zupełnie głowę tracę, wielmożny panie do-brodzieju, wciąż myślę i domyśleć się nie mogę, co się z tym chłopcem zrobiło. Dawniej był ufny i szczerzy, gdzie szedł, co robił, wszystko opowiedział. Teraz ani wiem z kim przestaje i dokąd chodzi. Tak myślę, że pan Łoziński, niech mu krzywdy mojej Pan Bóg nie pamięta, w niebezpieczne towarzystwo wciąga mojego Oleśka. Żebyś pan sowsietnik jego widział, kiedy z płonącymi oczyma, z rozognioną twarzą opo-

wiadał, jak pan Zan szturchnął oficera gwardii! Nie widział wcale nieprzystojności takiego postępku i całą duszą pochwalał. Za niewiele czasu gotów i sam... Nie dajże Panie Boże!.. A mnie ze wszystkim nie słu-cha. Gdybyś też wielmożny pan dobrodziej, pamięta-jąc na przyjaźń z nieboszczykiem mężem, w moją nie-dolę wdowieńską wejrzeć raczył i coś doradził...

Patrzyła pilnie w nasepione oblicze sowietnika, gotowa łowić chciwie każde jego słowo. On nie śpie-sząc wyciągnął tabakierę, puknął w nią, zapuścił dwa palce, zażył szczyptę, śliwkowy nos utarł w kracia-stą chustkę, wreszcie podniósł wskazujący palec w gó-rę i powiedział pouczającym tonem:

— Wszystko z tego, że chłopiec mocnej ręki nad sobą nie czuje. Trudno matce wdowie uzyskać po-słuch należny u dorastającego syna, a ja znowu, nie-stety, czasu, ileby trzeba, nie mogę ofiarować. Dlate-go powtórzę, co raz kiedyś radziłem: Do Petersburga dać kawalera, do szkoły wojennych inżynierów. Tam chłopca w kluby wezmą i wszelkie figle z durnej gło-winy wybiją. Tylko nie folgować czułem u sercu mat-czynemu, że to rozstać się przyjdzie z jedynakiem, to konieczne dla jego kariery. Inaczej ja nie biorę na siebie odpowiedzialności jako opiekun... Żadnej odpo-wiedzialności. A w Petersburgu pomógłbym uplaco-wać ichmościa. Mam znajomych. Rozumiałbym od Nowego Roku sprawić te przerósiny. Z Nowym Ro-kiem łatwiej. Bo czekać do końca roku szkolnego nie uważałbym za przyzwoite. Rozpuści się do reszty. Ra-dziłbym przysłać chłopca w dniach najbliższych do mnie. Wytłumaczę błaznowi.

Łuczkowa wyjąkała błagalnie:

— Och, nie, panie sowietniku, to może ja sama... ja postaram się jak najlepiej... Ja wiem, jakimi sło-wami trzeba... Jeżeli pan sowietnik rozsądził, że już tak konieczne...

Zacisnęła kurczowo ręce i głos jej uwiązał w gardle. Zbyt dobrze wiedziała, co by powiedział nieboszczyk mąż na taką propozycję. Ależ nie mogła sprzeciwić się Ławrynowiczowi, żadną miarą nie mogła. A przy tym lodowaty lęk o syna gniótł jej piersi do utraty tchu. Niech się dzieje co chce. Już lepszy ten Petersburg, niż ciągły strach przed niewiadomem niebezpieczeństwem.

Ławrynowicz śledził pilnie niejasne myśli, które przewijały się po twarzy Łuczkowej. Bardzo mu zależało na tym, by postąpiła według jego rady. Olesia lubił naprawdę i zupełnie szczerze uważał szkołę wojskową za najodpowiedniejszą dla chłopca, jeżeli naprawdę trafił w złe towarzystwo. Akademicy, których tu wymieniała Łuczkowa, byli osławionymi już w Wilnie uczestnikami i przywódcami promienistych majówek. Paliło im się w głowach, roiło Bóg wie co. Zajście z oficerem gwardii mogło być czystym przypadkiem, ale mogło także być umyślną prowokacją. Z szalonymi pałkami nigdy niewiadomo. Sowiec Ławrynowicz bardzo poważnie pojmował swoje obowiązki opiekuna.

Łuczkowa przełknęła wreszcie dokuczliwe łzy, których tak nie znosił jej możny opiekun. Zdecydowała się i było jej teraz odważniej na duszy. Pomówi z synem. Tak. Tylko spokojnie, bez żadnych krzyków i wymyślań, bez skargi i wymówek, a nadewszystko bez łez... Tak, jakby ojciec z nim mówił, gdyby żył. Może zlituje się i posłucha? Może wzruszy go zakłęcie na pamięć ojca? Ależ ojciec nigdyby...

Pani Łuczkowa wbiła sobie paznokcie w dłoń.

— Pójdę w Zaduszki na mogiłę i prześlągam... Świeczki zapalę... kwiatków zaniosę... Zlituje się. Musi się zlitować. Oni na tamtym świecie chyba są miłosierni?

Sowietnik Ławrynowicz uważał sprawę za skończoną; dosyć i tak stracił cennego czasu. Wsparł się oburącz na poręczach fotela i dźwignął w górę swoje potężne ciało.

— Hm. Tak. Z młodzieżą trudno dzisiaj. Ale w Bogu nadzieja... w Bogu nadzieja. Niechże pani do brodziejka pofatyguje się łaskawie do jadalni, tam żona czeka z filiżanką kawy. A z rozmową i namową nie zwlekać, proszę nie zwlekać... skruszonego, uległego zaraz mnie przysyłać, już ja z nim sobie poradzę.

IX

Nieśmiałe słońce listopadowe rysowało na żółtej podłodze uniwersyteckiego korytarza blade kwadraty. Za oknami, na wietrze, stał dzień pogodny, choć trzęsący się z zimna. Zanowa czujka była już mocno wytarta, a kożucha nie przysłali mu jeszcze z Iwier.

Zatarł mocno sine ręce w przedsiönku, a idąc po schodach tupał głośno zdrewniałymi stopami, Sekstern mocno przyciskał łokciem do boku; miał w nim zapisaną treść referatu Łozińskiego o reformowaniu Towarzystwa i niósł go świeżemu filomacie, zwolna i stopniowo przypuszczanemu do wszystkich tajemnic, Antoniemu Zenowiczowi.

Dzwonek na koniec lekcji rozbrzęczał się gdzieś niedaleko na wielki gwałt. Po chwili ksiądz Jundziłł, zawsze pedantycznie punktualny, już szedł korytarzem wyprostowany i sztywny w swoim wieczystym piaskowym fraku staroświeckiego kroju. Dostojnym, miarowym krokiem szedł prosto przed siebie, ani na jeden cal nie zbaczając w prawo, ni w lewo, tak, że Zan ledwie zdążył uchylić mu się z drogi i skłonić głęboko.

Zwiesił przytem bezwładnie ramiona wzdłuż ciała, a głowę zlekka na bok pochylił tym ruchem, jakim sam Jundziłł skłaniać się zwykł przed księciem kuratorem. Ksiądz naturalista, mijając, spojrział podejrzliwie na Zana, ale z doskonale skromnej miny nic zdrożnego nie potrafił wyczytać. Któryś z młodszych akademików, obserwujących tę scenę, parsknął niedyskretnym śmiechem, za co został spiorunowany budzącym ciarki spojrzeniem i jednym wzgardliwym słowem:

— Cielaku!

Skarcony zbliżył się potulnie.

— Arcy się gniewa?

— Mam cię ptaszku! Jesteś filaretą, a drwisz z profesorów? Tegoż ciebie uczono?

Studencik patrzył pilnie w śmiejące się oczy Zana. Co było serio w tej naganie, a co żartem? zaryzykował usprawiedliwienie.

— Ej, śmiech — nie grzech.

Zan kiwnął wyrozumiale.

— Śmiech, byle nie wszeteczny, ani złością napojony, idzie na zdrowie. Śmiech miodny i wodny, ale nie pieprzny, broń Boże, ani żółciowy. Zapamiętaj sobie, żółtodzióbku. A nie widziałeś gdzie Zenowicza? Nie? Zapadnij się tedy pod ziemię!

Kapelli wytknął chytry łeb z za węgła i szmygnął wzdłuż korytarza ciekawymi oczkami. Na chwilę znikł za załamaniem ściany i znowu powrócił; wyglądał oknem, chrząkał niecierpliwie, badał ryciny wokół rozwieszzone, zachowywał się zgoła jak ten, który czeka. Zan, nie chcąc wpaść z nim w rozmowę, oparł się o framugę okna i stał tak od niechcienia, nikogo nie zaczepiając, nikogo nie wołając.

Nie trwało długo, a miał już koło siebie całe gęsto zbite grono. Okazało się, że chodzi o rzecz ważną:

o sposób zachowania się na wykładach „niemców“.

Niektórzy twierdzili, że „niemcy“ nie zasługują na filareckie poważanie, że możnaby zezwolić na pewne rozgrzeszenie z surowej dyscypliny szczególniej medykom na Franka, uczniom wydziału literatury i sztuk wyzwolonych — na Łobojkę, a prawnikom na Kapellego i Znoskę. Psi figiel czasem dobrze robi: zbyt nienawiści studenckich jest piorunochronem, a niekiedy, bardzo umiejętnie zażyty, nawet profesora zastanowić może i nakłonić do innego postępowania.

Zan uśmiechał się po ojcowsku i ukrywał zakłopotanie. Taka sesja na uniwersyteckim korytarzu nie zdawała mu się przyzwoitą. Ponadto Kapelli, o którym właśnie była mowa, trwał ciągle w pobliżu. Ukazywał się raz po raz, spacerując z rękami założonymi na plecach, z lisim pyszczkiem wystawionym naprzód jak do węszenia. Z odległości w jakiej się znajdował, nie mógł słyszeć rozmowy, ale Zan na wszelki wypadek położył palec na ustach.

— Cyt, ogłuszacie mnie! Chcecież, bym zachorował na głowę? Jesteście pozbawieni wszelkiego zastanowienia, co już nieraz zresztą uważałem. „Niemcy“ tłumaczą się na lekcjach naogół znakomicie, uczą naogół doskonale. O ile słusznie wasz wrzask wyrozumiałem, chcecie zwolnienia względem nich od promienistych obowiązków? A za co?

Odpowiedź padła jak z katapulty.

— Bo „niemcy“!

Zan wzruszył ramionami.

— To mi dopiero racja!

Zaraz posypały się niesforne głosy.

— Nauczyćby ich trzeba! Na wszystko, co wileńskie wzgardliwi! Wszystkiemu co polskie — nieprzyjaźni! Mamyż ich szczerzyć?

Jeden z medyków rozsunał tłoczących się kolegów i stanął tuż przed nosem Zana, by mu zaraportować.

— Frank na ostatnim wykładzie, zatrącając o niedawną rocznicę zgonu, wyraził się niestosownie o Kościuszcze. Nazwał naszego Naczelnika buntownikiem przeciw prawowitej władzy! Mamyż to puścić płazem?

Przyskoczył prawnik rozczochny ze wzburzenia.

— Kapelli z przekąsem mówił o Napoleonie. Możnaż to znieść?

Zan podniósł głos o pół tonu.

— Cicho dzieci! Naszą sprawą — brać wiedzę i gromadzić jak pszczoły miód do ula. Czy pyta pszczoła z jakiego kwiatka miód bierze? Ona niekiedy i z trującej rośliny słodycz wyciągnąć potrafi. Zrozumiano? A Frank gadaniem Kościuszcze i tak nic nie ujmie. Na egzekwie za Naczelnika stawiliście się gromadnie, zachowywaliście się przystojnie i wiem, że na wielu obywatelach zrobiło to należyte wrażenie. Tedy dokazaliście swego, a teraz, mówię, cyt! Jak przyjdzie pora — sam was zawołam.

Szmerzy umilkły. Kapelli z głębi korytarza ruszył wprost na rozmawiającą grupę i zagadnął obcesowo Zana, czy nie przechodził tędy przed niedawnym czasem profesor Śniadecki? Zan odpowiedział skwapliwie, a gromada filaretów rozstąpiła się usłużnie przed panem profesorem. Tylko mu tam za plecami pełgnął jeden, czy drugi nienawistnym spojrzeniem.

Zan dojrzał Zenowicza w tym miejscu, gdzie przed chwilą stał Kapelli i poszedł oddać mu sekstern. Zenowicz mrugnął porozumiewawczo na drzwi, które zamknęły się właśnie za lisią sylwetką profesora.

— Węszy?

— Nie zdaje mi się. Szuka Śniadeckiego.

— Ale to niepodobna do prawdy! Śniadecki o tej porze u siebie, w krągłej sali. Ja tobie mówię, że Kappelli przypadkiem-naumyślnie znajdzie się zawsze tam, gdzie jakaś studencka bardziej ożywiona rozmowa. On chodzi po wszystkich wydziałach i szuka. Na medycynie też jest taki. Nie zgadniesz — kto. Oto Pelikan. Układny i gładki, a na moje rozumienie źle jemu z oczu patrzy i ja prorokuję, że da on się nam jeszcze we znaki. Ej, biedaż z cudzoziemcami, ale i z naszymi niektórymi bieda. Kto nie wróg jawny — ten obojętnością grzeszy. Jeden Lelewel... może... ale i ten nadto ostrożny.

— Co też gadasz! A Borowski? Czy nie możnaby mu się nawet zwierzyć w razie czego? gdybyśmy na przykład potrzebowali wstawiennictwa u władz uniwersyteckich? Ja trzymam wcale nieźle o Grodku, a już co Kontrym, to ze wszystkim nasz przyjaciel. Ile to książek dla profesorów jedynie rezerwowanych dostaliśmy dzięki niemu! Ach, a nasz ukochany Lelewel! Ten nie myśląc o tym serca młodzi zdobywa. Wystarczy jego płomienna wymowa.

Zenowicz wyciągnął zza pazuchy zwitek papierów.

— Masz tu opis mojego powiatu... mińskiego... Starałem się ściśle wedle instrukcji, ale to nie łatwa sprawa i nie wszystko jest tak, jak sobie życzyli. Trzeba było wiele rozpytywać, a ludzie, jak to ludzie, zaraz: po co? na co? dlaczego? dla kogo? Nie uważałem za przyzwoite...

— Słuszna, słuszna. Mój Antoni, pójdziesz możliwie prędko do Śleżanowskiego i pociągniesz go zrećznie za język. On podobno rozgaduje coś mętnie o Towarzystwie ukrytym, które rządzi filaretami, musimy wiedzieć, co też wie. I jeszcze jedno: Domej-

ko, u swego stryja, trzepnął w pysk ekonoma za znęcanie się nad starym chłopem w obecności jego wnuka. Ze było wobec innych chłopów, stryj połajał Domejkę i kazał łajdaka przepraszać, choć on tam podobno też odebrał za swoje. Żegota pogniewał się i rzucił stryjowskie pielesze, gdzie wcale nieźle opływał w śmietankę. To trzeba stosowną perorą uwiecznić ku zbudowaniu filaretów. Nie podjąłbyś się? Ja w pracy po uszy. Dobrze? No, zacny z ciebie przyjaciel. Daj łapę i vale!

Za zakrętem korytarza wpadł Zan w objęcia profesora Borowskiego. Ten ujął Zana pod ramię i prowadził przy sobie jak kolegę, przekładając o potrzebie wpływania na młodszych uczni, by szanowali książki wypożyczone z biblioteki uniwersyteckiej.

— Mówił mnie Kontrym, że oddają z pozaginającymi rogami, z marginesami zabazgranymi, albo nakłótymi szpilką, z rozstrzepaną okładką. Kontrym włosy wrywa sobie, a do ładu dojść nijak nie może. Wy pilnujecie odnoszenia książek — to już bardzo wiele, ależ zmiłujcie się, i na to co mówię zwróćcie tam u siebie uwagę. A cóż? zwróćcie?

Zan zrobił chytrze niewinną minę.

— Ale kto: my, panie profesorze?

— Och, czyżbyśmy się nie rozumieli? Wy, znaczy... starsi koledzy.

— Jakież nadzwyczajne wpływy przypisuje nam pan profesor!

— Waść skromny, to mu na chwałę przypisać należy. Nie zżymaj się, mości Arcy, my obaj z Lelewelem życzymy wam jaknajlepiej... z duszy serca... my... i jeszcze paru. Ale my nie wiele możemy... Chociaż i starzy... nie wszyscy takie diabły, jak wy ich sobie malujecie.

— Pan profesor przekonany być zechce, że my nigdy...

— No, no, już my się dobrze znamy nawzajem. Więc pamiętaj o książkowej sprawie.

Uścisnął rękę Zana i poszedł szybko, aż poły fra-ka tańczyły mu zabawnie dokoła boków. Zan stał w miejscu i kiwał głową.

— Oni z Lelewelem tacy życzliwi... Cóż, nie wątpię... Starsi też nie takie diabły... Zapewna, zapewna... A taki Adam ani rusz na wojaż wydostać się nie może, Jeżowski docentury wątpię, czy powącha, a mnie na wizytację szkół ze starym Chodźką nie puścili, choć stary Chodźko zabiegał ze swej strony. Tak, tak. Ale dym z naszego ogniska na wierzch się wydobywa, niema co, nikt w to nie wierzy, byśmy się promienistości wyrzec mieli. Chyba przyjdzie się zająć jego książkami?

Na korytarzach uniwersyteckich zacichło, rozpoczęła się nowa lekcja. Zan przez znajome sobie zakamarki szedł teraz na drugą stronę gmachu, przed salę, gdzie wykładał Grodeck. Spodziewał się tam złapać kogoś z „błękitnego grona“ i wydać dyspozycje względem jutrzejszego zebrania w zastępstwie zajętego dziś nad wyraz Czeczota. Blade słońce listopadowe już wlaźło między chmury i mrok zdawał się czekać w pobliżu. chociaż godzina była wczesna, popołudniowa.

Zan znalazł sobie w korytarzu starą ławkę wyrzuconą z wykładowej sali i usiadł, lokując z trudem długie nogi pod niskim pulpitem. Zimno było; jakaś zastarzała wilgoć dokuczała szczególnie przy oparciu się ramieniem o ścianę. Poprzednia praca nocna uspasabiała do drzemki, senna myśl krążyła leniwie dokoła przedchwilowej rozmowy.

Majaczył się Borowski broniący bohatersko związków filareckich przed nacierającym ostro rektorem. Rektor machał berłem jak kijem i nagle trzasnął nim z całej mocy o ziemię. Zan drgnął i oprzytomniał.

Właśnie Grodeck wynosił z sali swój garb i obrzymi nos. Obrzucił Zana przenikliwym spojrzeniem i już był minął, kiedy rozmyślił się i zawrócił ku niemu.

— Ach, otóż imć Zan! Powiedz Jezowskiemu, że przejrzałem do samego końca jego horacjuszowe komentarze. Ujdą, ale błędów nieco poprawić należy. A naprzód za co „princeps“ przez „książę“ tłumaczy? Ile razy mówiłem, na Boga, że „princeps“ nie książę, nie książę!

Skrzekliwy głos dźwignął mu się do krzyku, wyglądał, jakby za chwilę miał się porwać za włosy. Zan z trudnością stłumił śmiech.

— Powtórzę wiernie, panie profesorze. Jezowski ma naturalnie stawić się u pana profesora?

Grodeck łypnął przekrwionymi oczami.

— A gdzieżbym ja śmiał fatygować? toż teraz ni-by przyszły kolega, lada miesiąc zostanie docentem! No, ja na wydziale złęgo słowa nie powiem — udo-bruchał się równie niespodziewanie jak wybuchnął. — Zdolny młodzieniec, tylko słabego zdrowia podobno? Jakże wykładami piersi zrywać będzie? A „princeps“ niech koniecznie poprawi. Aha, Mickiewiczowi powiedz, zmiłuj się, niech książki oddaje. Nie on jeden na świecie, inni także czekają. Ostatnią razą na ulicy mnie o nowe zagadnął. Odmówiłem. Mógł przyjść do mnie do mieszkania i tam prosić. Na ulicy się profesora nie łapie, młodzież powinna być grzeczniejsza.

— Przyjdzie niechybnie i przeprosi pana profesora.

— No, no, jak tak wiele nie wymagam, niech już tylko na drugi raz pamięta. Ja bardzo, bardzo uważam zdolności pana Mickiewicza — pochylił się naprzód i wziął Zana poufale za guzik — a otóż Śniadecki do tej pory obrażony na niego za ów wiersz pod nazwaniem „Romantyczność“, bez zmarszczenia słyszeć jego nazwiska nie może.. Uważaś, jaka to zaciętość, już tyle miesięcy upłynęło. Ale bo też mu dojechał, dojechał!

Groddeck zachichotał piskliwie i zatupał z uciechy nogami. Zanowi przyszedł na myśl gnom, a potem przypomniła się „szejnekatarynka“, którą Niemiec zeszłego roku obnosił po mieście i obrazeczki na szkiełkach malowane rzucał, za pomocą latarni na białe prześcieradło. Jeden z obrazków przedstawiał, jak przechadza się z kijem w ręku profesor starożytnej literatury, garbaty, ciemnej twarzy, z nieproporcjonalnie dużym nosem. Napis u dołu głosił wszem wobec:

— Jest mądry po starożytnemu Groddeck.

Prawdziwy ludzki „wyrodek“.

„Garbuś“ zaczął się teraz rozwodzić nad koniecznością wysłania Mickiewicza za granicę, mówił z przejściem najgorliwszego przyjaciela, ale Zan już rozumiał, jakie były tego źródła i słuchał nieufnie.

— Otóż skąd płynie ta przyjaźń dla Adama! Pokraka.. Strużby Śniadeckiego łyżką wody, gdyby mógł. Cóż, trzeba korzystać z okoliczności i ratować Adamowy wojaż, któremu widać „Romantyczność“ niebardzo pomoże.

Podziękował Groddkowi jak umiał najuprzejmiej, naprędce rzucił jednemu z „błękitnych“ adres niedzielnej schadzki, drugiemu przypomniął w przełocie o obowiązku wygotowania kolejnego pisemka, a sam ruszył do mieszkania Malewskich.

Uniwersytet o tej porze huczał jak rój pszczół. Przez podwórce śmigały młodzieńcze postacie, powiewając za sobą połami różnokolorowych płaszczy niby skrzydłami jaskółek. Gdzie nie gdzie profesor w to-dze i birecie przeszedł zwolna, poważnie, uważając, by się nie potknąć niezgrabnie na oślizgłych kamieniach bruku i nie wzbudzić tym wśród uczni zdrożnej uciechy. Nieustannie gwar wzbierał, narastał, przelewał się pod krużgankami, bił o fasadę kościoła świętego Jana. Na dachu uniwersyteckim, nie dając się zagłuszyć, gruchały uparcie gołębie.

Zan szedł zamyślony ku bramie wiodącej na ulicę Zamkową. Ciekawych rzeczy dowiedział się w tak krótkim przeciągu czasu. Przede wszystkim stwierdził to, co przypuszczał oddawna: że profesorskie grono, jakkolwiek to uważa, nie wierzy w rozwiązanie filaretów. Zarówno przyjaciele, jak przeciwnicy. I prośba Borowskiego, i uparte krążenie Kapellego dokoła rozprawiającej grupy studentów były tego niezbitym dowodem. Powtóre wśród młodzieży była jakowaś niecierpliwość, był pęd do jakiegokolwiek działania. Przejawiało się to zgoła dziecinnie, ale mogło być w danym razie niebezpiecznie wykorzystane. Jakże łatwo pociągnąć imaginację przysięganiem na sztylety, a przecież czas właściwy był jeszcze bardzo daleko. Porozmawiać z rektorem? Gdybyż to co pomogło.

Zatrzymał się przed bramą Malewskich i zadarł głowę. Na niebie tliły się jeszcze resztki krótkiego dnia; ostatnie promienie słońca ślizgały się jeszcze po ziemi, krwawiąc krzywy bruk. — Jak te nasze usiłowania, które wciąż przez chmury przemykać się muszą — pomyślał na ostatek Zan i pchnął bramę.

X

Panna Marynia Malewska zdjęła nuty z pulpitu, wstała zza szpinetu i uważnymi paluszkami poprawiła bratu chustkę na szyi. Uśmiechnęła się przytem prosząco, usprawiedliwiając tym uśmiechem swoje niemane mentorstwo.

— Kiedyż nauczysz się wiązać? chustka zmięta jakby tygodniowa, a wczoraj sama przygotowałam tobie czyściutką. Zawsze muszę gderać na ciebie, a ty nie lubisz i obruszasz się na mnie. Rozmawiałam z ojcem, Franusiu, ale to źle, że ja.

— Żartujesz sobie, Maryniu? A któż, jak nie ty? Ty ojcowca ulubienica. Ty jedna, co ojcu dogodzić potrafisz poranną kawą ze śmietanką, wyhaftowanymi pięknie pantoflami, lub w porę nabitą fajką. Ty jedna umiałaś zawsze łagodzić jego humory i byłaś naszą orędowniczką od najdziecinniejszych lat. Któż, jak nie ty?

Panna Marynia uśmiechała się z wciąż rosnącym zażenowaniem.

— Czy ja wiem? Może Zosia? Ona tyle ode mnie ładniejsza. Ojciec, braciszku, dumnym jest z Zosi. A ja? Cóż... ja nie daję mu żadnego do dumy powodu, między innymi pannami jestem prawdziwym kopciuszkim.

Nieładne, za szerokie, trochę nawet żabie usta wygięły się jej w żalną podkówkę. Nie, doprawdy nie miała wiele wdzięku, a przecież... tyle jasnej drobroci świeciło z jej bladoniebieskich oczu, że zdawały się znacznie większe, niż były w istocie. Franciszek Malewski spojrział w te siostrzane oczy i rozrzewnił się.

— Głupstwa gadasz, Maryniu najmiłsza. Każdy, kto nie wszeteczny, woli twoją anielską dobroć od Zosinej piękności. Mówże, co ojciec powiedział?

— Ojciec źle przyjął moje wstawiennictwo. Nie chciał wcale wysłuchać do końca, gderał, że ty się ciągle cudzymi sprawami zajmujesz zamiast pilnować swoich... Mówił... że pan Adam i bez nas da sobie rady... i że ja... nie powinnam się w to wtrącać... Że nie pozwoli, by „ta kompania“ i mnie także w głowie zawróciła, że dość ma z tobą kłopotu... Ale... ty się gniewasz, Franciszku?..

Franciszek Malewski chwycił pełną garścią nuty ze szpinetu i zatargał nimi w bezsilnej pasji. Siostra porwała mu je z rąk.

— Co robisz? To śpiewek Adama, nuty do niego dla mnie ręką Zana przepisane! Twój przyjaciele tak rzadko dla mnie coś robią... Tyle, ile im czasu Zosia pozostawi... A ty chcesz psuć i te nieliczne pamiątki? Wstydź się.

Franciszek spojrzął bystro na siostrę. Oddawna podejrzewał ją, że kocha się skrycie w Mickiewiczu, a teraz uderzyło go jej niezwykle uniesienie. A nuż ona z lęku przed możliwym wyjazdem Adama miękko rzecz ojcu przełożyła? Pogłaskał ją przymilnie po ramieniu.

— Siostrzyczko, wybacz, jestem niegodziwy brutal, ale bo ty nie wiesz, czym byłaby ta podróż dla Adama. Jego przyjaciele powinni mu jej życzyć jak najusilniej. A mnie tak łatwo by przyszło zabrać go ze sobą. On przecież sam opędzałby swoje wydatki, nie kosztowałoby to ojca ani o grosz więcej.

Marynia westchnęła ciężko.

— Wiem wiem. Ojciec poprostu nie chce, byście jechali razem. Ach, nie myśl że zbrakło mi chęci. Jabym dla pana Adama... jabym panu Adamowi nie-

ba... — poczerwieniała gwałtownie, przymilkła, a potem zaraz zagadała bardzo prędko, nerwowo: — ale ze mnie tchórz wielki i jak tylko ojciec się zmarszczył — ja jak myszka uciekłam do norki. Oto i wszystko, braciszku, łaj mnie jeżeli trzeba, ale nie było w tym nic innego. Czy chcesz, żebym zapaliła świece, Franciszu? Już się mroczy.

— Boże, kiedyż będę od siebie jedynie zależny. Zapal świece, siostrzyczko. Słyszysz? Dzwonek u bramy.

Jędrzej Śniadecki zaanonsowany uroczyście przez lokaja wszedł do salonu gdzie obradowało rodzeństwo. Umiarkowanym skinieniem odpowiedział na ukłon młodych. Marysia, dygnawszy, wysliznęła się, by zawiadomić ojca. Śniadecki poruszał chwilę miękkimi wargami ułożonymi w wieczysty mądry uśmiech, nim zagadnął Franciszka.

— I cóż, młody człowieku, wybieramy się tedy na wojaż?

— Jeśli Bóg pozwoli — z końcem listopada, panie profesorze.

Franciszek zdobywał się z trudem na należyty szacunek, cały był rozstrzęsiony po przebyтым wzburzeniu. Śniadecki musiał zauważyć na nim ślady tego wzburzenia, bo wieczyste mądry uśmiech jego zmienił ton i przybrał odcień dobrotliwej ironii.

— Hm. Tak. C'est parfait. Musisz asan głęboko wdzięcznym być ojcu, że ci ułatwia... Nie byle co dla ciebie te studia w Berlinie. Da Pan Bóg, będziemy wojażera czekali... z katedrą. A cóż to? ojca niema w domu?

— Do katedry są godniejsi nade mnie, a nadziei na nią nie mają. Ojciec w domu niechybnie, właśnie siostra moja...

— Ach, wiem o kim myślisz. Godna podziwu ta

abnegacja, ale pociesz się. Imć Jeżowski dostanie do-
centurę. Z Nowym Rokiem. Nie mów-że nikomu,
tobie tylko mówię. Otóż i rektor.

Rektor Szymon Malewski stanął w progu, rozej-
rzał się po salonie i z wyciągniętymi naprzód rękami
ruszył do gościa. Ujął jego rękę w obie swoje i po-
trząsał silnie, patrząc przypochleбно w oczy. Jędrzej
Śniadecki odpowiadał na te objawy czułości z tro-
chę zimną, acz bardzo dystygowaną uprzejmością.
Chwila powitania dała możność Franciszkowi usu-
nięcia się pod okno i nabrania tam równowagi. Gdy
już przyszedł do siebie, przyglądał się i tym razem
jak zawsze z przyjemnością niezwykle schludnej po-
staci Śniadeckiego. Jego siwe pukle nad uszami, sta-
rannie wyszczotkowane, świeciły się srebrzyście,
blask rzuciła chustka owijająca się dokoła szyi, chu-
stka wyższa ponad wszelką białość możliwą dla zwyk-
łego śmiertelnika. Frak promieniował zielono, a po-
sadzka przeglądała się w trzewikach wyczyszczonych
chyba przez sylfy. Odbijała specjalnie rażąco ta prze-
czysta doskonałość od granatowej bajówki rektora
słynnej na cały uniwersytet. Franciszek poczuł nagłą
i palącą nienawiść do bajówki ojcowskiej, do jej za-
plamionych wyłogów i przetartego sznura w pasie.
Spuścił oczy i już chciał wyjść, gdy spostrzegł się, że
rozmowa obu starców dotyczy jego osoby. Popatry-
wali na niego raz po raz. Przyszło mu do głowy, że
przy Śniadeckim prędzej coś od ojca uzyska i zo-
stał na swoim miejscu, pod oknem.

Po paru chwilach ojciec zawołał go istotnie.

— Chodź tutaj. Właśnie o tobie mówimy. Czy
uwierzysz? Pan Jędrzej wstawiał się za twoim szalo-
nym pomysłem. Nie tobie, ale jemu tedy wobec cie-
bie się tłumaczę, dlaczego nie chcę, byś ciągnął za so-
bą do Niemiec Mickiewicza.

Franciszek, stojąc przed ojcem w powinnej postawie, pochylił głowę, by ukryć niecierpliwe skrzywienie warg.

— Przepraszam, ojcze, że się ośmielę... ale ja nie uważam, by towarzystwo Mickiewicza w czemkolwiek przeszkodziło moim studiom. Z Mickiewiczem. czy bez niego, jednakowo przykładać się będę, a...

— Ty nie uważasz, ale ja uważam. Jeśli ci to nie wystarcza, tedy powiem, że nie poto odrywam ciebie wojażem od spraw niebezpiecznych, w które leziesz jak ślepy, pomimo moich ostrzeżeń, nie poto, mówię, by cię w tym samym towarzystwie pozostawić zagranicą. Chcę dla ciebie katedry. Tak. Wobec szacownego przyjaciela, jakim jest Pan Jędrzej mówię to zupełnie otwarcie. Dlatego gniew mnie bierze, gdy myślę, że starania tylu lat, twoja praca, twoje zdolności... wszystko przepadnie, jeżeli, broń Boże, coś... Ale asan, mój Franciszku, zważać na to nie raczysz, a zapobiegliwość ojcowską trzymasz za dokuczliwą tyranję.

Stary Malewski ze złości, a może i z rozżalenia, poczynął już trząść się nakształt galarety. Pan Jędrzej zwrócił się pojednawczo do młodego.

— Może doprawdy lepiej, byś asan oderwał się od starej kompanii, a wszedł między nowych ludzi? Takowa zmiana dobre sprawi rezultaty, za parę miesięcy inaczej na świat patrzeć będziesz. A Mickiewicza, gdy zdolny, wojaż z pewnością nie minie. Jak nie w tym roku, to w przyszłym z pewnością pojedzie. Wprawdzie jego wierszami jabym w piecu chętnie palił, ale rozprawki niczego. Onby raczej powinien iść naukową drogą, a poezji dać spokój.

Przegiął się ku tabakierce, którą mu rektor podsuwał, strzepnął starannie końcami palców pył tabaczny z kłapy zielonego fraka. Pogodnie ironiczny

uśmiech rozlał mu się od ust po całej twarzy, dygotał figlarnie w zmarszczkach bruzdzących skronie i przeglądał się w napodziw żywych młodzieńczych oczach. Szymon Malewski uspokoił się już zupełnie. Zdawał się nawet jakby winien wobec syna. Powiedział w przestrzeń, zrzedzającym, starczym tonem.

— Czyż ja sam zaprzęsłej wiosny nie podtrzymałem promienistości? Imć Zan przychodził do mnie... Zatwierdziłem prawidła... Ale potem... sami sobie winni... Z tym „pacierzem“... kto wie co takiego! „Zdrowaś Feli“! Biskup Kundzicz był u mnie... Huk się zrobił, musiałem zakazać. Nie tyle dla „pacierza“, ile dla huku. Huk w naszym położeniu zawsze jest niebezpieczny. — Usprawiedliwiał się jakby przed synem, mówiąc przecie do Śniadeckiego. — Nie życzę ja źle nikomu, ale rektor jestem, odpowiedzialność na mnie.

Urwał, pomilczał gniewnie. Śniadecki skorzystał z milczenia, by dobrotliwym gestem skinąć ku Franciszkowi. Ojciec potwierdził zaraz to skinienie stosownym ruchem głowy. Franciszek skłonił się obu panom i zeszedł o piętro niżej, do specjalnie dla siebie przeznaczanej izby.

Tu zastał Zana szperającego między papierami. Czarny kędzierzawy łeb Zański pochylony nad jego stołem wrócił Franciszkowi trochę dobrego humoru. Odrazu przestał czuć się beznadziejnie samotnym, a przecież w domu nawet Marynia dokazać tego nie mogła. Trzepnął przyjaciela po ramieniu i roześmiał mu się w sam garbaty nos.

— Tomalek! Jakże zgadłeś, że potrzebowałem ciebie? Właśnie ciebie z twoim nieopłaconym humorem. Miałem tylko co rozmowę z ojcem i Śniadeckim. Stało się, nie zabiorę Adama.

— No, to źle.

— Cóż poradzić? Mam nadzieję dotrzeć w Warszawie do księcia kuratora. Doczekam się go, choćbym miał zwłoką w podróży zarobić na gniew ojca. Może tedy da się coś zrobić? Smutna ta zopobiegliwość starców. Czy i my tacy będziemy, Tomaszu?

Ja — nie. To sobie obiecuję. A wiesz czemu? Bo ja się nie postarzę. Zawsze będę pustak-szaławila, co to skacze, śpiewa, promionkuje, a każda rzecz u niego bez początku, albo bez końca. To najlepsza recepta na młodość.

— Ale tego ani ja, ani Jeżowski nie potrafimy, a bodaj, że i Adam . nie potrafi. Stąd morał: źleby było, gdyby ciebie nie było. Patrz: ojciec marzy o katedrze dla mnie, dla tej przyszłej katedry drzy, bym się nie potknął o nasze związki, których istnienia domyśla się, oj, domyśla! A ja wciąż smucę się, że moją tak niepewną karierą wam szkodzę, choć pomimowoli. I że to nadaremno, bo i tak zawiodę ojcowe nadzieje, a koszta łożone na mnie na nic się nie przydadzą. Ot, lepiej byłoby za te pieniądze wysłać matkę do wód, choruje wiecznie, możeby jej to co pomogło. Że Adam nie jedzie, że Jeżowski i ty zostajecie, zda mi się, jakoby mój wyjazd był zdradą wobec was... To mnie gryzie...

— Jaroszu!

Zan porwał go za ramiona i okręcił trzy razy wokółko. Przerazone papiery frunęły gromadnie ze stołu, szafa biblioteczna otwarła się z trzaskiem, a kurz z pomiędzy książek skoczył aż do sufitu. Zan pchnął przyjaciela na stołek i stanął przed nim rozkraczywszy nogi.

— Franciszek przez ciebie gadał i Hieronim, a nie filomacki Jarosz, dlatego Jarosza przywołuję. On wie, że nie sobie jedziesz za granicę, ale nam, filomatom,

i naszym celom. Lepiej żeby jeden wrócił mądry, jak zaden. No, zbieraj się dziś schadzka u Adama.

Jarosz uśmiechnął się oczami przez wilgotne od łez rzęsy.

— Może masz rację. Nie lękajcie się. Nie cofnę się wpół drogi. Tak tylko czasem zwątpiała słabość nachodzi człowieka. Poczekaj, włożę płaszcz i chodźmy.

Szli ulicami pod rękę, nieposzlakowanie elegancki Jarosz w granatowym modnym płaszczu o czterech pelerynach i Zan opatulony w czujkę staroświeckiego kroju. Ale panny, mijające pod osłoną nieodzownych przyzwoitek, uśmiechały się wyraźnie do Zana i, pomimo zrywającej się coraz mocniej jesiennej wichury, zwalniały kroku pod lada pretekstem, by móż patrzeć za nim jaknajdłużej.

XI

Fela Micewiczówna zauważyła już kilkakrotnie oficera w mundurze gwardii cesarskiej, który wyrastał jak grzyb po deszczu na drodze zwykłych spacerów pensjonu Deybellów. Bardzo prędko zaczął ukazywać się i pod oknami dworku obok kościoła św. Jerzego, gdzie mieścił się pensjonat, a panny wyglądały ukradkiem przez szyby, ile razy się pokazał. Był taki urodziwy. Nic dziwnego, że stał się bohaterem szeptów i żarcików panieńskich, a że nikt nie wiedział, dla kogo tak spaceruje, wszystkie panny brały jego westchnienia do siebie i płonily się na wyścigi pod ognistymi spojrzeniami pięknego Moskala.

Fela, wiedzona nieomylnym przecuciem niewieściem, odgadła natychmiast, że tu o nią chodzi

i ku własnemu wielkiemu przerażeniu stwierdziła, że jej to sprawia przyjemność. Nie przyznałaby się do tego za żadne skarby świata i przed nikim na świecie. Ona jedna z pośród wszystkich wychowanek Deybellów za każdym spotkaniem przybierała wyraz twarzy kamienny i odpychający, zaciągała usta i odwracała głowę, czując, że jeżeli pozwoli Pełskiemu spojrzeć sobie w oczy, zdradzi się z czymś niedozwolonym, grzesznym i upakarzającym, czymś niegodnym promienistej dziewczyny.

A Pełskij gryzł palce w bezsilnej wściekłości na swoje opętanie. Tysiąc razy przysięgał sobie, że nie pójdzie więcej na Bulwary, ani na Jagiellońskie Pole, że od jutra z pewnością przestanie myśleć o niewdzięcznej obcej dziewczynie, która jemu, ulubieńcowi dworu jej imperatorskiej mości, okazywała niechęć i wstręt, ani dbając o zaszczyt, jaki ją spotykał. Przecież nie wiedział nawet, jak ona się nazywa? kim jest? z jakiej rodziny pochodzi? Chociaż dowiedzieć się mógł bardzo łatwo; jego piękna przyjaciółka, pani Karolina Sulistrowska, znała wszystkich w Wilnie: z nazwiska, z imienia, ze stanu majątkowego, z opinii i z obyczajów. Nie było też rzeczą trudną wyciągnąć ją na spacer i pokazać jej młodziuchną nimfę. Wystarczyło uzbroić się w cierpliwość i znieść z zaciśniętymi zębami parę tuzinów złośliwych przycinków, wypowiedzianych nad wyraz pięknymi usteczkami.

Złośliwe przycinki nie dały na siebie długo czekać: pani Sulistrowska uznawała tylko własną urodę i własne powodzenie. Pozatem o rotmistrza Pełskiego była szczerze zazdrosną, chwilowo bowiem nie miała go absolutnie kim zastąpić.

Cedząc przez białe ząbki słowo po słowie, poinformowała tedy swego dotychczasowego wielbiciela,

że dziewczynka nazywa się Felicja Micewiczówna, że rodzice jej mają wieś pod Grodnem, niewielką i zadłużoną, że owszem, niebrzydkie z niej cielątko, ale strasznie głupiutkie. A spotkać ją można u Wysogierdów, gdzie bywa toute la jeunesse. Pani Sulistrowska tak daleko posunęła swoją wspaniałość, że, wzruszając pogardliwie ramionami, zaproponowała rotmistrzowi wprowadzenie go do Wysogierdowej na jej sobótki. Niechże rotmistrz sam się przekona, jaką gąskę obdarza swoją cenną uwagą, niechybnie będzie miał dosyć po półgodzinnej rozmowie.

Rotmistrz Pełskij przezornie i z trudem ukrył wielką radość. Zapewnił panią Sulistrowską, że równej jej bogini nie spotkał dotąd w życiu, że Fela zaciekawia go zupełnie powierzchownie. Ot, taki kaprys ogarnął go niewytłumaczony, by się przekonać zbliska, czy oczy Feli czarne są, czy ciemnoszafirowe? Jak tylko się przekona, natychmiast przestanie myśleć o gąseczce z pensjonu. Ale jeśli piękna Karolina sobie tego nie życzy, on może wogóle nie chodzić do Wysogierdów. Bo właściwie nie ma w tym prawdziwego interesu.

Tak chytry prowadząc dyskurs, oszukiwali się wzajemnie, obsypując się gorącymi pocałunkami. Działo się w zacisznym buduarze pani Karoliny, w jej mieszkaniu przy ulicy Trockiej.

Ale rotmistrz Pełskij nie darował swego; w piątek popołudniu, od niechcienia przypomniawszy sobie obietnicę. Rada nie rada — pani Sulistrowska musiała się z niej wywiązać.

Nie poszło to łatwo. Dom pani Wysogierdowej, rzadkim jeszcze naówczas w Litwie obyczajem, był dla Moskali zasadniczo zamknięty. Przestrzegano tego pilnie matka pani Wysogierdowej, pani wojska

Górecka, a i sama gospodyni była gorącą patriotką. Jako młodzianka dziewczyna przeżyła insurekcję, jako młoda mężatka entuzjazmowała się, witając Napoleona, a teraz bolała nad upadkiem kraju i żyła nadzieją, że jeżeli nie dziś—to jutro, nie teraz—to za rok, jakaś moc dobroczynna odwróci kartę dziejów... i wszędzie tyle oczekiwany dzień odrodzenia.

Tymczasem garnęła ku sobie młodzież, a młodzież przychodziła chętnie, bo salon pani Wysogierdowej nie miał mrożącej etykiety innych salonów, nie nakładał więzów przyzwoitej zabawie. Jednego tylko nie było tu wolno: mówić po francusku. Ale, że ani młodzieńcom filomackim, ani promienistym pannom na tym nie zależało, zakaz, lubo nieco ekscentryczny, nie ciążył nikomu.

Nie wolno było mówić po francusku — tym bardziej po rosyjsku. Ten warunek postawiła Wysogierdowa Sulistrowskiej bardzo kategorycznie, gdy po długich prośbach zgodziła się wreszcie puścić Pełskiego na próg. Zastrzegła się, że ma to być wyjątkowa łaska, jednorazowa wizyta, nie obowiązująca na przyszłość do niczego. Mimo to zezwoliła, by rotmistrz został przedstawiony obecnym damom i pannom.

W ten sposób Pełskij stanął przed oszołomioną Felą jakoś pierwszej soboty po Zaduszkach, skłonił się głęboko, prawie uniżenie, a Fela, podając mu rękę, poczuła z gniewem i rozpaczą, że od jego dłoni przez ramię do serca przepłynął jej jakby strumień ognia, a serce zamarło słodko i trwożnie zakłopotano, potem stanęło na chwilę i znowu zaczęło walić jak szalone.

Pełskij po przewitaniu odszedł na bok; stanął pod piecem, ręce na piersiach skrzyżował i poprzez cały salon wpatrzył się w Felę rozmarzonymi oczyma.

Fela zamknęła oczy i siłą wywołała w sobie o-

braz Zana. Zaledwie jednak poczuła go pod powiekami, odrazu spostrzegła, że myśli o tym, dlaczego Tomasz ma takie wysokie i trójkątne czoło, skąd wziął taki potężny nos i takie szerokie usta? Usta muszą być ponsowe i pełne, ocienione kurczym wąsikiem, pleć smągła, a włosy nie — pokręcone w drobne kędziorki, ale takie łagodnie faliste... Boże złoty!

Fela porwała się z kozetki zlodowaciała ze zgrozy. Wzięła pod ręką Anulkę Wysogierdównę i pociągnęła ją za sobą w odległy kątek małej bawialni, położonej za salonem, możliwie daleko od rozbawionych gości.

Pełskij odrazu spostrzegł jej zniknięcie i, zupełnie słusznie, przypisał to swojej obecności. Z początku zdjął go ponury smutek, ale zaraz potem „chandra“ przerodziła się we wściekły, rozpaczliwy humor. Ruszył z pod pieca i zaczął bawić sobą towarzystwo, budząc całe kaskady perlistego śmiechu dam, całe burze tłumionej pasji mężczyzn. Pani Karolina promieniała i afiszowała się ze swoimi uczuciami z takim oczywistym negliżowaniem wszelkiego konwenansu, że panny wymieniały między sobą wiele mówiące spojrzenia, panie uśmiechały się ironicznie, Wysogierdowa co chwila przygryzała usta, a pani Górecka, w pewnym momencie, ostentacyjnie wyszła z salonu. Nie ochłodziło to bynajmniej nieopatrnej zalotnicy. Gorąco i natrętnie zaczęła namawiać Pełskiego, by zaśpiewał jakąś pieśń, ale Pełskij zgodził się chętnie. Miał piękny głos, wiedział o tym, i tam, w dalekim Petersburgu, niejedno odporne serce skruszył swoim śpiewem. Stał tedy pośrodku salonu, odrzucił wtył głowę, prawą rękę nad głowę unioś półkuliście i zaśpiewał pełnym, silnym, przepięknym istotnie głosem

pieśń posępną jak wieczór jesienny, co zaglądał właśnie przez okna.

Całe towarzystwo, zebrane w salonie pani Wysogierdowej, słuchało tej obcej pieśni bardzo uważnie, jakkolwiek z bardzo odmiennymi uczuciami.

Karolina Sulistrowska, omdlewając z rozkoszy, przez poręcz fotela przechyliła piękną główkę. Profesorowa Frankowa uśmiechała się ironicznie zza wachlarza. Nie znosiła, by ktoś inny prócz niej śpiewał, gdy ona była obecna, uważała to za nieprzyzwoitość. Inne damy przeważnie krzywiły się z niesmakiem, były nawet takie, co usiłowały półgłosem wyprawić córki do dalszych pokoi.

Rotmistrz Pełskij nie zważał na efekt. Obojętną mu była zarówno niechęć Wysogierdowej, jak zachwyty Sulistrowskiej. Przechodził sam siebie. Po tamtej ponurej, zaśpiewał nową pieśń, rozhukaną. Rozszalała melodia skakała w prysiuady i zdawało się, że śpiewak puści się w taniec z nią razem. Miotał się, przytupywał i hukał, aż szyby drżały. Pannienkom wydało się to zabawnym, uśmiechały się dyskretnie, przesłaniając wachlarzykami usta.

Hałas zwabił na próg Anulę Wysogierdównę. Przyszła, pozostawiając w głębi bawialni Felę samotną i zgnębiałą.

Feli było boleśnie wstyd za Pełskiego. Czuła, że te moskiewskie harce odbywały się na jej intencję, widziała, że chybiają celu i ośmieszają aktora. Sprawiało jej to mętną, niepokojącą przykrość. Drżała, że za chwilę przyjdzie ktoś z kompanii Zana, albo, co gorzej, on sam, podchwyci śmieszność i będzie drwić z Pełskiego. A wówczas ona, Fela, rozgniewa się niechybnie i... I co? Pokłóci się z Zanem o Pełskiego? Przecież to niemożliwe. Ach,

Boże! Poco „on“ tu przyszedł? Poco „on“ w ogóle chodzi po świecie?

Pani Wysogierdowej też było pilno przerwać północno-niedźwiedziowate popisy. Właśnie oglądała się wkoło, szukając pomocy, gdy Teodor Łoziński stanął w drzwiach. Popatrzył, podciągnął nos w górę niby na sznureczku, jakby chciał spytać: a co tu śmierdzi? Cała jego szeroka pocziwa fizjonomia przybrała przytem tak śmiesznie płaczkliwy grymas, że panny tu i ówdzie parskwały już głośnym śmiechem, czekając niezawodnie dowcipnej krotoczwili.

A Łoziński przecisnął się do gospodyni, pocałował ją w rękę i chciał się wycofać do panien, gdy zdenerwowana Wysogierdowa uchwyciła się go jak deski zbawienia.

— No, widzisz pan, jaki ja mam kłopot? Moja wina. Uległam Karolińci. Ale teraz ratuj! ty to potrafisz, panie Teodorze luby!

Łoziński skłonił się głęboko na znak całkowitego zrozumienia sytuacji, poczem uplasował się za szpinetem, nawprost śpiewaka, ręce po napoleońsku założył, przystroił wargi w uśmiech ironiczny i jął pilnie przyglądać się Pełskiemu.

Rotmistrz z początku nie zauważył tego, ale już po paru chwilach zaczął kręcić się niespokojnie. Zachłysnął się, sfałszował raz i drugi. Wściekły, rozejrzał się po sali, napotkał parę kłujących oczu, wbił w siebie z wyraźnym szyderstwem.

Zbity z tropu, próbował nie patrzeć w tę stronę... na nic się to nie zdało. Sfałszował po raz trzeci, przerzucił się nagle na początek zwrotki, akompaniująca mu dama nie zdążyła w czas wykonać z nim owego salto mortale i wyszedł z tego okropny

dysonans, jakiś wrzask koguci, po którym pieśń urwała się nieprzyjemnym zgrzytem.

Wszyscy spojrzeli po sobie zadziwieni. Pod ścianami rozległy się tłumione chichoty młodzieży. Pełskij poczuł, że krwawy tuman przesłania mu oczy, nie dziękując przerażonej akompaniatorce, z głową pochyloną jak byk, ruszył przed siebie, prosto na wroga za szpinetem.

Teodor Łoziński wciąż mu się przyglądał ironicznie zmrużonymi oczami. Pełskij zatrzymał się o dwa kroki przed nim, wyciągnął wskazujący palec ku niemu i milczał, zdławiony własną wściekłością. Teodor Łoziński skłonił się uprzejmie:

— Pan rotmistrz rozkaże?

Pełskij dyszał ciężko. Chciał jasno i zwięźle wytłumaczyć, o co mu chodzi i nie wiedział, jak to zrobić po polsku? Z każdą sekundą czuł, jak staje się coraz bardziej śmiesznym i resztką świadomości hamował się, by nie walić na osłep w mordę. Wykrztusił nareszcie.

— Pan dobrodziej... pan dobrodziej... patrzyłeś na mnie?

Wszyscy w salonie umilkli przerażeni. Sybirem powiało po sali. Ale Łoziński skłonił się jeszcze uprzejmiej:

— Przyglądałem się tyle znakomitemu śpiewakowi. Jakimże to ukazem wzbroniono?

Pełskij zgrzytnął zębami, odwrócił się i odszedł. Wobec polskiej perfidii czuł się zawsze bezbronny. Żując bezgłośnie jakieś przekleństwo, osunął się na fotel pod oknem. Pani Sulistrowska i parę innych dam zapewniały go chórem, jak bardzo są nieszczęśliwe z racji przerwano koncertu. Nawet pani Frankowa po namyśle przyłączyła się do chóru. Tłumaczyły jedna przez drugą, że rotmistrz nie po-

winien, broń Boże, zważać na impertynencje młodzika, który, obok złego wychowania, zdradził głęboką ignorację muzyczną. Napróżno. Rotmistrz Pełski nie dał się już namówić, tymbardziej, że gospodyni domu, pomimo energicznego kiwania Sulistrowskiej, nie powiedziała nawet słówka przepraszającego. Poprostu udała, że całego incydentu nie dostrzegła, a koncert uważa za skończony drogą naturalną.

Fela weszła do salonu i usiadła na krzesełku z boku. Pozostawiona sama sobie w bawialni, słyszała i widziała wszystko doskonale. Z trudem pokonywała niezrozumiałe dla niej samej rozdrażnienie. Ze ściśniętym sercem przysłuchiwała się wykrzyknikom Sulistrowskiej.

— Ach, quelle voix sublime, quels tons admirables! Co za słodycz, co za rozkosz w słuchaniu takiego śpiewaka! I jakież to gust zaciemniony nie pozwala niektórym poznać les merites d'un si beau talent!

Łoziński stanął przy Feli i powiedział półgłosem:

— Mam nadzieję, że uwolniłem całe towarzystwo, a pannę Felicję w szczególności, od przykrego natręta. Już on tu chyba prędko nie wróci.

— Dlaczegoż to pan Teodor brak uprzejmości, okazany gościowi państwa Wysogierdów, za zasługę sobie pocztytuje? — zapytała zimno Fela.

Łoziński wytrzeszczył oczy w bezbrzeżnym zdumieniu. Przez chwilę stał niezdecydowany, potem bąknął:—przepraszam, nie spodziewałem się— i wyszedł do jadalni, gdzie Anulka Wysogierdówna dozorowała przygotowań do wieczery.

— Panna Anna pozwoli, że ją pożegnam?

— Zaskoczona panienka próbowała perswadować:

— Pan Teodor odchodzi? Mama zaraz prosić będzie do stołu, jakżeż można tak nas porzucać? Mama się pogniewa... i ja także... — Strzeliła siwymi oczkami, pełnymi ciepłych, złotych iskierek. Łoziński nie dał się wzruszyć:

— Nadto eleganckie tu dziś dla mnie towarzystwo. I taki już mam dziwny nos, że mdło mi się robi od zapachu dziegiu. Zresztą i takbym musiał wstać w połowie wieczery — dodał łagodniej, widząc pomieszanie panienki. — Mam sprawy niecierpiące zwłoki. Panna Anna raczy zapewnić mamę o mojej niezmiennej do wszelkich usług gotowości.

Fela pozostała na swoim krześle jak spiorunowana. Zgorszenie i zdumienie Łozińskiego uprzytomniło jej znaczną doniosłość uwagi, jaka wyrwała jej się prawie mimowoli. I dlaczego wyrwała się? Cóż w końcu mogła ją obchodzić przyjemność, czy przykrość Pełskiego? Skąd przyszło jej rozdrażnienie?

Pani Sulistrowska „promenowała się“ z Pełskim pod rękę wzdłuż salonu. Zręcznym manewrem zaangażowała go już do kolacji, a teraz szczebiotała zalotnie, przechylając strojną w kwiaty główkę to na prawe, to na lewe ramię. Pełskij dosyć niecierpliwie słuchał tego szczebiotu. Przystanął koło szpinetu, pokazywał swojej damie jakieś nuty, jeszcze parę osób wciągnął w rozmowę i, korzystając, że pani Karolina odwróciła się do kogoś z jakąś ri-postą, wyśliznął się jak wąż, dał nurka w grupę gości, otaczających panią domu, i wychynął na drugim końcu salonu, tuż przy Feli.

Na jego widok Fela zmartwiała do reszty; to było najgorsze, co ją spotkać mogło. Co za szczę-

ście, że Łoziński już wyszedł, że z tamtej kompanii jest jeden tylko Staś Morawski, a i ten, zatopiony po uszy w kontemplacji wdzięków pani Masieczki Müllerowej, nie zwraca uwagi na to, co się wkoło niego dzieje. Co za szczęście, że nikt promienisty nie widzi jej płomiennego pomieszania!

Ale Pełskij widział je doskonale i ucieszył się niem, jako dobrym znakiem dla siebie. Przywykł w Petersburgu do takich nagłych kobiecych wzruszeń, przejawiających się za jego zbliżeniem, znał dobrze ich naturę i ani mu przez myśl nie przeszło, że tu, w Wilnie, mogłaby grać rolę jakaś inna przyczyna. Pochylił się do ucha Feli i zaszeptał gorąco:

— Jestem zrozpaczony, mademoiselle, nie znalazłem łaski w oczach pani. Od miesiąca usycham, a jeszcze miłosiernego nie zdobył spojrzenia.

Fela podniosła rzęsy i spojrzała na rotmistrza prędko, przelotnie, ani wiedząc, że wyraz oczu, poza jej wolą, łagodzi ostrość odpowiedzi.

— U nas nie wolno w ten sposób ubiegać się o względy panien.

— A jak wolno? Proszę mnie nauczyć. Ja będę posłuszny. Jabym dla panny Felicji wszystko uczynił... Tak jest, tak, powiedzieli mnie imię. Kto? A to już mój sekret. Czyż ja się ani troszeczkę nie podobam? Dziki zwierz jestem? Co?

Fela wiedziała doskonale, że teraz trzeba powiedzieć coś jeszcze bardziej stanowczego, a potem wstać i odejść. Ale jego głos aksamitny paraliżował wolę, jego ręka, zwieszona niedbale przez poręcz krzesła, niby przypadkiem muskała jej rękę. Serce przenikał słodki, przerażający żar. Miała oczy pełne łez, nie była w stanie wyjąkać ani słowa. Jak przez sen usłyszała jeszcze pytanie — Więc ja niczego nie mogę się spodziewać? Nigdy? — i poczu-

ła ze zgrozą, że jej niewypowiedzianie żal i siebie, i tego ślicznego, obcego chłopaka.

Wysogierdowa dostrzegła przydługą rozmowę. Chwilę obserwowała cierpliwie, potem ściągnęła brwi, podeszła żywo i wzięła Felę pod rękę.

— Moja Felisiu, a już też pomóż Anulce w jadalni. Wieczera spóźniona, mili goście czekają. Pan rotmistrz wybaczy? — kiwnęła Pełskiemu od niechcienia i uprowadziła bezwładną Felę. W jadalni pogładziła ją po włosach;

— Trzeba tobie było odrazu dać mnie znak, a nie rumienić się tylko jak nieporadne głupiątko. Przyszłabym wcześniej z odsieczą. Otóż to skutki wpuszczania Moskali do domu; zaprowadzają swoje maniery i obrażają skromność naszych panienek. Ach, ta Karolińcia! Ile nerwów to wszystko mnie kosztuje! Ale nie bój się, Felutko, nie spotkasz jego więcej u mnie.

Fela milcząc pocałowała Wysogierdową w rękę. I cóżby powiedziała ta zacna patriotka, gdyby mogła czytać ludzkie myśli? Okropność.

XII

Teodor Łoziński po skończonej korepetycji, ubrał się w przedpokoju w czujkę lisem podbitą i, jak zwykle powoli, wyszedł na ulicę, zamykając starannie drzwi za sobą. Odszedł ze dwadzieścia łokci statecznym, odmierzonym krokiem; potem przystanął i kopnął zajadle kamień brukowy, który mu się nawinął pod nogi. Kamień przeleciał z furkotem na drugą stronę ulicy, a Łozińskiemu ulżyło widocznie. Rozejrzał się dokoła i oświadczył głośno starym kamienicom;

— Zezłulem się.

Potem znowu wolno i statecznie ruszył przed siebie, prosto, wgląb Bernardyńskiego zaułka.

Zimny deszcz, przez pół zmieszany z lodem, zacinał w same oczy, wiatr targał uparcie połami czujki. Na ulicy było już prawie ciemno, obrosłe gołledzią brukowce uciekały z pod nóg. Łoziński brnął, chyląc głowę pod wiatr i zasłaniając ile możności usta i oczy. Złość, która go żarła od wczoraj, wyładowana przed chwilą na martwym kamieniu, zacichała teraz zwolna pod wpływem lodowatego podmuchu, zmieniała się w jakąś zgoła niemęską żalność, o tyle dozwoloną, że tyczyła spraw przyjaciela. Łozińskiemu było straszliwie żal Zana i jego młodzieńczej gorącej miłości, którą, po wczorajszym zachowaniu się Feli, surowy filomata uważał za straconą.

Powiedzieć Zanowi? Chyba powiedzieć. Niema żadnej wątpliwości. Fela, zamiast być wdzięczną za osłonę, stanęła w obronie Moskala. I jakże płomienie, jak żarliwie! Jakim szczerym oburzeniem dźwięczał jej spokojny zazwyczaj głos. Taki postęppek, sam w sobie nieważny, dla lalki salonowej zgoła bez znaczenia, u promienistej bohdarki Zana urastał do rozmiarów przestępstwa. Ależ rąbać zainteresowanemu prosto z mostu? Nie. To byłoby grubiaństwem. Przyjdzie chyba zaczekać... rozważyć.

Adamowa kwatera pełna była po brzegi ludzkich ciał, dymu z lulek, krzyku i hałasu. Perorował Zan. Jeżowski z Adamem, wsparci o siebie ramionami, siedzieli na otomanie. Jarosz Malewski jeździł okrakiem na krześle po całym pokoju i pokrzykiwał, starając się przerwać Zanowi. Reszta gadała po kątach, kurząc zapamiętałe krótkie i długie lulki.

Łoziński poszedł witać się wkoło, potem rozej-

rzał się za wolnym stołkiem i przysiadł pod oknem. Kogoś, blisko stojącego, zapytał mimochodem, czy nie było listu od Piaseckiego, przebywającego chwilowo w Warszawie za interesami Masy Radziwiłłowskiej. Od niechcienia przysłuchiwał się dyskusji, toczącej się dokoła zamierzonej reorganizacji związków promienistych, działających pod skrzydłem Towarzystwa Filomatycznego. Przy tej okazji wałkowało się po raz stotysięczny zagadnienie rządu i stosunku jego do ogółu członków. Łoziński słuchał półuchem, potroszę gonił przytem własne myśli, potroszę obserwował zasępionego Mickiewicza.

Malewski, ciągle na swoim krześle, zbliżył się na zasięg ramienia; Łoziński uchwycił krzesło za poręcz.

— Postójno, mam sprawę.

— Puść, Szeroki, mojego pegaza, dodaje mnie natchnienia. Muszę przekonać niewiernego Tomasa, on zawsze czepia się tego naszego niby despotyzmu. Nie chce zrozumieć, że dla naszych zamierzeń konieczna tak wielka władza rządu. Nie ufa nam, że jej na złe nie obrócimy.

— Wam ufam, ale boję się waszych następców — odkrzyknął przez cały pokój Zan.

— Następców my sobie wychowamy.

— Dlatego właśnie mówię, że filareci...

Łoziński pociągnął Malewskiego za rękaw.

— A co to Adamowi? Czy nie chory?

Malewski wzruszył ramionami.

— To, co zawsze. Jaki w septembrze przyjechał z Tuhanowicz, taki i dziś. Lulkę kurzy... rozmyśla... Ani do niego zagadać. Najchętniej sam siedzi. A pókiż tego będzie?

— Ty, Jaroszu, powinieneś rozumieć ten stan spolania — podskoczył do rozmawiających Zan —

sam ze Szczors wróciłeś jak sfiksowany, urzeczony pięknym oczkiem warszawskiej rusałki. A, zdrajca! Mało jemu litwinek?

Malewski poczerwieniał po włosy.

— Tak. Dobrze. Ale ja mimo to żyję i pracuję. Inaczej Adam. U niego całą myśl opanowała Maria. Bez niej zbrzydził sobie świat i życie, omal, że nas nie zbrzydził.

— A Kowalska?

Et, co tam Kowalska! Paliatyw i tyle! Gdybyś się jeszcze na coś prawdziwie przydała! Niechby był szczęśliwy przez jakie chce sposoby, mybyśmy się pewnie cieszyli. Ale ona o sobie tylko myśleć potrafi. Nie chciała go do Wilna na ten rok wypuścić. Śmieszna baba! Już o niej bez rozdrażnienia mówić nie może.

Łoziński słuchał namarszczony.

— Żle, bracia, nie mają nasi łask u kupidyna. U ciebie też niedobrze, Tomy. Nie bój się, twoja Fela — czyste złoto — zmienił błyskawicznie pierwotny zamiar na widok przeciągającej się twarzy Tomasza, — ale natręt jej dokucza, trzeba ją uwolnić od natręta.

Opowiedział mniej więcej przebieg wieczoru u Wysogierdowej, nadając wypadkom nieco inny koloryt. Fela w jego wersji była mocno zaambarasowaną natręctwem Pełskiego; że nie dała mu zaraz należytej odprawy, tłumaczyło się łatwo względami na panią Wysogierdową. Trudnoż było obrażać jej gościa, a tym samym podawać w wątpliwość słuszną rację znajdowania się jego w tym salonie. Na taką przykrość Wysogierdowa sobie, bądź jak bądź, nie zasłużyła; choć lichy tam wie, co babie strzeliło do głowy, żeby zapraszać Moskalika. Na każdy wypadek Fela postąpiła roztropnie, zachowu-

jąc umiarkowanie, ale niemniej Pełskiemu, i w ogóle wszystkim gwardyjakom, należała się jakaś dobrze obmyślona sztuczka. Coś, coby im obrzydziło umizgi do litewskich panien. Należałaby się też kara damulkom w rodzaju Sulistrowskiej, które Moskali ośmielają i wbijają w dumę. Możliwy byłby jakiś wykoncypować na marginesie poważnych zajęć.

Malewski wysłuchał projektu i odszedł z nim do kanapy wodzów. Wszelka inicjatywa, chociażby najbłahsza, musiała mieć aprobatę rządową. Któż mógł przewidzieć jakie plany nosił w głowie milczący prezydent filomatów i co mu je pokierosować może?

Dłuższą chwilę Malewski z Jeżowskim mówili przyciszonymi głosami. Jeżowski machnął ręką, jakby się opędział uprzykrzonej musze. Malewski uśmiechał się i zdawał się coś przekładać. Mickiewicz, z głową zarzuconą na oparcie otomany, wpatrzony w chmurę fajczanego dymu pod sufitem, nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co się wkoło niego działo. Wreszcie zniecierpliwiony Teodor zbliżył się też do otomany. Jeżowski zwrócił się ku niemu i powiedział swoim cichym, jakby nieco przygasłym głosem:

— Jestem przeciwny rozpraszaniu sił, trwonieniu ich na błahostki. Oprócz tego zbyt dobrze udana krotochwila może zwrócić na niektórych członków towarzystwa zgoła niepożądaną uwagę. Komuż na pożytek wyjdzie takie dzieciństwo? Dajcież spokój! Przed nami daleka droga, a my zaledwie u jej początku. Szkoda czasu, ani też wolno ryzykować.

Na to przyskoczył Zan, który ogromnie zapalił się do projektu, i począł gorąco przekładać Jeżowskiemu, że to nie żadne ryzyko; zwyczajny sobie żart karnawałowy. Dotknięci — nawet obrażić

się nie będą mogli, a nikt się nie dowie, skąd wyszła krotochwila. Oczywiście zaczekać należy do karnawału, karnawał wiele rzeczy usprawiedliwia. Chodzi o utracie nosa gwardyjakom. Nic więcej.

Jeżowski nie lubił ustępować nawet w sprawach drugorzędnych. Niezadowolony — spojrzał po obecnych. Starsi, „sensaci“, nie zdawali się nawet słuchać dysputy, nawet Malewski, choć sam kwestię rozpoczął, odszedł teraz w drugi koniec pokoju. Zato Mickiewicz wynurzył się niespodziewanie zza swoich tumanów tytuniowych i wziął udział w rozmowie. Z początku przysłuchiwał się tylko, roztargniony, jakby ze snu obudzony i z trudem wracający do rzeczywistości, aż nagle roześmiał się do Tomasza.

— Biedny Tomalek! do śmierci będzie „kury“ hodował, te łacińskie, co to: „cura“ — curae“, wiecie? Pozwól jemu, mój Jeżu, niech weźmie słuszny odwet za swoje strapienie. Czasem potrzebna i krotochwila.

Jeżowski podniósł się z otomany i ruszył na wędrowkę po pokoju, ukosem, z kąta w kąt, z głową nieco naprzód podaną i rękami w kieszeniach. Filomaci rozstępowali się przed nim z szacunkiem, a on wędrował tak przez czas dłuższy, aż zatrzymał się pośrodku pokoju i powiedział do wszystkich razem:

— Prace nasze muszą być wielkie, trudne, ważne z siebie, bo o całym już losie bytu naszego stanowiące. Jeszcze mnóstwa rzeczy nam nie dostaje, jeszcześmy się nie uzbroili nietylko do wojny zaczepnej, ale i do odpornej, a wy zaczepną rozpoczynąć chcecie.

— Nikt tu wojny zaczynać nie myśli!

— Za cóż zaraz wojna?

— Nie bądź przeczulonym, Jeżu!

Mickiewicz podniósł rękę w górę.

— Uciszczie się! Ja będę woźnym trybunału! Mój Jeżu, jak mnie Bóg miły, przesadzasz niebezpieczeństwo Zanowej antreprzyzy. Nie ukrzywdzi ona w niczym naszych celów i zamierzeń. Przeciwnie, może im oddać przysługę. Czasem długa dysertacja tak dobrze nie przekona umysłów, jak udatny żart. Pozwól tedy, raz jeszcze proszę, Tomaszowi. Pewnie, że według wskazań rozsądku do czasu wszystko ścierpieć należy, a naszych w podejrzenia nie podawać, ale czyż zawsze tylko zimny rozsądek ma być przewodnikiem naszym? Użyczymy trochę lotu imaginacji.

Jeżowski targnął się gniewnie.

— Imaginacja... imaginacja... Pierwszym krokiem do uspokojenia wszelkiej burzy jest przycięcie skrzydeł imaginacji. Ona to nas i po niebie, i po piekle, po świetle i ciemnościach włóczy i szarga... Jej wpływ na wszystkie nasze siły jest potężny. Nie dozwólmy jej zbyt bujać, a wszystko przyjdzie do umiarkowania i porządku.

Mówił gniewnie, jakby osobiście obrażony. Mickiewicz milczał. Zan skonsternowany spojrzeniem wezwał pomocy Teodora, i Łoziński zadudniał pojednawczym basem z pod okna.

— Imaginacja też się przyda. Dysputować z naszymi salonowymi durniami o szkodliwości moskiewskiej kompanii możnaby do końca świata, a bez żadnego rezultatu. Jeden z drugim wysłucha, ramionami wzruszy i dalej robi swoje. A już najgorsze damy, piorunby je pozatrzasakiwał. Krotochwila — rzecz inna. Ona całą sprawę w całkiem nowej okaże postaci. Na pewne rzeczy i pewnych ludzi niemasz nad drwinę. A Towarzystwo? Cóż tu ma To-

warzystwo? Ja robię, ja: Teodor vel Bożydar Łoziński, zwany niesłusznie Szerokim, a mnie do pomocy staje pan Tomasz Zan, arcypromienisty prezydent filaretów, zwany trójkątatym, czy, jeśli kto woli, trójbistym. Dixi.

„Szeroki“ rozstawił nogi jak mógł najszerzej i począł się kiwać wtył i wprzód z miną wyzywającą. Jeżowski, widząc ogólną życzliwość dla projektu, machnął ręką.

— Aż, róbcie, co chcecie. Żebym tylko ja o tym nie wiedział, żebym nie miał z tym żadnego kłopotu. I nie chcę także, by rząd się w to mieszał. Słyszysz, Tomaszu? Niech będzie prywatna sprawa Szeroka.

— Bravissimo! Już ja sobie dam radę. A co? Możeby tak wypić za pomyślność imprezy?

Mickiewicz bąknął z poza tytuniowej chmury.

— Mam gdzieś dwie butelki niezłego wołocha. Zobacz na szafie, Zaniątko. A może ponalewasz w kielichy? Mnie się tak nie chce ruszyć z otomany.

Zan sięgnął na szafę i do szafy, po kieliszki i szklanki. Każdy dostał jakieś naczynie; Kowalewski miał kubek gliniany, a Kozakiewicz — miseczkę. Zan podniósł kieliszek w górę i zaintonował:

„Precz, precz nudy troski“...

Wszyscy obecni podchwycili dość zgodnym chórem:

„Hej, lej nektar boski...“

Ale pieśń nie dogodziła Czeczotowi. Wyciągnął rękę przed siebie i huknął pełną pierśią:

— Nie to! Dzisiaj inaczej!

Wyciągnięta wysoko nuta pękła nagle i rozszarpała się okruciami dźwięków. Wszyscy patrzyli na Czeczota a Czeczot wystąpił na środek zadymionej stacji.

— Co nam te pieśni pijackie! Ot, lepiej zaśpiewamy:

...śpiewek w tej ułożon mowie,
jaką to nasi biedni kmiotkowie
gnębieni ciężką przemocą,
gdy się od roboty pocą
i dla nas niewdzięcznych trudzą,
proste wiodąc, tkliwie pienia,
echo śpiących gajów budzą,
w pieniach szukają ulżenia!

Łozińskiemu improwizacja podobała się niewymownie.

— Wiwat Janko lutnista! Dlaczego to ja nigdy tak z rękawa konceptu wytrząsnąć nie potrafię? Ale słuszna. Zanim naprawdę coś dla chłopów zrobimy — uciszmy pieśnią sumienie.

— Bluźnierco! Ty drwisz z pieśni? A wiesz ty, co pieśń może? — Mickiewicz podniósł się z otomany i stanął na czele chóru. — Może trony obalać i trząść zmartwiały mi światami! Pieśń nasza skromna echem napełni ziemię. Śpiewaj z nami zimny niedowiarku, a nie fałszować mi, inaczej milion kulałaków!

Zwiniętą pięścią huknął Łozińskiego w szerokie plecy. Teodor wywinął się z pod pięści.

— Przestań, ty poetycka szalona pało! To moje plecy, a nie łeb zakuty mosterdzieja starej daty! Nic ci z walenia nie przyjdzie, chyba tobie należne kuksańce.

Zakasał rękawy i ruszył na Adama, hucząc śmiechem. Ale już chór przełamany na dwa półchóry przerzucał sobie nawzajem proste słowa prostej piosenki:

„Lisiczka, żouty hrybok“,
„Ślimaczkou nie baićca“

XIII

W sercu Feli Micewiczówny toczyła się sroga walka.

Pocałunek antokolski wiązał ją z Tomaszem na zawsze. Tomasz był „arcym“, był mądrym, dobrym i od wszystkich kochanym. Fela dumnie obnosiła wśród koleżanek godność jego bohdarki. Rotmistrz Pełskij był Moskal i wróg ojczyzny. Ale rotmistrz Pełskij błąkał się zdradziecko po myślach, wyrażał niespodziewanie z marzeń nic z nim wspólnego nie mających. Błyskał płomiennymi oczami z obrazków, zgoła co innego przedstawiających, gadał słodkimi słowami poprzez nutę znajomej piosenki. Burzył krew i ranił serce, stawiając okrutnie na rozdrożu pomiędzy obowiązkiem a tajemniczym porywem, z którego Fela za żadne skarby świata zdać sobie sprawy nie chciała. Lepiej tak, nie dopowiadając sobie do końca, nie nazywając w sobie rzeczy po imieniu, zdusić... zgnieść... co? uczucie? Ależ to nie było żadne uczucie! Wstyd tylko i obraza boska!

Fela uprosiła Deybellową o pozwolenie pójścia do spowiedzi, ale to jej nie wiele pomogło. Nauki księdza, oschłe i teoretyczne, nie miały nic wspólnego z gwałtownie pulsującą rzeczywistością. Ksiądz zalecał naprzykład unikanie pokusy, a tymczasem to pokusa jej szukała z podziwu godną wytrwałością; a tymczasem Pełskij chyba nie pełnił żadnej służby wojskowej, skoro mógł o każdej porze dnia kręcić się w okolicach kościoła świętego Jerzego.

Zgnębiona rozterką, głęboko upokorzona własnymi przeżyciami, Fela postanowiła nie spotykać się z Zanem tak długo, aż mimowolny grzech ułoży się jakoś w jej duszy, aż będzie mogła spojrzeć miłemu prosto w oczy. Dlatego przerwała częste dawniej wizyty u Anieli Łuczkówny, dlatego, ku wielkiemu zgorszeniu koleżanek, poczęła trzymać się kurczowo spódnicy Deybellowej. Najprzyjemniej byłoby teraz znaleźć się we wsi rodzinnej, pod ulubioną brzozą, w pachnącej koniczyną i miętą wysokiej trawie, w gęstych bzach, albo w chróśniaku malinowym nad brzegiem Niemna. Ale do wakacji było bardzo daleko, a na Boże Narodzenie rodzice nie mieli zwyczaju zabierać Feli do domu. Zwierzyć się ze swoją ciężką troską? Komu? koleżankom? I tak śmiały się już i dokuczały jej pięknym rotmistrzem. Nie pozostawało nic innego, jak czekać cierpliwie.

Cierpliwości posiadała Fela zapas nieskończony. Jakżeby inaczej poradziła sobie ze swoją dolą cnotliwej panienki z dobrego domu? Umiała też znakomicie ukryć swoje uczucia i ze spokojną, pogodną twarzą spełniać swoje codzienne obowiązki.

Bywała wprawdzie niekiedy blada i pomieszana, ale Deybellowa przypisywała to fochom pańskim, nie zastanawiając się wiele na dich przyczyną. Fela mogła sobie wieczorem wypłakać się w poduszkę ile chciała, nikt na nią nie zwracał uwagi. Napełniało ją to gorzkim zadowoleniem. Coraz bardziej zamykała się w sobie, uchylając się od wspólnych rozmów i wspólnych zabaw koleżeńskich.

Jakoś w początkach zimy, (już śnieg był wypadł), zdarzyło się Feli, że musiała jednak pójść do Łuczków. Obiecała towarzyszyć Welce Zborowskiej. Pani Deybell pozwalała pannom wychodzić do zna-

jomych sobie domów, lub do kościoła, ale zawsze po kilka i z tym, by powróciły nie później, niż o ósmej wieczornej.

Trudno było odmówić Welce, jeżeli odmowa znaczyła dla niej pozostanie w domu. Trzeba było zaryzykować wizytę i to w godzinie, kiedy Teodor Łoziński przychodził zwykle na repetycję do Olesia.

Teodor Łoziński nie wypuścił swego ucznia z pod opieki, dopomagając mu na pierwszym roku uniwersytetu już darmo, z tytułu filareckiej usługi. Nie zrażał się upartym chłodem, wytrwałym brakiem uprzejmości okazywanym mu przez Łuczkową. Był zawsze jednakowo grzeczny, usłużny i uśmiechnięty.

Chłód zapanował z chwilą, gdy pani Łuczkowa zażądała od exkorepetytora poparcia dla swoich petersburskich projektów. Zażądała, by Łoziński swoim autorytetem sankcjonował wobec Olesia jej plany. A gdy przekonała się, że nic nie uzyska, zaczęła okazywać nieszczęsnemu Szerokiemu swoją wzdargę i gniew.

Łoziński znosił to ze stoicyzmem: przez pół z powodu Anielki, przez pół dlatego, że, jako filomata, nie mógł opuścić przyszłego kolegi i pożytecznego członka społeczeństwa, jakiego przewidywał w Olesiu. Zresztą wierna Anielka osładzała swojemu Teodorowi jak mogła to poświęcenie.

Fela i Wela zastały wszystkich przy kawie. Był to wyjątkowy przypadek; Łuczkowa już oddawna nie prosiła Łozińskiego do stołu. Dzisiaj odstąpiła od nowych obyczajów, przysposobiła sobie bowiem świeży zapas argumentów i chciała spróbować szczęścia po raz ostatni.

Niewzruszony Teodor pod ognistym potokiem

wymowy pani Łuczkowej chrupał najspokojniej rogaliki. Ona gorączkowała się i lała kawę mimo filiżanek, gryzła usta i całym wysiłkiem woli opanowywała się, by temu siedzącemu naprzeciw grubasowi nie nagadać rzeczy przykrych i zjadliwych. Był bądź co bądź ostatnią jej nadzieją. Splotła sinawe chude ręce na poplamionym obrusie i popatrywała na zgromadzoną dokoła stołu młodzież rozpalonymi od powstrzymywanych łez — oczami. Wszyscy oni wydawali się jej nietylko trudni i obcy, ale wręcz wroddy. Nawet ukochana Anielka. Wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej, aby utrudnić jej życie, wszyscy nie mieli ani źdźbła litości dla jej niedoli.

Panny niebardzo rozumiały o co właściwie chodzi. Fela przejęta była głównie tym, że Łoziński przywitał się z nią chłodno i „toniasto“, tak, że aż niemal obraźliwie. Był to skutek tamtej, nagle przerwanej, rozmowy u Wysogierdów. Ależ bo ten Teodor! Przez tyle tygodni chować urazę! I o co? o takie sobie powiedzenie bez znaczenia? A głównie — co jemu do tego? To była sprawa między nią i Tomaszem.

Tymczasem Łoziński szukał okazji dokuczenia jej, bo jakkolwiek wziął jej stronę przed Zanem, uczynił to wyłącznie ze względu na przyjaciela; dla Feli miał w tej chwili złe i gorzkie uczucia. Więc gdy Łuczkowa, w przystępie dławiącej potrzeby zwierzeń, wyłożyła pannom od początku wszystkie swoje strapienia i nadzieje, Teodor przechylił się całym swoim ciężkim korpusem przez stół, ku Feli, i powiedział drwiąco:

— Panna Felicja pewno zdumiona, że ja planów wielmożnej pani Łuczkowej wobec jej syna nie popieram bynajmniej? że owszem, jestem im

całą duszą przeciwny? Panna Felicja pewno w Petersburgu widzi wszelkie rajske rozkosze?

Fela podniosła na niego wystraszone oczy. Doprawdy, na ten wybryk niczym sobie nie zasłużyła. Ogarnęło ją wielkie rozżalenie, a zaraz potem szarpnął gniew. Za kogoż ją bierze ten pokraczny niezgraba? Za pustą zalotnicę? lalkę salonową? Niechże będzie. Ona, Fela, nie ma zamiaru tłumaczyć się przed nikim. Owszem. Pokaże, jak dalece nic ją nie obchodzi opinia imć pana Łozińskiego.

Spojrzała na Teodora wyzywająco, rzuciła wzgardliwie ramionami i zwróciła się do Weli Zborowskiej. Szeptą jej jakieś śmieszne rzeczy, a Welka, mając usta zapchane rogalikiem, krztusiła się, aż jej blado-niebieskie szkliste oczy wychodziły z orbit, nadając twarzyczce wyraz gapiowaty.

Łoziński swoją uwagą spodziewał się przywieść Felę do upamiętania, co dowodziło, jak słabo znał niewieścią naturę. Okazał jej dyskretną złośliwością filomackie niezadowolenie i był głęboko dotknięty ze swej strony sposobem, w jaki Fela przyjęła pedagogiczną nauczkię. W zapale oburzenia uznał to za zdradę. Widocznie już „królowie promienistej“ nie zależało na tym, co o niej myślą towarzysze Zana, kto wie, czy zależało jeszcze na tym, co myśli on sam? Czyżby takiego spustoszenia narobił jeden urodziwy Moskal? Teodor postanowił zbadać rzecz gruntownie, przekonać się niezbitcie, jak sprawy stoją. Jako pedagog-wychowawca wielu uczniów, fliaretów i niefilarretów, ufał swoim zdolnościom psychologa i nie wątpił, że wywnioskuje właściwie.

Zwrócił więc chytrze rozmowę na jesienne zabawy i assamble. Napomknął mimochodem o renomowanych pięknościach wileńskich, potrącił i o Su-

listrowską... Wychwalał z ironiczną przesadą jej urok i wdzięk nieco sztuczny, największe wrażenie na niedźwiedzi z nad Newy wywierający. Exemplum ów rotmistrzyną, piękną dziegiem cuchnący, jure caduco obywatelstwo w polskich salonach uzyskujący. A pani Wysogierdowa czyż nie ma lepszej roboty, jak szapronować lubej Karolińcy i temu kacapowi? A pfe! Cóż za przykład dla bywających tam panien.

Powiązanie nazwisk Pełskiego i Sulistrowskiej zabolalo Felę jak fizyczny cios. Mętnie poczuła, że musi się zemścić. Powiedziała prędko, bez namysłu:

— Pani Wysogierdowa wie dobrze, co jej czyścić wypada. Kto na jej salonach przyjętym bywa, ten już z pewnością kawaler comme il faut. A że rotmistrz — piękny mężczyzna, w tym pan Teodor ma słuszną rację, nie każdy może się z nim równać.

Pogardliwym wzrokiem zmierzyła krępa, brzydką postać Łozińskiego tak, by nie było najmniejszej wątpliwości, kogo w ten sposób porównać chce z Pełskim. I nagle uprzytomniła sobie, że Łoziński, według wszelkiego prawdopodobieństwa powtórzy całą rozmowę Zanowi. Powtórzy tym chętniej, że do obowiązku ostrzeżenia przyjaciela dojdzie tu jeszcze ciężka obraza osobista: Łoziński był bardzo czuły na punkcie swojej mocno niedoskonałej urody.

Stało się. Wszelka próba wycofania się pogorszy tylko sytuację. Fela znieruchomiała nad swoją niedopitą filiżanką kawy.

Łoziński patrzył na nią zaskoczony. Nie spodziewał się po spokojnej, zrównoważonej Feli takiego gwałtownego wybuchu namiętności. Jakże to na niego spojrziała? Istna jędza! W pierwszej chwili

li rozśmieszyło go to prawie. Gdybyż nie Zan, gdyby nie jego żarliwa miłość, niechby sobie pannica durzyła się w Moskalu. Ale tak... Jaka szkoda Zanowych sił na czekającą go szarpaninę. Bo, doprawdy, sprawa jest wystarczająco jasna.

Wstawano już od stołu. Łoziński wziął pod ręce Anielkę i Welkę, wyprowadził je do bawialni i usadził przy pantalionie, prosząc o zagranie na cztery ręce. Sam zawtórował im swoim fałszywym basem. Panny przekomarzały się, nakazywały milczenie, on darł się w niebogłosy, a kot z kuchni wtórował przeraźliwie. Ta nienaturalna wesołość robiła właściwie przykre wrażenie, ale panny były zachwycone.

Śmieli się wszyscy troje, a Fela, pozostawiona samej sobie w jadalni, zżymała się gniewnie na ten śmiech.

Przyjaciółki!.. Zdrajczynie! Były przecież przy stole i słyszały. Wiedziały, że Fela została właściwie sprowokowana. Za cóż tak odrazu połączyły się z tym, co ją potępił? Dlaczego nie zawołają na nią? nie poproszą do wspólnego śpiewania? Tak. Ze strony Anielki to nawet niegrzecznie wobec gościa.

Łuczkowa zaczęła znowu o swoich planach względem Olesia. Doszła już do takiego stanu wewnętrznego roztrzęsienia, że radziła się Feli. Dziewczynie wydało się to nową zniewagą. Czyżby Łuczkowa spodziewała się po niej takiego współczucia, jakie by znalazła pewnie u kogoś w rodzaju Tekluni Walentynowiczówny?

Odpowiedziała coś Łuczkowej piąte przez dziesiąte i uciekła do anielczynej bokówki. Wczesny zmierzch listopadowy zasnuł okna, na kominku palił się ogień. Fela usiadła w fotelu pod oknem i zadumała się. Z saloniku dochodził śpiew na dwa gło-

sy. To Oleś wrócił z miasta i wtórował siostrze do „Filoną i Laurę“. Rodzeństwo śpiewało bardzo ładnie i Łoziński zamilkł, by im nie przeszkadzać.

Fela, rozczulona śpiewem, przymknęła oczy i pozwoliła gorzkim łzom spływać gradem po policzkach. Nikt się o nią nie troszczył, nikt nie zauważył zapewne jej nieobecności. Jakże nietrwałe są dobre chwile!

Siedziała tak, nieruchoma, aż zupełnie ściemniało. Zdawało się jej nawet, że usnęła. Zdrętwiała cała i czuła mrówki na plecach. Podniosła się z fotela, postąpiła krok ku drzwiom i zamarła pośrodku pokoju. Z sąsiedniej jadalni dolatywał ostry, skrzeczący ze złości głos Łuczkowej, oraz nabrzmiałe oburzeniem i zgrozą okrzyki Olesia. Chodziło naturalnie o ten nieszczęsny wyjazd do Petersburga. Ale jak mógł Oleś... w ten sposób... matce...

W saloniku panowała martwa cisza. Czemuż Łoziński się nie wtrąci? Dokuczać — to umie.

Fela zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi do jadalni. Łuczkowa zamilkła odrazu; udała, że krząta się pilnie dokoła sprzątanego stołu. Oleś natychmiast odwrócił się ku drzwiom i wypadł jak z procy do sieni. Fela zbliżyła się do Łuczkowej.

— Zasnęłam, zdaje się, w stancji Anielki i nie wiem, gdzie tamci... A jużby wracać pora.

Pani Łuczkowa była bardzo zmieszana.

— Dobrze, Felisiu, dobrze moja duszko, ja zaraz poszę do Łukaszewiczów. Oni tam poszli... To w sąsiednim domie... Ja myślałam, że Felisia z nimi, a Felisia tutaj... samiuteńka... A czy może główka boli?

Starą się być bardzo uprzejmą i mówiła szybko, rozstrzęsionymi wargami, gorączkowo przebierając palcami po stole. Nagle krzyknęła głośno:

— Mnie gorzej, jak jemu! Mnie gorzej, jak jemu! — Zakryła twarz rękami i osunęła się na krzesło. Feli zrobiło się niewymownie żal starej, znękaonej kobiety, a jednocześnie poczuła coś jakby niechęć do Zana i jego towarzyszy. Oto do czego doprowadzają swoją bezwzględnością. Gdyby nie ich wpływ, nigdyby Oleś nie odważył się w ten sposób rozmawiać z matką. Na palcach wyszła z jadalni. Chciała znaleźć Olesia i powiedzieć mu... Właściwie sama nie wiedziała, co chciała mu powiedzieć. Jasnym było przecież, że nie mógł żadną miarą zgodzić się na wyjazd do Petersburga, choćby mu przyszło z domu uciekać.

Oleś był w sieni. Siedział na stopniach schodów, prowadzących do jego salki. Głowę wtulił między kolana, a obie garście zatopił we włosach; wyglądał rozpaczliwie i zabawnie. Fela zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać. Stała tuż przy nim i namyślała się, od czegooby zacząć budującą przemowę. Oleś sam ułatwił jej zadanie:

— Panna Fela sama widzi, jakie ja mam ciężkie życie.

Fela pokiwała głową. Pomieszany, prawie nieprzytomny wyraz twarzy Łuczkowej stał jej uporczywie w oczach. Nie widziała wyjścia z labiryntu poplątanych obowiązków. Zdecydowała się wreszcie na bladą perswazję.

— Ja wiem, że Olesiovi ciężko, ale obowiązkiem naszym jest być posłusznym rodzicom. Przecież rodzicom się sprzeciwiać — to śmiertelny grzech.

— A w Petersburgu zmoskwiczyć nie zbrodnią wobec ojczyzny?

— Dlaczego zmoskwiczyć, Olesiu? I w Petersburgu dobrzy Polacy żyją.

— Jacy oni tam dobrzy! Pan Malewski opowiadał nam, jak to jest. Zresztą tu, w kraju ludziesą nadewszystko potrzebni. A ja tam zginę bez przyjaciół, bez ich podpory i rady, sam między obcymi... I to matka rodzona w takie tarapaty mnie wprowadza! I to matka!..

Fela usiadła przy nim na schodach i położyła mu rękę na ustach.

— Cicho, Olesiu, nie można tak o matce... Ona chce jaknajlepiej. Widziałam dopiero co, jak rozpacziała biedaczka. Zawsze rodzice chcą jaknajlepiej dla swoich dzieci — mówiła sentencjonalnie, podnosząc oczy na przeciwległą ścianę, jakby tam szukała dalszych argumentów. Oleś burknął rozpaczliwie.

— Wszystko jedno. Ja i tak nie pojedę. Związanego jak barana przecież mnie nie powiozą.

— A jak pan sowietnik odmówi dalszej pomocy?

— To będę dawał lekcje. Pan Łoziński mnie pomoże. Felu, ja znam, co obowiązek. Proszę o mnie źle nie myśleć. Ale matka-ojczyzna bliższa być ma od matki rodzonej. Pan Jeżowski mówił... Nie wolno nam w Rosji marnować sił, bo niewiadomo kiedy będą potrzebne... A tu rodzona matka nakazuje...

Zamilkli oboje. O spadzisty dach sionki bębniły twardo śnieżne krupy, wiatr wył dziwacznie na strychu, brał falsetowe, niesamowite tony. Było smutno i straszno.

Na szczęście wewnątrz domu rozległ się przenikliwy głos Anielki i ocalił Felę przed rozpaczliwym wybuchem płaczu. Aniela wsunęła głowę przez uchylone drzwi i wpuściła za sobą cały snop ciepłego, zbawczego światła z kuchni.

— Co ty tu robisz? Ach, i Oleś tu jest? Pan

Teodor nam mówił, że ciebie głowa boli i spałaś podobno? A my bawili się u Łukaszewiczów. Pan Teodor tam jeszcze pozostał. No, chodź, już późno. Welka boi się bury.

XIV

Odtąd Oleś Łuczko miał w domu ciężkie życie. Po gwałtownej rozmowie, której Fela była mimowolnym świadkiem, pani Łuczkowa nie odzywała się prawie do syna. Z wielką usilnością wybłagała to sobie u Ławrynowicza, że nie interwenjował, że pozostawił sprawę w zawieszeniu, ale tym bolesniejszą urazę czuła do Olesia. Ubrała się w pancierz lodowatości i nieprzystępności, nie odpowiadała chłopcu na poranne i wieczorne pozdrowienie, udawała, że go nie widzi. Chciała w ten sposób zgnębić go i skruszyć, doprowadzić do ustępstw, a może zupełnej uległości, a tymczasem osiągała skutek wręcz odwrotny. Oleś czuł, że skruszyłyby go łzy i prośby, tych bał się najbardziej. Na wzgardliwe milczenie odpowiadał milczeniem, ani wiedząc, jak ciężko przychodzi matce jej rola nieubłaganej matrony. Jej z wszelką pewnością atmosfera domowa ciążyła bardziej niż jemu. Olesiuwoni poniekąd do smaku przypadła sytuacja gnębionego przez srogą rodzinę bohatera. Drapował się sam przed sobą w romantyczną boleść nad nieczułością matczyną, a cicha, ale stanowcza aprobata Łozińskiego podtrzymywała go na duchu. Łoziński w dalszym ciągu dawał Olesiuwoni przyjacielskie repetycje i przychodził regularnie co drugi dzień, niczym się nie zrażając, chociaż Łuczkowa traktowała go już teraz wręcz niegrzecznie, a Anielka, strzeżona przez matkę, rzadko kiedy mogła z nim porozmawiać.

Tak mijał adwent i zbliżało się Boże Narodzenie. Przyszedł jeden dzień bardzo śnieżny i wyiskrzony. Niebo nabrało lipcowej modrości, złote iskry na śniegu imitowały jaskry i kaczeńce, brakowało tylko zieleni na ziemi. Mróz ścisnął w nocy, aż płoty na przedmieściach trzeszczały, śniegu w bocznych zaułkach było po kolana.

Około jedenastej ranej Oleś rwał z kopyta na Śnipiszki. Miał odnieść z polecenia Zana jakieś książki filomacie Kozakiewiczowi. Kozakiewicz mieszkał u pewnej wdowy przy Kalwaryjskiej drodze; idąc tam, mijano się kościół świętego Jerzego, a więc, tym samym, okolice pensjonu Deybellów. Oleś nie mógł powstrzymać się od pokusy zбочenia w wijący się między sadami zaułek. Od czasu pamiętnej rozmowy w sieni czuł dla Feli wielką siostrzaną serdeczność. O tej porze panny zazwyczaj szły na spacer. A nuż ją zobaczy? Będzie mógł ukłonić się uprzejmie i gorącym spojrzeniem zapewnić o swoim wieczystym oddaniu. Może jej to sprawi przyjemność? Ostatnimi czasy była ciągle smutna.

Mróz szczypał nieźle. Oleś co chwila zdejmował rękawice i rozcierał sobie uszy. Na wąskiej uliczce wiśniowe i jabłonne sady drzemały, obwalone wielkimi czapami śniegu. Niskie dworki parterowe kryły się za ich gałęziami jak za białą kratą. Jeden z tych dworków był piętrowy i nieco naprzód wysunięty, tak że okien jego, grających złoście w słońcu, żadne drzewo nie przesłaniało. Tu właśnie mieszcili się Deybellowie ze swymi pupilkami.

Oleś, udając, że ma tutaj jakiś sobie tylko wiadomy interes, szedł drugą stroną zaułka; połykał się w głębokim śniegu i za każdym krokiem pozostawiał za sobą nalane błękitem ślady. Wyminął

już dworek Deybellów i przystanął pod murem przykościelnym, zdumiony niezwykłym widokiem.

Przed Deybellowskim gankiem stały czarno lakierowane sanie, przystrojone niedźwiedzim fartuchem, zaprężone w trójkę karych koni. Na koźle nie było nikogo, a konie, tuż przy pysku, trzymał rosły „dieńszczyk“ w wysokiej futrzanej bermycy. Oleś postanowił sprawdzić, co to ma znaczyć.

Postawił kołnierz swojej mizernej czujki, kapelusz wcisnął na oczy, przykleił się całkiem do muru i czekał, co dalej będzie.

Na razę nie było nic, tylko konie były kopytami w śnieg, że pryskał na wszystkie strony, a „dieńszczyk“ uciszał swój zaprząg przeciągłym, nieartykułowanym postękiwaniem.

Nagle chmara wróbli, uwijających się między końskimi nogami, furknęła hałaśliwie na mur. Drzwi stuknęły, przepuszczając parę osób, schodzących z ganku. Przodem szła służąca Werusia z kluczem od furtki w zgrabiałej łapie, za nią jakowaś piękna dama futrzasta i toniasta, obok damy, w narzuconej naprędce salopie, Deybellowa cała w dygach i słodkich uśmiechach. Przeginała się wdzięcznie, krygowała się szczebiotliwie, mizdrzyła się, aż obrzydliwość brała, do ognistookiej damy. Za nimi szedł rotmistrz Pełskij, Oleś byłby go w piekle rozpoznał, chociaż widział raz tylko i przez krótką chwilę. Na samym końcu szła Fela w popielicowej szubce i z miną nito strapioną, nito skonfundowaną... Oleś zdębiał tak, że ruszyć powieką nie byłby potrafił. Huczało mu w głowie i pulsa była gwałtownie; był tak wściekły, że aż czerwone płomienie tańczyły mu przed oczami po śniegu.

Tymczasem dziwaczne towarzystwo lokowało się w sankach. Futrzasta dama usadziła Felę obok

siebie, a rotmistrz Pełskij otulił je obie swoim fartuchem niedźwiedzim. Potem odebrał lejce od „dieńszczyka“, wskoczył na kozioł, „dieńszczyk“ uczeplił się z tyłu, na płozach. Futrzasta pani obróciła się i skinęła ręką pozostającej na ganku Deybellowej. Fela przez cały czas miała głowę nisko spuszczoną, nie patrzyła na prawo, ani na lewo, nie dostrzegła Olesia, stojącego na boku, pod murem. Rotmistrz Pełskij „giknął“ przeraźliwie, konie porwały się z miejsca tak gwałtownie, że sanki podskoczyły na łokieć w górę, a strojna dama wydała boleśnie omdlewający krzyk. I kłęb śnieżnego pyłu przesłonił wszystko.

Oleś chwilę postął na miejscu, a potem ruszył zwolna w stronę Zielonego Mostu. Po drodze pytał sam siebie, czy mu się nie przyśniło? Czy istotnie Fela Micewiczówna, promienista Feli, pojechała sobie na spacer z tą podejrzaną damulką i z jej moskiewskim kochankiem? Jeśli to nie był omam, to była zdrada. I nie tylko zdrada miłosna wobec Zana, ale stokroć gorsza, zdrada zasadnicza, zdrada promienistości, na której zakładała się przyszłość ojczyzny, nauki i cnoty. A nadomiar złego, straszliwy przykład, płynący z góry, ze szczytów, skąd się czegoś podobnego nikt nie spodziewał.

Oleś nie uświadamiał sobie wystarczająco jasno wszystkich konsekwencji, wypływających z postępku Feli. Raczej czuł to całym sobą, ale czuł dobrze i cierpiał niewymownie.

Noga za nogą włókł się ulicą Wileńską do Zielonego mostu, potem wybrnął na Kalwaryjską drogę, przy której, już dobrze za miastem, odnalazł kwaterę Kozakiewicza.

Aż do tej chwili Oleś nie namyślił się dostatecznie nad ważnym zagadnieniem: jaki jest teraz jego

obowiązek? Głęboko zmieszany, oddał książki panu Stanisławowi, nie dosłyszawszy nawet dobrodusznego ofuknięcia: zaco tak późno? i odmówiwszy szklan-ki herbaty na rozgrzewkę, o której marzył przecie całą drogę.

Zatopiony w myślach po uszy, wędrował z powrotem do miasta.

Odrązu postanowił, że nie zatai tego, co widział. Pod tym względem nie miał nawet żadnych wątpliwości. Nie wiedział tylko, do kogo się z tym udać? Najłatwiej byłoby do Czeczota, ale Czeczot nie powrócił jeszcze z Warszawy. Malewski dziś-jutro miał wyjechać na wojaż zagraniczny, nie godziło się utrudzać go w ostatniej chwili. Do Jeżowskiego iść Oleś nie śmiał. Pozostawał chyba Adam? Cóż byłoby w tym niewłaściwego? Adam z pewnością przejmie się sprawą Zana jak własną i poradzi, co robić dalej. Ale pójść tak sobie, ni z tego ni z owego, do Adama? Tak popro-
stu zapukać do jego drzwi? Rzecz niełatwa. Gdybyż jakaś wskazówka... jakiś znak...

Tuż za mostem babina, brudna i łachmaniasta, potknęła się nieostrożnie na grudzie. Z naddartej torby, wypadł kawał czarnego chleba; sięgała po niego niezdar-
nie, ślizgając się po gołoledzi, a mijający paniczek, z psich figłów odsunął chleb laseczką, raz i drugi. Staruszka nie śmiała warknąć na panicza; schylała się coraz niżej, już prawie stawała na czworaki, ku wielkiej ucie-sze zbierającej się błyskawicznie gawiedzi. Oleś skoczył naprzód, porwał chleb i oddał zdumionej babie. Paniczek uśmiechnął się ironicznie, jakiś star-szy mieszczanin coś powiedział z uznaniem, baba za-częła głośno błogostawić:

— Niechaj tobie Pan Bóg spełni twoje życzenia.

Tak, to był właśnie znak. Oleś ruszył ostro przed siebie, depcząc energicznie chrzęszczący śnieg. Złapał

oddech dopiero pod drzwiami Adama. Tu przez chwilę zbierał odwagę do kupy, nim zapukał, drżąc w sobie i czując w uszach przykre palenie.

XV

Adam odwrócił się razem z krzesłem ku wchodzącemu Olesiovi. Miał jak zwykle nieodstępną lulkę w zębach i przyglądał się intruzowi ze ściągniętymi brwiami. Zdawał się go nie poznawać.

Oleś dostrzegł z przerażeniem, że na stole leżał papier, pocięty na ćwiartki. Znaczyło to, że Adam pisał. Oleś wtargnął tedy do Adama w chwili najmniej stosownej. Wiadomo było, jak Adam tego nienawidził; w takich chwilach jeden tylko Czeczot miał do niego wstęp. Świadomość popełnionego nietaktu sprawiła, że Oleś zgubił cały przygotowany po drodze zapas słów. Stał teraz bezradny, z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała, tylko językiem zwilżał zaschnięte wargi.

Mickiewicz chwilę popatrzył na niespodziewanego gościa i odezwał się pierwszy z nieukrywaniem rozdrażnieniem:

— Kto ty jesteś, chłopcze? kto ciebie tu wpuścił? czego chcesz?

Oleś poczuł z rozpaczą, że mu łzy napływają do oczu. Ale nie mógł w żaden sposób rozplakać się wobec Adama. Ogromnym wysiłkiem woli przemógł onieśmielenie i powiedział swoje nazwisko, oraz okoliczności, towarzyszące obrządkowi wręczenia pierścionka, na wiosnę, w Górach Pacowskich. Adam przypomniał sobie wszystko na podziw szybko, rozpogodził się znacznie i zapytał o wiele łagodniej:

— A co ciebie do mnie sprowadza? Ale siadaj tu, przy piecu, a ja stanę sobie tutaj, pod piecem Tak le-

piej będzie rozmawiać. Tylko gadaj prędko, a krótko, bo to, widzisz, jestem zajęty.

Oleś usiadł, gdzie mu kazano i z rozkoszą oparł nogi o żelazne drzwiczki pieca. Ciepło przywróciło mu utraconą równowagę. Począł opowiadać: z początku płątał się z gorączkowego pośpiechu; potem, w miarę jak Adam słuchał coraz uważniej, opowiadanie olesio- we nabrało ścisłości, jasności, aż cała sytuacja zary- sowała się dostatecznie wyraźnie, wyłożona jak na dłoni.

Adam chodził po stacji tam i z powrotem, z rękami w kieszeniach. Lulka mu wygasła, położył ją na stole. Jeszcze chwilę chodził, aż zatrzymał się przed Olesiem.

— No, to źle.

— A źle — przytwierdził Oleś, komicznie mru- gając oczyma.

— Ale nie trzeba nic mówić Tomaszowi.

— Ja właśnie poto, żeby zapytać Adama...

— To dobrze. Nie mów nic. Poco jemu przyspa- rzać boleści?

— Miałem to sobie za obowiązek przyjacielski.

— Obowiązek? — Adam uśmiechnął się lekko. — Czy ty wiesz, jak boli zdrada ukochanej sercem isto- ty? A może to jeszcze nie zdrada? Nie znamy wszy- stkich okoliczności.

Oleś pozwolił sobie upierać się przy swoim.

— Ale bo to nakazem przyjaźni, żeby przed przy- jacielem nie ukryć niczego, nawet jeżeli mu się ból sprawi.

Adam wzruszył ramionami.

— U mnie, mój mały, szczerłość na tym zależy, żeby nie zataić przed przyjacielem tego, coby mu za- tajone, szkodzić mogło, albo, wyjawicne, dopomóc. Tutaj nic niema, coby dopomogło, a zaszkodzi z pew-

nością wyjawienie. Spolanieje nam pan Tomasz, odstrychnie się od pracy... Wierzaj mnie, jeżeli jest zdrada, aż nadto rychło Tomasz sam się o niej dowie. Brzydka to rola — być krukiem i nosić złe wieści.

Oleś słuchał, patrząc pilnie Adamowi w oczy.

— Dobrze. To ja już nic panu Tomaszowi nie powiem. A teraz pójdę, bo ja przeszkodziłem.

Chyłkiem wymanewrował tak, że znalazł się koło stołu i usiłował zerknąć jednym okiem na porozrzucane ćwiartki, pokryte nierównym, nieczytelnym piśmem, pokreślone, jak zadanie złego ucznia. Adam zauważył ten manewr, sięgnął na półkę i rzucił zręcznie jakiś gruby tom, przykrywając całą pisaninę. Oleś westchnął cichutko, skłonił się głęboko, jak profesorowi i ruszył ku drzwiom. Już był w progu, gdy Adam zawołał za nim:

— A nietylko przed Tomaszem, przed innymi zachowaj także wielkie: cyt! Ani słówka nikomu, nawet Janowi, kiedy wróci!

Oleś skinął głową na znak, że rozumie i wysunął się do przedpokoju. Na schodach zderzył się z Edwardem Odyńcem, który zmierzył go od stóp do głowy, zdumiony i gniewny.

— Co ty tu robisz? Do Adama nie wolno, on pisze o tej godzinie.

— Wiem, że pisze, bo właśnie z nim rozmawiałem — odpowiedział flegmatycznie Oleś.

Edwardek otworzył usta jak wrota od gumna.

— Roz-ma-wia-łeś? Ach, gdybym wiedział! Pośpieszyłbym się i nie wpuścił.

Teraz z kolei Oleś zmrużył oczy.

— Tybyś mnie nie wpuścił do Adama? A to jakim prawem?

— A takim, że ja zawsze pilnuję jego drzwi, kiedy on pisze. Polecił mnie to raz na zawsze.

— Taaak? I bardzobyś źle zrobił, gdybyś mnie nie wpuścił. To była arcyważna sprawa.

Edwardek zdawał się ogromnie zafrapowany.

— Adam długo z tobą rozmawiał?

— Tyle, ile było potrzeba.

— Dobryś. A o czym takim?

— Adam zakazał mówić.

— No, proszę. To sam mnie powie. Zawsze o wszystkim mnie mówi.

— To już nie moja rzecz.

Oleś począł schodzić na dół, ale Edwardek poszedł za nim aż na ulicę.

— Jeżeli Adam pisze, to i ja jemu nie będę przeszkadzał. Gdzie ty mieszkasz? Odprowadzę ciebie.

Oleś spojrział zdumiony. Od pierwszej chwili poznania, na majówce w Górach, obaj benjaminscy filareccy nie lubili się wzajemnie. Edward docinał gdzie mógł i jak mógł wyimaginowanemu rywalowi, Oleś ustępował i trzymał się jaknajdalej. I teraz niechętnie przyjął narzucone towarzystwo, ale nic nie pokazał po sobie, zmusił się nawet do uprzejmego podziękowania Edwardowi.

Podejrzliwość okazała się uzasadnioną. Odyniec wszelkimi sposobami starał się wyciągnąć Olesia na słówka. Obok ciekawości paliła go zazdrość: co ten błazen mógł mieć za tajemnice z Adamem?

Tak kierował rozmową, by wybadać szczęśliwca, który najwidoczniej pragnął wkraść się w łaski Adama i kto wie, czy nie był do tego na dobrej drodze? Oleś wszystkie natarcia odpierał monosylabami, nieartykułowanymi mruknięciami, a przed swoim domem pożegnał Edwardka, nie zapraszając go nawet, by wstąpił na chwilę.

— Gbur — powiedział sobie Edwardek, wracając

ku miastu; — a taki ja wiedzieć będę, co on tam knuje.

Od tego dnia Edwardek zmienił zupełnie taktykę. Stał się nagle przyjacielem czułym i wylanym, prawilł komplementa w oczy i za oczy, nawet wysuwał na-przód dotychczasowego wroga na zebraniach błękitnego grona. Powoływał się w dyskusjach na Ole-siowe zdanie i chwalił nadmiernie pisemka i próbki wierszyków, które Oleś, choć jurysta, popełniał pra-cowicie, hołdując obowiązującej modzie.

Pomału Oleś czuł się tym coraz bardziej ujęty. Coraz życzliwiej spoglądał na Odyńca i nieraz wda-wał się z nim w długie rozmowy, w których zresztą nie było nigdy wspomnienia o spotkaniu przy drzwiach Adamowych.

Coś na parę dni przed świętami Bożego Narodze-nia Edwardek wpadł do Olesia z wielką nowiną: oto w tym roku imieniny Adama, tak zwane „Adamo-we“, które odprawi się jak zwykle w oktawę imie-nin, będzie bardziej powszechne. Oprócz starszych i najbliższych przyjaciół Adama, zaproszeni będą na fetę niektórzy filareci. On, Edwardek dowiedział się o tym przypadkowo. Szczerze mówiąc, to posłyszał przez drzwi, jak Zan rozmawiał z Wincentym Budre-wiczem. Był u Zana, z przedpokoju dosłyszał głosy i zanim zdążył zapukać — dowiedział się o co chodzi. On zdawna podejrzewał, że odbywają się takie fety, ale starsi nigdy dotąd młodszych nie zapraszali. I te-raz niema się co łudzić. O dziesiątej udadzą, że wszy-stko się już kończy, żeby wyprawić pierwszorocznia-ków i zostać przy najpełniejszych kielichach i naj-weselszych piosenkach. Ale dobrze i tak.

— Jeżeli chcesz, to ciebie tam zaprowadzę — mó-wił trochę protekcjonalnie — bo ja napewno będę. Słyszałem, jak Zan wymienił moje nazwisko. „Można-

by dopuścić Odyńca, to dobry chłopak“, tak powiedział. No, myślę, że sobie na to wyróżnienie zasłużyłem. Uwijam się koło Adama, jak mogę: kupuję mu papier, tytuń, bułki do kawy, czego ja za niego nie załatwiam! On nienawidzi wchodzić do magazynu. Więc już obiecuję tobie: wydobędę dla ciebie zaproszenie. Będzie na okrągłym karteluszu, bo Zanowiada, że rogi wszeteczne.

Natrajkotał, ile wlaźło i pobiegł, zostawiając Olesia oszołomionego, ale i do głębi wzruszonego takim dowodem pamięci. Zaproszenie na Adamową fetę było zaszczytem prawie nieosiągalnym bez jakichś specjalnych zasług lub przywilejów. Edward miał niezaprzeczane stosunki wśród starszyny, słusznie, czy niesłusznie, był przez nią dobrze widziany. A stanowczo jego osławiona zawiść i złośliwość straszyla tylko pozorem. W gruncie rzeczy, dobry kolega, zasługiwał na szczerą przyjaźń.

A przydałby się przyjaciel-rówieśnik, taki, którego nie trzeba we wszystkim słuchać i nieustannie szanować, taki własny, jakim Zan jest dla Jeżowskiego, czy Mickiewicza, a jakim dla niego, Olesia, nigdy być nie może.

XVI

Deybellowa zmusiła Felę do „wszetecznej“ przejażdżki, a zrobiła to pod presją Karoliny Sulistrowskiej.

Sulistrowska zauważyła już oddawna, że zainteresowanie się rotmistrza Pełskiego Felą Micewiczówną przeszło w żywsze i tkliwsze uczucie. Jako dama wielkiego świata, więc pozbawiona gminnej gwałtowności uczuć, nie zrobiła kochankowi ani jednej sceny,

wezbraną gorycz wylewając na swoje pokojówki i garderobiane. Chytrze udała chorą i zamknęła drzwi swojemu „gołąbkowi“ na cztery dni, ale on pod drzwiami nie wzdychał, pod oknem na bałajce nie grał, tylko przysłał cukry i billet doux, w którym prosił swoją „duszeńkę“, by dbała o siebie i, broń Boże, przez wzgląd na niego nie przerywała kuracji.

Wówczas piękna Karolina chwyciła się innego sposobu.

Wydrowiała coperdziej i uczyniła najwyższą łąską Pełskiemu, zjawiwszy się, omotana w chusty i wale, w jego kwaterze. Tam w czułym sam na sam wzięła go na spytki, nic mu nie wyrzucając, przeciwnie, wypytyjąc zgoła po siostrzanemu. Zapewniła, że jej o nic nie chodzi, jak tylko o jego szczęście, że nie jest wcale zazdrosną. Mój Boże, wiosna zimę zmienia, a lato znów wiosnę. Przyjdzie czas i lato zwiędnie pod chłodnym tchem jesieni. Tout passe, tout casse, tout lasse... Najwonnejsza róża uschnąć musi, najgorętsza miłość przemija. Ona nie ma żalu do swojego Arkaszy, owszem, dziękuje za wszystkie dobre chwile i żąda tylko odrobiny przyjaźni. To chyba nowej pani jego serca uszczerbku nie przyniesie? A na dowód szczerości swoich zapewnień z duszy rada mu dopomóc.

Pełskij rozculił się do łez, unosił się nad wspa- niałomyślnością cudnej Karoliny, odtrącał jej ofiarę, kłął się na blask księżycy, ale w końcu runął jej do stóp i przyznał się do szalonej, gwałtownej, chłopięcej zaiste, miłości.

Pani Karolina zagryzła wargi do krwi i przez długą chwilę milczała, zanim zdobyła się na spokojny ton głosu. Potem pogłaskała bujną czuprynę Arkadiusza i, z doskonale udanym współczuciem, zapytała go, co zamierza robić? Fela nie jest mężatką, nie

jest też damą z wielkiego świata; jest cnotliwą pa-
nienką z zacnej rodziny, a takie...

Arkadiusz przerwał zapewnieniem, że marzy o ślubnym kobiercu. Tego było nadto dla pani Karoliny. Poruszona do głębi, zastanowiła się na mgnienie, czyby jednak nie dostać spazmów? Rozmyśliła się przecie i tylko trochę drżącym głosem poprosiła „go-
łąbka“ o czas do namysłu, w jaki sposób najskutecz-
niej dopomóc mu potrafi.

Wieczorem, zamknąwszy się w swoim buduarze, wytarzała się po dywanie i wykrzyczała do syta, mając za jedynych świadków cztery własne odbicia w czterech olbrzymich zwierciadłach zdobiących ściany. A nazajutrz zrana, zastanowiwszy się spokoj-
nie, zdecydowała się wziąć na siebie rolę swatki.

Ani wątpiła, że rodzice Feli przyjmą z otwartymi rękami zięcia oficera gwardii, zamożnego i będącego na drodze do najlepszej kariery. Małżeństwa Polek z Rosjanami zdarzały się zbyt często, by pani Sulistrowska mogła w tym widzieć jakowąś nieprzyzwo-
itość. Alboż Andrzejkowiczówna nie wyszła w swoim czasie za Benningsena, a teraz, ostatnio, Walentyno-
wiczówna za Zubowa? Pani Karolina doszła do wniosku, że małżeństwo Feli z Peńskim będzie dla wszy-
stkich najlepszym wyjściem. Niechże się tylko tych dwoje pobierze, ona młodziutką małżonką opiekować się zacznie jako swatka i męża dawna znajoma. Wpro-
wadzi niedoświadczoną na wileńskie salony, będzie jej szapronować, nauczy bawić się i brylować. A jak tylko Peńskij znudzi się żoną, (stanie się to niezawod-
nie, mała jest tak bardzo insignifiante), pani Karo-
lina będzie w pobliżu i znowu nim zawładnie. Małej podsunie się na pociechę jakiego dorzecznego ko-
chanka. Zawsze się ktoś taki znajdzie... główna rzecz — ułożyć mariaż.

I pani Karolina zaczęła działać.

Przede wszystkim odnowiła zwietrzałą oddawna znajomość z panią Albiną Deybellową, pograżając tę ostatnią w niezmierną głębi zachwytu.

Pani Albina Deybellowa, przy wielkich swoich zaletach, miała jedną niemałą wadę: pokorne, niewolnicze uwielbienie dla możliwych tego świata.

Wielki świat... salony... assamble, stosunki i znajomości z dygnitarzami, z utytułowanymi, z profesorami i sławami, to było jej beznadziejne, nadaremne marzenie od najmłodszych, najbardziej uroczych lat.

Napróżno przyciągała do swojego pensjonatu panny z najznacniejszych domów obywatelskich, ich rodzice nie nawiązywali nigdy z nieszczęsną przełożoną stosunków towarzyskich. Przyjeżdżali po swoje córki, z pańską uprzejmością dziękowali za naukę i opiekę, płacili należność i tyle.

Nigdy żadnych zaproszeń, nigdy żadnej bezinteresownej wizyty. Nie pomagały podwieczorki urządzone z okazji dorocznego popisu. Panie-matki piły kawę, zjadały natykane konfiturą ciasteczka, ale żadnej z nich nie przyszło na myśl przysłać kiedy ze swej strony inwytację.

Dlatego wizyta pani Sulistrowskiej wstrząsnęła właścicielką pensjonatu do głębi. Rozpromieniona, rozgorączkowana wypadła do przedpokoju, wołając głośno dziewczek służebnych, wzywając męża. Rozkazywała jednocześnie: ściągać pokrowce z mebli w bawialni, gotować kawę i zdejmować z gościa okrycie, aż obie dziewczki, Werusia i Michasia, dreptały w miejscu, oszołomione, nie wiedząc od czego zacząć, a pani Sulistrowska stała na środku przedpokoju, opatulona w szubę, unieruchomiona jej puszystym ciężarem i śmiała się srebrzyście.

— Ja tylko na chwilkę zajrzałem, Albisiu moja luba, nie róbże sobie tyle subjeckji — powtarzała rozbawiona, nie mogąc dojść do ładu z miotającą się wciąż Deybellową. Sytuację uratował dopiero pan domu: pomógł pięknej Karolinie wywikłać się z chust, futer i szalów i dożeglować szczęśliwie do sakramentalnej kanapy pod lustrem. Zaraz i serwis kawiany znalazł się na stoliku wraz ze świeżym ciastem, pachnącym tak pięknie, że kapryśna dama zatopiła z przyjemnością białe jeszcze ząbki w chrupiącej bułeczce.

Pan Deybell został rychło wyprawiony za drzwi: — bo my tu o swoich, kobiecych sprawach pogadać chcemy. — Wycofał się więc wśród ukłonów, a obie damy pochyliły ku sobie głowy, przyczym dobrze już szpakowata Deybellowa z bolesną zazdrością spojrzała na krucze kędziory mało co młodszej Karoliny.

Pani Sulistrowska śpieszyła się zawsze, na całej Litwie była z tego znaną. I teraz w gwałtownym pośpiechu wyjaśniała cel swego przybycia. Pani Deybellowa słuchała z zapartym tchem, chłonęła każde słowo. Pierwszy to raz, jak „pesjon pensjonem“, zdarzyły się w nim swaty, a tu jeszcze w roli swatki występowała jedna z najpiękniejszych, najzamożniejszych litewskich dam. Było się nad czym zastanowić. Przedmiot swatów zaskoczył trochę Deybellową. Micewiczówna? Ależ to jeszcze błaźnica, nie ma siedemnastu lat. Podobno rodzice wcale jej jeszcze wydawać nie myślą.

Pani Sulistrowska oburzyła się na ten argument.

— Co ty mówisz, maszerciu! ja w jej wieku byłam już dawno zamężna.

— Tak... ale...

— Rodzice zdecydują, zgoda, ależ ty, przełożona,

musisz także mieć wpływ na rodziców. Alboż nie masz?

Deybellowa energicznie przytwierdziła. Oczywiście, że zawsze miewa wpływ na najpoważniejsze nawet decyzje rodziców swoich wychowanek, ale właśnie dlatego nie może nadużywać... zwłaszcza w sprawie tak intymnej... Karolińcia powinna zrozumieć...

Owszem. Karolina rozumiała doskonale, że Deybellowej kawaler wydaje się cokolwiek... żenującym. Małżeństwa mieszane wprawdzie z darzały się dość często na Litwie, ale zawsze w specjalnych okolicznościach. I tak: Zubow — to był bądź co bądź Zubow: książę, magnat i bogacz. A cóż Pełskij? Co ma na ozłocenie dziegciu?

Ale pani Karolina nie łatwo traciła werwę. Z wielkim ogniem poczęła dowodzić załęcznionej Deybellowej, jaki to piękny młodzieniec ten Pełskij, jak szlachetnych i wzniosłych uczuć, jak jest dobrze widziany u dworu, jak go tu, w Wilnie, wielki książę Mikołaj Pawłowicz wyróżnia, i jak rodzice Feli z pewnością będą zachwyceni takim zięciem. Bo cóż Micewiczówna? Entre nous uboga szlachcianka, no, nieszpeta, ale też i nie piękność żadna. A ojciec podobno na dzierżawie siedzi? Nie? Na własnej wiosce? Wszystko jedno, wioszczyna z pewnością niewielka, inaczej coś byłoby słychać o tych Micewiczach. Niezaprzeczenie Deybellowa zrobi chrześcijański uczynek, jeżeli tej sprawie dopomoże. A najlepiej żeby się młodzi porozumieli, zbliżyli, lepiej poznali... Tym końcem pani Karolina proponuje małą szlichtadę; weźmie Felę pod swoją opiekę; jest przez nieboszczyka męża jej daleką powinowatą, coś prawie jakby ciotką. Deybellowa może być zupełnie spokojną. Wspomniała mimochodem, że Dominikowa Radziwiłłowa, jadąc ze starszą córką na całą zimę do Paryża, chcia-

łaby młodszą umieścić w jakimś porządnym „pensjonie“. Pani Karolina mogłaby poradzić księżnej... O tak, poradziłaby z najczystszym sumieniem, wie bowiem jaka macierzyńska opieka...

Deybellowej oczy wyszły na wierzch. Zadławiła się spazmatycznym okrzykiem zachwytu. Pomimo całego nieprawdopodobieństwa tego rodzaju zamiarów księżnej, wdowy po największym magnacie litewskim, dała się złapać na wędkę. Obiecała Sulistrowskiej swoje najgorętsze współdziałanie.

Nie było to rzeczą łatwą. Deybellowa czuła niejakie wyrzuty sumienia, wiedziała doskonale, że egzaltowany patriotyzm Feli nie pozwoli jej nigdy sprzyjać takiemu małżeństwu, nawet gdyby rodzice dali się uwieść korzyściom, które z pewnością od pani Sulistrowskiej były znacznie przesadzone. Pozatem małżeństwa z Moskałami, ludźmi pod cienką powłoką salonowej ogłady ukrywającymi zazwyczaj dziką nieokrzesaność, małżeństwa takie rzadko bywały szczęśliwe. Właśnie świeżo Walentynowiczówna była tego przykładem. Pani Deybellowa lubiła Felę, życzyła jej jaknajlepiej... ależ pierwsza miłość od siebie. A nuż Sulistrowska naprawdę ściągnie Dominikównę Radziwiłównę?

Co sama Sulistrowska w tym miała, by małżeństwo Pełskiego i Feli kojarzyć tak gwałtownie, nad tym Deybellowa, znająca dokładnie plotki wileńskie, wolała się nie zastanawiać. Dużo zato myślała, jak zacząć wstępne pertraktacje z Felą? Ogarniało ją niezrozumiałe, urytujące onieśmieszenie; próbowała kilka razy i nic nie doprowadziła do końca. Doczekała się przyjazdu Sulistrowskiej z Pełskim, a sprawa jeszcze nie była załatwiona.

Zmieszana, a przez to rozgniewana, Deybellowa przeprosiła gości i poszła do pokoju, gdzie panny po

ranych lekcjach, oczekiwały na obiad. Tu odeszła wszystkie do jadalni, Felę usadziła przy sobie na sofce, objęła ją i ze sztuczną czułością poczęła tłumaczyć:

— Moja duszo, tu przyjechała pani Sulistrowska... Znasz ją za dobrą znajomą i nawet daleką krewną twoich rodziców. Ona się bardzo tobą interesuje. Deranżowała się właśnie dla ciebie, by cię przewieźć na szpacjer... szlichtadą... macie zjeść obiad w Zakręcie... Ja z duszy zezwalam, jeżeli ty chcesz i zwalnam ciebie z popołudniowych lekcjów.

Fela poczerwieniała z uciechy i dygnęła Deybellowej, gubiąc się w myślach, co strzeliło do głowy obojętnej dla niej zawsze pani Karolinie? Że była jej jakąś tam przyszywaną ciotką? To nie tłumaczyło niczego. Dotychczas, spotykając Felę u wspólnych dalekich krewnych, albo u Wysogierdowej, nie przejawiała w niczym familijnych sentymentów. Cóż więc teraz?

Deybellowa podniosła się z krzesła. Uciecha Feli przywróciła jej całą pewność siebie.

— Idźże się przebrać. A weź tę lepszą, aksamitną szubkę. Włosy przygładź... i włóż sukienkę kremową z czarnym paskiem. Bo to widzisz — poczęła mieszać się na nowo—będziecie miały... hm... kawalera... Rotmistrz Pełskij asystuje pani Sulistrowskiej... bardzo godny kawaler, chociaż, tego... hm... Moskal. Nie każdy Moskal to zaraz dziki zwierz, nie trzeba egzagerować — dodała, widząc wyraz twarzy Feli. — Wszystko to panazanowe niewczesne nauki.

Fela podniosła na Deybellową zdesperowane oczy.

— Jeżeli pani dobrodziejka pozwolisz, ja lepiej nie pojedę, najuniżeniej wpierw przeprosiwszy panią Sulistrowską i podziękowawszy za łaskawość... Ja lekcjów na jutro nie umiem... i głowa mnie boli...

Deybellowa zmarszczyła brwi.

— Od lekcjów, moja kochana, ja ciebie zwalnię, a ból głowy właśnie na szpacjerze przeminie. Ja nie mogę zezwolić, żeby pani Sulistrowska fatygowała się napróżno. Proszę mnie iść zaraz się przebrać.

Wdrożona do posłuszeństwa, Fela już nie protestowała. Dała się pokornie przebrać Werusi i wyszła do bawialni, gdzie Sulistrowska z hałaśliwą czułością pochwyliła ją w objęcia, ekstazując się przesadnie nad jej urodą. Rotmistrz Pełskij skłonił się głęboko i otrzymał zato nieznaczące, sztywne pochylenie główki. Zakręcił węża i zmarszczył się; szepnął coś Sulistrowskiej, na co ta uczyniła głową gest uspakajający.

Biedna Fela ani się spodziewała, że kiedy siadała do sań, Oleś Łuczko stał na czatach pod murem kościoła świętego Jerzego. Nim zdążyła rozejrzeć się wkoło konie runęły z miejsca i poniosły ją przez śnieżne tumany. Jechali bocznymi ulicami, na ukos przez całe Łukiszki, a potem pod górę, zamiejską drogą, na gościniec wiodący do Zakrętu.

XVII

Pani Sulistrowska szczebiotała rozkosznie całą drogę, nie przejmując się zupełnie ponurym milczeniem Feli. Rotmistrz Pełskij, odpowiadając niby Sulistrowskiej, kierował tak swoimi słowami, że były one przejrzystymi, jakkolwiek nieco sztucznymi komplementami dla Feli, co Sulistrowską gniewało niewymownie. Mimo to robiła dobrą minę, a nawet próbowała bawić się zakłopotaniem dziewczyny, która rumieniła się i bladła naprzemian, udając, że czegós

pilnie wypatruje na zasłanych głębokim śniegiem łąkach podmiejskich.

Tak minęli te łąki i wjechali w wysokopienny sosnowy las. Sosny migały szybko jedna za drugą, zdawały się biec naprzeciwko sań. Fela zamknęła oczy; kręciło się jej w głowie. Postanowiła sobie solennie nie dać się wciągnąć w rozmowę i na wszystkie zagadywania Sulistrowskiej odpowiadała niewyraźnymi baknięciami. W końcu tamtych dwoje znużyło się tym i rozpoczęło ze sobą ożywioną rozmowę, zakrawającą bardzo na flirt. Rotmistrz, wesoły z natury, dał spokój trosce o nadąsaną Felę. Dziewczyna oswoi się po mału, trzeba jej dać czas. Tymczasem Karolina wygląda dziś prześlicznie. Odwracał się do niej co chwila, jakby zapominając o „maleńkiej królewnie“, jak przed minutą jeszcze nazywał Felę. Dziwna rzecz. Fela, spostrzegłszy to, poczuła mściwy żal do obojga.

Mimowoli wciąż myślała o tym, dlaczego Tomasz nie ma takich szafirowych oczu, obrzeżonych czarnymi rzęsami, ani takich białych zębów, rozświetlających prześlicznie każdy uśmiech. I o to znowu poczuła żal do nieobecnego Tomasza. Tak dziwnie plotły się jej myśli... Tak zmęczona już była tymi wewnętrznymi kłopotami... I dlaczego to wszystko na nią spadło? A jeszcze głowa boli...

Zakrętowy pałacyk, przez pół spalony za francuzów, stał pustką. Pilnujący go burgrabia za kilka rubli przygotował sutą przekąskę i otworzył pokoje w ocalałym skrzydle. Przysłany umyślnie od rana hajduczek Sulistrowskiej napalił w piecach i rozstał nienajgorzej jakieś resztki mebli. Wyglądało to nawet przytulnie.

Fela była bardzo głodna; podjadłszy sobie doskonałych rzeczy, odzyskała humor i nawet rozszczebiotała się powoli, zagrzana lampką starego węgryzna.

Uszczęśliwiony Pełskij uważał na każde słowo, na każdy ruch, aby jej nie spłoszyć. Patrzył w nią tylko zachwyconymi oczami. Fela ani się spostrzegła, kiedy zaczęła kokietować Pełskiego; z początku podświadomie, potem już trochę naumyślnie. Nie była przyzwyczajoną do wina, a tu jeszcze napiła się prosto z mrozu. Pod wpływem ognistego trunku świat wydał się jej o wiele zabawniejszy, niż przed paru godzinami, a szlichtadowa eskapada raczej śmieszną, niż groźną. Opowie o wszystkim Tomaszowi i dopieroż będą razem się śmieli. Oparła główkę o poręcz fotela i patrzyła się rozmarzona na sufit malowany w mitologiczne sceny. Sulistrowska skorzystała z tego jej rozmarzenia, by odciągnąć Pełskiego w przeciwległy róg pokoju.

— Już byłam zupełnie zdekurażowana... Nie rozumiałam: nieśmiałość panińska, czy o mnie żelozja? Ale to milczenie... to nadąsanie...

— Byłażby niechęć? — przerwał trwożnie Pełskij.

— Nie sędzę... nie sędzę... Zresztą... niechęć panińska, to śnieg majowy, nie ostoi się przed prawdziwej namiętności ogniem palącym... A ty umiesz!.. Och, słodkie i bolesne zarazem wspomnienie!.. Już pozostawmy to... pozostawmy — zakończyła szybko, widząc grymas zniecierpliwienia na twarzy Pełskiego. — Idź do niej... ja tu zostanę, przy klawikordzie... Zagram... na czułą nutę, niech ją muzyka ukołysze i na złocistych falach uniesie w twoje objęcia... I niech całun milczenia pokryje rozdarte serce biednej Karoliny—nie wytrzymała znowu. Pełskij odwrócił się szybko i odszedł do stolika, przy którym pozostawił Felę.

Usiadł w sąsiednim fotelu i już miał zamiar ująć białą rączkę, ale powstrzymał się. Z takimi cielątkami

trzeba bardzo ostrożnie. Obcesowe natarcie zrazi ją raz na zawsze. Taka forteca musi być długo oblegana.

— Jakże słodka melodia — zaczął niepewnie, wskazując Karolinę, grającą na klawikordzie. — Czy podobają się wam owe tony, mademoiselle?

Fela nie wyszła jeszcze ze swego poprzedniego nastroju; odpowiedziała wesoło:

— Nie wiem, co to jest?

— Rosyjska pieśń nadwożańska... Kołysała moje dzieciństwo.

— Wydaje się mnie być dziką i nieokrzesaną — stwierdziła kategorycznie Fela.

Pełskij zamilkł stropiony; nie wiedział, jak potraktować odezwane się panią: jako przytyk osobisty, czy jako rzeczywisty sąd o pieśni?

Fela zdecydowanym tonem ciągnęła dalej:

— Bo mnie się to zdaje straszliwie obce.. Jabym nigdy nie przywykła... Słyszysz pan rotmistrz, jak to wyje?

— U nas wichry tak wyją i Wołga tak szumi zaunywnie — powiedział nieopatrznie Pełskij. Fela wstrząsnęła się.

— Jabym ze strachu umarła. Jabym za nic mieszkać tam nie chciała... Brrr.

— Nawet z miłym — nie?

Pełskij przechylił się i zajrzał jej błagalnie w oczy. Fela poznała, że nadeszła ważna chwila i zebrała wszystkie siły.

— Ale skądże jabym miłego w tamtych stronach miała?

— A gdyby on tu przyszedł? Do nóg pani, mademoiselle?

Fela szybkim ruchem schowała nogi pod fotel.

— Ależ on byłby obcy, a kto obcy — ten niemiły. Pełskij zwiesił głowę i zamilkł. Feli zrobiło się go

zał. Przyjęcie jego zamaskowanych wyznań zdawało się jej tak samo niemożliwe, jak wycieczka na księżyc, ale zapragnęła go pocieszyć.

— Dwoje ludzi obcych sobie wiarą, obyczajem, mową, przedzielonych krwawą walką swoich narodów, nigdy szczęśliwie zejść się nie może — powtórzyła dosłownie którąś z moralnych nauk Zana, wygłoszonych kiedyś z powodu zamęścia Walentynowiczówny. — Ale ja mogę pana lubić, jeżeli pan chce.

— Lubić — Pełskij z szyderczo szatańskim śmiechem przypadł do ręki wystraszonej Feli. Pani Karolina grała ciągle i nawet nie odwróciła głowy. Pełskij mówił gwałtownie i namiętnie, jakby mu się tama w piersiach zerwała:

— Lubić? I cóż mnie z lubienia, kiedy ja miłuję i z miłości ginę! Nie żyć mnie na świecie, na białym, jeżeli ja was nie dostanę, mademoiselle! Noce moje — w płakaniu, dnie moje — w tęsknocie... Już mnie i wino zbrzydło, ledwo, że mać gorzałka zdrętwiała duszę czasem poratuje. Łaskawą mnie bądź! Za co dręczysz? Alboż ja nie piękny? Mnie wielkie damy serca rzucały pod nogi, a ty nie chcesz, ty, mała Litewka, mała dziewczynka! Za co nie chcesz? Ja tobie życie ożłocę, na kolanach włóczyć się będę, pył z przed nówek twoich zdmuchiwać!

Osunął się na posadzkę i próbował objąć nogi Feli. A ją ten dziki wybuch przeraził okropnie. Porwała się z krzeselka i, odpychając oburącz tulącą się do jej kolan głowę Pełskiego, zawołała z gniewem i odrazą:

— Nie!

Pani Sulistrowska odwróciła się nareszcie od klawikordu. Osądziła, że należy interweniować, inaczej ten dzikus Arkasza sam sobie wszystko popsuje. Podniosła się i poszła zwolna przez salę w kierunku roz-

mawiających. Pełskij zerwał się z kolan, otrzępując chusteczką spodnie.

Był zawstydzony i zły. Piękna Karolina uśmiechała się ironicznie. Fela dziecinnie rozkapryszonym głosem napierała się do domu.

Powrót był o wiele mniej wesoły. Towarzystwo jechało w milczeniu przez zaczerwieniony od zorzy śnieg, między czerniejącymi tu i ówdzie posępnymi wronami. Mróz wzbierał coraz potężniej, drzewa skrzypiały żałościwie, a serce lodowaciało z jakiejś niesamowitej zgrzyoty.

XVIII

Boże Narodzenie w tym roku nie zapowiadało się wesoło. Po uniwersytecie krążyły głucho wieści o jakichś chmurach, zbierających się podobno nad Nową. Że imperator niezadowolony, podobno, z księcia kuratora... Że rektor Malewski długo się nie utrzyma... Że na akademików wileńskich zwrócona jest baczna uwaga władz, tak uniwersyteckich, jak i rządowych.

Niektórzy profesorowie: jak Kapelli, Znosko, Jundziłł, potroszę nawet Jędrzej Śniadecki, coraz wyraźniejsze robili przytyki do różnych towarzystw i związków, ukrywających się pomiędzy młodzieżą. Śniadecki w ten sposób chciał może ostrzec? O Znosce i Kapellim wiadomo było, co sądzić należy.

Jeżowski kazał, by zebrania tak filomatów, jak i Związku Przyjaciół odbywały się coraz to w innym miejscu, by o kwaterze właściwej zawiadamiano uczestników dopiero w ostatniej chwili. Filareci, jako mniej zaangażowani, pozostali bardziej na powierzchni. Rząd Filomacki uważał ich odkrycie za rzecz

mniej niebezpieczną, a może nawet za pewnego rodzaju wał ochronny, na którym w razie czego, mogłaby się skupić uwaga prześladowców. Nie działało się przecież na ich zebraniach nic karygodnego. Bo cóż? Rozprawki naukowe? wierszyki? Zabawa przyjemna i pożyteczna.

Wszelako Zan, jako prezydent filaretów najbardziej eksponowany, odbierał listy pod cudzym adresem i unikał chodzenia do stacji Jeżowskiego i Mickiewicza, a oni znowu u niego niebardzo się zjawiali. Najczęściej schadzki miały miejsce u Łozińskiego, w jego obszernej, jakkolwiek zimnej stacji.

Ale imieniny Adamowe zdecydowano obchodzić u Zana, który rozporządzał aż czterema izbami, ponieważ pupile jego, młodzi Śliźniowie, pojechali na święta do domu.

Nic nie uratowało Adama: musiał na ten raz opuścić swoją zaciszną kryjówkę i nowe poema, które komponował właśnie, mieszając w nim starodawne obyczaje i zabobony gminne z miłością, która przepalała mu serce. Musiał przyjść i dać się porwać gorącej fali przyjaźni filomackiej.

Zan na to jego przyjście do ostatniej chwili smażył okolicznościowe jamby. (Opinia koleżeńska twierdziła, że w okolicznościowych jambach Zan prześciga nawet Adama). Rozpaliwszy tedy dobry ogień na kominku, (Adam był znanym zmarzlakiem), Zan pisał gorączkowo i nie przerwał nawet wówczas, gdy do pokoju wtoczył się Bożydar Łoziński, organizator i gospodarz zawodowy wszelkich imienin i fet.

Nie zważając na jęklive protesty Zana, wziął się gorliwie a hałaśliwie do sprzątania i przygotowań. Z nieznośnym trzaskiem otwierał i zamykał szafę, dobierał co pewniejsze stołki i zydle, książki i seksterna zwałił niemiłosiernie ze stołu do pracy na podłogę,

pod ścianę, a sam stół wyciągnął Zanowi z pod papieru, że Zan, klnąc jak woziwoda, umieścił się na okiennym blacie.

Potem Szeroki zabrał się do zastawiania stołu, a ruszał się przytym zadziwiająco zgrabnie, jak kobieta. Ani jednego kieliszka nie zgniótł w grubych kielbaskowatych paluchach.

Potem przyszedł Jeżowski i przyniósł dobrą nowinę. Jego wykłady hodegetyki, tylekroć zapowiadanego i odkładanego, miały się już nieodmiennie rozpocząć z dniem 5 stycznia. Druga nowina była jeszcze lepsza: zdecydowane już było, że Lelewel poraz pierwszy wejdzie na katedrę dnia 6-tego stycznia. Łoziński z wielkiego przejęcia poniechał krajania kielbasy i podszedł z zatłuszczonym nożem w rękę i z gębą różdziawioną jak do głośnego śmiechu:

— Więc to pewna? Lelewel rozpoczyna nazajutrz po tobie? gratuluję sąsiedztwa. No, to sprawy nasze cokolwiek idą w górę, jeżeli rektor bez żadnych: „ale“, „gdyby“, „może“, dał salę. To już chyba na dobrą wróżbę?

Jeżowski uśmiechnął się, co jego twardej, jakby w kamieniu wykutej twarzy nadało nieoczekiwanie przyjemny wyraz.

— Nie cieszymy się przedwcześnie. Lepiej być przygotowanym na gorsze i uradować się miłą niespodzianką. Tymczasem korzystajmy z każdej, chwilowej choćby, ulgi. Wielka to radość, że nic nie zamąca Adamowego święta. Tak, dzisiaj bądźmy dobrej myśli. Może zaczarujemy w ten sposób złą dolę? Adam podobno wierzy w gusła? Podobno pełne guseł jego nowe poema? Czytał z was kto?

Zan pokręcił głową.

— Ja — nie. Jeżeli kto — to Czeczot. Jemu jednemu Adam pozwala czasem zajrzeć w swoje szpar-

gały. Ja, biedny Tomalek, nie mam o to żadnej pretensji, zresztą sam wolę widzieć gotowe. Otóż macie, transparent jedzie. I wcale, wcale udany.

Jakoż istotnie Rukiewicz, przybyły specjalnie z Białegostoku, z Wincentym Budrewiczem, wnieśli ogromny transparent, na którym cyfry Adama wiązały się ozdobnie z lutnią, fujarką pastuszą i butelką. Całość z jednej strony podtrzymywał pocałowały amerek, z drugiej — dudarz, bardzo zręcznie wymalowany.

Łoziński ruszył zapalić świeczki w transparencie, bo już drzwi trzaskały raz za razem, przepuszczając filomatów i członków Związku Przyjaciół Z filareatów dopuszczeni byli tylko Odyniec i Łuczko.

Uczył się rumor we drzwiach. Wszedł Adam z Ignacym Domejką. Był tego dnia w wyjątkowo dobrym humorze, czarne jego oczy zdawały się ciskać płomienie wesołości. Wszyscy na jego widok porwali się z miejsc i „Hej radością“... zagrzmiało jak organy. Ustawiono Adama pod transparentem, nie dając mu się nawet przywitać wkoło. Zan wyszedł na środek pokoju, podskoczył, uderzając się dłońmi po piętach, zapiał po koguciemu, napuszył się i skandował uroczyście:

„Struk, stuk, puk, grom piorun, pył wrzawa, kurzawa“...

Czynił przy tym uroczyście gesta, a Łoziński, uplasowawszy się naprzeciwko, przedrzeźniał zańskie górne maniery. Jamby ginęły chwilami w potokach hucznego śmiechu, Adam śmiał się najgłośniej, do łez. Bolesna spolaniałość odbiegła go na ten moment, musiał chyba zapomnieć i o Marii, co jak zły cierń tkwiła mu zawsze w myślach.

Zan spostrzegł się wreszcie, że coraz liczniejsi słuchacze oglądają się tęsknie na zastawiony stół, więc

na łeb na szyję pomknął ku końcowi przydługiego poemaciku. Odyniec trącił Łuczkę i pokazał mu oczami butelki, ustawione z boku, na skrzynce.

— Użyjemy sobie — mlasnął językiem.

— Jeżeli starsi pozwolą.

— Starsi? Ale cóż znowu? Dziś Adamowe święto. Myżbyśmy gorsi być mieli? Już ty się tylko mnie trzymaj.

Tymczasem Adama usadzono na honorowym miejscu, w najwygodniejszym fotelu, przed najmniej wyszczerbionym nakryciem. Obok Adama, po obu stronach zasiedli Jeżowski i Żan, naprzeciwko Rukiewicz i Sobolewski, jako goście przybyli z prowincji, przedstawiciele Białegostoku i Kroź. Teodor Łoziński, jako gospodarz, zajął wyższy szczyt stołu, po prawej ręce Adama, niższy, lewy, tak zwany „szary koniec“, siłą faktu dostał się Olesiowi z Odyńcem. Reszta usadowiła się gdzie kto chciał.

W bezpośrednim sąsiedztwie benjaminków znalazł się Marian Piasecki, wołyńskiak trochę złośliwy, który, widząc łakome spojrzenia obu pierwszoroczniaków, zaczął im dolewać wołoskiego wina do wysokich, smukłych szklaneczek. Robił to dla krotochwili i żeby zobaczyć, co z tego wyniknie. Szklanka Odyńca była specjalnie duża; Edwardek niepostrzeżenie, zamienił się z Łuczką. Wołoskie wino piło się lekko, przyjemnie. Łuczko ani się spostrzegł, kiedy rozkoszna omdlałość rozlała mu się jak gęsty miód po żyłach, a na oczy padła przejrzysta mgiełka. Stało się to tak prędko jeszcze i dlatego, że gorące kiełbasy z kapustą nie dotarły na szary koniec w dostatecznej ilości, by przeważać wpływ alkoholu dobroczynnym w takich razach tłuszcem. Jedzenia w ogóle było o wiele mniej, niż picia i wszyscy przy stole byli zlekka wstawieni, ale na

bardzo wesoło. Po wołochu zaczął krążyć i węgrzyn, a do pierników, jabłek i orzechów przysposobiono miód. Teodor Łoziński, płacząc się trochę w języku, dowodził, że w ten sposób cięższy likwor unieszkodliwi lżejszy.

Zan wstał z kielichem węgrzyna i zaintonował: „Hej, użyjmy żywota“. Oleś słyszał śpiew poprzez dziwny szum w uszach, sam śpiewał także, czuł, że śpiewa fałszywie i strasznie mu się chciało śmiać z własnych fałszów. Odyniec śmiał się z nich także i co chwila szturchał Olesia w bok. Głosy śpiewających rozciągały się gdzieś w nieskończoność, tony pieśni bujały pod sufitem:

„Niechaj ta czara złooooota
niepróżno wabi nas....“

Toczyło się to jak złote kule przez wszystkie strofki, połyskiwało, dzwoniło; niekiedy dźwięki potrącały o niewidzialne śpiżowe tarcze i potężniały w bojowy ton.

„W ksiąg greckich, rzymskich steki
włazłeś — nie żebyś gnił.
Byś kochał się jak greki,
a jak rzymianin — bił“.

A w końcowej zwrotce zmiękła nagle pieśń, rozrzewniła się romantycznie.

„Krew stygnie, włos się bieli,
w wieczności spojrzym toń.
To oko zamknie Feli,
to filomacka dłoń“.

Przy imieniu Feli Zan skłonił się głęboko, a Ło-

ziński skrzywił się niemilosiernie, przesłaniając twarz serwetą.

— Wiesz ty, czemu ón się krzywi? — zapytał Edward Odyniec.

Oleś spojrział w kierunku Edwardowego wzroku.

— Pan Łoziński? Wiem, ale tobie nie powiem.

— Zaczóž to tak?

— Za nic.

— A czy dolać tobie jeszcze wina?

— Nie... trzeba.

Olesiowi chybnęła się jakoś dziwnie głowa, ale gdy ujrzał znowu przed sobą -pełną szklanę, podniósł ją machinalnie do ust.

Nikt ze starszych nie zwrócił jakoś uwagi na pijaństwo obu benjaminków; chyba jeden Marian Piasecki, ale on bawił się tym znakomicie. Wszyscy inni zajęci byli wyłącznie Adamem, który wstał nagle, wyszedł na środek pokoju i stanął w pozycji specjalnej, którą zawsze przybierał, ile razy chciał improwizować.

Odrazu zrobiło się cicho jak makiem siał. Wszyscy wpatrywali się w Adama tak pilnie, że aż porochylali usta, a oczy porobiły się im zabawnie okrągłe. Adam milczał przez mgnienie, błędząc rozmarzonym spojrzeniem po suficie. Wszyscy czekali z zapartym tchem. W głębokiej ciszy ktoś zaskrzypiał przeźrażliwie krzesłem, ktoś drugi syknął niecierpliwie. Wreszcie Adam wstrząsnął się cały, odrzucił włosy z czoła, wyciągnął rękę przed siebie i począł mówić swoim aksamitnym, melodyjnym głosem, chwiejąc się przy tym odrobinę na dwie strony:

— Słuchajcie! Adam zaczyna,
bo się dobrze napił wina
i coś wam powie:

Wiwat! Towarzystwa zdrowie!
Niech się mu tak szczęście uśmiecha,
i tak ciągle płynie,
jak, was umoczywszy w winie,
Adam wychyla kielicha!
Luba drużyno, przyjaciele mili,
jak się wesoło tu bawię!
Dalibóg, nie żal, żeśmy się spili,
dzybamy, jako żórawie!

Tu Adam istotnie „dzybnął“ trochę naprzód, a potem, z jakimś trudem, odwrócił się ku Tomaszowi.

„Natura między nami
wielką położyła miedzę:
Zan trzeźwy pisze wierszami,
a ja cedzę, a ja cedzę....

— Ja wcale nie jestem trzeźwy, proszę mnie nie obrażać, proszę na mnie tylko popatrzeć — obruszył się Zan. Wskoczył na krzesło i okręcił się wkoło. Krzesło zachwiało się niebezpiecznie. Siedzący obok Budrewicz pociągnął Zana za poję.

— Złaż, ja wcale nie chcę, żebyś mnie spadł na łeb.

— Ale kiedy ja chcę im pokazać, że ja także pijany.

Adam wyciągnął wskazujący palec i tkał nim w kierunku Zana.

„Lecz gdy winem łeb naleje,
wiersz się składny wtenczas kupi...
Zan milczy tak jak głupi,
Adam jak wulkan ziele“.

Tu Adam zionął, chuchnął, zawołał głośno: — dość! — i usiadł z rozmachem na swoim krześle. Sypnęły się huczne oklaski. Oleś także bił brawo: radowało go, że Adam jest taki zwyczajny, taki zupełnie, jak każdy akademik, kiedy się upije, że już nie trzeba czuć przed nim prawie zabobonnego lęku, a można kochać i uwielbiać bez zastrzeżeń. Z uciechy śmiał się na głos i dzwonił nożem w szklankę, jakby sam chciał przemawiać. Na szczęście nikt na to nie zwrócił uwagi.

Edwardek, nieprzytomny z zachwytu, siedział cicho i wpatrywał się w Adama. W tej chwili obok jego krzesła mógł spaść piorun. Oleś przyjrzał mu się z pod oka i naraz, zdjęty niewytłumaczoną przekorą, szturchnął go w bok.

— Słuchaj. Ja mam tajemnicę z Adamem. Wiesz?

— Ty? Jaką?

— Pamiętasz, cotośmy się przed świętami na jego schodach spotkali?

— Aha.

— No, to od tego czasu.

Edwardek wyczuł odrazu, że tamtego pali tajemnica. Odwrócił się ku niemu i pogłaskał po ramieniu.

— Ja jestem twoim przyjacielem prawdziwym.

— Adam mówić zakazał.

— Ale przyjaciel prawdziwy — to jakby drugi ty. Tak nas w błękitnym gronie zawsze Czczot nauczał. No, może powiesz, że nie? Mnie jeśli powierzysz tajemnicę — jakbyś w studnię wrzucił. Ja nikomu nie powiem, chyba... Czczotowi, a to znowu nasz przyjaciel.

Oleś uparcie potrząsnął głową.

— Co tobie Adam mógł takiego powierzyć, żeby aż takie milczenie trzeba było chować? — iryto-

wał się Edwardek. — Tajemnica z Adamem! Patrzcie go! Nie chcesz — to nie gadaj, ja płakać nie będę. Aleś ty nieprawdziwy przyjaciel.

Odwrócił się plecami do Olesia i podparł głowę na rękę. Oleś przestraszył się.

— Edwardku, za cóż ty się gniewasz? Ja temu nie winien, Edwardku.

Mówił coraz żałośniej, prawie płakał. Po pijanemu wydało mu się, że traci najwierniejszego przyjaciela i że temu trzeba koniecznie zapobiec.

— Edwardku, nie będziesz się ze mną kłócił o babę. Bo to wszystko przez tę Felę. Że jej się zachciało z Pełskim jeździć na spacer...

— Co takiego?!..

Edwardek jednym rzutem odwrócił się do Olesia. Jakby nie wierzył własnym uszom — powtórzył raz jeszcze:

— Co takiego? Coś ty powiedział?

Stało się. Wymknęła się tajemnica. Teraz nie było już co ukrywać, należało brnąć dalej.

— Właśnie o tym Adam gadać zabronił.

Edwardek zmarszczył brwi z miną ważną, rozmyślał chwilę. Potem rozjaśnił się i klepnął z rozmachem Olesia po ramieniu.

— Adam zabronił opowiadać wszystkim dookoła, ale żeś mnie powiedział — dobrze się stało. Możemy teraz wspólnie wymyślić jakąś radę. Zaczęłeś — to i mów do końca. A najpierw: dlaczego Adam kazał chować tajemnicę?

— Żeby do Tomasza nie doszło.

— Kiedyż bo właśnie trzeba, żeby doszło.

Oleś pokręcił głową.

— Nie. Żeby było trzeba — Adam by nie zakazywał. I ty będziesz milczał.

— Jeżeli chcesz — będę, chociaż mnie się zdaje...

— Niech się tobie nic nie zdaje. A wiesz? Ona zamąż idzie.

— Kto?

— Felka.

— Co znowu? Nie może być! Łziesz pewnie. Oleś roześmiał się głupkowato.

— Gdzież tam. Deybellowa w święta matce mówiła sub secreto... a moja Anielka przez uchyłone drzwi słyszała i mnie powtórzyła. Kawalerem tenże Pełskij. Możesz sobie wyimaginować? Ot, tobie promienista królowna! Moskał do niej w konkury jeździ pod opieką carskiej gamratki.

— Jakiej znowu gamratki?

— Nie powiedziałem? Bo to Sulistrowska swatką. Anielka rozbeczała się, podsłuchując pod tymi drzwiami. Pięknie to wszystko? co?

Edwardek słuchał z wybałuszonymi oczami.

— Czy Adam o konkurach wie? czy mimo to milczać kazał? — udało mu się nareszcie wstawić pytanie.

— A... o konkurach Adam nic nie wie. Deybellowa mojej matce mówiła... Wiemy tylko ja i Anielka... ale... to jedna tajemnica.

— Głupiś. O konkurach trzeba Tomaszowi powiedzieć.

— Nie... powiem. I tobie zakazuję. Adam...

— No, to powiedz przynajmniej Czeczotowi, jak z Warszawy wróci.

— Nie... powiem. Nikomu... nie powiem. I ty... pamiętaj. Obiecałeś... Przyjacielu... Adam...

Czknął mocno i oparł głowę o stół. Zan dostrzegł sytuację i pośpieszył z pomocą.

— Co to? Spił się na dobre? Ach, mój Boże! Teodor, daj go tu, do łóżka Ottona Sliźnia, tak, do tamtej stacji. Hej, mały! Pobiegiesz z kopyta, ten karteluszek oddasz pani rotmistrzowej Łuczkowej. Wiesz? Na Oстрыm Końcu. — Wyprawił posługacza i wrócił do kolegów. — Ósma wieczorem, tam chyba jeszcze nie śpią. Napisałem, że zatrzymuję Olesia na noc i nic ponadto.

— Słusznie. A co to? Rukiewicz wychodzi?

— I na niezbyt pewnych nogach.

— Za Rukiewiczem i paru innych zbierało się do wyjścia. Wyprawiono także ociągającego się do ostatniej chwili, wielce żalowanego Odyńca. Tylko grono sobie najbliższych nie chciało jeszcze kończyć zabawy. Nie wszystkie butelki były już wypróżnione, Łoziński wskazywał na nie i groził, że przed skończeniem roboty nie wypuści nikogo.

Wśród ogólnego śmiechu Kozakiewicz jąkał się zachłystując:

— Jeżowski... Jeżowski...

Rozbawiony jak nigdy, przywódca, usłyszawszy swoje nazwisko, ogarnął ręką ucho, wykrzywił się, zmrużył oczy i niby słuchał pilnie. Kozakiewicz, wskazując na niego palcem, krzyczał głośno:

— Jeżowski... Jeżowski mówił wczoraj Zanowi, że tak właśnie czuje się być wyczerpanym, jak ten, co całą noc z dziewczyną przepędzi... A skąd on wie, jak to bywa, kiedy on nigdy...

— Nie obrażać — huknął Łoziński, — Jeż wie. Ja świadkiem.

— A to jakim sposobem?

— Świadkiem Jeża miłosnego gruchania.

— Na miłość boską! Gadaj! Z kim?!

— Z damą Hodegetyką.

Wszyscy ryknęli śmiechem, a Jeżowski kiwał

głową, palcem w czoło pukał, aż zrobił wiekopomne odkrycie i podzielił się niem natychmiast z resztą towarzystwa:

— Bo to musiała miarka płynów miłosnych, dla mnie udzielonych, dziwnym trafem przemienić się w płyny naukowe, stąd nadto wielka tych ostatnich doza.

— Brawo filozof! Wiwat docent illustrissimus!

Gwar rósł. Gorąco w izbie także. Ktoś otworzył lufcik i kłęby białej pary poczęły buchać z ust biadników, stojących bliżej okna. Na wysokiem niebie migotały wyiskrzzone gwiazdy i prosto do gwiazd leciała pieśń.

„Cyrkla, wagi i miary
do martwych użyj brył.
Mierz siły na zamiary,
nie zamiar według sił.

Bo gdzie się serca palą,
cyrklem uniesień duch,
dobro powszechne — skalą,
jedność większa od dwóch.

XIX

Odyniec wybrał się do Czczota w parę dni po jego powrocie z Warszawy, wcale nie poto, żeby jakieś plotki nosić, ale poprostu dlatego, żeby podzielić się z ukochanym Mentorem radością i entuzjazmem: z powodu pierwszego wykładu Lelewela, z powodu owacji, jaką zgotowali studenci ubóstwianemu profesorowi, z powodu wiersza do Lelewela, jaki napisał Mickiewicz.

Ten wiersz jest na ustach wszystkich, o Lelewelu mówią wszędzie z promienistym uniesieniem, ale niektórzy profesorowie zgrzytają zębami, a Bojanus miał podobno wyrazić się do Kapellego, że..

Tu Czeczot energicznym ruchem ręki przerwał Edwardkowe wywody. Niecierpiał brukowych ploczek, a chorobą Edwarda było, że nie umiał ich absolutnie odróżnić od pożytecznych wiadomości. Wszystko, co znalazł na wileńskim bruku, chwycił skwapliwie i znosił starszym przyjaciółom. Namiętanie lubił ich epatować, to też lekceważenie Czeczota dotknęło go mocno, nawet zgnębiło. A cóż za surowy Mentor! I czymby go tu zainteresować?

Po namyśle rozpoczął o Adamie: że jeszcze w końcu listopada, ale już pod nieobecność Czeczota, Puttkamerowie zjechali do Wilna z Bolciennik, że pan Wawrzyniec wyjść musiał na posiedzenie jakiegoś towarzystwa, wspierającego niezamożnych uczniów... że Adam, korzystając z okoliczności, poszedł do Marii, siedział z godzinę, a potem nie pamiętał, jak siedział i co się z nim działo... Że ona mu pierścień darowała, a on i tego nie pamiętał. Ledwie się dowiedział, gdy powróciwszy od niej, padł na łóżko i zasnął, i przysnił o całym zdarzeniu. Zerwał się ze snu, na jawie pierścień zobaczył i wówczas przypomniał sobie wszystko, jak się stało.

Edwardek podniecił się opowiadaniem. Gdy skończył, był mocno rumiany i oczy mu gorzały. Wpatrzył się pilnie w Czeczota, oczekując piorunującego wrażenia, ale, ku swemu wielkiemu rozgoryczeniu, znalazł w twarzy Mentora samą tylko niechętną obojętność. Czeczot wysłuchał opowiadania w milczeniu, nie rozpytywał o żadne szczegóły, tylko dosyć ostro zagadnął skonfundowanego Tele-maka, skąd o tym wszystkim wie?

Edwardek miał wielką pokusę odpowiedzieć, że od samego Adama. Podkreśliłoby to jego z Adammem intymność, w którą starsi przyjaciele nigdy jakoś uwierzyć nie chcieli. Ale pewność konfrontacji była zbyt wielka i Edwardek nie zaryzykował. Czerwieniąc się i spuszczać oczy, przyznał się, że, przyszedłszy znienacka do Adama, z przedpokoju, przez drzwi uchylone, posłyszał niechcący jego rozmowę z Tomaszem.

Podśluchiwałeś tedy, gałganie! A czego ja ciebie uczyłem?

— Nie podśluchiwałem, Janku, jak Adama kocham! tak, samo się słyszało.

— Ach. Samo się usłyszało? I dlatego powtarzasz? Co?

— Tylko tobie, mój złocisty, tylko tobie jednemu. Tyż mój Mentor ukochany — łąsił się Edwardek. Ale Czeczot pozostał granitowy:

— Cudza tajemnica — rzecz święta. Nikomu opowiadać niewolno. Jakby Adam chciał, samby opowiedzieć potrafił. Pamiętaj na drugi raz. A teraz wynoś się, mam robotę.

Czeczot sięgnął po jakąś książkę, zasiadł przy stole i pogrążył się w czytaniu, nie zważając już na Odyńca.

Odyniec kręcił się po stacji: wyciągnął włos z wygniecionego fotela, pomacał chłodnawy piec i skrzywił się, wyjrzał oknem na śnieg, zawałający hurbami ciasne podwórko konsystorskiego domu, potem odwrócił się do ściany i począł dłużyć przy jakimś obrazeczku.

Obojętność Czeczota drażniła go straszliwie. Taki był dumny ze swoich nowin, a tu masz! Rozpieszczony młodzieniec, jedynaczek, nawykły, że się nim nieustannie zajmowano, czuł teraz dotkli-

wą obrazę, czuł się wręcz upokorzonym. Nienawistnie popatrywał na gruby tom niemiecki, rozłożony na stole przed Czczotem i myślał gorączkowo, czyimby go takim oderwać od tej lektury, przejąć, roznamiętnić...

Nagle olśniła go myśl szczęśliwa: tajemnica Oleśia Łuczki. Otóż dopiero tajemnica! Ważna, groźna, przejmująca. Jeżeli Czczot i to nazwie brukową ploteczką, to nie wart już nigdy żadnych zwierzeń.

Cichym krokiem zbliżył się do Czczota i zajął mu przez ramię:

— Co to czytasz, Janku?

Czczot otworzył książkę na karcie tytułowej: H. von Jacob. „Grundriss der Ehrfahrungsseelenlehre“. Cóż patrzysz jak cielę na wrota? Rozumiesz? Nic nie rozumiesz. A bierzesz się do Niemczyzny? Nie bierzesz się. Jakbym widział. Ale co tam Niemczyzna! Ty bodaj do niczego się nie bierzesz poważnie, tyle, że czasem piszesz durne wierszyki. Szedłbyś do domu i uczył się, a mnie dał święty spokój. Mówiłem już tobie, że jestem zajęty.

Jezus Maria! Znowu te morały! I durne wierszyki! Ballady, którymi sam Adam...

Edwardek skręcił się ze wzburzenia, ale minę zrobił bardzo potulną, całkiem nieśmiałą:

— Dobrze, już pójdę, chciałem tylko jeszcze zapytać, czy mam zanieść dalszy arkusz Adamowych „Ballad i Romansów“ do korekty?

— Niepotrzeba, sam zaniosę. Zeszłym razem zgubiłeś jeden kartelusz, był kłopot ze składaniem na nowo i Adam zezłuł się strasznie.

Odyniec westchnął. Ani przystępu dzisiaj do Czczota. Ależ on gotów wcale nie wysłuchać nowiny! Chyba go zażyć od strony mentorstwa?

— Ja już teraz sobie pójdę, Janku, tylko wpierw

proszę mnie doradzić. Jeżeli ktoś zna tajemnicę ważną dla przyjaciela, ale co do której drugi przyjaciel zobowiązał, żeby milczeć... to jak wtedy postąpić należy?

Nareszcie efekt nie chybił. Czeczot odsunął książkę i odwrócił się razem z krzesłem do Edwardka.

— Poczekaj. Jakże to jest? Mówisz zagadkami. Jeżeli drugi przyjaciel zobowiązał cię do milczenia? No, to zależy, czy twoje milczenie pierwszemu przyjacielowi zaszkodzi, czy nie.

— W moim rozumieniu zaszkodzi.

— W twoim rozumieniu? — Czeczot miał stanowczo impertynencką minę. Edwardek poczerwieniał.

— To znaczy... Ja wcale nie ufam zbyt swemu rozumieniu. Dlatego chciałbym, żeby mnie Jan-ko doradził, jak mam postąpić.

— Chcesz koniecznie wyjawić mnie tę tajemnicę? Ha, cóż. Może to plewy, a może i ziarno. Może trzeba kogoś przed czymś uchronić... No, gadaj.

Uszczęśliwiony Edwardek zasiadł zaraz na krześle, naprzeciw Czeczota i rozpoczął opowiadanie.

Nie zdążył jeszcze powiązać kilku słów, gdy Czeczot przerwał mu nagle:

— Stój. Komu obiecałeś milczenie?

Odyniec zawahał się chwilę. On osobiście milczenie obiecał Olesiowi, ale wiedział przecie, że zakaz pochodził od Adama. Więc co powiedzieć? Całą prawdę? No, to Czeczot przerwie mu z miejsca i pójdzie po informacje do samego Adama. Można powiedzieć pół prawdy, co kłamstwem wcale nie będzie. Kłamstwo jest zaprzeczeniem prawdy; niedopowiedzenie jej do końca nie stoi z nią w żadnej sprzeczności.

Te wszystkie myśli błyskawicznie przeleciały

przez mózg Edwardka i wyrzuciły jak z procy zdecydowaną odpowiedź:

— Olesiowi Łuczce.

Czczot machnął ręką.

— Ech, taki sam wartogłów jak ty! I coście tam we dwóch uradzili? Komu ta wasza niewyjaśniona tajemnica mogłaby zaszkodzić?

— Panu Tomaszowi.

— Co takiego? I Łuczko nie chciał jej mimo to wyjawić? I zwrócił się z tym do ciebie? Ale to nie do wiary!

— Niechże Janko sam rozważy: a pocóżbym ja kłamał?

— Kto cię tam wie! Gadajże raz. Słucham.

Odyniec zaczął opowiadać historię sławnej szlichtady, zainscenizowanej przez panią Karolinę Sulistrowską, oraz dzieje jej swatów dla Pełskiego o Felę, swatów, uwieńczonych podobno zupełnym powodzeniem. Nadmienił przy tym, że bywa na salonach pani Sulistrowskiej i od niej słyszał potwierdzenie tej całej historii. Pani Sulistrowska nic przed nim nie ukrywa, bo go nadzwyczaj lubi. On w ogóle ma fenomenalne szczęście do dam. Właśnie panna Aleksandra Becu zaczęła mu okazywać niedwuznaczne względy i, doprawdy, pani Salomea jest wyraźnie z tego niezadowolona. Dziwne to jest, oczywista, ale...

Tu Czczot znowu zmarszczył się jak po muśtardzie.

— Do rzeczy, mości panie, do rzeczy. Tamte sprawy nic mnie nie zajmują. Tak. Tym razem ułowiłeś ważną nowinę, ale mi o niej cyt, a cyt! Oddałeś sprawę w moje ręce i więcej się już nie wtrącaj. Ja będę wiedział, co z tym zrobić.

Pomimo tak zdecydowanej zapowiedzi, Czczot

nic a nic nie wiedział. Bił się z myślami przez kilka dni, z posępną miną obchodził Tomasza dokoła, wobec innych zaczynał parę razy mówić zagadkowo, ale, przyparty do muru, wykręcał się niczym.

Wodzów radzić się nie chciał, trudnoź odrywać ich od najważniejszych spraw dla sprawy, która bądź co bądź była tylko prywatą. Zresztą Jeżowski takie rzeczy lekko ważył, Adam w tej chwili mógł mieć sąd spaczony własnym miłosnym nieszczęściem, pisać do Warszawy, do Malewskiego zadługoby trwało. Onufry Pietraszkiewicz z Lublina gotów odpisać wszetecznie, dla niego każda dziewczka była tylko zabawą, a pracą filomacka jedynie rzeczą godną uwagi. Pozostawał poczciwy, szeroki Teodor Łoziński i do niego udał się Czczot w swoim strapieniu.

XX

Rumiana Antosia wyrzała na kuchenne schody i zaświeciła wszystkimi zębami na widok pana Czczota. Zęby zdrowe i wilgotne białeły zbyt kusząco w brudnym mroku odrapanej klatki schodowej, Czczot zerknął wdół, zerknął w górę i wprawnym, szybkim rzutem ramienia objął dziewczynę. Należało się śpieszyć, za chwilę mógł ktoś przejść tędy.

Rumiana Antosia westchnęła sobie z uciechy, w nabożnym skupieniu przyjęła pocałunek i z jego smakiem na rozchylonych ustach wionęła z powrotem do kuchni. Teraz conajmniej przez tydzień była uodporniona na monotonne, nałogowe gderanie swojej chlebodawczyni, pani podkomorzyny oszmiańskiej.

Czczot poszedł wyżej, na drugie piętro — pod-

dasze. Piął się w górę, obserwując festony pajęczyn na ścianach. Dom był stary, zmurszały i nie lubił, gdy go niepokojono. W takich wypadkach schody skrzypiały gniewnie pod nogami zbyt licznych intruzów, ale to właśnie zabezpieczało przed niepożądanymi wizytami.

Stancja na poddaszu była Kozakiewicza i referat o Filadelfistach był też Kozakiewicza. Przedyskutowano go długo i szeroko na tej pamiętnej schadzce.

Chodziło o wciąż jeszcze niedostatecznie skrytalizowany plan podziału całego młodego społeczeństwa na pięć klas, zaprawionych do służby społecznej, a kierowanych tajemnie przez klasę najwyższą, najodpowiedzialniejszą, złożoną z dotychczasowych Filomatów. Ten wszechzwiązek miał zalać i roztopić w sobie wszystkie dotychczasowe związki: Przyjaciół i Filaretów, Naukowy i „Wspomagania Niezamożnych Uczniów“. Miał starczyć za wszystko, zastąpić wszelkie gatunki masonerii z „patriotyczną“ włącznie i nosić nazwę Filadelfistów.

Dla urzeczywistnienia takich celów nielada trzeba było wysiłków. Kozakiewicz od paru miesięcy smażył sobie mózg nad referatem, radząc się nieustannie Jeżowskiego i Zana i godząc w pocie czoła sprzeczne nieraz wskazówki. Wreszcie pięć klas Filadelfistów nabrało teoretycznego przynajmniej kształtu.

Drabina szła w górę zwolna i stopniowo. Na najniższym szczeblu zabawa przyjemna i pożyteczna, siejąca nieznacznie właściwe myśli, zagarniająca łagodnie a pewnie pod nieuchronny wpływ. Dalej wzajemna pomoc przyjacielska w kształceniu. Wreszcie związek obywatelski, któryby za cel sobie postawił włościąńską wolność, szerzenie oświaty pu-

blicznej, walkę z obskurantyzmem i obojętnością na sprawy powszechne. Jeszcze wyżej miał stanąć czwarty związek: członkowie jego sposobiliby się już wyraźnie do służby ojczyźnie. Tu zjawiał się obowiązek wybrania sobie jakiegokolwiek gałęzi nauki i doskonalenia się w niej z myślą praktyczną o przyszłej nieuchronnej walce zbrojnej i o potrzebach przyszłego państwa, odbudowanej Rzeczypospolitej. W myśl hymnu filomackiego, głoszącego, że „dzisiaj trzeba prawicy, a jutro trzeba praw“, wchodziła tu inżynierka wojenna obok prawa i architektury.

Związek najwyższy, rządzący, miał czuwać nad pracą wszystkich związków, miał być okryty głęboką tajemnicą i pielęgnować jeden cel. Cel, o którym nie mówiło się nigdy, nawet między sobą, ale który był zawsze wszystkim myślom przytomny: Niepodległość.

Z dyskusji nad referatem wyłaniała się coraz przejrzyściej zwarta budowa Filadelfistów Błękitnych, podzielonych na dwa stopnie, stanowiących podstawę piramidy; nad nimi wznosili się również dwustopniowi Filadelfiści Czerwoni, zawierający w sobie dwa wyższe związki: działaczy społecznych, oraz uświadomionych naukowców. Wreszcie u szczytu stożka znaleźli się sami Filomaci, kierujący tajnie wszystkimi sprężynami, zbierający w rękach wszystkie nici. Dotychczasowe związki zamierzano po prostu rozwiązać.

Teraz wynikła kwestia: jak wytłumaczyć tę konieczność przywiązanej do swoich związków młodzieży? Jak przeprowadzić reformę, nie wyjawiając wszem wobec całego skomplikowanego i na długie lata tajemnej działalności obliczonego planu? Jak pozbyć się przy tej sposobności ludzi mniej pożąda-

nych bez krzywdy i obrazy dla nikogo, a nade wszystko bez niepotrzebnych hałasów? To zagadnienie najbardziej rozpaliło dyskusją.

Jeżowski był za stanowczym postawieniem sprawy: chciał ślepego posłuszeństwa. Zan głosował za tym, by wynaleźć jakiś pozór przyzwoity, tłumaczący w sposób najprawdopodobniejszy konieczne posunięcie. Kategoryczne żądanie posłuchu na ślepo zraziłoby wielu, a chwiejnych w ogóle odepchnęło. Nigdy za dużo ostrożności, gdy się ma z ambicją ludzką do czynienia.

Czczot w głębi duszy był po stronie Zana. Wymagania Jeżowskiego zdawały mu się istną tyranią. Jakże można żądać od ludzi bezwzględnej wiary w niewidzialnych wodzów, dążących do siebie tylko wiadomych, tajemniczych celów? Związek Przyjaciół z pewnością będzie czuł się dotkniętym i pokrzywdzonym. Jasna rzecz bowiem, że do wyższej klasy, Filadelfistów Czerwonych, trafi nieznaczną tylko część bardziej przygotowanych członków Związku. Reszta poczuje mętnie, że coś się dzieje poza jej plecami i będzie wiecześnie urażona. Najgorsze, co może być. Przemówiłby chętnie, ale że nie miał w sobie oratorskiej swady Zana — milczał i tylko energicznymi kiwnięciami głowy przytwierdzał Zanowym wywodom.

Zan przemawiał namiętnie i gorąco.

— Za mało nas jest, wiedzących dokąd idziemy, by tak bezwzględnego posłuszeństwa wymagać. Ach, gdyby mieć zwarte, karne zastępy na wszystkich czterech stopniach! Cóż za siła w rękach garstki ludzi zdecydowanych na wszystko! Ale my dzisiaj takich zastępów nie mamy. Trzy czwarte dzisiejszych Filaretów nadaje się zaledwie do pierwszego stopnia Filadelistów Błękinych. Zabawa przyjemna i przy-

teczna, to dla nich w sam raz. I bodajby przeszli prędko poza tę granicę. Na drugim stopniu mieć będziemy małą garstkę Filaretów i sporo ze Związku Przyjaciół. Ci właśnie doszli do zrozumienia potrzeby wzajemnego wspierania się w przyswajaniu sobie nauk. Na razie na tym trzeba poprzestać. Tych wszystkich żądanie bezwzględnego posłuszeństwa niewątpliwie przerazi i zrazi. Pierwszy stopień Filadelfistów Czerwonych obejmie resztę Przyjaciół, tych lepszych, zdolnych już czynnie dla powszechnego dobra pracować, zdolnych już poznać tej pracy słodycz i przyjemność. Ci znowu są zbyt obudzeni, by iść na ślepo pod czyjeś kierownictwo, a za mało w cnotach obywatelskich wykształceni, by poznać doniosłość karnościtarwej i bezwzględnej. Wreszcie kilku wybranych. Ci z nami razem utworzą Filadelfistów Czerwonych stopień drugi. Otóż ci nie powinni pozostawać w naszych dalszych planów i zamierzeń niewiedzy. Tym musimy, jak braciom, wyznać o co rzecz idzie. Takiego wyznania nie obawiałbym się wcale. Ale na miłość boską, skończmy raz z tym wieczystym przekształcaniem się. Postanówmy dzisiaj, zaraz, ostateczny plan działania. Niedługo koniec roku i znowu liczne zastępy naszych akademików rozproszą się po kraju całym. Gdybyśmy mieli Filadelfistów gotowych możnaby próbować ruszyć sprawę włościańską.

— Jeszcze nie wszyscy „Przyjaciele“ są o słuszności tej świętej sprawy należycie przekonani, to gdzież przekonywać innych? — burknął z pod ściany Teodor Łoziński.

— Strach, jak to powoli idzie — odmruknął głos z pod ściany przeciwległej. Zan zwrócił się w tamtą stronę.

— Powoli, ani słowa, świętej cierpliwości trze-

ba, ale my musimy ją mieć. Nie spodziewamy się szybkich rezultatów. Liczymy pracę na długie lata, ale nie wątpimy, że przyjdzie radosny dzień. Tymczasem musimy łowić dusze. Nasz od wszystkich poważany i kochany prezydent chciałby to czynić twardą garścią, w rycerską rękawicę zbrojną. Ja trzymam za przyzwoitsze włożyć do czasu rękawiczki aksamitne. I pragnąłbym więcej szczerości wobec naszych kolegów. Pamiętam, jak ja cierpiałem niegdys nad waszą tajemniczością i chciałbym innym tego zmartwienia oszczędzić. Skończyłem.

Jeżowski, który w ciągu całego przemówienia Zana przebierał niecierpliwie palcami w leżących przed nim seksternach, teraz wstał i wsparł się oburącz o stół. Przejrzał pilnie wszystkie twarze, zebrał wszystkie spojrzenia i skupił na sobie. Miał oczy twarde i nieustępliwe. Nie znosił sprzeciwu. Mówił wolno, prawie skandując poszczególne słowa.

— Bracia Filomaci! Ja trzymam za nieprzyzwoite używanie jakichkolwiek pozorów. Zasłużonym wyjawimy prawdę, gdy tylko da się to zrobić bez uszczerbku dla najświętszej sprawy, której dobro jedynie mieć musimy na oku. Inni słuchać i wierzyć nam muszą. Daliśmy niejednokrotnie dowody, że nie pracujemy dla własnej korzyści. Jeżeli czegoś żądamy — dobro powszechne ma to jedynie na względzie. Kto z młodszych do dzisiaj nie nabrał do nas zaufania, ten nie nabierze i nadal. Owszem. Niech się zrażą i odejdą chwiejni i wątpliwi. Nie widzę w tym wielkiej szkody. Ci co zostaną, tym będą pewniejsi. Oni przyjmą bez szemrania każdy rozkaz, jakkolwiek dziwny im się wyda. Niech to będzie ogniowa próba. Wielka i trudna przyszłość przed nami się otwiera: z drogi pomysłów i rozważań wkraczamy na drogę czynów. Pierwszym krokiem na tej

drodze nie może być lęklive odstępstwo od naszych zasad. Zasadą naszą jest prawda tam, gdzie może być wyjawiona, milczenie — gdzie prawda przedwczesną. W walce z wrogiem — rzecz inna. Tam mądrość wężowa nie uchybi nikomu. Ale wobec młodszej braci naszej zawsze i niezmiennie wierni być musimy ich mianu: Filaretów — miłośników cnoty.

Posypały się gorące oklaski, sprawa była przesądzona.

Zan wzruszył ramionami na znak bezsilnego protestu. Istna mrzonka z tą surową cnotą! Dobrze jeszcze, że wobec wroga dopuszcza wódz mądrość wężową. Ech, że też Malewskiego nie ma! on, jak nikt, umiał praktycznie spojrzeć na rzeczy.

Niezadowolony, odszedł na bok i przycisnął czoło do szyby. Co śniegu na ulicy! Jaki biały i puszysty śnieg! Puszystością i bielą przypomina letnią sukienkę Feli, prześliczną muślinową sukienkę. Jakże ładnie było Feli w tej sukience! tak przystrojona zdawała się prawdziwie „niebieska i królewska“ Tańczowano wówczas na majówce w Zakrecie, a Fela tańczyła dużo z młodym urwipołciem, paniczykowatym i lalkowatym, który stroił do niej najgłupsze w świecie miny. Wówczas to, sam ze siebie, nasaunął się się myśлом triolecik:

„Wróc, Feli spokojność moję,
bo nie wiem, co będzie ze mną.
Kocham, trwożę się i boję...
Wróc, Feli ,spokojność moję,

Albo ukryj krasę twoję,
albo kochaj, bądź wzajemną.
Wróc, Feli spokojność moję,
bo nie wiem, co będzie ze mną.“

Łoziński podszedł i zagadnął o pensjon Deybellów. Ze może panny gniewają się o takie długie nie bycie? Może należałoby pójść chociaż na chwilę? Niech nie pomawiają o próżne dąsanie się.

Zan z trudem oderwał się od swoich widzeń śnieżnych.

— Do Deybellów? Jakże iść. Zwarjowana baba gotowa wyrządzić grubą impertynencję i trzeba będzie to znieść. Bo i cóż zrobisz? Chyba złęknie się twojego kąśliwego języka. Wiesz co, Szeros? Pójdziemy razem. Dobrze?

Łoziński nie wyraził zachwytu.

— Razem? Nie mam czasu tymi dniami. I poco ja tam potrzebny? Oni, Tomaszku, ciebie wolą, jak mnie, oni ciebie łatwiej zniosą. A tak sobie myślałam, że Feli chyba tęskni?

Zan przymknął oczy.

— Ach, Feli, boska dziewczyna! Lepsza, jak Adamowa Marylka. Wiesz co, Teodorze? Powiedz Anielce, niech zaprosi Feli, ja także przyjdę i będziemy śpiewali. To na pociechę, że mnie Jeż coraz częściej przeczy. Niech tylko ja powiem jedno — on drugie. Czasem myślę, że nie ma do mnie zaufania.

— Głupiś, Tomy, Jeż ma swoje plany.

— Żeby mnie tylko malców nie odebrali, bo się pogniewam. Byłem prezydentem Filaretów, a chcę być prezydentem Filadelfistów Błękitnych. To moja robota, od Boga mnie przeznaczona. Zawsze byłem gubernierem. A cóż? zaprosicie Feli?

Łoziński zdawał się skonfundowany. Zamiast odpowiedzieć, chrząkał niepotrzebnie i z ulgą zwrócił się ku drzwiom, zza których wychylił głowę Czczot.

Zacny Janko miał minę tajemniczo-zatroskaną, bezradnie-skupioną, jak zwykle, kiedy nosił się z cudzym zmartwieniem, a nie wiedział, co z nim począć.

Zan w tej chwili nie mógł zdobyć się na zapal do cudzych trosk. Powiedział: — gadajcie sobie — wyminął Czczota i powrócił do sąsiedniego pokoju, gdzie odbywały się obrady. Janko wziął Teodora pod ramię i wyprowadził do jeszcze dalszej bokówki. Teodorowi wydało się to cudackie.

— No? urodź już tutaj to twoje zwierzenie, bo ja na dwór nie chcę, a ty mnie wyprowadzasz. Tam za progiem już sień tylko.

Czczot ustawił się naprzeciw Łozińskiego, skrzyżował ramiona na piersiach i zapytał uroczyście.

— Kochasz ty, Szeroś, Tomka?

— Zwariował na ostatku! Otóż roztropne pytanie. Nie durz, Jasiu, głowy i gadaj od środka.

— Dobrze. Sulistrowska swata Felę Pełskiemu.

Teodor usiadł z rozmachem na krześle. Krzesło trzasnęło ostrzegawczo i rozkraczyło rozchwiane nogi. Teodor kopnął krzesło, podbiegł do ściany, trzasnął w nią pięścią, potem, cokolwiek opanowany, wrócił do Czczota.

— Wiesz pewnie?

— Od Łuczków.

— Ach! To dlatego Aniela mówi gorzko o wierności i nie chce zapraszać Feli? A ja myślałam, że tak oto dziewczki się rozdąsały, jak to u nich nietrudno. A wiesz co? Swatać mogą ją wbrew woli, ale na moje rozumienie nie ma tam ciężkiego przymusu. Przypominają się mnie teraz niektóre rozmowy. A gałgan moskalisko piękny jak malowanie. Tfu!

Czczot wzdychał raz po raz i kiwał ociężale głową.

— Wiesz co, Jasiu? Trzeba uprzedzić Tomasza.

— Tak myślisz?

— A jak chcesz? Taka rzecz nie ukryje się w Wilnie. Spotka ich gdzie razem niespodzianie

i gorzej będzie. Lepiej skończyć od razu. Popatrz na Adama. Wiesz dlaczego nie przyszedł dzisiaj na tyle ważne posiedzenie? Bo znowu list dostał od Marii i spolał się cały... Chcesz, by i Tomasz tak samo?... Nie, do diabła, ja na to nie pozwolę! Chodź, razem z nim pomówimy.

Uściskał mocno Czeczota za rękę i wrócili do pokoju obrad.

Zan od razu na progu spotkał się oczami ze wzrokiem Jeżowskiego. Wzrok prezydenta przywoływał, szukał porozumienia. Zan podszedł do stołu prezydiального i zajął swoje miejsce. Buntował się jeszcze w duchu, ale postanowienie zapadłe większością mimowoli uspakajało bunt. Siedzący obok Rukiewicz zapytał:

— Pogniewałeś się, że na twoim nie stanęło? To może nie przyjmiesz prezydentwa najmłodszych?

— Alboż dacie?

— Komużby, jak nie tobie?

Zan znowu spojrzął na Jeżowskiego. Wódz uśmiechnął się porozumiewawczo. Osiągnął swoje i dążył teraz do przywrócenia zmaconej chwilowo harmonii. Zabrał głos.

— Nie możemy mówić tymczasem, jak tylko o prezydentwie Filadelfistów Błękitnych. Ci już gotowi do pracy. Nad Czerwonymi kierunek pozostanie nadal w rękach dotychczasowego rządu Towarzystwa Filomatycznego. Błękitnych oddamy w opiekę panu Tomaszowi, poprowadzi ich tak dzielnie, jak prowadził Filaretów. Tak myślę, że nie ma sprzeciwu?

— Nie ma, nie ma. To pięknie! Akceptujemy!

Zan wstał zza stołu.

— Dziękuję za zaszczyt, bracia, nie zawiodę wa-

szych nadziei. Wierzcie mi, małymi środkami jakże dużo zdziałać można. Ot, przypomnijcie promieniste majówki, przypatrzcie się naszym Filaretom. Jakaż zmiana. Jaka wielka zmiana! W kościele, jeśli nie pobożna ustami trzepanina — to skromność, przyzwoita spokojność... ginie oglądanie się, gawędy, ciągnęła dokoła filarów procesja. A na lekcjach największe swawolniki siedzą przystojnie; choć niezgrabny da sus pan profesor — ich jakby nie było. Pamiętacie, jak znosili do mojej stancji wyniesione z księżnicy uniwersytetu dzieła? Dobry duch tak samo jest zaraźliwy, jak zły. Ja w przyszłość wierzę.

Łoziński z Czeczotem weszli na palcach i od drzwi słuchali ostatnich zańskich słów. Poszturchiwali się łokciami i mrugali na siebie, aż bliżej siedzący przyglądali się im zdziwieni.

— Czy jemu ta wiara nie zgaśnie po rozmowie z nami? — zaszeptał Czeczot do Łozińskiego. „Szeroki“ pokręcił szeroką głową.

— Nie. Zan ma umysł zbyt wzniosły, serce za gorące, by go boleść osobista z nóg zwalić potrafiła. Ciężko przyjacielowi nóż w serce wbijać, wolałbym sobie. Ty zaczniesz mówić. Janku.

Ostrożnie, powoli, słowo za słowem, przerywając sobie nawzajem i oddając głos jeden drugiemu, opowiedzieli Czeczot i Łoziński przyjacielowi wszystko, co wiedzieli o Pełskim i Feli. Mieli przy tym o wiele bardziej zrozpaczone miny, niż sam Tomasz, który przyjął złą wiadomość zupełnie spokojnie. Wysłuchał w milczeniu długiego, nieskładnego opowiadania i tylko mu twarz krzepła, ciemniała w oczach. Dopiero po dłuższej chwili zwrócił się do Łozińskiego.

— Zastąpisz mnie, Szeroś, u Filaretów przez kilka dni, jeżeli nadto spolanieję. A teraz zostawcie

mnie. Pójdę sobie trochę na Antokol.

Wzruszony Teodor kiwnął głową i głośno przełknął ślinę. Czeczot dla formy, bez przekonania, zaproponował swoje towarzystwo, ale nie otrzymał nawet odpowiedzi.

Potem zostali we dwóch na rogu ulicy Zamkowej i patrzyli markotnie wślad za odchodzącym Zanem.

Mróz styczniowy skrzypiał pod nogami, zatykał nozdrza i palił w piersiach. Każdy łyk zimnego powietrza upajał jak mocna wódka. Głęboki, sinawo połyskujący śnieg zagradzał drogę. Zan brnął przez zasypane bulwary, parł naprzód przez wzmagającą się zawieję.

Nieliczni w tym miejscu i o tej porze przechodnie oglądali się na niego ze zdziwieniem. Na Antokolskiej drodze było zupełnie pusto i jeszcze bardziej śnieżnie. Wiatr podrywał śnieg i przesypywał z przykrym suchym szelestem. Na czarnym niebie nie było gwiazd, kościół świętego Piotra majaczył widmowo na końcu drogi.

Zan machinalnie skręcił wprawo, na małą boczną ścieżkę, wijącą się między płotami. Płoty skończyły się bardzo szybko, zaszumiał Zanowi nad głową ten sam, dobrze znajomy las, gdzie na wiosnę... oni oboje z Felą... owego niezapomianego wieczoru...

Stanął pod sosną oparł się plecami o gruby, kostropaty pień i przymknął oczy. Jakiż ten szum trwożny... I ta niesamowita białość na ziemi... i ten kir na niebie... Tak. Wszystko się skończyło i nigdy już, nigdy nie zacznie się na nowo.

Wątpić w słowa przyjaciół? Jakżeż można? Alboż nie dali tylokrotnych dowodów najwierniejszej życzliwości? Albożby zranili mu serce, gdyby mieli jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości? Zresztą... cóż w tym

niebывałego, że Polka idzie za Moskala? Zdarzało się to nieraz i jeszcze nieraz się zdarzy... Któż wie, jak tam było? Może jej rodzice kazali? Trudnoż wymagać od szesnastoletniej panienki, w surowym posłuszeństwie chowanej, żeby zdobyła się na hart ducha potrzebny do sprzeciwu rodzicielskiej woli... A Fela jest wrażliwa... nerwowa... Niewolno utrudniać jej życia niewczesnymi wyrzutami. Cóż to mówił Teodor? że ona sama pragnie tego potwornego małżeństwa? Bajki! W to jedno nie sposób uwierzyć. Takiej krzywdy nie wolno robić ukochanej. Ach, odejść w milczeniu, niczym jej nie zasmucić.. Nawet tych wiosennych narcyzów nie odsyłać, ani promienia kruczych włosów... Już najlepiej nie zobaczyć jej wcale, usunąć się jej z drogi od razu i na zawsze. Niech żyje, jak potrafi najspokojniej, miła — przemiła... A jeżeli jednak Teodor mówił prawdę? Boże ratuj!

Otrząsnął się z zimna i ze zgrozy, owinął się silniej w płaszcz. Zimno będzie teraz przez całe życie....

Ale nie. Pozostaną zawsze bracia - Filomaci i wspólna z nimi praca dla powszechnego dobra. Któżby się mógł uważać za nieszczęśliwego, mając takie perspektywy przed sobą?

Twarz mu zziębła. Roztarł ją obu rękami. Śnieg sięgał prawie kolan, był miękki i puszysty; Zan ruszył przed siebie niebardzo wiedząc, czy wraca do miasta, czy też odchodzi głębiej w las. Z trudem wyciągał i przestawiał kostniejące nogi. Majaczyły mu w pamięci wszystkie dawne spotkania z Felą, uzmysławiały się na nowo wszystkie nadzieje i marzenia. Przejdzie kilka lat i z dzisiejszego bólu zostanie ledwo nikłe wspomnienie... Ale trzeba przeżyć najpierwsze złe chwile, trzeba zdusić w sobie

rozdygotany żal i to prędko; za dużo jest roboty, nie ma czasu cierpieć.

Zan z wysiłkiem odczepił myśl od Feli i przeniósł na Filaretów. Wytrwale pracując wyobraźnią, wywoływał twarze zdolniejszych, rokujących większe nadzieje. Tak. Uczepić się ich i wypłynąć na powierzchnię cierpienia. Dla nich i z nimi żyć. Oni są przyszłością i nadzieją.

Ale myśl dzisiaj nie chciała być posłuszną. Uporczywie odwracała się wstecz, czepiała się wspomnień. Rozzalała się ciągle na nowo i każdy z kolei wywołany w pamięci Filareta dostawał czarnych warkoczy i rozmarzonych oczu ukochanej dziewczyny, każdy zaczynał uśmiechać się jej uśmiechem.

„Wróć, Feli, spokojność moją!”

Zan zgubił od dawna ścieżkę i krążył między drzewami, kluczył tu i tam, a im dłużej szedł, tym większe ogarniało go zmęczenie. Coraz mozolniej wyciągał ze śniegu ciężkie buty, wreszcie ustał zupełnie i przystanął.

Usiąść pod sosną i odpocząć chwilę! Możliwyby skulić się i zaraz będzie cieplej. Straszliwie pusto i cicho w tym zaśnieżonym lesie po nocy! tylko drzewa skrzypią przeraźliwie, dręczone od mrozu.

Zan poczuł się ogromnie samotnym i opuszczonym. Przyjaciele daleko, w mieście, a on już tam chyba nigdy nie dojdzie. Taki kawał uciążliwej drogi. Spojrzał przed siebie. Na białym śniegu biała jakiś mur. Odcinał się wyraźnie na tle czarnej nocy. Kto mógł mieszkać za tym murem, tak daleko w lesie? Postąpił parę kroków. Mur był stosunkowo niski, jakiś budynek zarysowywał się w głębi, w śnieżnej mgłę, między drzewami. Możeby znaleźć bramę i zapukać?

Zan ruszył wzdłuż muru, przesuając ręką po jego wierzchu. Szedł tak chwilę, nie mogąc natrafić na ślad furtki, aż potrącił coś sterczącego w górę. Drzewko wychylone zza muru? Nie. To było zimne i gładkie. Pociągnął ręką ku górze i zmacał poprzeczkę: żelazny krzyż. Cmentarz świętego Piotra!

Lodowaty strach ogarnął Zana i otrzeźwił momentalnie. Odskoczył od cmentarnego muru i puścił się pędem wąską, krętą uliczką.

Biegł bez tchu, nieprzytomnie, bo zdawało mu się, że za nim gonią umarli, dudniąc kościstymi piętami po twardo ubitym śniegu.

Jak szalony wypadł na placyk przed kościołem i przystanął dopiero naprzeciw dworku Romerów, łapiąc powietrze zaschłymi wargami. Po chwili roześmiał się sam do siebie.

— Ależ zabrnąłem! Ktoby to pomyślał! Ja, Zan, pomiędzy umarłymi! A niedoczekanie wasze, żebyście mnie kiedy dostali! Jam żywy!

Roześmiał się raz jeszcze, pogroził pięścią śpiącemu w mrocznej mgle lasowi, odwrócił się do niego plecami i równym, zdecydowanym krokiem ruszył ku miastu.

XXI

Reduta maskaradowa w sali Müllera miała mieć miejsce w połowie lutego. Aranżowała ją pani gubernatorowa Hornowa, wielka admiratorka wszelkich zabaw, pospołu z panią Choiseul-Gouffier i panią instygatorową Chrapowicką. Miała to być najpiękniejsza zabawa w karnawale i piękne damy na wiele dni przed tym zabiegały około szat, możliwie najstrojniejszych.

Deybellowa postanowiła zaprowadzić na tę re-
dute najstarsze swoje wychowanki. Zabawa maska-
radowa nie była wcale pannom wzbronioną, byle ją
opuściły przed północą, bo potem już salę zalewały
mniej dystygowane maski. Wówczas znikwały nie-
tylko damy, ale i bardziej ceniący się panowie. Re-
szta hulała o wiele dłużej; gdzieś koło drugiej, lub
trzeciej w nocy można było spotkać na sali i kogoś
z pospólstwa.

Pani Deybellowa przywiozła swoje panny do-
syć wcześniej, bo o szóstej wieczornej. Służba dopie-
ro kończyła rozpałać świece w pajakach. Dam je-
szcze prawie nie było, panowie tłoczyli się w drzwiach
bufetowej sali, gdzie długie stoły obficie były zasta-
wione wódkami i przekąskami.

Deybellowa ze swymi pupilkami zajęła miejsce
pod ogromnym zwierciadłem, nawprost drzwi wej-
ściowych. Siadły rzędem pod jej opiekuńczymi skrzy-
dłami: Fela Micewiczówna, Olesia Chrapowicka,
Marcysia Kojalowiczówna, Izabelka Łęska, a w koń-
cu Wela Zborowska i Aniela Łuczówna, którą matka,
nie mogąc córce sama towarzyszyć z powodu
braku odpowiedniej toalety, poleciła opiece Deybel-
lowej.

Panienki, nie oswojone jeszcze z zabawami,
siedziały sztywno i grzecznie, pilnie bacząc na fał-
dy jasnych sukienek. Fela miała bladoniebieską,
pod piersiami ujętą w czarną aksamitkę, zasypaną
małymi wianuszkami z przedziwnie wyrobionych
niezabudek. Włosy miała pierwszy raz w życiu utre-
fione w loki i było jej z tem bardzo niewygodnie.
Bała się poruszyć głową, żeby czegoś nie zepsuć.

Pod wielkim portretem cesarskim, po prawej
stronie, zebrało się najdystygowańsze towarzystwo:
wodziła tam rej przepiękna Mateuszowa Radziwiłło-

wa i żywa, rozgadana, trochę nawet krzykliwa pani Choiseul-Gouffier. Fela dopatrzyła między damami Sulistrowskiej, kręcącej się i wiercącej jak fryga.

Z panien — jaśniały szczególną urodą i bogatym strojem: Zofia Chłopicka, Wercia Osten-Sacken, dwie Szumskie... Fela przyglądała się im z bacznym podziwem i bez zazdrości. Ona z pewnością nie będzie tak otoczoną, ale także ma nadzieję bawić się dobrze.

Ukostiumowani byli przeważnie mężczyźni, chociaż niektóre damy nosiły także maski. Fela obserwowała uważnie wszystkich przesuających się przed nią turków, rycerzy, paziów, cyganów, szukając napróżno kogoś znajomego. Nikogo rozpoznać nie mogła, dostrzegła natomiast Pełskiego, bez maski, w galowym mundurze, stojącego u drzwi wejściowych. Z pewnością pełno tu było ukostiumowanych akademików. Może jest gdzie i sam Tomasz? Co będzie, jeżeli Pełskij zacznie jej asystować?

Ale nie. Skłonił się zdaleka, wyniosłe i obojętne. Asystował Sulistrowskiej uszczęśliwionej i roztrzęsionej jak ośmnastoletnie dziewczątko. Fela odetchnęła z ulgą. Teraz już nie ma obawy, że Moskał swoją nieznośną obecnością odstraszy pana Tomasza, Sulistrowska nie wypuści go z uroczych pazurów. Niech trzyma! Od tamtych dzikich oświadczeń Pełskij ogromnie stracił na uroku. Fela nie mogła przypomnieć sobie bez wzdrygnięcia...

Co to? Ach, tak, gruchnął polonez. Nic dziwnego, że muzyka tak głośna. To wojskowa. Kolorowe pary poszły wężem dokoła sali. Prowadził jakiś hetman, czy kasztelan w sutej delii, mając u boku wenecką w osobie pani Hornowej. Fela rozejrzała się niecierpliwie po szeregach młodzieży. Któryż tam jest znajomy? który podejdzie pierwszy?

Smukły, dziewczęco piękny Staś Morawski poprosił do poloneza Wercię Osten-Sacken. To było naturalne. Baronówna Osten-Sacken podobno się w nim kochała, a poza tym ten paniczyk mimo wszystko zawsze ciągnął do swoich. Ale oto ktoś, co z figury przypomina jakby Kazimierza Piaseckiego... może ten ją poprosi? Nie. Kłania się przed Marcysią Kojałowiczówną. Dotychczas nie zdarzyło się jeszcze, by Marcysia przed nią szła do tańca. Teraz Aniele porywa barczysty krawczyk podejrzanie podobny do Łozińskiego, (nikt inny nie miał tak szerokich ramion), potem Welka Zborowska wstała ze swego krzeselka do przezabawnego chrapaszcza z długimi wąsami i w wysokich butach. Wreszcie już wszystkie odeszły i złączyły się z polonezowym pochodem, wędrującym przez główną salę i boczne salony. Tylko Fela pozostała na miejscu i przerażonymi oczami wpatrywała się w stopniałą do paru osób grupkę jeszcze nie tańczącej młodzieży.

Pani Deybellowa przyglądała się jej podejrzliwie. Dotychczas, czy to w pensjonie na tańczących wieczorkach, czy na sobótkach u Wysogierdowej, Fela miewała największe powodzenie, całe sznury tanecerzy stawały za jej krzesłkiem. Cóż się stało?

Jeszcze chwila i polonez się skończył, a rozbawione koleżanki wróciły na swoje miejsca. Ich przyjacielsko współczujące, podświadomie złośliwe: „a co to? nie tańczyłaś?“ doprowadziły Felę niemal do łez.

Ale kiedy przy menuecie powtórzyło się to samo, Deybellowej żal się zrobiło dziewczyny. Urażona też była jej własna ambicja opiekunki ładnych panien, które jak dotąd nigdy nie siały pietruszki; a nareszcie chciała skorzystać z mazura i zjeść

spokojnie kolację. W sąsiedniej salce stół był obficie i nęcąco zaopatrzony.

Poszeptała z mężem na stronie, a posłuszny Deybell pobiegł w te pędy i przed samym już mazurem, kiedy zatrąbiła pobudka, przyprowadził jakiegoś swego kuzyna. Był łysy, trochę krzywy, ależ zawsze tancerz.

Nie było co kaprysić. Fela z uczuciem bolesnego upokorzenia dała się zaprowadzić swojemu mizernemu tancerzowi prawie na sam koniec barwnego dwuszeregu par. Kuzynek Deybella usiłował najgrzeczniej bawić swoją damę, ale konwersacja rwała się co chwila, bo Fela, zajęta myślą czy gdzie nie dojrzy Zana, odpowiadała zaledwie monosylabami.

Na sali nie było nikogo takiego, coby Zana chociaż przypominał. Krawczyk-Łoziński także zniknął, Aniela tańczyła teraz z Edwardem Odyńcem.

Mazur przeciągnął się nieznośnie długo, ale i on skończył się nareszcie. Nastąpiła krótka przerwa w tańcach, lokaje roznosili chłodniki i lody. Panie jadły je z wolna, z namaszczaniem, bo to był przysmak nowomodny, niedawno na wileńskich balach przyjęty. Krzywy tancerz dosyć zwinnie porwał lokajowi z tacy i przyniósł Feli porcelanowy talerzyk pełen zimnej bladoróżowej masy. Fela jadła szybko, mroząc sobie usta, byle skończyć jaknajprędzej i podejść do koleżanek, które opodał, pod okiem Deybellowej, rozmawiały ze swymi mazurowymi tancerzami.

Ale gdy tylko zbliżyła się do rozbawionej grupy, wszyscy młodzieńcy, jeden za drugim, wymknęli się grzecznie, usunęli się na bok i panny pozostały same między sobą. Obejrzały się na Felę zaskoczone, a ona doznała wrażenia, że podłoga się pod nią ugi-

na. Spojrzała błagalnie na Anielę Łuczkównę, najbliższą przyjaciółkę. Aniela wsunęła jej rękę pod ramię i odciągnęła na stronę.

— Nie zdradź mnie, Felutko, przed panem Teodorem, bo on mnie powiedział w zaufaniu... Widzisz... rzecz idzie o to, że ciebie przyjaciele pana Tomasza chcą ukarać... Ty, podobno, z rotmistrzem Pełskim na szlichtadę jeździłaś, czy co?

Feli dech zaparło; przez chwilę łąpała ustami powietrze, potem wybuchnęła:

— Jeździłam, gdzie mnie się podobało, rozumiesz? Jakie prawo mają mnie karać? Kto ich nadmną sędziami ustanowił? Nie spytali się nawet, jak to było... Ale ja im pokażę, że nie dbam... że mnie...

Wyrwała się przerażonej Anielce i odbiegła. Aniela ścisnęła ramionami. Doprawdy, ta Fela! jeszcze nie dość, że kokietuje Moskala. Obrażać się musi, gdy kto ją z poczciwości ostrzega. Niechże robi, jak chce kiedy taka z niej niedotykana królewna.

Fela wróciła na swoje krzeselko pod ścianę, oparła się o chłodny mur i przez zmrużone powieki patrzyła na salę.

— Więc to tak? Więc to taki u nich obyczaj? Nie zapytać, nie dowiedzieć się jak należy, tylko zaraz potępić? A pan Tomasz? Wiedział o wszystkim i dopuścił do takiego jej upokorzenia? Dobrze. Niechże tak będzie. Dobrze.

Muzyka znowu zagrała menueta. I co? Znowu siedzieć? Nie. Za nic. Raczej pokazać im wszystkim... pokazać, że i bez nich jej wesoło.. że i bez nich ma dosyć powodzenia.

Właśnie mijala ją w tańcu Sulistrowska. Gdybyż pomogła... Ale ona gniewa się z pewnością.

Fela, prawie o tym nie wiedząc, wbiła błagalne spojrzenie w twarz pięknej damy. Sulistrowska

obejrzała się, dostrzegła wyraz twarzy dziewczyny, zatrzymała się.

— Cóż to, Felisiu, nie tańczysz? Poczekaj, odstąpię tobie mojego tancerza, sfatygowana jestem okrutnie. Pozwól proszę, imć pan Kajetan Wańkiewicz. Idźcie młodzi, ja tu posiedzę, a pan — skinęła wachlarzem na mijającego Konstantego Nowomiejskiego — przyniesiesz mnie lodów, albo lepiej szklanekę oranżady.

Pan Konstanty Nowomiejski skłonił się głęboko i puścił się w lansadach po woskowanym parkiecie ku drzwiom sali bufetowej. Imć pan Wańkiewicz ujął rączkę Feli i poszli w taniec. Fela zawsze dobrze tańczyła, ale teraz przeszła samą siebie. Chciała pokazać, jak świetnie się bawi. Tańczyła z odrzuconą wtył główką, z rozdętymi chrapkami, zarumieniona i śliczna. Gdy Wańkiewicz ją posadził, zjawili się inni tancerze, których przedstawiała Sulistrowska. Fela ani się spostrzegła, kiedy przeszła pod jej wyłączną opiekę, a Deybellowa nie odważyła się zaprotestować. W końcu zjawił się i Pełskij, miękki, skruszony, łąszący się jak czarny kot. Wybłągał drugiego mazura, a podczas tańca szeptał jakieś gorące zaklęcia, których Fela nie słuchając — słuchała, na które odpowiadała śmiechem, droczyła się i drwiła, jak winem podniecona bólem i upokorzeniem, pragnąca zadawać ból, kiedy jej zadano. — Chcą karać, niechże mają za co — powtarzała sobie za każdym komplementem Pełskiego, za który odwdzieczyła się powłóczystem spojrzaniem.

Z okiennej framugi śledził każdy ruch rozbawionej pary Tomasz Zan przebrany za beduina. Nie spuszczał oczu z zarumienionej twarzyczki Feli. Nie wyglądałaby tak, gdyby szła za tego Moskalika pod przymusem. Nic to innego, jak jej najdroższe speł-

nione marzenia. Prawdę mówili przyjaciele. Kobieta! Wielkie nieba! Nie warto cierpieć! Nie warto!

Nagle, w pół drugiego mazura, na środek sali, między związane w łańcuch pary, skoczył nieznajomy czarny kominiarczyk i skinął na muzykę, że grać przestała. Zatrzymali się wszyscy, wszystkie oczy zwróciły się na główne drzwi sali.

Od tych drzwi posuwał się szczególny orszak: moskiewski „dieńszczyk“ szeroki i rozrosły, prawie kwadratowe chłopisko, szedł przodem, tłum butnymi gestami na dwie strony rozgarniając. Za nim krawczyk kuso strojny, choć także dostatecznie barczysty, niósł z oznakami czci i najwyższej pieczołowitości nowiuteńki, świeżutko odprasowany, paradny mundur oficera gwardii cesarskiej. Do rękawów munduru uczepione były, jakoby przyprężone za nosy długimi sznurkami, cztery strojne panny. Posuwały się tuż za krawczykiem. mizdrząc się i krygując najpocieszniej w świetle. Niezgrabne ruchy, płaczące się w ogoniastych sukniach kroki, zdradzały bez ochyby płeć męską. Gdy orszak stanął na środku sali, niewiadomo czyje głosy poczęły skandować wśród powszechnej ciszy:

— Za-mun-du-rem pan-ny sznu-rem.

Redutowi goście stali cicho, ni to zaskoczeni, ni to załęknieni. Zamaskowany orszak przededefilował spokojnie dokoła sali i kierował się ku wyjściu.

Wówczas dopiero, kilku oficerów, wyszedłszy z osłupienia, skoczyło za zuchwałymi maskami, ale tłum fraków wyrósł im momentalnie na drodze. Przeciskali się z coraz większym trudem.

Między damami powstał szmer, zarumienione panny spuszczały oczy. Jedna tylko Wercia Osten-Sackenówna, która słynęła z tego, że nie przetańczy-

ła jeszcze nigdy ani pół taktu z żadnym rosyjskim oficerem, zawołała na cały głos:

— Otóż pięknie!

— Otóż pięknie! — powtórzyło za nią jeszcze kilka głosów damskich.

Fela poczuła gorący strumień wzdłuż karku i pleców. Co za nieznośne gorąco w tej sali. Po prostu nie można złapać tchu. Jakby tu zrobić, żeby wyjść stąd? wyjść jaknajprędzej? Cóż za lekkomyślność nie do darowania, taka dziecinna zemsta! Dlaczego było nie poprzestać na Wańkowiczu? Czy konieczny był Pełskij do tego drugiego mazura? A co teraz będzie?

Z trudem podniosła głowę i zobaczyła, że znieawidzonego w tej chwili ostatecznie i raz na zawsze niema przy niej. Z innymi oficerkami skoczył ku zagadkowemu maskom, z innymi też został zatrzymany przez gęstniejący coraz mur fraków. Żadne „pardon messieurs“ nie pomogło i cały pochód ulotnił się bezpiecznie; zanim rozwściczeni oficerowie dotarli do progu, już tamtych nie było śladu.

Przerwany mazur nie skleił się na nowo, pomimo natarczywych domagań się oficerskich, by muzyka grała dalej. Niektóre matrony, zaniepokojone incydem, zgarniały pod skrzydła swoje panny i sterowały ku drzwiom. Deybellowa gdzieś się podzielała i Fela bezradna, nieszczęśliwa podeszła nieśmiało do Wysogierdowej, rozmawiającej tuż, o dwa kroki, z bratem swoim, bajkopisarzem Goreckim.

Życzliwa zawsze dama tym razem przywitała Felę jakoś chłodno. Z przekąsem gratulowała jej niezwykłego powodzenia, a potem niedbałym ruchem wskazała w dali Deybellową z pannami i odwróciła się znowu do brata, wyraźnie nie życząc sobie dalszej z Felą rozmowy.

Zrozpaczona dziewczyna już chciała wracać do swoich, gdy odwróciwszy się przypadkowo ujrzała Zana w beduińskim stroju, lecz bez maski, zajętego rozmową z paru frakowcami. Pałaca chęć usprawiedliwienia się przed nim zaraz, natychmiast, sprawiła, że, zapominając o wszelkich konwenansach, Fela sama, bez żadnej damskiej asysty, poszła przez całą salę ku grupie rozmawiających mężczyzn. Kilka pań odprowadziło ją zdumionym spojrzeniem, nie zwróciła na to żadnej uwagi. Oczy miała wlepione w obróconego do niej profilem Zana. Jeszcze parę kroków... Już była blisko, gdy Zan spostrzegł ją i, zamiast wyjść jej naprzeciw, skłonił się z przesadną uniżonością, z wyrazem zaciętym i złym, odwrócił się i odszedł, pozostawiając ją samą na środku sali, zupełnie bezradną i bez granic nieszczęśliwą.

Nikogo w pobliżu, czyja obecność mogłaby usprawiedliwić jej samodzielną wędrowkę w ten róg sali, ciekawe lognons skierowane ku niej ze wszystkich stron, coś nawet jakby ironiczne szepty... pod Felą ugięły się kolana. Byłaby może upadła, ale na szczęście Deybell, który z polecenia żony zbierał do gromadki rozproszone panienki, podskoczył w samą porę. Fela uczepliła się jego ramienia jak deski ratunku, dała się uprowadzić, nawet bez odrazy słuchając jego skrzeczącego głosu.

— Panno Felicjo! ale doprawdy! jak można tak się ukrywać? wracamy do domu.

Na dworze była odwilż i wiał przykry, wilgotny wiatr. Czarna jak smoła, rozżłoszczona i posepna lutowa noc miała przynajmniej tę dobrą stronę, że nikt w powrotnej drodze nie zauważył strumieni łez spływających nieprzerwanie po zbladłych policzkach Feli.

XXII

Pod Adamowym oknem, na Bernardyńskim Za-
ułku, wezbrały już i pozieleniały bżowe pąki. Suche
i szare gałązeczki dzikiego wina nabrały zielonawej
głębkości. Wróbli sejm na bżowym krzaku wzno-
wił swoje obrady zahamowane jak dotąd mrozami.
O mętne szybki małej stacyjki uderzyło słońce.

Tomasz dostrzegł je po raz pierwszy oddawna,
siedząc w kucki na Adamowej tureckiej otomanie
i ćmiąc lulkę. Słońce musiało już nieraz stawać w
oknie, ale dzisiejszy pogodny dzień marcowy podkre-
ślił jakoś wyraźniej odświeżoną słoneczną wspania-
łość. Tomasz zamrugał oczami jak ktoś, kto się bu-
dzi i pojął, że „spolaniałość“ odchodzi.

Cóż tu robił u diabła w ciasnej stacji Adama?
pomiędzy wysoko zastanem łóżkiem, turecką otoma-
ną i kulawym stolikiem, dźwigającym z trudem na-
wet lichtarz mosiężny? Otóż był na kuracji. Adam
wynurzył się zza kłębow tytoniowego dymu, by mu
to potwierdzić.

— Dajmy sobie, że chorowałeś, Tomy — powie-
dział Adam tonem starożytnego mędrca. — Dajmy
sobie, że musiałeś chorować, bo jeżeli dwie osoby
dla różności uczuć nie mogą przystać do siebie, np:
Feli i Tomasz, rodzą się stąd szkodliwe dla zdro-
wia kwasy i pieprz w oczy gryzie. Podobno to nie-
pięknie poecie mówić o własnych wierszach, prze-
cież ja ustawy poetyckiego cechu na ten raz złamię
i przypomnę tobie jak to:

„...nad te wody trupie
wzbił się jakiś płaz w skorupie ,
sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem!
Goniąc za żywiótkami drobniejszego płazu,
to się wzbija, to w głąb wali,
nie lgnie do niego fala, ani on do fali.
A wtem jak bańka prysnął o szmat głązu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego żguby.

Adam urwał i mrugnął zachęcająco na Zana.
Zan lulkę z ust wyjął i odmrugnął w tym samym
tonie.

„...To samoluby“!

Umiem, umiem na pamięć twoje wiersze, Ada-
mie! A cóż? kto mnie zastępuje u Sliźniaków?

— Łoziński poczciwy.

— Zacny z niego chłopisko, ale zahuka mnie
chłopaków ze szczętem. A u Filaretów?

— Któżby, jak nie Czeczot? Nieopłacony Janko!
On zdąża ze wszystkim, chociaż i w kancelarii swo-
je odsiedzieć musi. Nie uwierzysz, co on teraz kło-
potów ma ze mną. Nie myśl, że tego nie czuję, ale
trudno... Ja nie mogę sam gadać z Zawadzkiem. Nie-
znośna suchość i ściskanie w gardle język obezwład-
nia, dwóch słów powiązać nie potrafię. A ta korekta!
pożal się Boże! Jan mnie dla korekty odrywa od
moich biednych „Dziadów“! Zważ tylko, czy mogę
opuścić nieprzystrojonego jak należy Gustawa? Ale
ja ciebie moimi sprawami nudzę, kiedy ty jeszcze
cały zdrętwiały. Wyjdźże za miasto, a od ju-
tra zabierz się do pracy. Ja, doktor doświadczony,
twierdzę, że już możesz.

I jakoś to poszło. Zdawało się nawet, że idzie
nienajgorzej. Zan już nie marszczył się boleśnie, ile
razy kto przy nim w rozmowie zatrącił o pensjon

Deybellów, lub wymienił którą z uczących się tam panien. A gdy ustaliła się wiosna, zaczął po dawnemu wychodzić za miasto i poweselał znacznie.

Bracia Sliźniowie, tegoroczni pupile Zana, mieli sobie oddawna i uroczyście obiecaną przechadzkę, a że właśnie przynieśli dobre noty z gimnazjum, więc tej soboty, wczesnym popołudniem, nadeszła pora spełnienia obietnicy.

Wybrali się tedy wszyscy: imć pan guwerner Tomasz Zan, jego trzej pupile, jego brat młodszy Stefan i Oleś Łuczko, który ostatnimi czasy nie odstępował Tomasza, starając się ciągle być mu użytecznym.

Śliźniaki cieszyli się hałaśliwie śpiewaniem dzwońców, co im zwiastowało zbliżanie się wielkanočných wakacji. Woda płynęła rowami, hucząc wesoło, resztki błota dosychały pośpiesznie pod płotami, a powietrze musowało, perliło się, przelewało przez piersi ludzkie ogromne fale nieuzasadnionej, dziecinnej, oszałamiającej radości.

Śliźniaki z miejsca upili się tym powietrzem i galopowali nieporządnie o jakieś dziesięć kroków przed swymi mentorami, starającymi się gorliwie utrzymać bodaj pozór własnej powagi. I oni jednakże nie mogli iść wolno, ani pokazywać kamiennych twarzy strojnym damom w powozach i pięknym dziewczętom.

Wróble trzepotały się wrzaskliwie w nowym tegorocznym kurzu, słońce zalewało świat, rzeka w dole iskrzyła się, a pałac Słuszków białał oślepiająco. Głębokie, świetliste, ciemnoszafirowe niebo pochłaniało wszelkie smutki i troski. Po prostu przestawały one istnieć wobec świetlistego, ciemnoszafirowego nieba. Niemożność złych wspomnień uspasabiała radośnie do przyszłości. Dniom nadchodzącym chciało się krzycheć: witajcie!

Tego samego dnia i o tej samej godzinie wybrał się także na Antokół rotmistrz Pełskij. Niewiadomo czego tam szukał świeżego powietrza, czy zapomnienia dla swoich tęsknot? Dość, że poszedł i szedł dobrym krokiem, mało oglądając się na prawo i lewo.

Myślał o tym, jak źle i trudno żyć między Polakami, jak oni zawsze muszą coś takiego wymyśleć, żeby życie zrobić ciężkim i ponurym. Nie mogliby to, kiedy już dostąpili szczytu przyłączenia do wielkiej i potężnej Rosji, „caria-batiuszkę“ sławić, „właśc“ szanować, a rozkoszować się tym wszystkim, co może uprzyjemnić egzystencję człowiekowi należącemu do uprzywilejowanego, szlacheckiego stanu? Nie. Oni muszą zatruć wszelką radość życia sobie i innym. Jakiż niesmaczny pomysł z tym mundurem na ostatniej reducie! Na wszystkie damy wionął mróz, w zapustne dni oficerom gwardii zbrakło inwitacji, chociaż bale po najpierwszych domach odbywały się jak zazwyczaj. Profesorowa Śniadecka nie zaprosiła nikogo z wojskowych, ba, instygatorowa Chrapowicka także... Jedna Frankowa... tak, ale damy były dla oficerów jakieś oziębłe, a ta ekscentryczna Ludwika Śniadecka jemu, Pełskiemu, odmówiła tańca. Smarkata, nie rozumie, co robi! Gorzej, to samo zrobiła panna Aleksandra Becu i to pod arcybłahym pozorem. Niechże się wyśpią, jak sobie posłały. Oficerowie gwardii odwołali kulig, który miał być świetnym zakończeniem karnawału.

Albo ta dzierlatka Micewiczówna! Spotkana w domu stolnikowej Janowiczowej, cedziła słówka jak przez gęste sito, sznurowała usteczka, marszczyła się za każdym żarciem, aż, nie przeprosiwszy nawet, zgoła niegrzecznie, wstała i odeszła do dam, nie dokończywszy rozmowy i uniemożliwiając abso-

lutnie ponowne jej nawiązanie. Durna dziewczyni-
na! Nie—to nie! Mogłaby zostać rotmistrzową gwar-
dii... Niech sobie przyszłość rujnuje. K'czortu z nią!

Tak mówiąc sobie na pociechę, czuł przecież rot-
mistrz Pełskij, że wcale nie „k'czortu“. Jak zadra
utkwiła mu w sercu ta dziewczyna: ani jej wyrwać,
ani tak zostać. Ożeniłby się. Dalibóg, żeby się ożenił!
I zacoż go taki despekt spotyka? Że Moskal? A cóż
to Moskal? zwierz dziki? Płaz obmierzły? Też czło-
wiek z duszą nieśmiertelną.

Poczucie niezasłużonej krzywdy rosło w rotmi-
strzu Pełskim z każdą chwilą, gdy tak szedł wzdłuż
parkanów, otaczających dworki antokolskie, wzdłuż
gó, ciągnących się po prawej ręce zalesionymi gar-
bami. Już blisko kościoła świętego Piotra, naprzeciw
letniej willi Franka, zobaczył o kilkanaście kroków
przed sobą gromadkę akademików i zadrzał z pasji.
To oni, nikt, tylko oni zatruwają dusze dziewcząt,
ucząc je uporu i nienawiści. A, gdyby ich wszystkich
jednym chwytem zdusić!

Machinalnie przyśpieszył kroku, by wyminąć
wrogów i nie mieć ich ciągle przed oczyma. Ten, co
szedł ostatni, wydał mu się znajomym z postaci,
choć nie sposób było sobie przypomnieć w jakich
okolicznościach mogła zostać zawartą podobna zna-
jomość.

Pełskij zrównał się z grupką młodzieńców i chciał
przesunąć się jaknajprędzej mimo nich, ale trotuar
był bardzo wąski, zaledwie na dwie osoby, a oni
właśnie szli po dwóch. Trzeba było przeprosić i Peł-
skij wyszczał: „Pardon“ głosem dość gburowatym.
Akademy przyśpieszyli kroku, ale się nie usunęli.
W Pełskim złość zakipiała. Nie pójdzie krok w krok
za nimi. A cóż to? W błoto ma złązić, żeby paniczów
ominać? Ruszył ostro przed siebie, pchnął ramieniem.

Szturchnięty mocno Zan zachwiał się na nogach. Wściekły na nieznanomego gburą, odwrócił się gwałtownie i w tejże chwili poznał Pełskiego.

Poczerwieniało mu w oczach, wicher zakręcił w mózgu i uniósł pamięć o wszelkich zasadach węzowej przemyślności. Huknął na całe gardło:

— A nie można ostrożniej? Co?

Pełskij wsadził sobie ręce w kieszenie, zmrużył oczy, zakołysał się lekceważąco na obcasach i wyrzucił nareszcie jedno słowo jak z procy:

— Durak!

W tej samej chwili jegomość w czamarze, który wyjrzał zza furtyki ogrodowej, powiedział głośno:

— Pal w pysk!

Zan odwinął ramię i z całego rozmachu palnął w pysk.

Cios był tak silny, że Pełskij okręcił się w kółko, zatoczył się na parkan, odbił się od parkanu jak piłka i runął przed siebie z krwią nabiegłymi oczyma, rycząc głucho. Ale towarzysze Zana zakotłowali się nieszczęsnemu oficerowi pod nogami, zakręcili nim jak jesiennym liściem i rozpierzchli się w różne strony tak szybko, że nim Pełskij zdążył oprzytomnieć, już stał sam zupełnie po środku pustego chodnika.

Na ulicy, w przyzwoitej odległości, zebrała się gromadka gapiów i przyglądała się pilnie, co będzie dalej? Stało tam trochę bab chusteczkowych, paru jegomościów z waszecia i kilkunastu obdartych wyrostków. Ich się czepiać? Nonsens.

Pełskij chwycił się ręką za gardło. Dławił go kołnier munduru. Nagle porwał się, skoczył, pierwszego z pomiędzy widzów chwycił za sznury od bekieszy, potrząsnął nim silnie.

— Ty widieł, kto mienia udaril? Gawari! Sju minutu gawari!

Przerażony jegomość wybałuszył rybie oczy i bełkotał bez sensu:

— Ja ojciec dzieciom, proszę mnie puścić, ja ojciec dzieciom!

Ale obok stojący, młodszy cokolwiek, z pozoru czeladnik jakowegoś rzemiosła, powiedział niespodziewanie.

— Niech pan oficer puści tego pana. On niewinien. Ja widział, kto dał panu oficerowi w... mordę.

Pełskij rzucił się ku czeladnikowi, nie zważając na ową „mordę“.

— Kto?

— A szewc Orłowski — rąbnął bez namysłu czeladnik i spojrzał Pełskiemu drwiąco w same oczy.

— Kto? Szewc? Sapożnik? Ubuju swołocz etakuju! Prowadź! Gdzie mieszka? A?

Wyciągnął rozczapierzoną rękę, żeby czeladnika schwycić za ramię, ale i czeladnik znikł, zupełnie jak w gorączkowym śnie. Zamiast niego podskakiwał na jednej nodze obdarty chłopaczek i dogadywał:

-- Ja zaprowadzę! Pan oficer mnie pozwoli! Ja zaprowadzę! Ja wiem, gdzie mieszka szewc Orłowski! Na Zamkowej ulicy!

Pełskij poszedł z chłopcem na Zamkową ulicę. Chłopiec tknął palcem w jakąś bramę, otrzymał pół rubla i natychmiast ulotnił się bez śladu. W bramie nikt nie wiedział o żadnym szewcu Orłowskim; nie było go ani w podwórzu, ani w sąsiednich kamienicach, ani prawdopodobnie nigdzie na świecie.

Pełskij do samego wieczora biegał jak oszalały po ulicach Wilna, szukając niewiadomo kogo. Pod wieczór spotkał go jakiś kolega, zabrał do swojej „kalaski“ i zawiózł do siebie na kwaterę. Tego wieczora Pełskij pił na umór, zwierzał się swemu przygodnemu przyjacielowi i płakał. Gorący i słodki poncz

coraz gorętsze łzy wyciskał z oczu. Już teraz użalał się nietylko nad sobą, ale nad dolą wszystkich dobrych „russkich ludiej“, zagnanych między „kowarne lachy“. Że niezrozumiani, oczerniani i krzywdzeni, pędzą tu smutne życie zdala od „Matuszki Rassieji“ zdala od krasnego słoneczka carskiej łaski. I nawet na pociechę niema z kim „pakutit“ charaszenko“.

Tu przygodny powiernik przerwał wywody Pełskiemgo. Otóż to niesłusznie. Co, jak co, ale „pakutit“ charaszenko“ znajdzie się z kim z pewnością. A chcąc dowieść prawdy swoich słów, zapakował półpijanego Pełskiego znów do bryczki i powiózł już nawet nie na Pohulanke, ale do zatraconego karczmyska het, za Antokolem, zwanego pospolicie „Pośpieszką“. Były tam piękne karczmarki, całe morze gorzałki, miodu i niespodziewany szampan dla dobrze płacących gości, szampan, który piło się przy obdartych stolikach, przy łojowych świeczkach, ale z rozmachem.

Wracali o białym świetle. Konie ślaniały się jak pijane. Dieńszczyk uraczony wódką drzemał na koźle a obaj oficerowie, obejmując się czule, wspierali się wzajemnie. Kolega powtarzał wkołko rozbolełym, błagalnym tonem:

— Arkasza, pluń na nich, pajediem w Pitierburg!

A Pełskij wygrażał pięścią komuś niewidzialnemu i twierdził uparcie:

— Atamszczu! Jej Bohu, atamszczu!

Jechali tak do miasta, a biały świt przyglądał im się drwiąco.

XXIII

Zażywna i promieniejąca, pani Micewiczowa wtoczyła się do deybellowskiej bawialni i ogarnęła córkę opiekuńczymi ramionami. Długo całowała ją

naprzemian w oba policzki, potem odsunęła dziewczynę na długość ramienia i przyglądała jej się z zadowoloną miną.

— Coś ty mnie blada, Felisiutko! A czy jakie zmartwienie? Czy nie chora? nie głodna? nauką zbytnio nie utrudzona? Może wielmożna pani Deybell dla ciebie za surowa? Powiedz tylko, już ja z nią porozmawiam. A może ty, nie daj Boże, zakochałaś się przypadkiem? No, nie rób takiej minki, ja sobie żartuję. A ja tobie nowinę z domu przywiozłam, ale teraz nie powiem. Dobre czasy dla nas nastaną, moja Felisiu, a Leonardowie zatkną się z zazdrości o swoją Henryjettę.

Fela słuchała roztargniona, zamyślona o swoich sprawach, nie wiele z macierzyńskiej gadaniny doszło do jej świadomości.

Przed tygodniem, gdy wieść o policzku wymierzonym Pełskiemu, szeroko gruchnęła po mieście, nieomylnym w takich razach przecuciem Fela odgadła, że bohaterem tego zajścia jest nie kto inny, jak Zan i że to z pewnością o nią chodziło. Zapra gnęła koniecznie, za wszelką cenę, nawiązać z Tomaszem utracony kontakt. Skoro bił się o nią — nie powinien jej nadal unikać. Przecież Pełskij stał się jej nienawistnym, wstrętnym, a oni oboje z Tomaszem byli zaręczeni. Nie zrywa się zaręczyn za jeden nierozważny taniec, choćby nawet z rosyjskim oficerem, tembardziej, że Feli zdarzyło się to po raz pierwszy w życiu. Niewątpliwie Zan już przestał się gniewać i czeka tylko pierwszego kroku z jej strony. Należy mu się to. Ona była winna.

Fela pomimo wielkiej subordynacji domowej, szczególnie wobec ojca, zdecydowała się pomówić z rodzicami w czasie wakacyj. Niech się dzieje co chce. Rodziców słuchać i szanować trzeba, ale panu Tomaszowi należy koniecznie dochować wiary.

W obowiązkowej, bezwzględnie uczciwej duszyczce Feli miłość do Tomasza, spotęgowana obawą utraty, zlała się teraz w jedno z obowiązkiem Polki. Obowiązku tego postanowiła dotrzymać za wszelką cenę. Liczyła trochę na matkę, że ją zrozumie i dopomże. Byle tylko stanąć twarzą w twarz z ukochanym i wytłumaczyć mu wszystko szczerze i otwarcie, powiedzieć prawdę nawet o chwilowym występnyim zadurzeniu i przysiąc na wszystko, że to już minęło bezpowrotnie. Kłótnia — jak chmura, nasunęła się — to i wiatr ją odgoni. Ale trzeba dopomóc wiatrowi.

I Fela zdecydowała się na rzecz niebywałą zupełnie przekraczającą granice jej normalnej odwagi: napisała list do Tomasza i ubłagała Olesia, który czasem przybiegał z poleceniami od siostry, że podjął się oddania listu według adresu. Olesz poszedł z tym listem i nie pokazywał się ze trzy dni, potem zjawił się i odniósł ten sam list nierozpieczetowany. Zanakał ustnie powiedzieć, że ściele się do stopek panny pułkownikówny i za wielki zaszczyt dziękuję, ale nie czuje się być godnym. Dlatego list odsyła i życzy wszelkiej pomyślności na nowej drodze życia.

Więc nie pozwolił nawet się wytłumaczyć, nie przyjął żadnych wynowek. Może i słusznie. Nie wolno polskiej dziewczynie na sali balowej popisywać się tańcem i załotami moskiewskiego oficera, a cóż dopiero dziewczynie promienistej. Tak. Możliwe, że za taką winę nie ma przebaczenia. Jakże ona wyglądała w tym tańcu? Sama czuła, że kokietowała Pełskiego bezwstydnia. Na złość. Za posadzenie jej pod piecem. Ach, Bóg, dlaczego jej nie wystarczyło, że zjawił się Wańkowicz i tamci drudzy? Wytańczyłyby się z nimi i cała sprawa skończyłaby się na żartach i śmiechu. A teraz trzeba szczęściem płacić lekomyślność. Gdybyż mogła pójść do Tomasza i roz-

mówić się z nim we cztery oczy, z ustami przy ustach. Czemuż nie miała czapki-niewidki? Zjawiłaby się w jego stancji nagle i niespodzianie. Za drzwiami nie mógłby jej wyprosić.

Ale taka wizyta dla cnotliwej pani Łki była równie niewykonalna jak wycieczka na księżyc. Pozostawała jedyna nadzieja: przypadkowe spotkanie. Fela marzyła o tem, żeby spotkać Zana na ulicy, lub gdzieś u jakichś znajomych, ale to się ani rusz nie udawało. Widocznie Zan unikał tych miejsc, gdzie mu zostało zawiele wspomnień, albo może nie życzył sobie spotkania.

Powoli, w miarę jak czas mijał, Fela uświadamiała sobie ze zgrozą, że Zan, zrażony i rozgniewany, po prostu przestał ją kochać, a w takim razie żadna rozmowa nie pomoże.

Fela przecierpiała dużo, zanim zdecydowała, że pora już odrzucić wszelką nadzieję i zacząć zapominać. Nie było to łatwe zadanie; matka zastała Felę w pierwszej fazie ciężkiej pracy przymusowego zapominania.

Zmartwiona przygnębieniem jedynaczki, starała się ją rozerwać, jak umiała: wodziła ze sobą na Jagiellońskie Pole i do Botanicznego Ogrodu, zabierała dwa razy do teatru, karmiła przywiezionymi ze wsi przysmakami i odwiedzała z nią wszystkich możliwych znajomych. Wszystko bezskutecznie. Fela chodziła za matką blada i senna, przyjemności znosiła z rezygnacją, a na niezliczone pytania, czy się dobrze bawiła, odpowiadała niezmiennie: — tak, dziękuję matuchnie — głosem, który gasił wszelką ochotę do dalszego rozpytywania.

W ciągu tych peregrynacyj trafiły obie do pani Rajeckiej na czwartkową kawę.

Kawa była już postna, podawano biszkopty,

ciasta konfiturowe, obwarzanki i osuszki. W towarzystwie zebranych dookoła kawianego stołu panowała przystojna powaga. Na dużej jesionowej kanapie pod lustrem siedziały profesorowe: Śniadecka i Becu. Profesor Chodani zaplatał pulchne ręce na okrągłym brzuszku. Obok gładko wygolony Frank uśmiechał się z wyższością i przybierał swoją gębę austriackiego radcy dworu w pogardliwy grymas, ile razy siedzący naprzeciw ksiądz profesor Jundziłł z czemś się odezwał. Ale zaledwie zaszczebiotała coś pani Balińska, starsza córka Śniadeckich, znany kobieciarz Frank topniał w oczach i sadził komplementami, że ksiądz naturalista z kolei krzywił się pogardliwie.

Ksiądz profesor Kłągiewicz popatrywał drwiąco na obu, a sam, kręcąc młynka palcami, kończył rozpoczęte dawniej opowiadanie, czy wyjaśnienie:

— ...I doprawdy, nie wiem, co mam robić. Wiersz pana Mickiewicza bardzo piękny, poprawny, nie mogę zaprzeczyć, ale jak skoro pan Golański zabrakował, mnie także trudno przepuścić; my z nim razem dwaj cenzorowie, to musimy być zgodni.

— Jakiż to wiersz? — spytała pani Salomea Becu, przechylając się przez stół kawiany.

Kłągiewicz ujął w dwa palce złożone uszko filiżanki, upił jeden gorący słodki haust i odpowiedział damie:

— Wiersz, łaskawa pani, jest pióra pana Adama Mickiewicza, tego nauczyciela z Kowna, przyjaciela naszego rektorowicza. Franuś Malewski chciał jego koniecznie ze sobą na wojaż zabierać, ledwie mu ojciec wyperswadował. Owóż pan Mickiewicz tegoroczną zimę w Wilnie spędza, nie wiem: dla poratowania zdrowia, czy napisania rozprawy magisterskiej... już mniejsza o to. Dość, że bywa-

jąc na lekcjach pana Lelewela, napisał wiersz bardzo piękny na jego cześć i chciał w Dzienniku Wileńskim drukować. Już tam i pierwiej drukował jakoweś wierszyki, takie ballady.... Była jedna w zeszłym roku pod nazwaniem: „To lubię“, dosyć gminna i od wiersza do Lelewela bez porównania gorsza. Ale ten wiersz, mówię, tchy, niczego, wcale niczego!

— I pan Golański nie pozwolił drukować? Jaki żal! I czemuż to? — troskała się pani Salomea.

— Bo są aluzje, mościa dobrodziejko, niebezpieczne, niepotrzebne... Strasznie niespokojną mamy teraz młodzież, rwie się, a sama nie wie do czego. Toż uniwersytetowi można najokropniej zaszkodzić. Jedyna placówka na ziemiach naszych, ostatnia, że tak powiem, reduta... A Najjaśniejszy, wiadomo jaki drażliwy. Książę kurator w ostatnich czasach...

Uciał i spojrział ukosem na Franka, który napuszony, zgoła nadęty, przysłuchiwał się rozmowie. Teraz zabrał głos i mówił z namaszczeniem, unosząc wskazujący palec w górę:

— Najjaśniejszy, najłaskawszy imperator Aleksander dość chyba uczynił dla uniwersytetu wileńskiego, by sobie na dozgonną wdzięczność tak uczniów, jak i profesorów zasłużyć. Ja oburzam się zawsze najmocniej, ilekroć słyszę o jakimś nowym dowodzie zwykłej Polakom czarnej niewdzięczności. Ten Mickiewicz był i jest w bliskiej poufałości z młodzieńcami, którzy przed dwoma laty urządzili tę jakowąś promienistość. Już za to samo, gdyby wiersz jego nie zawierał żadnych aluzyj, powinien być od cenzury zakazany. Ja mniemam, że książd profesor Kłągiewicz zbyt oględnie wyraża się o wierszu i jego autorze. A już wspomnienie o zbytnej drażliwości Najjaśniejszego Pana uważam za wprost nieprzyzwoite. Jaknajkategoryczniej muszę zaprotestować

Pani Salomea Becu spuściła głowę i koniuszkami palców skubała fałdy sukni. Jej pasierbica, panna Aleksandra Becu, spojrzała na Franka pałającymi oczami, poczerwieniała gwałtownie, ale nie powiedziała nic. Książd Jundziłł zatarł nerwowo ręce i rozpoczął dykurs o czymś zupełnie innym, podtrzymała go bardzo gorliwie pani Jędzejowa Śniadecka.

Nieznana nikomu dama w czerni, jakaś ze wsi przybyła kuzynka pani domu, przysunęła się do Frankowej i rozpytywała ją półgłosem, o jakich to młodzieńcach wspominał szanowny małżonek? Frankowa obejrzała się niespokojnie i pochyliła się do samego ucha ciekawej damy, przesłaniając sobie usta wachlarzem:

— Jest między młodzieżą towarzystwo ukryte, coś nakształt illuminatów. Vous comprenez? Przyduje temu związkowi niejaki Zan, a niektórzy twierdzą, że Zand, bliski krewny osławionego zbrodniarza, który...

— O, ja wiem — przerwała prowincjuszka — który zamordował niemieckiego ministra... Kot... Koc... dalibóg, nie pamiętam nazwiska, ale miało coś ono z kotem do czynienia.

— Pana ministra Kotzebue — przeszkandowała z wyższością Frankowa.

— Otóż to, otóż to — przytwierdziła tamta — Kocebu. Zawsze wiem wszystkie nowinki polityczne i nie rozumiem dla jakiej racji ta właśnie z głowy mnie wyleciała.

— Ależ to wcale nie nowinka, to się wydarzyło przed kilku laty.

Frankowa nie ukrywała lekceważenia, ale rozmowna dama nie dała się zbić z tropu.

— Wiem ja to dobrze, tak tylko powiedziałam. Ależ ten pan Zan, czy Zand, jest w takim razie Niemcem... Skądże się wziął u nas, w Wilnie?

— Mais, mon Dieu, mój mąż także jest Niemcem, a przecie mieszka w Wilnie — Frankowa odwróciła się osentacyjnie do drugiej swojej sąsiadki i długo jeszcze, już w trakcie nowej rozmowy, uśmiechała się ironicznie. Ach, te litewskie prowincjuszki!

Inna dama, która od dłuższej chwili przysłuchiwała się rozmowie, zbliżyła się teraz do opuszczonej wieśniaczki.

— O, ja nie słyszałam, żeby Zan miał być krewnym Zanda, ale zato wiem najpewniej do czego ta promienistość. Otóż ten Zan zakochał się w mleczarce, koło Markuś mieszkającej. Zakochał się, mówią, po uszy, słuszna więc, że chce jej dać zarobić. Stąd mleczne majówki i cała awantura.

— Oh, mais alors c'est toujours la vielle histoire d'amour — roześmiała się któraś z dam.

— Une excursion au pays du Tendre — wypowiedziała pracowicie i z fatalnym akcentem dama z prowincji.

Ksiądz Jundziłł wstał od stołu i odwołał do sąsiedniego gabinecziku księdza Kłągiewicza. Obaj księża profesorowie stanęli we framudze okiennej, a na oknie postawili swoje kieliszki.

— Z tym już pora skończyć — powiedział Jundziłł. — Niemiec — wskazał oczami drzwi od salonu — węższy jak stary lis. Lepiej, żebyśmy sami usunęli zarzewie buntu, niż żeby on doniósł o tem imperatorowi.

— Czy to bunt aby? — zwątpił ksiądz Kłągiewicz.

— To jest coś, co może być nad Nową za bunt poczytane. Coś, co może, przez swoją nierozwagę, pociągnąć za sobą straszliwe skutki. Ksiądz profesor mówiłeś tam przed chwilą...

— Ja tylko ubolewałem... Ja nigdy nie myślałem o tem, żeby imperatorowi...

— Ależ i ja nie o imperatorze myślę — zachnął się Jundziłł.

— O kimże ksiądz myślisz?

— Książę kurator przyjeżdża w niedługim czasie do Wilna.

Pochylili ku sobie głowy i poczęli szeptać cicho.

Pani Micewiczowa nudziła się na potęgę. Przyszła tu głównie po najświeższe miejskie nowinki, ale nie te uniwersyteckie, artystyczne, albo literackie. Jej chodziło raczej o to, kto z kim się rozwiódł, a kto z kim ożenił... Czy to prawda, że książę Michał Ogiński swoją drugą żonę, włoszkę Neri, córkę weneckiego gondoliera, złapał na gorącym uczynku z własnym oficjalistą i wygnał babę na cztery wiatry w dżdżystą noc i w jednej koszuli? Że Zubow i Walentynowiczówna już się rozchodzą, a to z powodu dawnego narzeczonego jaśnie oświeconej, imć pana Wyżyckiego? Że Karolina Sulistrowska próbowała z wielkim księciem pocieszyć się po imperatorze, ale musiała poprzestać na zwykłym oficerze gwardii, a i ten jeszcze niebardzo jej wierny, skoro uwiódł podobno tu, w Wilnie, jakąś panienkę z zacnej rodziny, ale kogo? dopytać się niepodobna.

Te wszystkie pytania wstawiała pani Micewiczowa w przerwy między ogólnymi rozmowami i chciwie, w przelocie, łowiła niedbale rzucane odpowiedzi. Nie była znaną w Wilnie i niebardzo się chciało przed nią wywnętrzać. Zniecierpliwiona i znużona poszukała pani Elżbiety Müllerowej. Tej nigdy ogólne sprawy nie obchodziły. Szeptwała sobie w kąciку z jakąś inną damą, radząc w spokoju o najświeższych modach. Do nich przysiadła się pani Micewiczowa ze swoją własną wielką nowiną. Oto marszałek Willamowicz deklarował się o jej córkę, Felicję. Starszy znacznie,

to prawda, ale zamożny, stateczny, zacny. Koligacje świetne, przyszłość zapewniona. Ojciec niczego lepszego nie pragnie dla Felisi. Ona, matka, trochę się lęka, że to pan marszałek Willamowicz nadto już leciwy, a co za uciecha młodej dziewczynie przy starym? Dlatego nie mówiła jeszcze o tym z Felą i przyjaciółki łaskawe o dyskrecję prosi. Może się jakoś później rozmowa sama ułoży. W każdym razie dziewczynę na wieś zabrać trzeba. Dość tej nauki, jeszcze odrobina więcej, a w głowie się Feli przewróci.

Pani Elżbieta Müllerowa słuchała wywodów pani Micewiczowej z zapartym tchem. Marszałek Willamowicz zaliczał się do najbogatszych obywateli Grodzieńszczyzny, był świetną partią. Pani Elżbieta Müllerowa nie miała dorosłej córki, a marszałek nigdy w Wilnie nie bywał, stąd trudnoby myśleć o jakiejś konkurencji. Ale Müllerowa była z natury zazdrosna, po prostu nie lubiła, jeżeli komuś z bliźnich zanadto się powiodło. Więc i teraz zdjęła ją złość utajona i złośliwa chętka dokuczyć w czym można. Zręcznie manewrując, zbliżyła się do kątku, gdzie nad stosami ciast konfiturowych szczebiotały panienki. Położyła Feli rękę na włosach i powiedziała z wymuszoną serdecznością:

— A co? swatają ciebie, duszo moja? A czy to nie za wcześniej?

Fela wpatrzyła się w Müllerową okrągłymi oczami. Wyglądała tak zabawnie w swoim zdumieniu i przerażeniu, że Müllerowa, pomimo wewnętrznej złości, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Cóż tak oczy wytrzeszczasz, rybeńko? Mówiła mi twoja matka. Niczeż to strasznego, zwykła doła niewieścia. A tobie pensjonu szkoda? co?

Pogłaskała oszołomioną dziewczynę raz jeszcze

po włosach i odeszła, a raczej odtoczyła się, bo była niska i bardzo pękata. Fela patrzyła za nią ciągle jeszcze nadmiernie rozszerzonymi oczyma. Przesuwała spojrzeniem po kanapie z damami, po siedzących dokoła stołu profesorach. Przez chwilę przyglądała się śnieżnobiałej chustce profesora Franka, kunsztownej fryzurze pani Becu, a potem przerzuciła oczy z ludzi na pająk, zwisający od sufitu i na jedną w nim świecę krzywo osadzoną, z której wosk kapał grubymi łzami na dywan.

— Trzeba koniecznie powiedzieć komuś, że ta świeca się topi — pomyślała Fela. — Inaczej stanie się nieszczęście. Jakie nieszczęście? Wydadzą mnie zamąż i już nigdy nie będę mogła pogodzić się z Tomaszem. A jeżeli nie wyjdę zamąż? Jeżeli oprę się woli rodziców? To i tak nic nie pomoże. Nigdy, nigdy Tomasz mnie już nie zechce. Nigdy, nigdy Tomasz mnie już nie przebaczy.

Jak przez mgłę widziała, że matka podnosi się i żegna, więc i ona także poczęła żegnać się, dygając na prawo i na lewo, według przepisów metra Jaquetot.

Za progiem dał silny wiatr i białe obłoki gnały na oślep po bladoniebieskim, jeszcze zimnym niebie. Wieczór zapadał, złocił mokre dachy, rozpalał się na chwilę w szybach okien i gasł zniechęcony coraz zbliżającym się mrokiem. Micewiczowa z córką wsiadły do wynajętego powozu i pojechały na kwatery „samej“, do jakiejś dawnej znajomej. Kwatera była skromna, w parterowym domku, daleko na Łukiszkach. Fela wymówiła się od wieczery silnym bólem głowy i położyła się zaraz do łóżka. Matka, nagadawszy się do syta z dawną znajomą, już gdzieś około dziesiątej wieczornej weszła do bokówki oddanej sobie na sypialnię i siadła na brzegu Felinego łóżka.

— Felutko, dziecinko, już niech tak będzie, już ja tobie powiem, bo ty taka ciągle smutna, a może to ciebie pocieszy. Trafia się tobie partia jakich ma-
ło, deklarował się pan marszałek Willamowicz. A co? co ty na to? Będziesz panią prawie taką jak księżna Ogińska. A czy ciebie to nie raduje? Powiedz mnie, duszko.

Fela przymknęła oczy, starając się wskrzesić w pamięci obraz marszałka Willamowicza. Długa i wąska, ogorzała twarz, dwa strąki żółtych wąsów po obu stronach w wieczną podkówkę zgiętych ust, wyblakłe błękitne oczy, patrzące na świat rozumnie i pocziwie i leciwa zmarszczka między brwiami... Dobry człowiek... mądry człowiek... Stary człowiek.. Opiekun — tak. Ale mąż...

Westchnęła ciężko. Matka patrzyła na nią czule i niespokojnie. Wiedziała zbyt dobrze, co Fela mogła naprawdę sądzić o proponowanym jej małżeństwie i, mężnie, wyszła sama naprzeciw zarzutom:

— No tak, marszałek już starszy... dlatego właśnie stateczny. Już ty mnie uwierz, taki prędzej uszanuje. Ja sama, kiedy szłam za twego ojca, zielona byłam jeszcze jagoda, a on — podeszły w latach. A cóż? źle nam nie było... I Pan Bóg błogosławił... Z początku... No, tak. Ale potem... Och, potem byłam z mojej doli zupełnie zadowolona.

Pogłaskała córkę po głowie, wstała ciężko i zbliżyła się do okna. Małe, ciemne obłoki, pędząc gdzieś na złamanie karku, przelatowały raz wraz poprzez jasną tarczę księżycy. Wyglądało, że to księżyc toczy się po obłokach jak ogromna srebrna bilardowa kula. Toczył się, toczył i wciąż był w tym samym miejscu, naprzeciw okna, nad topolą, ocieniającą werandkę od ogrodu.

Taki sam bywał dawniej i tak samo świecił na

wiosennym niebie w ów daleki, od dawna w szarym morzu codzienności zatopiony wieczór, kiedy pani Micewiczowa była bladą i smukłą dziewczyną ośmna-stoletnią, sentymentalnie zamyśloną o jakiejś wielkiej, nieprawdopodobnej, na śmierć i życie przysięgającej miłości. Był wówczas, także blady i smukły, także bardzo młody i sentymentalny, syn oficjalisty z sąsiednich dóbr Radziwiłłowskich, takie sobie dziecinne marzenie. Oświadczył się zamożny sąsiad, imć pan Micewicz i wydano ją nie pytając o zdanie. Bolało wtedy serce, bolało tak bardzo, że aż dzisiaj, po tylu latach, na wspomnienie boli. A może teraz tak samo właśnie boli Felisję? Może i ona o jakimś czarnobrewym myśli? o jakowychś ustach wiśniowych, świeżych i gorących? o jakowychś ramionach mocnych i sprężystych, które przytulą, że świat zakreć się w oczach? Może... zapytać?

Ha, gdyby nawet tak było, cóż przyjdzie z pytania? Pewnie to marzenie jest po panieńsku nierozsądne, zgoła nie do przyjęcia... i przewidująca miłość macierzyńska zgodzić się nie pozwoli... A gdyby nawet ona, matka, zmięknęła wobec próśb i łez, jest przecie ojciec po męsku twardy i surowy. Nie, nie! Mariaż — to nie kaprys dziewczęcy, to sprawa rodzinna, doniosła i ważna w skutkach. Nie. Lepiej nie pytać, nie rozbudzać niepotrzebnych tęsknot, jak nie pytała kiedyś jej własna matka. I cóż? Życie złożyło się jakoś nienajgorzej; bez murzeń ognistych, bez miłosnych upojeń, ale też bez rozczarowań, gorzkich zawodów, targań i rozpaczy. Cóż szara nitka z dnia na dzień przedzona: gospodarstwo, rodzenie dzieci... wietrzenie wyprawnych sukien, zleżałych, nigdy nieużywanych, oglądanie klejnotów w wianie otrzymanych, a nigdy nie wkładanych... szepty nieskończonych litanij, zapach piżma i paczuli, mi-

sterny haft w rękę... czasem, zrzadka, goście... I tak przez wszystkie dni życia.

Mąż, człowiek stateczny, uniknął wojennej chwały, pułkownikostwo jako tytuł honorowy piastując. Na zapadłą wieś, zdala od ludnych traktów, nie zajrzeli nawet Francuzi... Życie zbiegło, jak z bicia trzask... A teraz na tę samą drogę trzeba pchnąć córkę. Na tę samą drogę... A może.... jednak...

Jakby niewidzialną ręką pchnięta, odwróciła się pani Micewiczowa od okna.

— Śpisz, Felisiu?

— Nie, mamó.

— Smutno tobie, dziecinko?

Zdziwiona niezwykłym tonem, Fela uniosła z poduszki rozwichrzoną głowę.

— Czemu pyta się mama?

— Ot, sama nie wiem. Tak mnie jakoś na rzewność zebrało się. Odejdiesz ty ode mnie, jedynaczko moja, sama z chłopaczyskami zostaną... A może ty nie chcesz odchodzić? Może ty za marszałka nie chcesz iść?

Fela porwała się z łóżka i boso, w koszuli nocnej, z potarganymi warkoczami na plecach, skoczyła do matki.

— Ach, gdyby mama pozwoliła nie odchodzić, ze sobą zostać jeszcze długo, długo.... na zawsze!

— Co ty, dziecko moje, co ty? Kobiecie zamąż iść trzeba koniecznie. To trudno, nie na starą pannę ja ciebie chowałam. A cóż za los starej panny? I jakby się ojciec gniewał. Pomyśl tylko, on wciąż sobie roi o twoim świetnym zamęściu.

Fela pochyliła głowę i chlipnęła cichutko; matka objęła ją ramieniem i przygarnęła do piersi.

— Dlaczego płaczesz, mileńka? Jestże ktoś tobie bardziej miły od pana marszałka? Ja dobrze

widzę, jaka ty smutna... No, powiedz... To my jeszcze pogadamy z ojcem... Wyperswadujemy — zakończyła z nagłą determinacją. — Jeżeli ty miałabyś być nieszczęśliwą... dalibóg na to nie pozwolę. Tylko powiedz swojej starej mamusce. No?

Teraz Fela rozszlochała się na dobre. Gdybyż ta rozmowa z matką wypadła o dwa miesiące wcześniej! Wszystko dałoby się wówczas zrobić. A teraz wszystko przepadło. Jak żywą widziała przed sobą gniewną, zaciętą twarz Zana. Miałoż to nieoczekiwane ułatwienie przyjść dopiero teraz, kiedy on ją przestał kochać? Nie panując już nad sobą, wyjąkała wśród szlochań:

— Nie, mammo... nie, mammo... Bo... on mnie... nie chce...

— A toż co znowu takiego? Ciebie nie chce? Felutki mojej nie chce? A to niechajże sobie idzie na góry, na lasy! Nawet i pytać nie będę, kto on taki. Słyszane rzeczy! Mojego złotka nie chce!

Pani Micewiczowa nie posiadała się z oburzenia, ale przez to oburzenie przebijała duża ulga. Bo jeśli ten nieznajomy, zatraceniec Felutki naprawdę nie chce, niechby już ona szła za Willamowicza. Znajdzie uczciwą pociechę w godnym i dostojnym życiu, a w domu wszystkie plany ułożą się pomyślnie i z ojcem nie trzeba będzie żadnych walk staczać.

Pani Micewiczowa głaskała i tuliła Felę, mówiąc jej wszystkie dobre i serdeczne słowa, jakie tylko umiała. Fela garnęła się do matki coraz namiętniej, znikł jakoś na mgnienie zwykły, należny przedział między nimi, pani Micewiczowa także poczuła potrzebę zwierzeń.

Pociągnęła córkę do niskiej kanapki, usadziła obok siebie i, wśród gradu pocałunków, poczęła prosić wstydliwie;

— Widzisz, córuś, jak skoro tamten ciebie i tak nie chce, to ty się już zgódź na Willamowicza... Bo to, widzisz, źle u nas dzieje się... Ojciec stary, niezawsze dopatrzy, a rządów wypuścić nie chce... Ty wiesz, jaki ojciec bywa i że ja nieraz ciężkie miałam życie... A teraz prosto eksdywizja grozi... Rozumiesz?... A gdzie wtedy pójdziemy? Co zrobimy? Na dzierżawę? w naszych latach? A któż ojca weźmie, starego i do państwa przywykłego? Marszałek Willamowicz spłaciłby wszystkie długi... już powiedział. Więc ojciec zupełnie jak dziecko cieszy się nadzieją niespodziewanego ratunku... Bo powiem tobie pod sekretem: my już w miłosierdzie boskie zwątpili... Więc jeżeli tamten i tak ciebie nie chce... Córeńko mileńka, ratuj ty starych rodziców... Ty zobaczysz, że Pan Bóg tobie stokrotnie odplaci i jeszcze niespodziewane szczęście w tym mariażu znajdziesz... No, powiedz słówko, córuś, mnie starej na pociechę... Pan marszałek i chłopczyskom zapewniłby opiekę, bo co to mówić, ojciec już dobrze w latach i coraz częściej zaczyna niedomagać... Jak przyjaciółce mówię, jak siostrze, nie jak córce... Obiecaj ty mnie, że opierać się nie będziesz. A cóż, obiecujesz?

Fela w porywie wielkiej wspaniałomyślności przypadła ustami do matczynej ręki.

— Dobrze, mamó.

— Ukrywałam przed tobą rzeczywisty stan rzeczy. Myślałam: poco martwić dziewczynę? Ale teraz mówię, bo od ciebie ratunek zależy. Obiecujesz?

— Obiecuję, mamó i daję moje słowo... — zawała się chwilę. — Promieniste słowo — zakończyła pośpiesznie.

Pani Micewiczowa nie zwróciła uwagi na ten osobliwy zwrot. Przyciągnęła córkę na serce i całowała gwałtownie.

z

Księżyc zaglądał w okno i świecił im natarczywie w zapłakane oczy.

XXIV

Uroczysty obiad dla księcia kuratora odebrał sen pani Jędrzejowej Śniadeckiej na długo przed dniem wyznaczonym. Ciężkie to było zadanie: kogo zaprosić trzeba? kogo pominąć można? kogo zapraszać nie należy? Nie sposób było rozesłać inwitacje całemu uniwersytetowi. A jeśli już pomijać, serce by chciało przede wszystkim Niemców, a rozum każe pamiętać o Groddecku, którego kurator szanował i cenił nad wyraz, i o Franku, który jest dobrze z władzami, i o Kapellim, z którym Frank się przyjaźnił. Frank, tyle wspaniałomyślny dla ubogich pacjentów, tyle wyrozumiały dla studentów, za najdrobniejszą urazę swej niewymownej próżności potrafi się mścić i nie pogardzi w tym celu nawet politycznymi aluzjami w rozmowie z gubernatorem. Stary Jundziłł znowu jest nieobliczalny, ile razy znajdzie się przy jednym stole z Niemcami.

Państwo Śniadeccy przeglądali listę zaproszonych po raz kilka, a wciąż nikogo nie znajdowali do skreślenia, raczej musieli parę osób dodać. Tak zebrało się ich przeszło trzydzieści.

Nieoceniona Salomea Becu oddała do dyspozycji pani Śniadeckiej siebie i swoje dwie pasierbice. Wzamian za to przeforsowała drobiazg: inwitację dla Leona Borowskiego, którego pominięcie zostało już na pufnej naradzie domowej zdecydowane. Ostatecznie nie stało się źle, Leon Borowski był kompanem z Towarzystwa Szubrawców. Leleweł, na szczęście okazał się być chorym.

Na szczęście, bowiem porywczosć jego i ponura gwałtowność wróżyła jaknajgorzej przy stole. I tak już kompania była nad wyraz niedobrana. Panią Śniadecką najbardziej niepokoił Frank, miał specjalny dar drażnienia starego abnegata, rektora Malewskiego, naoliwionym tonem, jakim zwracał się do możnych tego świata. Mniejsza zresztą o rektora, ale tajemnicą publiczną było głębokie rozczarowanie Czartoryskiego do osoby cesarza, rozczarowanie graniczące o włos z rozgoryczeniem. A jakżeż zmusić Franka, by nie wspomniał cesarskiej osoby, kiedy najjaśniejsze imię wracało mu na usta o każdej porze dnia i nocy? Nadomiar złego nie można było dostać ulubionych księciu głuszców i należało poprzestać na jaszuńskich indykach. Dobrze jeszcze, że kompoty wyjątkowo dopisały, spreparowane według recepty niezawodnej Salusi Becu.

Ku uldze i ku zmartwieniu pani Śniadeckiej ksiązę nie zaszczycił jej pracowicie obmyślonego menu żadną specjalną uwagą. Był za to wyjątkowo uprzejmy, nawet jak na siebie, słyszał bowiem z wielkiej uprzejmości dla niższych stanem. Zachwycał się urodą Ludki Śniadeckiej, z niekłamana przyjemnością wpatrywał się w Olesię Becu, prawil komplementa wszystkim damom, nie pominął i chorowitej, wybitnie w tym roku postarzałej rektorowej Malewskiej.

Jednakowoż z tonu jaki wziął ksiązę w rozmowie z Szymonem Malewskim jasno wywnioskowali wszyscy obecni, że dni urzędowania dotychczasowego rektora są już policzone. Pan Szymon sam to rozumiał i napróżno silił się ukryć bolesne roztargnienie. Ciemne rumieńce paliły mu twarz, że raz ~~wraz~~ przeciągał dłońmi po policzkach. Jego żona nie spuszczała z niego zatroskanych oczu.

Usługa szła dobrze. Wykwintne dania zmieniały się bez dłuższych przerw, wszystko było ładnie pokrojone, umiejętnie ułożone na salaterach i półmiskich; zakała domu, niezgrabny Wincusik, nie uрониł ani razu widelca na podłogę. Pani Śniadecka już zaczęła oddychać swobodniej i porozumiewać się z mężem przez stół triumfującym uśmiechem, kiedy ksiązę, wbrew swoim zwyczajom, wypił jeden za drugim dwa kieliszki węgryzna. Pani Śniadecka od razu się tego złąkla i, jak się potem okazało — słusznie. Bo zaraz niektórzy goście wzięli to sobie za znak, że im także wolno, a pokusa wobec doskonałych win była niebylejaka. Po kwadransie ksiądz Chodani mocno się już zarumienił i mówił odrobinę za głośno. Odrobinę tylko, ale to wystarczyło, by nieznośny Frank zaczął mu się przyglądać ironicznie, by ostentacyjnie krzywił usta z niesmakiem, ile razy wydało mu się, że ksiązę ku niemu patrzy.

A ksiązę natychmiast zauważył Frankowe manewra i chociaż nie pokazał wyraźnego niezadowolenia, dał je odczuć zebranych równie pewnie jak nieuchwytnie. Coś nieprzyjemnego zawisło odtąd w powietrzu, jakkolwiek z pozoru było po dawnemu swobodnie, a nawet wesoło. Rozmowa toczyła się przez cały czas dokoła spraw uniwersytetu. Ksiązę mówił z wielkim ożywieniem, zalecając gorąco opiekę nad zdolniejszymi uczniami, zachęcanie ich do pracy naukowej, otwieranie im jaknajszerszych perspektyw. Mówił też o swoim zamiarze wysłania kilku obiecujących młodzieńców na wojaż zagraniczny śladem syna tu obecnego rektora. Tu ksiązę zwrócił się wprost do pana Szymona i począł wychwalać mu jedynaka, którego poznał ostatnio w Warszawie. Wyrażał wielkie swoje nadzieje oparte na tyle zdolnym młodzieńcu.

— Ja z nim rozmawiałem, miałem jego u siebie na obiedzie. Z wielką przyjemnością rozmawiałem. Wspominał mnie o swoich przyjaciółach i kolegach, panach Jeżowskim, Mickiewiczu i Zanie. Ten Mickiewicz podobno śliczne wiersze pisze? Czyżby nie piękne? — książę spojrział na pana domu, który lekceważąco ścisnął ramionami. — Ja chciałbym coś uczynić dla tych młodzieńców i dlatego, jeżeli wojaż stypendialny w ogóle dojdzie do skutku, życzyłybym ich właśnie mieć w pierwszym rzędzie między kandydatów policzonymi.

— Życzenie jaśnie oświeconego księcia jest dla mnie rozkazem, — powiedział rektor Malewski pierwszy raz od początku obiadu rzeźkim tonem.

Książę, także po raz pierwszy dzisiaj, skinął Malewskiemu przyjaźnie i rozmowa gotowała się już przejść na inne tory, kiedy zawrócił ją niespodziewanie książę Jundziłł.

— Oni są niewątpliwie zdolni młodzieńcy. Tak... Wszyscy trzej. Jednakowoż niedobrze tam z nimi jest i, za łaskawem pozwoleniem księcia pana, ja nie życzę sobie mieć ich wyróżnionymi.

Mówił zdecydowanie ostrym tonem i książę uniósł wysoko brwi na znak wielkopańskiego zdziwienia. Jędrzej Śniadecki robił Jundziłłowi gwałtownie przeczące znaki głową, ale uparty starzec nie dał się pozbawić znakomitej okazji wypowiedzenia swoich gniewnych myśli.

— Nie o nich mnie chodzi. Niech kręcą karki, jeżeli sami chcą. Ale tu jest rzecz arcyważna: nasz uniwersytet, jego przyszłość i dobro. Nie wolno dla dziecinnej igraszki ściągać niebezpieczeństwa na tyle ważną placówkę ojczyściej nauki, obyczajów i mowy. Książę pan z pewnością mnie zrozumieć raczy: północne gromy są bardzo niebezpieczne.

Ksiądz ściągnął brwi i spojrzał pytająco na rektora Malewskiego. Rektor siedział bardzo czerwony i jakby zadyszany; chwilę poruszał ustami, nim powiedział sztucznie spokojnym głosem:

— Wiem, co ksiądz profesor ma na myśli. To tam stare rzeczy. Zeszłoroczne. Zbierali się na majówki zamiejskie pod przewodnictwem imć Zana. Pozwoliłem sobie wspomnieć księciu panu w którymś z listów o tak zwanej promienistości.

Ksiądz nie rozchmurzał się. Bębnił niecierpliwie palcami po obrusie.

— Istotnie. Coś sobie przypominam. I cóż dalej?

— Rzecz nabrała zbyt wielkiego rozgłosu, jakkolwiek sama w sobie nie było karygodną. Zakazałem. Ze względu na wagę tej właśnie placówki, o której tu przed chwilą ksiądz Jundziłł.. Przestali się zbierać. Oto wszystko.

— Nie wszystko, bowiem zbierają się do dziś dnia w sekrecie! — rzucił przygotowany zdawna pocisk Kapelli.

Przykra cisza wstrzymała wszystkie oddechy. Ksiądz z pozornym roztargnieniem patrzył w okno. Rektor Malewski mienił się na twarzy. Jego żona wyciągnęła zza stanika flaszeczkę z solami trzeźwiącymi i wdychała mocno, nie zwracając uwagi na nie stosowność podobnego postępku przy oficjalnym stole Frank nie posiadał się z uciechy, bez ceremonii pochwalał Kapellego, kierując ku niemu przez stół wdzięczne uśmiechy i potakujące kiwania. To już było nieprzyzwoite. Jundziłł popatrywał na obu ze złością. Zuł w bezzębnych wargach jakieś nieme słowa, ale nie dał im żadnego kształtu. Nie mógł, bo przyznawał cudzoziemcom rację. Doprowadzało go to do wściekłości

Wreszcie ksiązę zapytał w przestrzeń, nie podnosząc oczu.

— Czy tak się rzecz ma istotnie?

Malewski nabrał oddechu.

— Nie sądzę. Sądzę raczej, że profesor Kapelli się myli. Ufam tym młodzieńcom, to przyjaciele mojego syna, a on nie zrobiłby złego wyboru w przyjaźni. Jak skoro obiecali mnie, że zbierać się nie będą...

— To zbierali się dalej, pilniej bacząc na tajemnicę. Cóż ich obchodzi dane słowo? Ichmoście wyobrażają sobie, że zbawiają nieszczęsną ojczyznę. Oni lepiej wiedzą, co i jak trzeba, tego sobie na rozum nie biorąc, że gdyby można było coś zrobić, strasi dawnoby już zrobili — trząśł się z pasji profesor Tomasz Życki, drżącą ręką usiłując donieść kielich wina do poszarzałych ze starości warg.

Frank uniósł się trochę na krześle, by zwrócić na siebie uwagę księcia:

— Jaśnie oświecony ksiązę pan pozwolić mnie raczy... Ja nie mogę wyjść z podziwienia. Jakto? Pada zarzut straszliwy: uniwersytet wychowuje młodych szaleńców, którzyby z pod dobrodziejstw panowania najjaśniejszego imperatora Aleksandra ten kraj wyrwać chcieli, a pan profesor Życki uważa, że tu chodzi tylko o to, iż tego rodzaju zamiary trudne są do urzeczywistnienia? Gdyby więc były łatwe, pan profesor Życki uważałby...

Ksiązę spojrział z ukosa na Franka.

— Panie profesorze, nadmiernie mi przykro, że powiedzieć muszę, ale pan, jako cudzoziemiec, nie rozumie naszych uczuć, a my — pańskich. Stąd łatwo o wzajemne nieporozumienia i przykre onych skutki. Proszę, bardzo proszę niczyich słów opacznie sobie nie tłumaczyć.

Dosyć groźnie brzmiąca prośba książecka wyrzuciła Franka z krzesła. Stał pochylony nad stołem tak nisko, że końce chustki maczał nieledwie we własnym kieliszku.

— Wasza książecka mość! Jestem zrozpaczony! Nigdy sobie nie daruję, że tak nieostrożnie ściągnąłem na siebie niezadowolone waszej książeckiej mości. Boleję. Jaknajserdeczniej boleję.

Ksiązę przybrał cierpiący wyraz twarzy.

— Już dobrze, panie Frank. Skończmy o tym.

— Czyż możemy skończyć, wasza książecka mość? Ja wprawdzie nie wątpię, że uniwersytet wskaże winnych, ale... słowo w tym względzie waszej książeckiej mości...

Ksiązę zmiął nerwowo serwetę, była chwila, kiedy patrzący na tę scenę bali się, że ciśnie ją Frankowi w twarz. Taki miał dziwny błysk w oczach.

Ale to trwało ułamek sekundy i zaraz potem ksiązę zwrócił się spokojnie do rektora:

— Wskażcie osoby, a ja sam ukarzę.

— Stanie się podług woli księcia pana.

— Nie możemy pozwolić na żadne szaleństwa — zakonkludował Jundziłł, tłumacząc się niewiadomo przed kim.

Ksiązę rozpoczął z najbliższymi sąsiadami ożywiony dyskurs o teatrze. Na to hasło tu i ówdzie rozpoczęły się poszczególne rozmowy i nawet poprzeczdziły od szeptu do swobodnego głosu. Leon Borowski przegiął się przez parę osób do Jundziłła.

— Więc na ten raz z Niemcami, panie profesorze? Staruszek zamachał wściekle rękami.

— Boże uchowaj! Boże uchowaj! Nigdy z nimi! Czczy pozór! Tylko czczy pozór, nic więcej!

— Na drugim końcu stołu mówił Grodecki:

— A mnie bardzo byłoby żal Mickiewicza. Na-

der zdolny człowiek. Jeżeli się coś okaże, niechby jego przynajmniej oszczędzili. Trzeba się będzie postarać.

— Świat się kończy — mruknął pod nosem Borowski. — Grodeck za Mickiewiczem, a nasz Jundził z Niemcami. Kto wie co takiego.

Skwaszony do reszty obiad skończył się ku ogólnemu zadowoleniu udręczonych gości. Nic już nie pomogło, że ksiązę z wprawą wielkiego światowca podtrzymywał łaskawie rwącą się konwersację.

W salonie, przy czarnej kawie i ponczu, powróciło ożywienie, ale inne już: rozdrażnione i rozgorączkowane. Rektor Malewski podszedł do księdza Kłągiewicza i uprzedził go, że mu poleci prowadzenie śledztwa w sprawie rzekomych związków młodzieży: jemu jako kierownikowi, a następnie Łobojce i Bojanusowi.

— Tak będzie dobrze, niech wszyscy sądzą: nasz jeden, Niemiec i jeden Rosjanin. Ale ksiądz profesor będziesz w tej sprawie głową. Ksiądz profesor zechcesz łaskawie zważyć... niewątpliwie zechcesz zważyć, że ci chłopcy... ci chłopcy...

Urwał i spojrzał Kłągiewiczowi prosto w oczy. Ksiądz Kłągiewicz parokrotnie i energicznie skinął głową:

— Jaśnie wielmożny rektor dobrodziej możesz być zupełnie spokojnym Ja...

Urwał i on z kolei, bo zbliżał się do nich Frank. Z uśmiechem swoim zwykłym nito uprzejmym, nito aroganckim na gładko wygolonej twarzy dworaka sunął w lansadach, mrużąc złośliwie małe oczka.

Właśnie ksiązę, promenując się po salonie, zbliżył się także do Malewskiego, gdy z drugiej strony nadpłynął Frank i zagadnął słodziutko:

— A sprawa Pełskiego? jakże będzie ze sprawą Pełskiego?

Książę spojrział niedbale, przez ramię.

— Jakaż tam znowu sprawa Pełskiego?

— Książę pan nie wie? Pan rektor nie poinformował księcia pana? A przecież stała się rzecz doniosła, arcydoniosła. Znieważono czynnie oficera gwardii jego cesarskiej mości. Podobno akademik..

— Co takiego?

Książę targnął się tak gniewnie, że rektor Malewski mimowoli cofnął się o krok. Jednakże nowa napaść Franka zdawała się go raczej umacniać na duchu, niż ostatecznie przygniatać. Zmierzył przeciwnika od stóp do głów i odpowiedział niedbale:

— Nie uważałem za przyzwoite inkomodować księcia pana w sprawie tak błahej. Znieważono istotnie jakiegoś rotmistrza Pełskiego, ale winowajcą nie jest akademik, tylko szewc, nikomu zresztą nieznany szewc Orłowski.

— Ach więc szewc? — książę ponownie nabrał przyjaznej dobroduszości. — To mnie cieszy, moi panowie. Ciężką zaiste troską byłoby dla mnie, gdyby akademik...

— A jednak z najwyższym żalem muszę rozwiązać złudzenia waszej książęcej mości — podjął na nowo Frank. I zaczął opowiadać metodycznie, systematycznie, po niemiecku, ze wszystkimi szczegółami i dowodami, w sposób usuwający wszelką wątpliwość. Książę szarpał śnieżnobiałą chustkę na szyi. Rektor czuł, jak kołyszę się pod nim podłoga. Czuł także, że powinien skupić całą uwagę na sensie słów Franka, by wydobyć z nich potem coś nadającego się do obrony, a nie mógł. Bóg wie za co musiał myśleć o oczach perorującego: wyłupiastych szarych oczach zamglonych

teraz zmysłową nieledwie rozkoszą z powodu własnego znaczenia i wymowy.

Ksiązę przerwał niemiłosiernie Frankowi ostatnie konkluzje i wywody na temat moralności akademików wileńskich.

— Stało się ciężkie przestępstwo, panie rektorze. Akademik!... Doprawdy! Tego nam brakowało przy aktualnych ciężkich koniunkturach. To musi być ukarane!

— Niesłychane — podchwycił z emfazą Frank. — Wasza księżęcia mość powiedzieć raczył ważne słowo: „ciężkie przestępstwo“! Znieważono mundur gwardii jego cesarskiej mości, najłaskawszego, najdobrotliwszego monarchy, który...

Ksiązę nie raczył już ukrywać irytacji.

— Tak panie Frank, my się obaj zgadzamy, że popełniono tu przestępstwo. Ale w pojmowaniu istoty tego przestępstwa jest między nami głęboka i zasadnicza różnica.

— Nie rozumiem, mości ksiązę.

— Nie szkodzi, panie Frank, nie zależy mnie na tym wcale, aby pan rozumiał, soyez sur.

Frank cofnął się wśród niskich ukłonów, a gdy się już znalazł w przyzwoitej odległości, wzruszył nieznacznie ramionami, wciągnął Kapellego w okienną framugę i zaszeptał mu gorliwie na ucho. Ksiązę po jego odejściu spiorunował chwiejącego się na nogach Malewskiego.

— Winny musi się znaleźć, panie rektorze i to pod pana osobistą odpowiedzialnością moralną. Inaczej ta dziecinnada mogłaby zbyt drogo kosztować uniwersytet. Ach, nie chciałem ja dawać wiary oskarżeniom Jundziła, ale przychodzę do zdania, że starszerek miał rację! Więcej surowości, więcej, gdy trzeba, bezwzględności, panie rektorze! Uniwersytet prze-

de wszystkim i lepiej już, żeby ucierpiał jeden, czy drugi obiecujący młodzieniec. Nie ukrywałem przecież przed panem, co grozi uniwersytetowi i kto gotów pod lada pozorem śmiertelny cios mu zadać.

Rektor Malewski schylił głowę. Mimo wszystko nie czuł się winnym i nie we wszystkim zgadzał się z opinią jego książęcej mości. Z obiecujących młodzieńców wyrastają niekiedy geniusze, a uniwersytetowi nie zaszkodzi chyba utarcie nosa gwardiackiemu oficerowi, nawet gdyby ten był ulubieńcem samego Mikołaja Pawłowicza. Ale Czartoryski zdawał się wyjątkowo rozdrażnionym. Zresztą rozkaz był wyraźny. Trudno. Przyjdzie na ostatek rektorowania zająć się tą przykrą sprawą, a potem... już odejść spokojnie do własnego dworku na Ostrym Końcu, hodować róże, sadzić truskawki, bez przeszkód pracować naukowo i pomyśleć swobodnie o wydaniu zamąż dorastających córek. Gdybyż tylko winowajca nie okazał się który z przyjaciół syna.

Drgnął jak obudzony, kiedy książę począł się żegnać. Przy pożegnaniu odczuł znaczący uścisk książęcej ręki.

Całe towarzystwo rozproszyło się wślad za księciem, zdenerwowane i przybite. Nawet Niemcy byli jacyś powarzeni, jeden Kapelli nie stracił rezonu i nieprzyjemnie uśmiecha się Łobojko.

XXV.

Teodor Łoziński nie zdążył jeszcze umyć się do końca i właśnie, gwiżdżąc „Lisiczkę“ przez zęby, tańcującym ręcznikiem zaczerwieniony od zimnej wody kark, kiedy przerwało mu głośne a nieznanome pukanie do drzwi. Ostatnia wysoka nuta piosenki zmieniła się w ostry ton niezadowolonego zdziwienia.

Któż tam znowu włąził w paradę przed śniadaniem?

Ranny gość niecierpliwił się i łomotał zawzięcie. Łoziński mruczając gniewnie: „zaraz, zaraz“, miotał się po stancyjce, wciągał surdut, szukał spodni, zapomniał o kamizelce. W niezawiązanej chustce na szyi, z nieuczesanymi włosami odrzucił haczyk, nacisnął klamkę i osłupiał. Za drzwiami stał urzędnik uniwersyteckiej kancelarii, imię Stempkowski, a zza jego ramion wychylali kudłate łby pedele.

Teodor Łoziński zbyt miał nieczyste wobec władz sumienie, by nie domyśleć się odrazu, co znaczy taka wizyta. Błyskawicznie przeleciał myślą zawartość swoich szuflad. Gruby szafirowy sekstern ze spisem członków Związku Przyjaciół, gdzie przy nazwiskach filomatów czają się zdradziecko trzy na pozór niewinne literki: „f i l“, ujęte w zgrabny nawiasik; parę kartek nagryzmołonych przez Zana; rozkład zajęć na kursie pomocniczym na miesiąc czerwiec; projekt statutu towarzystwa wzajemnej pomocy koleżeńskiej... To wszystko nie groźne, tylko... do diabła! jeden egzemplarz „Instrukcji Statystycznej“ Malewskiego, ostatni, pamiątkowy! Gdzie on jest? W szafie? Pod siennikiem? Za piecem? Przeklęty sentymentalizm prowadzący do zbierania tego rodzaju pamiątek! Żeby to najjaśniejsze pioruny!

Urzędnik kancelaryjny Stempkowski postąpił parę kroków na środek stancyjki, na to miejsce, gdzie jaskrawe słońce wiosenne rzucało ciepły kwadrat światła i zatarł ręce:

— A zimny ranek, zimny, chociaż niby to pogodny.

— A... to może szklaneczkę ponczu? zaraz każę chłopcu, on w mig zagrzeje! — zaryzykował gościnność Łoziński, ale zmarznięty gość wystraszył się nieoczekiwaną propozycją.

— Co też pan? Co też pan dobrodziej? Poncz? Od rana? Jakby kawa była... nie mówię... chociaż i to niepotrzebne — wycofał się pośpiesznie, widząc gest gotowości Teodora. — Ja tu nie w gościnę... Ja tu z misją... cokolwiek nieprzyjemną...

Łoziński krągłym gestem wskazał dwu pedłów pod ścianą

— A ci panowie?

— Tak sobie. Dla asysty. Pan dobrodziej pozwoli, że zajrzę między seksterna?

— Ha, trudno! węż pan, jeśli wola.

— Ach! fe, mości dobrodzieju, takie cierpkie słowa! Cóż ja winien? Mnie ksiądz profesor Kłągiewicz wydał polecenie w imieniu jaśnie wielmożnego rektora. Więc tutaj są seksterna, a tu szafa z książkami? I jeszcze ten kufereczek pod łóżkiem? Pan dobrodziej pozwoli... ja muszę...

Łoziński stanął przy oknie i skrzyżował ręce na piersiach. Majowy ranek śmiał się tak ślicznie, tak złościście połyskiwał na liściach rosnącej tuż pod oknem jabłunki! W słonecznym blasku nawet szmaty stróżki rozwieszane na sznurze wpoprzek podwórza wyglądały jak książęce stroje. Rok temu w takie ranki chodziło się na promieniste majówki.

Stempkowski dał znak pedłowi, by wyciągnął kuferek z pod łóżka, sam rozsiadł się wygodnie na skraju pogniecionej pościeli. Szperał pilnie, a Łoziński nienawistnie śledził zwinne ruchy poplamionych atramentem palców.

Tak, tak, to w kufierku jest ta przekłeta „Instrukcja“. Diabli nadali wpakować ją tam bez sensu! Może przegapi? Nie. Za dużo ma wprawy. Bydlę!

Stempkowski przekładał starannie książki i ki chał, bo kurz buchał mu prosto w nos. Wyjął z kie-

szeni zatabaczoną chustkę i ocierał bardziej zakurzone obiekta.

— Nie ruszałem ich od dwóch lat — bąknął wyjaśniająco Łoziński. Tamten łypnął chytrymi ślepkami.

— O... to widać, to zaraz widać... ale ja muszę... obowiązek, panie dobrodzieju. Nie panu jednemu dokuczam. U pana Mickiewicza teżeśmy byli.

Łoziński nadstawił uszu.

— Bardzo niegrzecznie nas przyjął... Pisał właśnie... A któż mógł wiedzieć, że tak rano pisać będzie?... Krzyczał, że mu nie wolno przeszkadzać, że to dzikość i grubiaństwo... A co ja winien? Darmo straciliśmy godzinę, nic nie znalazłszy... Ale tu jest coś ciekawego.

Wyciągnął nieszczęsną „Instrukcję“, otrzepał z kurzu, rozprostował delikatnie zmięte kartki. Pieścił się z nią tak, jakby się bał, by mu z rąk nie uleciała. Grubym paluchem przewracał stronicę i ślinił paluch za każdym razem. Łoziński zatrząsł się z obrzydzenia i odwrócił znowu twarz ku oknu. Niech się już w jego stancji dzieje co chce.

Na gałązce jabłonnej usiadł wróbel. Krótki ogonek zabawnie mu podrygiwał, tłusty brzusek włókł się po sęczkach. Cwierkał zawadiacko, mrużył krągłe ślepka, przekrzywił filuternie główkę. W rozczułający, a niewytłumaczony sposób przypominał Anielę Łuczkównę. Teodor westchnął ciężko. Teraz Łuczkowa nie wpuści go ani na dziedziniec! od furtki psem odszczuje!... tym swoim obrzydłym, wiecznie brudnym szpicem.

Imć Stempkowski wciąż przerzucał kartki „Instrukcji“, a chytre oczka zażawily mu się z błogiego zadowolenia.

— Druk!... dalibóg, że druk bez cenzury! Ach!

tym razem książdź profesor nie zarzuci mnie opieszalności. To piękna sztuka, panie Łoziński, i ja waćpanu ogromnie jestem wdzięczny. Od pana oczekiwać zadowolenia byłoby nierozumne, ja wiem. Ha, cóż! może kiedyś, z czasem, będziesz mnie waćpan błogosławił? Może ja jego tą małą przykrością przed wielką biedą chronię? Może panowie wszyscy usłuchacie tego małego ostrzeżenia i zawrócicie z niebezpiecznej drogi? Ja wszystkim panom jaknajlepiej życzę, nawet panu Mickiewiczowi, chociaż tak brzydko mnie wyłajał. Przyznam się nawet waćpanu, że jego balladki w „Dzienniku Wileńskim“ drukowane ogromnie się mnie podobają, tylko... nie mówię tego nikomu, boć trudno, jak skoro profesorowie inaczej myślą... Ja jestem skromny urzędnik uniwersyteckiej kancelarii, chociaź szlachcic jak należy. No, to ja już pójdę, a te seksterniki zabiorę... gniewaj się pan dobrodziej, czy się nie gniewaj, a taki zabiorę.

Zabrał „Instrukcję“ zabrał sekstern ze spisem członków „Związku Przyjaciół“, gdzie przy nazwiskach filomatów znaczyło się tajemnicze „f. i. l.“ i poszedł nareszcie, wżgardziwszy ponczem i kawą, pozostawiając smętnego Teodora na gruzach zdestawowanego kuferka.

W parę dni potem musiał Teodor stanąć przed komisją, gdzie zastał oczekujących w antyszambrze Mickiewicza i Zana. Tomasz chodził wskos obszernej antyszambry nerwowym krokiem, klnąc nierozważnie przez zęby. Adam ćmił swoją nieodstępną lulkę z miną nito zachwyconą, nito zagapioną. Zawsze miał taką, ilekroć przemoc zewnętrzna odrywała go od pisania. Teraz właśnie wydarto go z cmentarnej kaplicy, gdzie z bohaterem swoim odprawiał zaduszne gusła, nie dziw więc, że trudno mu było pojąć tak odrazu, co się dokoła niego na rzeczywistym świecie

wyrabia. Jeszcze miał w oczach przeblęski świata innego, ale rozwścieczony Teodor nie potrafił uszanować praw poety.

Stanął przed Adamem na rozkraczonych nogach i kiwnął się ku niemu, wyciągając przytem wskazujący palec tak, że omal nie trafił przyjaciela w oko. Adam odchylił się z wolna, nie tracąc nic ze swego zagapionego zachwycenia.

— Adalu! Poetycka gapo! Ty dziadowska niezdar! Jak można było?...

— Ale co?

— Pokazać im złość! Och, dostanę ja jeszcze w pazury tego łajdaka Stempkowskiego! Rozdrażniłeś „niedźwiedziego“ pacholka, szperał u mnie jakby złota szukał. Gdyby nie to, że...

— Gdyby nie to, że trzymałeś u siebie to, co wiesz, diabli wiedzą zaco! połowy by tej biedy nie było! Jeż dawno kazał pozbyć się wszystkiego do ostatka. Otóż masz twoje głupie pasje, archiwalny szcurze! A poco było jakieś głupie literki do naszych nazwisk dopisywać?

— Dla porządku.

— Otóż masz porządek!

Pedel wysunął głowę przez uchylone drzwi, zza których doleciały natychmiast surowe pomruki urzędującej komisji.

— Imć pan Łoziński, proszę!

Zan przerwał swoją bieganinę przed ponownie zamkniętymi drzwiami.

— Nie zdążyliśmy się umówić! Co on tam powie?

— Nie zgorączkuje się napewno. Patrz, żebyś się ty nie zgorączkował.

Adam oparł głowę o ścianę. Ręka z wygasłą lulką usunęła mu się na ławę. Pogrążył się na nowo

w swoich dalekich, niedostępnych myślach. Chwilę tak siedział nieruchomy, potem zaczął mówić jak przez sen.

— Wiesz, Tomku? W „Dziadach“ drugich, po pierwszej strofie, kiedy guślarz mówi: „Tylko żwawo, tylko śmiało“, niepotrzebny już chyba wiersz: ...„tak róbcie, jak guślarz radzi“, etc. etc., aż do: „ciemno wszędzie“. „Wódka w kadzi“ jest niepotrzebna. To byłaby niedorzeczność, gdyby tu położyć „wódkę w kadzi“, a dalej znowu „kocioł wódki“. Bezsensowne powtórzenie. A ty jak sądzisz?

Zan wpatrzył się w przyjaciela, jak w zamorskie dziwo.

— Co takiego? Gorączki nagle dostałeś? Ach! ty o „Dziadach“! No, wiesz, Adasiu, mógłbyś sobie znaleźć lepszą porę! Nie, nie gniewaj się! ja tak tylko, z nadmiaru niespodzianki. No, cóż, rób jak uważasz. Ty poeta, ty lepiej wiesz.

— Wstydz się, Czeczot byłby inaczej odpowiedział.

— Czeczot? Bardzo być może. Bodajże cię! Za chwilę staniesz przed komisją. Czy im także będziesz plótł o „Dziadach“? Albo wiesz co? To przednia myśl! Posłuchaj.

Nie było już czasu na umowy. Teodor Łoziński czerwony jak burak prześlizgnął się mimo nich pod baczny okiem pedla i zaraz rozległ się znowu wzywający głos:

— Imć pan Mickiewicz, proszę!

Jeszcze pedel nie zdążył zniknąć doszczętnie, kiedy Łoziński zawrócił od drzwi i stanął przy Zanie.

— Objaśniłem ich, że „fil“ w moim seksternie oznacza „filozof“, że w ten sposób stawialiśmy żartobliwe noty kolegom odznaczającym się na kur-

sach pomocniczych. I, wyobraź sobie, Kłągiewicz uwierzył łatwo i gładko.

— Kłągiewicz? Ale to nie do wiary!

— Mówię jak jest. Przekonał nawet sceptyka Łobojkę.

— Ach, ty dobroduszne ciele! Kłągiewicz nie taki głupi. To tylko znaczy, że „dziadulo“ w głębi serca z nami, czemu ja się nie dziwię ze względu na Franciszka.

— Ale...

— A cóż ty myślisz? jak będziesz miał syna — sam zobaczysz. No, teraz moja kolej. Dowidzenia u Jeżowskiego.

Kłągiewicz miał minę niewyraźną. Nie sprawiała mu przyjemności narzucona rola inkwizytora, gnębiła troska, jak sprostać odpowiedzialności w najtrudniejszy sposób: by i wilk był syt i koza cała? Jako prałat przywykł do pierwszego miejsca i głosu, więc z istic kanonicznym tupetem nie dawał ust otworzyć nietylko ospałemu Łobojce, ale i sprytnemu Bojanusowi. Zan od pierwszego wejrzenia trafnie ocenił wzajemny stosunek trzech członków komisji: przewodniczącego i obu asesorów.

Asesorowie czuli się pokrzywdzeni. Łobojko nadęty i gniewny umieścił swój ciężki brzuch w fotelu pod oknem, zrzadka tylko łypiąc z pod nastroszonych brwi w stronę komisyjnego stołu. Zato uchem strzygł nader uilnie. Bojanus związał się jak piskorz. Udawał zadowolonego, milkł posłusznie, ile razy Kłągiewicz przerwał mu w pół słowa, tym pilniej notując wszystkie odpowiedzi. Z Zanem przywitał się z niepotrzebnym ugrzecznieniem, wyskoczył ku niemu zza stołu.

— To tylko forma, nic nie znacząca forma — ścisnął w obu dłoniach sztywną rękę Zana. — Któż-

by chciał dokuczać tyle obiecującym młodzieńcom, o których sam książę kurator na obiedzie u profesorostwa Śniadeckich wyrażał się superlatywami! Mybyśmy chcieli wiedzieć jedynie..

— Siadaj asan! — huknął tubalnie Kłągiewicz w stronę Zana, jakby nie było całej bojanusowej przemowy. Bojanus uciał natychmiast i zakaszłał się na pokrycie ostatnich niedomówionych słów, poczem ostentacyjnie odszedł do bocznego stołu, gdzie pograżył się w oglądanie jakowychś szpargałów. Kłągiewicz, z ręką na leżącym pośrodku stołu komisyjnego seksternie, patrzył zadowolony na oddalającego się Bojanusa. Zan, siadając, zauważył, że seksternem była właśnie „Instrukcja“ filomacka, wydrukowana w zeszłym roku pod skromnym tytułem: „Opis Jeograficzny“, bez zezwolenia władz uniwersyteckich. Książd Kłągiewicz otworzył broszurę na tytułowej karcie.

— Z panem chciałem o tem pogadać. Pan Miekiewicz nic nam wyjaśnić nie raczył, odpowiadał na moje pytania jak przez sen magnetyczny.

Zan uśmiechnął się usprawiedliwiająco.

— On pisze nowe poema.

Kłągiewicz akceptował uśmiech łaskawym skiniem głowy.

— Uszanujmy tedy spokój poety. Ale pan zato wyjaśnisz nam niechybnie znaczenie pisma, które mamy przed sobą.

— Och, chcielibyśmy rozbudzić wśród kolegów zainteresowanie dla kraju rodzinnego.

— Kto, mianowicie?

— Organizatorzy koleżeńskich kursów pomocniczych. Uważaliśmy za przyzwoite, by, na wakacjach będąc, oddawali się w chwilach wolnych bacz-

nej obserwacji życia powszechności w swoim powieście... Dlatego właśnie...

— Rzecz słuszna i godziwa. Dlaczegoż było nie zwrócić się z tym do mnie jako do cenzora? Nie odmówiłbym z pewnością i panu Golańskiemu bym wytłumaczył.

Podniecony nieoczekiwanym zrozumieniem Zan zapomniał na chwilę, że nie jest w tym gabinecie z Kłągiewiczem sam na sam.

— Sądziliśmy, że będą niejaki trudności. Jaśnie wielmożny pan rektor i tak nierad był z promienistości.

Kłągiewicz zachnął się gniewnie.

— Jakto? A cóż to ma za związek? To nie może mieć żadnego związku. Asan duby smalone bredzisz. Promienistości niema już od roku.

— Za pozwoleniem — zaburczał pod oknem Łobojko.

— Promienistości niema już od roku — powtórzył z surowym naciskiem Kłągiewicz. — O promienistości mówić, nie widzę żadnych powodów.

Łobojko nie ustępował.

— Książd profesor pozwoli. Ja uważam za konieczne zastanowić się właśnie teraz nad tak zwaną promienistością.

Zan śledził kontrowersję profesorów, gryząc sobie język ze złości. Wyrwał się jak Filip z konopi i sam, przez własne roztargnienie, wplótł promienistość w niebezpieczną dyskusję. Powtarzał zaciekle w myśli:

— Osiół ze mnie.

Kłągiewicz zdawał się podzielać to zdanie: mawiało się dość wyraźnie w spojrzeniach, jakie rzucał Zanowi. Niemniej uparcie i zdecydowanie przerywał usiłującemu mówić Łobojce.

— Pan profesor nie był w Wilnie w zeszłym roku, nie wiesz w czym rzecz. Ja nie mogę pozwolić na zagmatwanie śledztwa. Żadnych wskazówek o niedozwolonych schadzkach u żadnego z rewidowanych nie znaleziono. A kursy pomocnicze...

— Jaśnie wielmożny rektor sam udzielał sali — pozwolił sobie Zan na wpadnięcie profesorowi w słowo. Kłągiewicz, zamiast pogniewać się, podziękował mu przychylnym spojrzeniem.

— Otóż to właśnie, sam udzielał sali. Z tych lekcji pomocniczych wynikła niechybnie myśl ułożenia „Opisu Jeograficznego“. Myśl piękna, powtarzam, myśl słuszna. Znajomość kraju ojczystego jest rzeczą konieczną dla przyszłych obywateli. Szkoda tylko, że zwykła młodzieży lekkomyślność nie pozwoliła przedłożyć „Opisu“ uniwersyteckiej cenzurze. Lekkomyslność to jednak i nic więcej.

— Łobojko podał się naprzód ze swego fotela i rzucił pozornie bez związku:

— Kto uderzył rotmistrza Pełskiego?

Zan wzdrygnął się nieznacznie.

— Nie wiem.

— I nic wasan nie słyszałeś o tej przykrej sprawie?

— To tylko, co wiedzą wszyscy

— Hm. Tak.

Bojanus podczas całej dyskusji nie oderwał się ani na chwilę od swojego zajęcia około starych książek. Śledcze badanie przeszło powoli w zwyczajną pogawędkę Kłągiewicza z Zanem, bo i Łobojko po ostatnich pytaniach zdawał się być zaspokojonym. Kłągiewicz rozpytywał o kursa pomocnicze, udzielał nawet fachowych rad. Sprawa fatalnej „Instrukcji“ zdawała się wyczerpaną.

Ale kiedy po dwudziestu minutach pogawędki

zwolniony delikwent wstawał do pożegnania, Bojanus posuwistym krokiem prześliznął się do komisijnego stołu i, zacierając ręce, wycedził słodziutko:

— A ja bym złączył te dwa skutki w jednej przyczynie: zeszlóroczną promienistość i ten tu oto domniemany „Opis Jeograficzny“. Jabym i sprawę Pełskiego włączył do tej materii, jako ogniwo jednego i tego samego łańcucha. I tak właśnie proszę położyć w protokule

Kłągiewicz zgrzytnął zębami. Nawet Zan zląkł się jego złych oczu Ale ksiądz profesor pohamował się jakkolwiek z trudem i burknął:

— Oczywiście, jeżeli pan profesor tego sobie życzysz.

Bojanus zatarł ręce i uśmiechnął się zjadliwie.

XXV

Zan wyszedł na ulicę głęboko przeświadczony o własnej nieudolności życiowej. Dał się unieść nagłemu rozserdecznieniu wobec nieprzewidzianej względności Kłągiewicza i utrudnił mu iście po zakowsku dobrze obmyśloną pomoc. Jak można było zlekceważyć Łobojkę, jak można było zapomnieć o Bojanusie i nie widzieć jego śpiczastego nosa unoszącego się raz po raz w górę z nad pożółkłych szpargałów?

Zan, klnąc grubiańsko, szedł do Sipkowej, już raczej z przyzwyczajenia, bo cóż pomóc mogła narada u Sipkowej, pomimo wszelkich gwarancji, że nie zostanie podsłuchaną przez jakieś niepowołane uszy? Na straży bezpieczeństwa stała platoniczna przez swą absolutną beznadziejność, a gorąco wzdychająca, miłość Sipkowej do Franciszka Malewskie-

go. Rozpytując o jego listy z Berlina, poprowadziła gospodyni Zana do zamkniętej dla zwykłych gości izdebki od podwórza.

Tu, codzień prawie o tej porze, spotkać można było Jeżowskiego. Dzisiaj oczekiwał wódz relacji z komisyjnych badań. Siedział przy stole z Józefem Kowalewskim i dawał mu jakieś wskazówki, czy rady do pisma, które Kowalewski miał odczytać na zajutrz w Związku Przyjaciół. Na widok Zana odsunęła kartelusze i pociągnął żywo przyjaciela aż na próg sipkowskiej kuchni.

— Cóż tak późno? Adam z Teodorem już dawno byli i poszli! Cóż za nos zwieszony aż do brody! Czy co niedobrego?

Zan w krótkich słowach zdał sprawę z zajścia na komisji, łąjąc siebie po sprawiedliwości: ile się należało i więcej. Jeżowski słuchał uważnie, nie przerywając relacji żadnym pytaniem. Wpatrywał się przez cały czas w białego koguta Sipkowej, piejącego donośnie na środku podwórza ku utrapieniu zdenerwowanych wróbli. Roześmiał się w pewnej chwili z wróblich targań się i skoków, spojrzął przekornie na zgorzsną minę Zana i pochylił mu się do ucha.

— Szubrawcy!

Zan uśmiechnął się niemądrze, jak ktoś, kto przeczuwa słuszny sens usłyszanych słów, a nie może tego sensu odnaleźć. Jeżowski pokazał oczami, że nie chce wyraźnie mówić przy Kowalewskim.

— Szubrawcy! Nie rozumiesz? Ach, Tomku, przecie „Sotwaros“!

— Daruj i mów wyraźniej, ogłupiałem ze smutku.

— Widzę. Ty mnie daruj posądzenie, że zrozu-

miesz w pół słowa. Józiu, reszty sam dojść musisz, tu, widzisz, sprawy ważniejsze.

Kowalewski uśmiechnął się zgodnie i zebrał swoje kartelusze. Jeżowski odczekał, aż drzwi się za nim zamknęły.

— Więc wyłożę ci, jak początkującemu filareciątku. „Sotwaros“, prezydent „Szubrawców“, jednym słowem Jędrzej Śniadecki musi wziąć sprawę naszej „Instrukcji“ pod swoją opiekę. Wszakże jemu możesz bez obawy wyznaczyć, kto pisał?

— Ależ oczywista, jako „szubrawiec“ „szubrawcowi“. „Szubrawska tajemnica u nas rzecz święta.

— Jak to dobrze, że nie wyszedłeś z ich towarzystwa.

— Nigdy bym tego nie zrobił bez waszej wiedzy, ale przyznaję, że w ostatnich czasach zaniedbałem się jakoś i nawet opuściłem dwie schadzki. Tyle było innych spraw! Ale to nic. Wykoncypuję im dobre piśmko do „Wiadomości Brukowych“ i zaraz mnie przyjmą z otwartymi ramionami.

— Tak, tak. Z tym trzeba jakkolwiek skończyć. Bo to, widzisz, pół biedy. Uniwersytet rektorowi cza nie skrzywdzi, a i nas przy rektorowiczu także nie. Ale jest cała bieda. To Pełskij. Wciąż biega po mieście i szuka swojego pogromcy. Nie daj Boże, żeby wpadł na ślad i mam nadzieję, że nie wpadnie. Popatrz na te ptaki pocieszne.

Jeżowski rzucił garść okruchów swoim wróblom i patrzył z przejęciem jak czubiły się o smakowitsze kęski.

— Zostaw wróble, Jeżu! Dobrze tobie, ale przecież i Pełskij to moja wina! Ach, umrzeć chyba przyjdzie ze zgryzoty sumienia! Tyle pociechy, że mam coś do zdziałania. Pojutrze „szubrawska“ schadzka.

Zan myślał cały dzień o tym, czy poruszy swoją sprawę na schadzce w porządku dziennym, czy też we cztery oczy z prezydentem „Sotwarosem“? Zdecydował się na to ostatnie. Szubrawieckie grono było wprawdzie bardzo zamknięte, poruszano w nim temata niekiedy bardzo ryzykowne, ale wśród kilkudziesięciu ludzi zawsze mógł się znaleźć ktoś nadto gadatliwy.

Na schadzkę o szóstej wieczornej Zan przyszedł punktualnie. Miał nadzieję być pierwszym i pomówić swobodnie ze Sniadeckim, zanim reszta nadejdzie, ale nadzieja zawiodła. Sniadecki właśnie spóźnił się jak na złość, co nie zdarzało mu się nigdy, natomiast kilku mniej znajomych „szubrawców“ rozmawiało już dokoła stołu, który stał pośrodku Izby Schadzek, po staropolsku dywanem przykryty. Na stole ozdobny gąsior pełen wody, symbolizujący trzeźwość szubrawską, przyciągnął uwagę nowoobranego szubrawca, widocznie znawcy. Drugi taki „homo novus“, z pozoru sądząc — „rustykan“, przyjezdny z prowincji, oglądał pilnie na ścianie obraz symboliczny Towarzystwa, wymalowany uprzejmie przez Rustema.

Zan wyminał rozgwarzony stół i stanął przy nieznanym. Wolał uniknąć rozpytywań, których natarczywości może nie umiałby się oprzeć? Wiadomość o rewizjach i śledztwach przeniknęła już zapewne z uniwersytetu do miasta i zapewne rozmaicie była komentowaną. Z chwilą otwarcia schadzki Zan był zabezpieczony: surowy obyczaj szubrawiecki najcichszymi szeptami nie dozwalał mącić toku obrad.

Tymczasem dla skrócenia sobie denerwującego oczekiwania objaśniał gościnnie ciekawemu „rustykanowi“ znaczenie szubrawskich symboli na obra-

zie. Mówiąc, przybrał mimowoli ton lekko pouczającej wyższości, którą „rustykanie“ nieraz z goryczą zarzucali „urbanom“.

„Znaczenia Geniuszu tłumaczyć nie potrzebuję. Płomyk nad jego głową wyraża jego naturę. Z boków wysunięte łopata i pomiotło, są to maszyny na czarownicach zdobyte. Na łopacie latając, „szubrawiec wszędzie zajrzeć może, a pomiotłem wymiata śmiecie. Pod głównym widokiem są skały symbolizujące stałość i milczenie. Z nich na lewo wyrasta wawrzyn, cel nadziei „szubrawskich“, na prawo buja paproć, roślina emblematyczna, której własności dawniej tajemnicze odkrył szlachcic w podróży łopatnej na Rossie Świętojańskiej, pod Wilnem, o czym jest rzecz w „Wiadomościach Brukowych“. Niżej na skale stępa ruska do tych samych służy celów, co łopata, także zdobyta na czarownicach latających do Kijowa. Ta znowu latarnia służyła przed wieki Dyogenesowi, aktualnie korzystają z niej „szubrawcy“. A jeszcze niżej... Cyt! oto wszyscy nakryli głowy, znak niemylny, że schadzka się zaczyna.

Zan porzucił zagapionego na skomplikowane malowidło „rustykana“ i wziął miejsce na końcu stołu, skąd dobrze mógł widzieć Śniadeckiego. Wpatrywał się poważnie w twarz „szubrawskiego“ prezydenta, chcąc z niej odczytać dzisiejszy humor. Był zdaje się niezły, mądry uśmiech nabrał świetlanego tonu pogodnej wesołości.

Za powód służył zapewne wyjątkowo obfity i szczęśliwy dobór materiałów do kolejnego numeru „Wiadomości Brukowych“. Redaktor, „Sejmi“-Marcinowski, prezentował artykuły jeden za drugim, a nikt prawie nie miał im nic do zarzucenia. Artykuły w przeważnej części tyczyły się sprawy

włościańskiej, a potroszę zatracąły o cudzoziem-
szczyzną. Redaktor głosem ujmującym i dźwięcz-
nym podawał do powszechnej wiadomości, że
„szlachcic na łopacie“, latając tu i ówdzie, podpa-
trzył, jak to pewien wspaniałomyślny właściciel
rozdzielał między lud głodny po pół kwarty brahy
z tego samego kotła, z którego utuczał zwierzęta
czworonożne na kiełbasy, żądając za każdą porcję
tej strawy po pół dnia odrobku. Potem wziął na stół
rozprawę projektującą maszynę do bicia chłopów,
któraby wyręczała męczących się przy tej czynności
ekonomów, jednocześnie pochłaniając drażniące
wrażliwe nerwy kobiet jęki i krzyki.

Zan, podany naprzód, słuchał z zapalem, coraz
to potakując rękami i głową, a nawet cichymi szep-
tami: — świetnie, znakomicie“! Doczekał się wresz-
cie, że strażnik porządkowy zastukał w jego stronę
swoją strażnikowską łopatą, ale nie przejął się tym
zbytnio. Nie mógł powstrzymać się w swojej filo-
mackiej radości. Wszystkie dotychczasowe wystą-
pienia „szubrawców“ w sprawie włościańskiej by-
ły o wiele bledsze i słabsze, ale ten artykuł gryzł
niemiłosiernie! Zan podejrzewał pióro samego „Sot-
warosa“.

Jednakże nie wszyscy podzielali zańskie za-
chwyty; po skończonym czytaniu rozległy się ci-
chutkie pomrukiwania. To „rustykanie“, zebrani ra-
zem po prawej stronie sali, dawali wyraz swojemu
niezadowoleniu. Śniadecki zwrócił ku nim natych-
miast swoją śliczną białą głowę.

— Panowie raczą zaczekać, głos dam wszyst-
kim po kolei. Komu satyra niniejsza zda się być
nadto surową, ten sposobność wypowiedzenia się
będzie miał niechybnie. Ale wpieryw zazanajomim'iy
się ze wszystkimi pismami.

Szemranie umilkło i Śniadecki usiadł znowu, całą figurką kiwnąwszy się ku redaktorowi. Tym kiwnięciem-ukłonem udzielił mu głosu i zastygł w bezruchu jak schludny posążek.

Atak na cudzoziemszczynę nie wywołał niczyich sprzeciwów. Toż samo ustawy „Towarzystwa Sentymentalnego“, przeznaczonego dla modnych dam. Szczególniej ostatni artykuł przyjęto gorącymi aplauzami i wybuchami śmiechu. Podobało się ogromnie twierdzenie, że atmosferę towarzystwa składać i być jego żywiołem powinna rozpuszczona w powietrzu najczystsza tkliwość. Ucieszył nad wyraz punkt w ustawach, głoszący, że nie przyjmuje się do towarzystwa żadnej osoby, która się zatrudnia brudnym gospodarstwem, jeździ na kontrakty, po folwarkach się szasta. Z tej przyczyny, gdyby której z członkiń dowiedziono, że była choć raz w spiżarni lub kuchni, że wie ile ma indycząt lub kurcząt, albo że słuchała ekonoma rachunków, ma być oddalona natychmiast. Temuż rygorowi podlega każda, którejby dowiedziono, że daje się rządzić mężowi.

Rozbawienie owymi artykułami spowodowane zdawało się dobrze wróżyć o pogodnym zakończeniu schadzki. Ale już pod sam koniec „rustykan“ Józef Mirski, przedstawiciel brasławskiego powiatu, nalał kwasu w musujące śmiechy, powracając raz jeszcze do „Machiny do bicia chłopów“. Mówił gniewnie i gorąco. Dowodził krzywdy zacnego obywatelstwa, którego niewątpliwie jest znaczna większość i które nie może, na Boga, ścierpieć przygniecenia szkaradnym oszczerstwem. Inni „rustykanie“ lubo nieśmiało, wtórowali Mirskiemu, szepcząc między sobą, że za winy kilku łajdaków nie można wkładać pokuty na cały ogół szlachecki. Mirski za-

chęcony współczującym oddźwiękiem podniósł głos.

—Nietylko za krzywdę to uważam, ale sobie podobne oskarżenia wypraszam, jeżeli nie będą bez wątpliwości udowodnione. Nasz ogół szlachecki nie jest krwiożerczy, niezliczone już dał dbałości dowody o powierzone mu egzystencje znacznie młodszych, a przeto niezdolnych do samodzielnego życia, braci-włóścian. I niemowlęcia nikt prosto z kołyski nie puszcza na parkiety, bo by sobie niechybnie nos rozbiło. Niejeden ojciec różgą dziecię swoje ukarze, a nikt przeto dzikiego okrutnika zeń nie robi, ani na pośmiewisko publiczne nie podaje. Tak samo i to.

Jędrzej Śniadecki wykręcił się ze swego krzesła ku mówiacemu. W bok przegięty, z przymrużonymi drwiąco oczami, z tym swoim dużym garbatym nosem, zdawał się być naprawdę stworzą z pogañskiej bajki litewskiej, tajemniczym bożkiem „Sotwarosem“. Odpowiedział przez zęby.

— Pan dobrodziej raczysz łaskawie zapominać o tylekroć tu, wokół stołu, wypowiedanych opiniach, które, o ile mnie pamięć nie myli, sam nieraz potwierdzałeś? Oburzałeś się niejednokrotnie na nieludzkie postępowanie wielu zpośród naszych ichmościów. Czemuż przypisać mamy tyle znaczącą odmianę?

Ktoś z zebranych roześmiał się ironicznie, wywołując burakową czerwonosć na zażywaną, jaśniejącą przystojnym dobrobytem twarz Mirskiego. Cokolwiek otyły pan sapnął z alteracji.

— Nie zmienilem ja moich opinii, jak to wielmożny pan prezydent mniemać pragniesz. Przeciw zbytnej napastliwości oponuję. Mniemam, że łagodniejszymi sposobami...

Śniadecki rozłożył ręce i wzruszył ramionami w taki sposób, że dla wszystkich jasnym się stało jego ubolewanie nad tępotą „rustykana“. Tylko sam Mirski wziął ten gest za wyraz bezradności wobec jego słusznych argumentów. Odchrząknął i zaczął wywodzić na nowo.

— Mniemałbym, że złagodzenie tonu sprawie nie zaszkodzi. Moznaby tu położyć opis sporu na sejmiku, gdzieby część głosów za biciem była, a część biciu przeciwna. Moznaby tu przyczepić opis wyborczego sejmiku nowogrodzkiego... albo jeszcze lepiej słonimskiego, bo tam naprawdę coś takiego gadali. „Machine“ życzyłbym jednakże przekazać milczeniu. A już co o tej braze żeby prawda była — nie uwierzę! Takiego tyrana nie masz między nami.

— Za wyjątkiem szwagra wielmożnego pana dobrodzieja — nie wytrzymał Zan. Mirski porwał się z miejsca już fiołkowy na obliczu.

— Kto powiedział, że mój szwagier? Tego proszę uniżenie na dwa słowa, na dwa słowa.

Zan podniósł się także.

— Ja powiedziałem. Nasze Iwiery sąsiadują z majątkiem tego pana. Jeżeli pan podkomorzy Mirski dowodów pragnie...

Strażnik porządkowy dudnił łopatą o podłogę. Prezydent rzucił seksterna, które właśnie gniół z alteracji, porwał za dzwonek i zatrzęsł nim gwałtownie.

— Mości panowie, ja bardzo proszę o spokój. Na żądanie rustykana Mirskiego urbanus Guniglis — spojrzał surowo na Zana — złożyć ma niechybnie dowody prawdziwości słów swoich. Czy urbanus Guniglis gotów jest?

— Czy urbanus Guniglis gotów jest? — powtó-

rzył uroczyście strażnik porządkowy i raz jeszcze stuknął przed Zanem łopata.

— Gotów jestem.

— Urbanus Guniglis i rustykanus Mirski umówią się tedy między sobą o termin na zebranie dowodów oraz miejsce i sposób ich okazania.

Mirski bladł z wolna, aż stał się niewiele różowszy od własnej chustki na szyi. Powiedział głucho: niepotrzeba, piszcie, co chcecie. — Potem opadł ciężko na krzesło i zakrył twarz ręką.

Leon Borowski, Pergrubius, pochylił się do swego sąsiada.

— Zna dobrze szwagierka i woli nie dochodzić. Ale pocóż bo się wyrwał z niewczesną obroną.

— Myślał, że go tu nikt nie zna, a to Szumski z Zalesia. Odrazu wiedziałem, ale nomina odiosa sunt. I tak zdaniem moim Zan za bardzo dał do poznania o kim myśli. Zło trzeba tępić, ale szczerzyć grzeszników — zagadał porywco ów sąsiad, Ignacy Szydłowski, w szubrawskim gronie Gulbim zwany. — To trudno, trzeba szanować ludzkie sentymenta. Ale dzisiejsza młodzież strasznie jest porywca. Ten Zan i wszyscy jego przyjaciele...

— Najwybitniejsi młodzieńcy na naszym uniwersytecie.

— Ale zarozumiałcy! Boże, jacyż to zarozumiałcy! Ten Mickiewicz chociażby... On teraz poezje wydaje. Widziałem u typografa Zawadzkiego złożonych parę arkuszy. Same bzdury! Ciemne, durne, ze wszystkim ładajakie! Pan profesor inaczej uważasz? — zreflektował się, dostrzegłszy grymas Borowskiego.

— Ja go trzymam za bardzo zdolnego, chociaż z tem się zgodzę, że niepotrzebnie w te ballady

wdał się. Pieśń gminna nie nadaje się do pięknej literatury. Ale cyt, podobno przeszkadzamy.

Incydent między Mirskim i Zanem był właściwie załatwiony i obrady wróciły do zwykłego porządku. Mirski, sam na końcu stołu, przesiedział resztę wieczoru w milczeniu. Zan stał się ośrodkiem życzliwego zainteresowania szubrawieckiej większości. To mu dodało pewności siebie i miało jeszcze tę dobrą stronę, że odwróciło powszechną uwagę od spraw uniwersyteckich. Inaczej byłyby sprawy uniwersyteckie niechybnie omawiane, może nawet w jakiś sposób decydowane.

Kiedy „Sotwaros“ odkrył głowę, dając tym znak, że posiedzenie na dziś skończone, Zan zbliżył się do prezydenckiego krzesła, pochylił się z uszanowaniem i poprosił o chwilę rozmowy. Śniadecki uśmiechnął się domyślnie.

— A jeżeli ja zgadnę, co mnie asan powiesz? „Instrukcja“? prawda? co?

Zan poczerwieniał wyżej uszu i spojrzał błagalnie na Śniadeckiego, który wpadł w jeszcze lepszy humor, o ile to było możliwe.

— No, cóż? pójdziecie do kozy, a Franuś pierwszy. Zawsze to jego ojcu przepowiadałem. On pisał? No, tak, nie wątpiłem ani chwili. Jego to styl: jasny, wstrzemięźliwy i prosty. Ani jednego kunsztowniejszego zwrotu. Skromność chodząca. — Zawiesił na chwilę głos, przyjrzał się Zanowi dobrodusznie a drwiąco i zakończył konfidencjonalnym tonem.

— O „Instrukcję“ bądźcie spokojni. Ojciec synowi krzywdy zrobić nie może. Niechby Franuś napisał do ojca, przyznając się do autorstwa, ale sądzę, że i to niepotrzebne... Pomówię z Malewskim, dodam mu odwagi.. „Instrukcja“ zniknie, coś się z nią stanie nieprzewidzianego i... niech Łobojko się wścieka.

— Jakże mam panu profesorowi dziękować?

— Cyt! Jak szubrawiec do szubrawca mówię. Mili chłopcy, ale teraz już cicho, sza! Nie na całe życie przecież, nie na całe życie... przeczekajcie chociaż złość wielkoksiażęcą o tego tam... Pełskiego.

— Czy pan profesor sądzi ją być niebezpieczną?

— Jak się zdarzy, jak się zdarzy. Rozsądni ludzie wilków bez potrzeby nie drażnią. Tu jest rzecz gorsza. Nasz ksiązę kurator wziął sprawę gorąco do serca i nakazał koniecznie znaleźć winnego. Tak mniemam, że chce rzucić Moskałom biedaka na pożarcie i odwrócić cios od uniwersytetu. Nie wiem, czy odwróci na długo, jeżeli na preteksta czeka taki wąż jak Nowosilcow. Ale w tym rzecz, że pretekstów dawać nie wolno. Zrozumiano, młodzieńcze?

Głos Śniadeckiego nabrał niespodzianej surowości. Zan wciągnął wszystkie wrażenia w głębi, tak, by żadne nie małowalo się na twarzy. W tej chwili wina jego urosła mu do wręcz potwornych rozmiarów.

— Czy Nowosilcow mógłby?... powód w istocie swej tak błahy...

— O istotę rzeczy nikomu nie chodzi. Nowosilcow, to musicie zrozumieć, bardziej jest dzisiaj słuchany w Petersburgu, niż ksiązę kurator. Niezbadane są kaprysy autokratów, ale my, pyłki marne, od kaprysów tych zależymy. Tak, tak.

— Ale ja nie wiem, kto uderzył Pełskiego — powiedział z wysiłkiem Zan.

Śniadecki przyjrzał się uważnie Zanowi i chochlikowaty uśmiech powrócił mu znowu na wargi.

— No, no, tylko bez niepotrzebnych alteracji. Jeżeli coś nowego zajdzie, może który z was odwiedzi mnie, albo rektora? Tylko Mickiewicza w amba-

sadzie nie przysyłajcie. Niech mu Pan Bóg nie pamięta jego ballad.

Odszedł stąpając lekko i śmiejąc się cicho. Płomyki świec rzucały z kandelabrow połykliwe blaski na jego śnieżnobiałą perukę, a nieposzlakowany zielony frak lśnił jedwabistością jeziornej wody w wiosenne południe.

XXVII

Oleś Łuczko wybrał się był do Zana w pogodny wieczór majowy po nowiny i pociechę. Dolatywały go jakieś głuche wiadomości o rewizjach i groźbach a wszechwiedzący zazwyczaj Edward Odyniec tym razem nie mógł nic objaśnić. Oleś Łuczko niepokoił się o swoich starszych przyjaciół, dlatego odetchnął z ulgą, kiedy przekonał się naocznie, że dom Kukowicza stoi jak stał przy ulicy Zamkowej, że podawnemu stare jabłonie z sadu pchają koszlawe gałęzie w okna parterowej oficynki, że nawet słowika kot dotąd nie spłoszył i słowik tryluje zuchwale pomimo wczesnej jeszcze zmierzchowej godziny.

Liliowy i zadymiony, zwyczajnie — miejski zmierzch nie docierał już zgoła do ciemnej alkówki; tu była noc. Oleś zalał w te czarne mroki, szukając Ottona Śliźnia, który lubił niekiedy, pod nieobecność guwernera, walać się beczynn timer po łóżku.

Ale tym razem łóżko było puste. Stary Antosiek, służący Śliźniów, skonstatował razem z Olesiem nieobecność wszystkich czterech paniczów. Na nieśmiałe pytanie: kiedy wrócą? odpowiedział pogardliwym ściśnięciem ramion i zanurzył się z powrotem w kuchenne czeluście, gdzie zapomniał natychmiast o gościu, zajęty dojadaniem pozostałego od obiadu bigosu.

Oleś pozostawiony sam sobie obszedł dokoła mieszkanie, poszperał między książkami Śliźniaków, posłuchał u okna przeciągłych świegotów jaskółek wracających na noclegi, a potem pociągnęła go nieodparcie Ottonowa alkówka. Znalazł na łóżku jakąś pozostawioną czamare, nakrył się z głową i zasnął twardo.

Zbudził się nagle, już głębokim wieczorem, z uczuciem dławiącego niepokoju. W sąsiedniej stancji ktoś rozmawiał, przez uchylone drzwi smużyło się złote światło. Rozespanemu Olesiowi w pierwszej chwili głosy rozmawiających wydały się niesamowicie obce: szwargotliwe, zadyszane jakimś paskudnym lękiem, a jednocześnie jakby groźne. Zaraz jednak wydostał się z głębin snu na powierzchnię i zrozumiał, że to co słyszy jest poporostu rozmową starszych przyjaciół. Wówczas na nowo zląkł się, ale już czego innego: mimowoli, a niewątpliwie podsłuchiwał.

Już chciał zleźć z łóżka, podejść do uchylonych drzwi, pokazać się i prosić o przebaczenie, kiedy surowy głos Jeżowskiego przygwoździł go do Ottonowego siennika. W sąsiedniej stancji omawiano ważne sprawy; przejmowano się, kto wie, czy nie gniewano się nawet? W takich razach lepiej zdaleka od starszyny.

Słysząc było, jak Jeżowski chodzi po pokoju, zapewne swoim obyczajem na ukos, z kąta w kąt. Można się było domyśleć, że świeca podchwytuje i rzuca na sufit jego chudą sylwetę ze śmiesznie wydłużonym nosem. Jeżowski mówił, a głos jego to oddalał się od drzwi, to zbliżał i Oleś słyszał tylko strzępy przemówienia. Wyglądało to zupełnie jak złowróżbna wyrocznia Pytji.

...— Nieostrożność wasza i to co najwięcej zwal-

czać w was usiłuję: prywatnie... ..I ta gwałtowność na śledztwie sprawiła właśnie, że się poniekąd wygadałeś, Tomaszu... Naprawiła twoja rozmowa z panem Jędrzejem... Jeżeli nawet sprawa „Instrukcji“ szczęśliwie zakończona... to, co pozostało wystarczy najpewniej, by wprowadzić Towarzystwo w przykre zamieszanie.

Tuż za drzwiami, z przypuszczalnej otomany, odpowiedział melodyjny, nieco przymglony głos Adama.

— Instrukcja znikła z komisyjnego stołu pomimo zacieklego oporu Bojanusa. Ale to lis i chociaż zwęszył słusznie prawdziwe znaczenie naszej Instrukcji, nie uznał za wygodne dla siebie sprzeciwić się rektorowi, aż do ostateczności. To najważniejsza. Z tej strony jesteśmy bodaj chwilowo bezpieczni. Gorzej ze sprawą Pełskiego. Tomasz przez swoją nieostrożność na śledztwie ściągnął na siebie uwagę Bojanusa i kto wie, czy przekłety Niemiec nie zechce tu wygrać, co tam przegrał niechybnie. Niechże teraz Pełskij pozna w Tomaszu swojego pogromcę, a Bojanus do tego doloży wszystko, co podejrzewa o promienistości. Niechże się ten cały pasztet popieprzy surowością Czartoryskiego i upiecze w ogniu wielkoksiężącego gniewu, a doprawdy źle będzie z Towarzystwem Filomatycznym.

Z głębi pokoju zadudnił bas Łozińskiego:

— Nadto ponure horoskopy stawiasz nam Adasiu. Wina Tomasza w sprawie Pełskiego trudna jest do udowodnienia.

— Od kiedyż to Moskale udawadniać muszą? Im lada pozór wystarczy, byle mieć tego winnego.

— A kto wie, czy i nasz książę pokaże się wielkim skrupulatem? Jemu także chodzi przede wszystkim o to, żeby winny się znalazł — odezwał się po-

nuro sam Tomasz. — Bijcie mnie, bracia, nawarzy-
łem kaszy.

— To już nic nie pomoże. — Jeżowski zatrzy-
mał się widocznie po środku stancji, bo głos jego do-
chodził teraz równo, nieprzerwanie. — Jest źle, mo-
że być jeszcze gorzej. Musimy myśleć, jak się z sie-
ci wyplątać. Czy ty przypuszczasz, że on ciebie po-
znał, Tomku?

— Czy ja wiem? To wszystko stało się tak pręd-
ko... a on mnie przedtym widział raz tylko, na Ja-
giellońskim Polu, kiedy go potrafiłem zeszłej jesie-
ni... Ale może i poznał...

Łoziński zadudnił znowu.

— Mówił mnie Czeczot: po mieście gadają, że
poszło o Felę i wymieniają Tomasza. Zachwycone
baby powiadają, że nikt inny by się nie odważył.

— Masz babo placek!

Po tym ostatnim wykrzykniku Zana zapadło
przygnębione milczenie. Mącił je tylko rozpaczliwy
bzyk muchy, uwikłanej w pajęczynie. Nagle Adam
jęknął zdenerwowany:

— Uratuj ją, mój Tomku!

— Kogo? Felę? A jakże ja ją wyratuję?

— Ależ nie Felę! Boże! tylko muchę, co tak
wstrętnie brzęczy!

— Aaa... muchę... Dobryś! Nie miała baba kło-
potu.

— Wyratuj! Zamyśliłem sobie. Jeż słusznie po-
wiedział: my także w sieci.

— Tak powiadasz?

Słychać było jak zahurkotał przesuwany sto-
łek, jak skrzypnął żałośnie pod ciężarem Zana i bzy-
kanie urwało się odrazu.

— No, masz, poleciała.

— Dajcie pokój z tymi głupstwami. — Jeżowski

znowu zaczął chodzić po pokoju. — Musimy zastanowić się, co robić. Czy ty możesz wyjechać z Wilna Tomku?

— Jak trzeba, to przycupnę na kilka dni u stryja, albo w Tuhanowiczach.

— Jedź do Tuhanowicz, Tomalku. — Adamowi głos nabrzmiał gorącą uciechą. — Pojadę z tobą... na dwa... może na trzy dni... Już tak dawno...

Urwał nagle i znowu zapanowała cisza, ostrożna jakaś i wyczekująca. Nieprędko przerwał ją Jeżowski.

— Ty sam, Adasiu, wiesz najlepiej, czy to będzie promieniście.

— Nie dręczcie biednego Adala — ujął się Czczot — ileż on teraz ma chwilek pogodniejszych? pomyślcie sami! Zamrozić go chcesz twoim rozsądkiem, a on znowu nam spolanieje.

Po głosie Jeżowskiego poznać można było przez zamknięte drzwi, że machnął ręką.

— Dobrze więc. Jedźcie do Tuhanowicz. Może tymczasem Pełskij się uspokoi. Nie będzie chyba szukał do skończenia świata. Ach, że też to właśnie ty musiałeś być, ty, arcypromienisty prezydent Filadelfistów Błękitnych, że też to nie mógł być kto inny!

Olesiowi siennik zdawał się być gorącymi węglami. Nie miał prawa leżeć tak dłużej i wysłuchiwać cudzych sekretów, a pokazać się teraz było już niepodobna. Gdybyż przynajmniej podsłuchiwanie przydało się na coś! Gdybyż mógł im pomóc? Ale jak?

Dla uspokojenia sumienia zatkał sobie uszy. Teraz głosy rozmawiających dochodziły zniekształcone i dalekie, jak przez wodę; zato własne myśli Olesia rzuciły się na niego hurmem, przepychając

się gorączkowo jedna przez drugą. Nie nadażał z ich uświadamianiem, ale to nie było potrzebne. Ich sens istotny tkwił już właściwie mocno wbity w mózg od chwili, kiedy Jeżowski powiedział do Zana: „gdyby to był kto inny, a nie ty“.

Otóż właśnie: gdyby to był kto inny? Nie arcy-promienisty prezydent Filaretów, czy tam Filadelfistów, ale zwyczajny, skromny chudziaczek-Filareta? I gdyby rotmistrz Pełskij znalazł tego innego? Coby się stało? Nic wielkiego. Jakiś nieznany nikomu chłopaczyna powędrowałby do aresztu, a potem, w najgorszym razie, na Kaukaz, w żołdacy. Ostatecznie to można znieść. Wielu dobrych patriotów to zniosło.

Oleś skurczył się, spłaszczyl się, osłonił nawet głowę rękami, ale w żaden sposób nie mógł uciec od własnych natarczywych myśli. Jeszcze nie powiedział sam przed sobą decydującego słowa, a już wiedział jakie ono będzie. To była okropna pokusa, pociągała i przerażała zarazem jak głęboka woda, w którą czasem chce się skoczyć naprzekór zdrowemu instynktowi samozachowawczemu.

W pewnej chwili pomyślał i o tym, co powie matka, ale zaraz odsunął tę myśl. Przecież chciała go wysłać do Petersburga na zruszczenie, nie zasługiwała, by dla niej wyrzec się ratowania Zana. Zresztą, nietylko o Zana chodziło... szło także o jakieś tajemnicze Towarzystwo Filomatyczne, o którym Oleś nigdy dotąd nie słyszał. Co to było? coś ważniejszego od Filaretów?

Wysunął głowę z pod czamary, bo dusił się nie tyle z braku powietrza, co z przejęcia. Odrazu wpadł mu w uszy dalszy ciąg przemowy Jeżowskiego.

— ...Więc zdecydowaliśmy. Tomasz wyjedzie na tydzień. Prezydenturę Filadelfistów weźmie Ko-

walewski. W rządzie zastąpi Tomasza Janek Czczot. Prace Filadelfistów prowadzić będziemy nadal, ale z najwyższą ostrożnością, schadzek filomackich zaniechamy na razie. Jeżeli ktoś ze mną zechce się zobaczyć, niech się dowiadyje u Sipskowej. Przycichnąć, przemilczeć, przeczekać. Nie daj Bóg, by cały nasz plan wychowania przyszłych bojowników o zmartwychwstanie ojczyzny załamać się miał tragicomicznie na policzku wymierzonym moskiewskiemu oficerkowi.

Oleś zatrząsł się w sobie na te słowa. Postanowienie zostało powzięte.

Teraz należało utwierdzić się w nim, a to może było jeszcze trudniejsze. Utwierdzić się i wytrwać do chwili, kiedy okoliczności pozwolą oddać się w ręce Pełskiemu w sposób możliwie naturalny i prosty. A potem? Nie myśleć, co będzie potem. Brrr.

W przyległej stancji rozważano kandydaturę Czczota na zastępczego członka rządu Filomatów.

— Ale on nie ma czasu — mówił Adam. — Pomyslcie tylko: Masa Radziwiłłowska, studia uniwersyteckie, błękitne grono Filaretów... pomoc rodzinie...

— I twoje sprawy wydawnicze... To musisz zdjąć jemu z głowy, Adamie. Na Boga, zajmij się sam swoją książką, przełam twoje lenistwo!

— To nie lenistwo, Jeżu. Nie cierpię rozmawiać z Zawadzkim. Nie mogę! Dławi mnie w gardle każde słowo... Ale jak trzeba — przemogę się. Obiecuję wam. Mój Boże, dlaczego ten Pełskij z piekła wyłaził? Dlaczego nie został tam, gdzie z pewnością był przed urodzeniem: na samym dniu piekielnych czeluści?

— Ja się zajmę wydawaniem twojego drugiego tomiku, Adamie, przecież będę miał teraz czasu aż

za wiele, teraz, kiedyście mi wszystko odebrali. Tfu! żebym mógł przewidzieć. Nigdy w życiu nie pójde już na Antokol! Obmierzył mi.

— Ty się magistruj, Tomalku. Pisz rozprawę, na którą dotąd nie miałeś nigdy czasu. Tak dziesiętne kłopoty wyjdą tobie poniekąd na dobre. Nic tu nie wysiedzimy, bracia, a martwić się nadarmo — nie filomacka to rzecz. Wiecie co? Chodźcie na wino. Znam jedną winiarnię, gdzie przedniego dają, a wcale taniego wołocha. Utopimy „kury“ i zaraz nam lżej będzie.

— A cóż? chyba pójdziemy, skoro sam Jeż proponuje? Poczekajcie, wezmę świeżą chustkę na szyję.

Oleś przycupnął do poduszki i powstrzymał oddech, bo Zan wszedł do stancji Ottona i stanął na chwilę przed komodą. Właśnie na to miejsce księżyc rzucał białosiną smugę. W księżycowym widmowym blasku twarz Zana wydała się Olesiu bardzo bladą i cierpiącą. Dopatrzył się głębokich cieni, jakby jam na skroniach, ciemnych bruzd na policzkach i serce ścierpło mu ze współczucia. Tomasz stał i patrzył w srebrzące się okno; tarł czoło, brwi marszczył, usta kęsał i kręcił głową. Znać było, jak mu cięży wielka troska i Oleś wyobrażał sobie ową „curam“, jako kurę wielką, dziobatą i czarną, trzepoczącą się tuż nad głową Zana i polyskującą w ciemnościach krągłymi oczyma. Potem Zan wyjął chustkę z komody i powrócił do tamtych. Oleś czekał dobrą jeszcze chwilę, chociaż schody dawno trzeszczeć przestały i tylko chrapanie Antośka potrzęsało ścianami sąsiedniej kuchni. Wstał wreszcie i rozprostował zdrętwiałe ramiona. Niechże się stanie jak powinno.

XXVIII

Na ganku bolcienickiego dworu stało dwoje ludzi, trzymających się pod ręce. Bryczka zahuczała po dylach jakiegoś mostku, zaturkotała przed podjazdem. Migotały słonecznymi iskierkami błękitne koralki Maryli i gorzała karbunkułowa szpilka wpięta w chustkę pana Wawrzyńca. Adam, wstępując na stopnie ganku, nie mógł oderwać oczu od tej szpilki.

Wydała mu się argusowym okiem, pełgającym ku niemu chytrze i czerwono, śledzącym podejrzliwie jego zamiary i najtajniejsze myśli. Przez tę szpilkę odrazu uleciała precz radość, która towarzyszyła wiernie parogodzinnej podróży z Wilna. Pozostał żal i gniew.

Wiatr rozrzucał krótko ucięte, czarne, faliste włosy Maryli, targał jej białą sukienkę, wysoko pod piersiami błękitną wstążką przepasaną, kiedy całe towarzystwo, dopełniając tym rytuału gościnności wiejskiej, obchodziło pod przewodnictwem pana Wawrzyńca gospodarstwo.

Zan z panem Wawrzyńcem szli naprzód i gawędzili o sprawach publicznych. Zan powtarzał swoje o zbierających się na północy chmurach i zajął tym całkowicie uwagę pana Wawrzyńca. Adam i Maryla szli wolniej i coraz wolniej, ale trzymali się zdaleka od siebie i milczeli, uparcie marnując drogocenne chwile.

Adam szedł chmurny, z głową ku chmurom zardartą. Chmury kłębiły się obficie, usuwały się zrza-

dka i niechętnie przed słońcem, piętrzyły się w siwe zwały na widnokręgu i, zamiast cień rzucać, wznęgały tylko duszność.

Maryla łąpała śpiękłymi ustami powietrze. Była uszczęśliwiona i nieszczęśliwa. Pokornie spoglądała ku nachmurzonemu towarzyszowi, niespokojnie ku tamtym dwom, idącym na przedzie. Lada chwila zwolnią kroku... lada chwila zwolnią kroku...

— Tak dawno pan nie był łaskaw na nasze strony... Pan będzie w Tuhanowiczach w tym roku?

— Nie wiem.

Maryla zatrzymała się przy rabatce.

— Na przyszły rok zasadzę tutaj pierwiosniki.. Własnymi rękami przyniosę je z lasu i sama skoپیę grządki... Czy dobrze tak będzie?

— Nie wiem.

— Pracowałam przez kilka dni w moim... w naszym gajku... avec une pelle ou une hache... Drogi pan Tomasz doradzał mnie jaknajwięcej zatrudnienia... W moim gajku niema kwiatków, tylko ciemne sosny i jodły, ale to mnie podoba się właśnie. Ciągłe zatrudnienie jest najlepszym lekarzem dla tych, którzy nie mają wewnętrznej spokojności. Czy dobrze robiłam?

— Nie wiem.

— Ach, pan nic nie wiesz! Nic wiedzieć nie chcesz! A ja... oddalona od ciebie... je souffre horriblement!

Adam pochylił się za nią ku wąskiej rabatce i pochwycił jej rękę, grzebiącą między zwiędłymi od upału listeczkami.

— Mario! ja ciebie szanuję i ubóstwiam jak niebiankę! Miłość moja tak jest niewinną i boską, jak jej przedmiot. Ale nie mogę poskromić gwałtownych poruszeń... ile razy wspomnę, że ciebie stra-

ciem... na zawsze... że będę widzem tylko cudzego szczęścia...

Maryla słuchała ze spuszczoną głową, wpatrzona bezmyślnie w mały, wąty kwiateczek portulaki, mdlejący z pragnienia na rabatce. Machinalnie uniosła koniuszkami palców jego pochyloną główkę. Szept Adama nad jej głową stał się gorętszy, a przez to gniewny.

— Często w jednej i tej samej chwili proszę Boga, abyś była szczęśliwą, chociażbyś miała o mnie zapomnieć... abyś umarła razem ze mną, gdybyś mnie zapomniała... Daruj mnie!...

Maryla podniosła się z kolan.

— Obraziłam ciebie, mój miły... Zasłużyłam na twój gniew... Ach, cóż ja winna. Przygnieciona srogim losem... cóż mogę?... Gdyby Laurenty był zły, groźny... gdyby mnie bił... byłabym spokojniejszą... Il faut m'oublier, mon ami... Bylebyś ty był szczęśliwy... Ale ty jesteś szczęśliwy. Niema szczęśliwszych ludzi... Kochasz i jesteś kochanym.

Idący na przedzie odwrócili się i poczuli zwolna iść z powrotem. Maryla otrzepywała starannie białą sukienkę. Adam pracowicie i z uszczerbkiem dla paznokci odzierał z kory witkę wierzbową. Zan popatrzył na oboje inkwizytorskim wzrokiem.

— Czy to dobrze, że ja ciebie tu przywiozłem, Adamie? Zmęczyłeś się nadto podróżą i temu wyglądasz zgorączkowany. Nie dla twojego zdrowia kilkumilowa fatyga.

Maryla zuchwale odpowiedziała spojrzeniem na spojrzenie.

— Właśnie ażeby wypocząć po fatygującej podróży, pan Adam jest w zamiarze pozostania u nas przez cały tydzień. I pana Toma także nie puścimy — przypochlebiła się, widząc sposępniałą twarz

Zana. — Pan Tomasz drogi prosto od nas pojedzie na wizytacją.

— Jedziesz na wizytacją? — Puttkamer ucieszył się ogromnie. — A, jak dobrze! Chodźko ciebie zabiera? Mówiono, że już i jego nie puszcza.

— Prezydent Chodźko mnie zabiera niby dla praktyki, że to kiedyś mnie spotka niechybnie zaszczyt obywatelski honorowego wizytatorstwa. Ale ja myślę, że raczej wizytacja Chodźki jest już ostatnia. Tym skwapliwiej jadę.

— Tak że to źle wróżysz?

— Mówiłem jak jest w Wilnie. Lada dzień tam oczekujemy surowych zarządzeń.

— Warszawska opozycja sejmowa nam na zdrowie nie służy.

Tomasz przejął się rozmową i zapomniał na chwilę o romantycznej parze.

— Ja bym tak o tym nie trzymał. Potulność najmniej na zdrowie wychodzi. Gdyby nie opozycja warszawska, nie mielibyśmy i tego kołaczącego się resztkami tchu projektu połączenia Litwy z Koroną pod namiestnictwem Konstantego.

— A ty wierzysz w urzeczywistnienie?

— Coraz mniej.

— Więc widzisz

— Ale cóż stąd? Mamyż dlatego, jak chcą u nas niektórzy, łaścić się do stóp tyrańca?..

— Poczekaj, nie gorączkuj się... A jakież nieostrożny...

Adam skorzystał z gorącej rozmowy, by odciągnąć Marylę w stronę jaśminowej altany. Tam szepotali coś sobie przez czas dłuższy, nim Zan spostrzegł się i pociągnął nieznacznie w tamtą stronę zagadanego Wawrzyńca. Zniecierpliwiony tak wy-

rażną opieką, Adam szerokim gestem pokazał na Zana.

— Otóż przyjrzyjcie się państwo. Ta zańska persona, wizytując szkoły, będzie niechybnie za pośrednika między nauczycielami a wizytatorem. A przecie skąd inąd nie lubi pośredniczyć i nawet się za podobne propozycje obraża.

Pan Wawrzyniec śmiał się przez uprzejmość, nie rozumiejąc, ale Maryla natychmiast pochwyciła aluzję. Przysunęła się nieznacznie do Zana i odprowadziła go na bok pod pozorem pokazania świeżo rozkwitłej, pierwszej w tym roku, róży.

— A... niedobry pan Tomasz.

— Czym znowu zawiniłem?

— Cięży jemu pośrednika miano? pośrednika najtkliwszej miłości? I wiem o co chodzi. To o ten listek, com jego prosiła przed paru tygodniami zawieźć Adamowi... tak mało...

— A nie powinienem był.

— Jakiż surowy pan Tomasz.

Zan gniewnym ruchem poderwał głowę w górę, głos nabrał mu przykrych, chropowatych brzmień.

— Ach, gdybyście mi dotknąć waszych dusz pozwolili, możebym was do zamięłowania słodszych nierównie, a mniej burzliwych uczuć pociągnął. Ale wy nie pozwalacie.

— Bo pan Tomasz jest cierpki i zimny, kiedy mu się skarżymy.

— Zimniejsze uwagi potrzebne są dla płonącego ogniem uniesień serca, ażeby, samo nieszczęśliwe, najdroższych sobie osób nie przywiodło o gorsze jeszcze nieszczęście.

— A jeżeli ja nie widzę gorszego?

— Utrata czci... — Zan chciał dalej mówić

i umilkł, onieśmielony własnym zuchwalstwem. Maryla z odrzuconą w tył główką i przymrużonymi po wielkopańsku oczami gotowała się już do ostrej riposty. Adam, który wymknął się zagadanemu chwilowo z ekonomem panu Wawrzyńcowi, szedł ku nim śpiesznie, depcąc po drodze rabatki.

— Klóćcie się, moi drodzy? Ale to niemożliwa. Tomasz znowu się gniewa?

— Pan Tomasz ma serce z lodu.

— O, bodajby każdy dla was tak jak ja... Gdybym mógł wam pomóc! Gdybym mógł sprawić, by Bolcieniki wyspą się dla was stały bezludną! Ale kto na świecie żyje, z ludźmi żyć musi i pochylić szyję pod jarzmo ludzkich praw. Zawsze myślałem, że wytrwałe spełnianie obowiązków jest istotną wielkością. największego godną szacunku... Ale teraz... wobec was...

Maryla obróciła się do Adama:

— Soyez grand, mon ami!

Urwała gałązkę rosnącemu u wejścia do altany suchotniczemu cypryskowi, wsadzonemu gwałtem w piaszczystą glebę, pod chmurne niebo Litwy, by dodawał romantyczności wiejskiemu ogrodowi. Adam porwał gałązkę i przycisnął do ust, rzęsy Maryli zatrzepotały szybko. Może chciały pozbyć się paru niedyskretnych łez, zanim mąż nadejdzie i o coś zapyta?

Ten mąż był przerażająco dyskretny. Przedłużał rozmowę z ekonomem do ostatecznych granic i tylko, gdy podszedł nareszcie, kilka razy, raz po raz, przeniósł niespokojne oczy z twarzy Maryli na twarz Adama. Ale nic nie powiedział i o nic nie zapytał.

Później, przy obiedzie, w trochę posępnej, rogami jelenimi przystrojonej jadalni, dolewał wina

do kielichów i częstował gości. Sam troszczył się o wszystko i wyręczał żonę, która siedziała nieruchoma, nie jadła prawie nic, tylko od czasu do czasu podnosiła do ust gałązkę jaśminu.

Adam wpatrywał się w nią przez stół i nieznacznie podnosił ku niej swój kielich z winem, ile razy miał w nim umoczyć usta. Zan gadał za wszystkich, ale chwilami i on przycichał, a wówczas trzepotało się coś nad głowami zebranych, jakby szelest niewidzialnych skrzydeł motyli. Wszystkie rozgrzane do białości myśli i uczucia wyrwały się przemocą, by wylecieć w świat, zawojować ziemię, rozpałać i gasić gwiazdy.

Wieczorem Maryla śpiewała przy klawikordzie. W salonie światła nie zapalono, były tylko dwie świece na pulpicie do nut. Biała czerwcową noc stała za oknem i zaglądała przez odsłonięte szyby. Zan siedział wtulony w rozłożysty fotel i widział z pod rzęs, jak Adam przewracał nuty Maryli. Klawikord odsunięty w mroczny kąt ogromnego salonu, ginął prawie na tle ciemnych tapet. Tylko oświetlona dwoma świecami klawiatura bielą widmowo, przeciwstawiając się tym wyraźniej trwającej tuż za krzesłem Maryli gęstej ciemności. Z kłębow mroku wysuwała się co chwila ręka Adama, wchodziła w krąg światła i odbijała się na suficie wyolbrzymiona, szponiasta, upiornie straszliwa. Czarny cień ręki wisiał nad głową Maryli. Palce cienia za każdym mimowolnym drgnięciem palców Adama rozczapierały się drapieźnie, jakby chciały pochwycić coś i zdusić. Zdawały się żyć samoistnym życiem, zupełnie niezależnym od Adama.

Twarz Maryli w złotym połysku świec była różowa i ciepła. Jej ręce biegały po klawiaturze jak dwie małe przedziwnie zwinne myszki. Głos przetyknięty do ostatecznego znużenia śpiewał:

„Przez me podwórze, przez me podwórze
da cieciera leciała...
Nie dałeś Boże, nie dałeś Boże
kogom sobie chciała“.

Pieśń tłukła się o ściany, biła skrzydłami o zamknięte okna, a nie mogąc ulecieć w pachnącą jaśminami noc, rozpaczała i zawodziła. Hołosiła jak wieśniaczka nad mogiłą syna.

Zan siedział zdrętwiały, senny, głowa opadła mu ciężko na ramię. Drzemał, nie drzemał i w tym stanie półsnu pieśń o ciecierze, śpiewana przez tamtych dwoje, wydała mu się bliskim i groźnym niebezpieczeństwem. To ona właśnie sprowadzała upiorną drętwość, jej obecność paraliżowała myśli i wolę, ją wygnąć trzeba za wszelką cenę.

Zan naprężył znieruchomiałe mięśnie, wyrwał się z aksamitnych objęć fotela, chwiejnym krokiem minął cały salon i otworzył okno. Tłum kwiatnych zapachów wdarł się zaraz z ogrodu, powiało niedaleką wodą i wilgotną ziemią. Pieśń jak ptak uwolniony frunęła przez okno. W salonie umilkła.

Maryła odwróciła się zwolna od klawikordu, razem z krzesłem, twarzą do Adama. Adam pochylił się ku niej, jak zrana, w ogrodzie, przy rabatce, ale bardziej zdecydowanie, bardziej nakazująco. Usta już były o włos od ust, kiedy Zan podskoczył nagle w górę aż szyby dźwięknęły i zapał po koguciemu.

Filomackie imieninowe hasło zatrzęsło powietrzem w salonie. Adam wyprostował się gwałtownie, odrzucony kogucim krzykiem. W tej samej chwili gruba kosmata ćma wleciała z ogrodu i pacnęła całą sobą o płomień świecy. Świeca zgasła. Adam uśmiechnął się błędnie.

— Wydało się mnie, jakby kawał życia mojego minął i zgasł z tym światłem. Jesteś stróżem mijającego czasu, piejesz jak kur, mój Tomku. Przypominasz upiorowi, że jego złudne nocne życie skończone i że mu czas wracać do mogiły.

— Przypominam, że biały dzień niedaleko, więc czas budzić się z sennych majaczeń — odpowiedział zimno Zan. Potem wychylił się do ogrodu i rozmawiał z kimś stojącym pod oknem.

— Muzykowaliśmy. Tak. A teraz już skończyliśmy. A teraz na szpacjer wieczorny chętnie byśmy poszli. Co? burza idzie? My tu nic nie wiemy.

— Czy to był Laurenty? — Maryla podeszła nieśmiało do Zana i pilnie patrzyła mu w oczy. — Czy dawno tam stał na rosie w ogrodzie? Wrażliwy jest na wieczorny chłód. Naprawdę idzie burza? Zamknij okno, drogi panie Tomaszu, ja się burzy tak bardzo boję.

— Ach, któż widział! Jakim niebezpieczeństwem grozić może burza? Byle tylko mieć czyste sumienie i dzwonek loretański. Dobrze Zamknę okno, skoro pani rozkazuje, ale wyjdziemy na ganek. Zobaczymy, z której strony nadciąga, powrózimy sobie.

Puttkamerowie oboje zatrzymali się na osłoniętych dzikim winem stopniach ganku. Zan z Mickiewiczem stanęli na zwirowanej drodze. Deszcz miotał już pierwszymi ogromnymi kroplami. Stare kłony u wjazdu na dziedziniec szamotały się rozpaczliwie z rozwścieczonym wichrem. Gwiazdy gały śpiesznie, jedna przez drugą. Czarna chmura warczała coraz bliżej, pełgała błyskawicami tuż nad dworem.

Zan zadarł głowę w górę, badał uważnie nachylenie rozwichrzonych czubów drzewnych, kierunek

nasuwającej się coraz bliżej atramentowej czarności i oznajmił uroczyście:

— Idzie z północy.

Wszyscy zebrani na ganku bolcienickiego dworu przyjęli tę wiadomość z dziwnym niepokojem, jakby przydawali faktowi przypadkowej burzy jakieś tajemnicze, doniosłe znaczenie.

— Błysnęło oślepiająco, na krzyż. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun. Maryla krzyknęła i przeżegnała się głośno, Puttkamer podniósł obie ręce do uszu, Zan tupnął zawadjacko na środku ścieżki i huknął wspaniałym basem:

— Wiwat elektryczność!

— Teraz już wiemy, skąd najgroźniejsze burze — tłumaczył Zan, gdy wszyscy wrócili do dworu i zasiedli w jadalni, gdzie było jakoś zaciszniej. — Zawsze czułem, że przyjdzie do starcia z północą, a teraz natura sama to potwierdza. Nie śmieście się. Ja czuję magnetycznie, a magnetyzm i elektryczność, to jakby rodzeństwo. Będzie burza. „Nietoperz“ nadleci na czele nieprzeliczonych wojsk „niedźwiedzich“, krew się poleje i będą biły pioruny.

— O, Boże, daj taką burzę! — zawołał Adam.

Ale pan Wawrzyniec zafrasował się znacznie. Tarł czoło, wzdychał, oglądał się lękliwie na okna, za którymi huczało i błyskało nieprzerwanie, wreszcie machnął ręką i wstał z krzesła.

— Ech, co tam, będzie burza, to jej stawimy czoło. A czy to nam pierwszy raz? Tymczasem, nim co do czego przyjdzie, mam tu butelkę maślacza. Wypijmy na frasunek i na spokojną noc. Chociaż dla mnie i tak nie będzie ona spokojna. Wciąż śnić się mnie będzie, że ulewa żytko położyła.

XXIX

Antokol był zawsze dobrym miejscem spacerów dla znękaných umysłów i zboląłych serc. Najboleśniejszą rozterkę uspokoić mógł bodaj na chwilę szum sosen antokolskich, a słodka miękkość pagórków nie przygniatała nadmiernym ciężarem i tak już przygniecionych dusz.

Pagórki obiecywały przedziwne uroki wędrowcowi, co zada sobie trud wspięcia się po zboczach zasłanym śliskim igliwem, porośniętym rzadką leśną trawą. Odśloni się niechybnie przed stęsknionym okiem rozległy szmat świata i tęsknota niczym nie spętana poleci sobie daleko i szeroko, zobaczyć, czy lepszej doli nie ma za widnokregiem.

Poeci lubią takie widoki i takie tęsknoty. Nic też dziwnego, że Oleś w tydzień po owej podsłuchanej rozmowie spotkał Adama w Antokolskim gaju, pod murem, okalającym letnią rezydencję Sapiehów.

Adam odpoczywał, mając za plecami biały mur Sapieżyńskiego parku, a przed sobą białe jabłonne sady, tłoczące się gromadnie nad Wilią. Odpoczywał, albo wspominał niedawny pobyt w Bolcienikach... A może komponował wiersze, bo miał oczy zgubione dla świata i nalane niebieskim światłem. Pomimo to Oleś odważył się zbliżyć do niego i zagadnąć.

Od czasu powzięcia ofiarnej decyzji, Oleś wojował uparcie z własnymi myślami, bo myśli niesforne i jeszcze niesforniejsze uczucia mięszały mu

w głowie, jak w garnku. Bał się. Przed kim że się tu zapierać nadaremno? Strach łąził za nim uprzykrzenie krok w krok i tyle sprawił, że teraz oto, po upływie tygodnia, Oles nie obmyślił sobie jeszcze nawet planu działania. Ale wierzył rozpaczliwie, że postanowienie swoje spełni i ta wiara podnosiła go we własnych oczach. Czuł się też starszym i poważniejszym, niż dawniej, jakby podniesionym do starszych przyjaciół; nie na całą ich wysokość oczywiście, ale przynajmniej do pół wysokości. Dlatego śmiało usiadł na trawie zasypanej żółtymi kwiatami mniszków.

Adam nie rozgniewał się natręctwem. Uśmiechnął się do Olesia, a ten uśmiech odbił się zaraz na Olesiowych wargach, gdzie nabrał trochę głupekowatej błogości. Adam zapytał:

— I cóż ty tu robisz, mały?

— Spaceruję. Tak ślicznie na świecie. A czy wolno mnie zapytać, dlaczego Adam tutaj sam tak rano? Czy może jakie kłopoty z domu jego wygnały?

Olesiowi zdawało się, że pyta ogromnie chytrze. Powziął myśl wyciągnięcia Adama na słówka. Chciał wiedzieć coś więcej o sprawie, która tak mocno zaważyć miała na jego życiu. Ale Adam nie zdradzał ochoty do zwierzeń. Na pytanie Olesia uśmiechnął się tylko i dalej spoglądał po niebie, klonach i Wilji. Nie wypadało powtarzać pytania. Oles zamilkł i wodził oczyma za Adamowym wzrokiem, próżno zapytując siebie, co w klonach, Wilii i niebie mogło być tak ciekawego? Klony stare, szerokolistne, cień dają miły, to pewna, niebo błękitnieje z całych sił, a Wilia mu ślicznie dopomaga, to prawda. Ale czy to powód do milczenia? Tym bardziej gadać się chce byle o czym, wesoło i głoś-

no: o pszczole, co przysiadła na Adamowym trzewiku, o wielkopańskiej kolasie, co przeleciała hucznie w sześć koni, z szumem piasek przesypując przez koła, o chłopskim wózku, co przeskrypiął mimo nich strachliwie, przy ustawicznym oglądaniu się kudłatego, obdartego chłopa na dwu podejrzanie przycajonych paniczów. O czymkolwiek zresztą, byle nie milczeć.

Wreszcie Adam zagadnął sam i zgoła niespodziewanie.

— Ty byłeś przy tym, prawda Oleśku, kiedy to ten Moskal... ten rotmistrz... wziął w pysk od Tomasza.

— Byłem. — Oleś nastroszył się cały, skupiając uwagę do ważnej rozmowy.

— Czy on mógł dobrze widzieć Tomasza? Czy poznałby go między innymi?

Oleś zastanowił się chwilę.

— Ej, chyba... nie poznał. To tak prędko było: klask, klask, i już wszyscy u Romerów za płotem... A on się na drogę potoczył.

Oleś roześmiał się na wspomnienie tamtej wspaniałej chwili. Adam uśmiechnął się także półgębkiem.

— Tak. To może się wydać zabawnym, ale wierzaj mi, Oleśku, że jest źle. Jeżeli Tomasz poznany będzie od Pełskiego, tedy grubo odpowie za swoją popędliwość. Żal Tomasza, dobrego przyjaciela, ale tu jeszcze coś gorszego. Zan — prezydentem Filaretów. Niech on się uwikła w śledztwo, a cała filarecka robota wydać się może. Rozpadnie się Filarecja, rozpędzą ją na cztery wiatry i wszystko trzeba będzie zaczynać od nowa.

— Ale dlaczego Filarecja rozpaśćby się miała? Zaćóżby miano nas prześladować? Przecież my nie

złego nie robimy. Uczymy się tylko, jak kochać ojczyznę.

— A otóż to właśnie. Mówisz jak dziecko, Ole-siu.

— Prawda. Moskale.

Oleś pochylił głowę i począł dłużyć palcem w piasku. Chciał strasznie zapytać o jedną rzecz Adama, ale bał się zdradzić w ten sposób ze swoimi zamiarami. W jego pojęciu Adam widział każdego na wylot, czytał myśli jak notatki we własnym seksternie... Mimo to chęć przemogła, język sam obrócił się w ustach.

— Czy bohaterstwo jest tylko wtedy, jeżeli się życie poświęca, Adamie?

Zdumiony Adam odwrócił się nareszcie od swojej utrapionej Wilii.

— Skąd tobie to przyszło? Bohaterstwo? Jest zawsze, jeżeli się spełnia czyn wyższy nad obowiązek człowieka i obywatela, narażając się przez to na cierpienia i straty. Ale czyn taki nieść musi pożytek społeczności. Wytłumacz mnie, dlaczego pytasz?

Patrzył Olesiowi prosto w oczy, a Oleś ścierpł: poczuł się obnażonym i bezradnym. Nie śmiał spuścić oczu, czerwieniał tylko coraz mocniej. Naraz Adam roześmiał się pobłażliwie.

— Już cię mam! Nie, kochanku, z tego punktu widzenia oglądany, postępek Tomasza nie jest bohaterstwem. Ale nasz Tomasz miły ma tyle zasług i cnót, że mu tę chwilę nieopatrzego uniesienia darujemy łatwo, prosząc Boga jedynie, by już gorszych skutków stąd nie wynikło.

Oleś poczuł się dziwnie zawiedziony tym wejściem Adama na fałszywy trop. Powinien był się cieszyć, a westchnął cichutko.

— Ja rozumiem. Tak sobie spytałem, żeby wiedzieć. Kiedy byłem w gimnazjum, wybraliśmy się na Górę Trzykrzyską i rozmawialiśmy o wojnie Trojańskiej. Jeden kolega powiedział do mnie: — Mówisz, że kochasz Greków? a to skocz z tego urwiska.

— I ty skoczyłeś?

— Skoczyłem, skrzyłem nogę i miałem się za bohatera.

— A cóż za dzieciństwo!

— Tak, Adamie, tamto było dzieciństwo.

— Tamto? A cóż teraz zamysłasz?

Tak. Teraz odgadnie napewno. Przekłeta gadatliwość! A cóż by się stało, gdyby odgadł? Skrzyżowałyby, zabronił... kazał wracać do matki. Udaremniałoby to zamierzoną ofiarę, ale... jednocześnie... zdjęłoby z ramion straszliwy ciężar, pozostawiając słodki posmak zasługi. Jakże ciężko było borykać się z pokusą. Teraz już ani słowa więcej. Jeżeli Adam domyśli się — będzie to znaczyć, że tak chciała Opatrzność. Jeżeli nie domyśli się...

Ale Adam oparł spokojnie głowę o pień klonowy i znowu zamruczał coś do siebie, coś melodyjnego, rytmicznego. Widocznie do słów Olesia nie przywiązał szczególniejszej wagi.

Na klonie usiadł dzwonec; pokręcił się minutkę, poskakał z gałązki na gałązkę, potem skupił się w sobie, wydał gardziółko i zaśpiewał. Co wziął ton kryształowy, dzwoniący, to urwał i wsłuchiwał się w zamierające dźwięki. Oleś zadarł ku niemu głowę z uczuciem palącej zazdrości: takiemu do brze, za chwilę polecą, gdzie zechce.

Adam deklamował coraz wyraźniej. Wiersze plątały się w jedno z pieśnią dzwońca i z brzękiem pszczoł na jabłoniach.

Maria Ostrobramska natchnęła go szczęśliwą myślą oddania się w ręce Moskali zamiast Zana! To będzie słuszna ekspiacja.

— Pójdę już, Adamie.

— Poczekaj. Zaco tak lecisz? Zmartwiłem ciebie? Nie martw się. Jeszcze da Bóg wszystko pomyslnie się skończy, a ty na drugi raz będziesz staczejniejszy. Poczekajże, mówię!

Oleś już gnał Antokolską drogą, grzązł w głębokim, nagrzanym piasku, potykał się o kamienie i dalej gnał. Byle prędzej, bo tego żalu, co go ścisnął za gardło dłużej znosić nie był w stanie.

Ten żal przygaśł dopiero nazajutrz, kiedy przesłoniły go ważniejsze sprawy, dziejące się na uniwersytecie.

Tego dnia uniwersytet trząśł się od plotek. Nawet profesorowie przystawali coraz na korytarzach i rozmawiali półgłosem, milknąc, ile razy podniecone grupki akademików znalazły się w pobliżu, albo przechodził ktoś z partii „niemieckiej“.

Akademicy rozprawiali bez większych ceremonij, nieraz wręcz hałaśliwie. Nazwiska Zana i Pełskiego latały wszędzie, płacząc się ze sobą w zatrważający sposób. Opowiadano, że komisja śledcza uniwersytecka, pomimo sprzeciwów Kłagiewicza, łączy zamach na Pełskiego z promienistością i że nietyle Łobojko za tym ob staje, co Bojanus.

— Bojanus sądzi, jakoby Zan rozmyślnie pobudzał młodzież do takich wystąpień, a to końcem skompromitowania russkich oficerów w oczach powszechności — twierdził z pewną miną elegancki, smagły studencik i z taką znajomością rzeczy, jakby stale bywał obecnym na posiedzeniach komisji.— Gdyby tak było istotnie, nie uważałbym tego za przyzwoite: kto sam nie chce się uczyć, niechże in-

nym tyle do nauki potrzebnego spokoju nie odbiera. Ichmoście cieszą się protekcją księcia kuratora, pojedą sobie na wojaż zagraniczny, a nam najmiłościwszy cesarz w słusznym gniewie gotów uniwersytet zamknąć, tyle ważny i sercom naszym drogi bastion nauki ojczystej, — deklamował z emfazą, wznosząc oczy w górę jakby sufit wzywał na świadka, zasłyszane na jakimś ansamblu cudze zdania. Oleś, który stanął w grupie przysłuchującej się tej perorze, wpakował pięść w usta ze złości.

Przez moment chciał wszcząć awanturę, ale się pohamował. Awantura słowna mogła doprowadzić do bijatyki, a to na korytarzu uniwersyteckim był czysty kryminał. Nieopodal, we framudze okiennej, rezydował pedel Kupść, o którym szeptano, że jest prawą ręką urzędnika kancelarii uniwersytetu, imć Stępkowskiego, konfidenta ze swej strony kancelarii gubernatorskiej.

Czy to było prawdą — nikt nie wiedział napewno, ale Oleś przypomniał sobie natychmiast tę okoliczność. Spojrzał w stronę Kupścia i dostrzegł, że podejrzany pedel niedwuznacznie strzyże uchem w stronę rozmawiającej grupy. Tymczasem inny akademik, piegowaty grubasek, już odpowiadał elegancikowi.

— Ja słyszałem, że to sam Tomasz Zan uderzył rotmistrza Pełskiego, żeby pokazać młodzieży, że gwardyjak nie taki znów straszny. Przechwalał się podobno tak: „uderzę i nic mnie za to nie będzie. Tak i cały naród polski i litewski: gdyby się rozmachnął dobrze, a uderzył...

Na rozanimowane twarze studentów padł lękliwy cień. Ten i ów odsunął się o krok, o dwa, a potem szybko odchodził, bąkając coś pod nosem o dzwonku, który ma zaraz wezwać na wykłady.

Kupść przechylił się w tę stronę ze swojej framugi okiennej i udawał, że mu w tej zgiętej pozycji łatwiej nabijać fajkę.

Naraz Oleś w błyskawicznym olśnieniu zrozumiał, że sama Opatrzność daje mu w rękę jedyną okazję ocalenia Zana. Jakby siły wyższe podsłuchały Olesiowe samotne rozmyślenia i śpieszyły spełnić jego półświadome życzenia. Wszystko mogło się odbyć poprostu i naturalnie, tak właśnie, że nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Należało tylko wzięść się mocno w garść.

Westchnął głęboko, potem wtłoczył ręce w kieszenie i przybrał buńczuczną minę.

— Toście źle słyszeli — powiedział nienaturalnym basem. — Zan wcale nie uderzył rotmistrza Peńskiego.

Elegancik i grubasek jednoczesnym ruchem obrócili się ku Olesiovi.

— Nie Zan? Więc kto? Mówisz, jakbyś wiedział: kto?

— Może i wiem.

Grubasek aż usta roździawił z wielkiego przejęcia. Obejrzał się szybko w głąb korytarza, ale tam nie było nikogo. Powtórzył natarczywie:

— Mówże. Kto? Przysięgą, że nie pisnę ani słówka.

— Na płomień Styksu, przysięgą i ja — rażył zapewnić elegancik.

— Przysięgnij na wody Lety, że usłyszysz i zaraz zapomnisz.

Oleś, udając, że droczy się z ich ciekawością, przesunął się nieznacznie w kierunku Kupścia. Kupść oparł głowę o ścianę i pykał swoją fajkę. Obaj koledzy stali obrócenii plecami i nie widzieli groźnego pedla.

— Przysięgacie tedy wleczyste milczenie?

— Przysięgamy.

— Dobrze.

Tamtym obu oczy już na wierzch wylazły. Oleś nachylił ku nim głowę tak, że się trzy czoła zetknęły niemal ze sobą i zniżył głos do tragicznego szeptu:

— Zawierzę wam. Winowajcę oglądacie właśnie. Ja uderzyłem Pełskiego.

Grubasek zatoczył się w tył jak pchnięty; elegancik skrzywił się pogardliwie.

— Ty? Żartujesz! Gdzieżbyś ty się odważył?

Oleś podniósł dłoń w górę.

— Mówię, że ja uderzyłem. Mogę przysiąc, jeśli mnie nie wierzycie. Odważyłem się. Tak! Bo mnie potrafił i durniem obezwał. Szlachcic jestem, nie żaden łachmytek i nie pozwolę ubliżyć sobie bezkarnie.

Obaj koledzy patrzyli na Olesia z wciąż rosnącym uszanowaniem. Elegancik odrzucił precz swój pogardliwy grymas, a grubasek wręcz nie posiadał się z zachwyty.

— I takeś go palnął? Paf! A on się w błoto zatoczył? Otóż pięknie było. Ależ z ciebie zuch prawdziwy.

Oleś zaczął właśnie doznawać uczucia niesłusznej dumy, gdy drzemiaący do tej chwili spokojnie Kupść zbudził się i przeciągnął niedbale. Spojrzał zezem, niby się jeszcze namyślał i podszedł, nie śpiesząc, do rozmawiających.

— Panowie, tak głośno? na korytarzu? Aaa... to nie wolno. Wykłady już rozpoczęte. Panowie nie słyszeli dzwonka? Ja o nazwiska poproszę.

Obaj interlokutorzy Olesiomu, i on sam także, rzucili pedłowi przez ramię swoje nazwiska z nie-

dbałą wyższością, jak nakazywał dobry ton akademicki. Nie wolno było pod groźą koleżeńskiej infamii prosić w podobnych wypadkach o jakiegokolwiek względy. Tylko Oleś poczuł, jak mu serce lodowacieje w zimny kamień i takie zimne, ciężkie podchodzi pod gardło.

Ale spokojnie poszedł na wykład Capellego, wsunął się w kącik i słuchał, nie słysząc uczonych wywodów profesorskich. Zajmowała go już teraz jedna tylko myśl: jak prędko skutek dzisiejszej rozmowy na korytarzu zapuka do drzwi dworku na Oстрыm Końcu?

Zapukał na trzeci dzień, pod wieczór, w osobie „kwartalnego“ Krukowskiego. Brodaty dygnitarz żandarmski odmówił groźnie zaproszeniu na wódkę i „czaj“, rozkazał milczeć miotającej się po jadalni Łuczkowej, a Olesiowi — zabierać pościel, bo „przyjdzie się chyba przenocować w areszcie“.

Przed furtką już czekała remizowa dorożka. Łuczkowa pomimo grubiańskich łajañ „kwartalnego“, wypadła za synem do ogródka. Chwytała go za ręce i błagała bez sensu, by jej wybaczył tamten petersburski projekt i wszystkie późniejsze dąsy i gniewy. Oleś chciał bardzo odpowiedzieć matce, ale nie mógł. Jeszcze tegoż dnia przy obiedzie nazwała go nieznośnym mrukiem, a on dlatego milczał, że go dręczyło przykre ściskanie w gardle. I teraz także milczał uparcie, choć łyzy matczyne paliły go żywym ogniem. Sam Krukowski, wzruszony jego młodością, tłumaczył mu w dorożce:

Eto niczewo. Eto wierno aszibka.

Ale Oleś patrzył w niebo, na ledwo widoczne, blade gwiazdy majowe i myślał z rozpaczą, ile też przejdzie czasu, zanim je znowu zobaczy nad głową, srebrne gwoździe wbite w rozłożysty, modry namiot Boży?

XXX

Sowiecnik Ławrynowicz wpadł w istny szal, gdy się dowiedział o aresztowaniu Olesia Łuczki. Zatupał nogami tak mocno, że mu pantofle spadły, kazał sobie podać frak, kazał zajechać swoim siwkom i ruszył do gubernatora Horna. Niedługo tam bawił, wyszedł przygnębiony i pojechał na Ostry Koniec do Łuczkowej.

Łuczkową zastał smutną i zatroskaną, ale na podziw spokojną. Wbrew wszystkim swym zwyczajom Łuczkowa nagle okrzepla, wyprostowała się, zdumniała. Odsunęły się daleko małe, dokuczliwe zgryzoty, rozproszyła się mgła, co spowijała na codzień mózg i serce. Powróciła pamięć niezatarta, przesłonięta walką o chleb powszedni pamięć groźnych dni upadku Wilna po Kościuszkowskiej insurrekcji. Wówczas to Moskale wywieźli na Sybir jej ojca, wówczas padł na polu chwały jej brat. Młodziutką dziewczyną, rozszerzonymi od grozy oczami, patrzyła na tamte rzeczy, a teraz znowu czuła tę samą nienawiść i tę samą dumę: wówczas za ojca i brata — dzisiaj za syna.

Zerwało się to w niej nagle, jak wichur w czasie burzy i zagarnęło ją całą. Przyjęła Ławrynowicza zimno i twardo, a on, przywykły do posłuchu w tym domu, stracił głowę i wypadł z właściwego tonu, Perorował niepotrzebnie podniesionym głosem:

— Nie będę ratować! Jak mnie Bóg miły! Nie będę! Niech gnije w turmie łądak jeden! Nie-

wdzięcznik, co matczyne łzy ma sobie za nic! Oficerów w publicznych ogrodach znieważać mu się zechciało? A, młokos!

Łuczkowa wysłuchała wybuchu sztywnej i kamienną. Gdy zdyszany Ławrynowicz zamilknął nareszcie — odpowiedziała zimno:

— To tamten oficer pierwszy zaczął mojego syna. Byłam w areszcie i, choć mnie nie dopuścili, żandarm, który Oleśka do aresztu prowadził, opowiedział wszystko, jak było. Mój syn honoru swojego szlacheckiego bronił, honoru Polaka. Postąpił, jak był powinien pamięci ojca. Ja, matka, pochwalam jego... błogosławię...

Łzy załapały dalsze słowa Łuczkowej, więc urwała, ale patrzyła odważnie prosto w purpurową z pasji fizjonomię sowietnika. Zresztą Ławrynowicz był jeszcze bardziej zdumiony, niż rozgniewany; gębę rozdziawił, jak wrota, wybałuszył oczy; dopiero po dobrej chwili wybelkotał z trudem:

— Tak pani dobrodziejka powiadasz?

Łuczkowa już odzyskała panowanie nad sobą.

— I każdemu do oczu powtórzę! W czym mój Oleś zawinił? Że oficeryszce najpewniej pijanemu nie pozwolił znieważać się bezkarnie? A nie ratuj go pan sowietnik, ja nie proszę! Ja znajdę dobrych ludzi, co mnie dopomogą! Pójdę do rektora, do wielmożnych pań i panów... pójdę nawet do księżny Zubow... i choćby do samego piekła! A pana nie poproszę.

Ławrynowicz owinął się dostojnie w togę oburzenia.

— Ach, więc tak? Dobrze! Umywam ręce! Od wszystkiego. Od całej opieki umywam. Żebym nie słyszał nadal żadnych prośb, żadnych zaklęć na pamięć nieboszczyka. Dość długo byłem cierpliwy...

Taka niewdzięczność! Po tylu latach trosk i zachodów! Po tylu latach nieustannego starania! Odchodzę! Noga moja w tym domu nie postanie.

Sapiąc głośno, wytoczył się do sieni. Łuczkowa długo jeszcze potem siedziała nieruchoma w fotelu, rozmyślając, czy zrobiła słusznie? W uniesieniu, paru nieostrożnymi słowami, pozbawiła dzieci tak możnej opieki. Czy nie lepiej było przetrzymać pierwszy gniew Ławrynowicza? Wykrzyczałby się, a potem niechybnie Olesia ratował. I z pewnością uratował. Miał takie poważne stosunki... i, ostatecznie, nienajgorsze serce. Ale nie mogła wysłuchać spokojnie obelg sypiących się na głowę uwięzionego syna. I nie mogła zapomnieć, że to właśnie Ławrynowiczowskie rady weszły klinem między nią a chłopca i zepsuły życie domowe ostatnich miesięcy. A teraz Olesia mogą zesłać na Sybir, (o wielkiej możliwości takiego nieszczęścia nie wątpiła) i chłopak pójdzie z przeświadczeniem, że matka w ciężkiej chwili nie była po jego stronie. Ta myśl ciążyła najbardziej. Nie. Niech sobie idzie domowy tyran-klóciiciel, niech odżegnuje się od opieki, kiedy chce. Bóg sierot nie opuści, dobrzy ludzie zginąć nie dadzą.

Bóg nie opuścił i zesłał nowego opiekuna. Dobrzy ludzie też nie zawiedli. Opiekunem został uszczęśliwiony zaszczytem wierny Teodor Łoziński, który przybiegł w te pędy, jak tylko dowiedział się o nieszczęściu. Łuczkowa przyjęła go należycie, to znaczy odrazu jako narzeczonego córki. Nie było na ten temat długich rozmów, Łuczkowa uchwyciła się Teodora jak deski zbawienia i bała się tylko tego, czy on nie będzie pamiętał o minionych niegrzecznościach?

Nie pamiętał o niczym, myślał tylko, jakby do-

pomóc. Obie kobiety patrzyły w niego jak w tęczę i oczekiwały po nim, że najdalej w ciągu trzech dni przyprowadzi Olesia do domu. Sam Teodor z początku też pełen był dobrych myśli. Sądził, że cała sprawa skończy się łatwo, prędko i pomyślnie. Z butną miną poszedł na wywiady i wrócił przygnębiony. Podobno Oles nie zapierał się wcale zarzucanego mu przestępstwa.

Wśród Filomantów — jakoby kij wbił w mrowisko. Zawrzało od narad, schadzek, przypuszczeń i projektów. Nawet Jeżowski w pierwszej chwili stracił zwykłe panowanie nad sobą. Że Oles chciał się przed kolegami z policzka, którego nie wymierzył — dałoby się wytłumaczyć niewczesną dziecinadą. Ale że przyznał się także żandarmom? Lodowata zgroza ogarniała Jeżowskiego na myśl, że niepojęte przyznanie wymuszono może na Olesiu barbarzyńskimi środkami? głodem, albo chłostą? Nie wyrażał głośno swoich ponurych podejrzeń, ale widział swój własny lęk w oczach przyjaciół. Przerzucał się gorączkowo od jednych postanowień do innych i nie bardzo wiedział, co począć?

Dopiero Zan przywołany z Tuhanowicz alarmującym listem wyświecił przypadkowo sytuację.

Gadatliwy Antosiek Ślizniów, między innymi domowymi ploteczkami, opowiedział i to, jakto przed kilku dniami pan Łuczko zasnął na łóżku panicza Ottona, i jak panicz Otton gniewał się potem, znalazłszy świeże błoto na swojej nowej puchowej kołdrze. A to się zdarzyło akurat tego samego dnia, co taki świetny bigos był na obiad, a pan Tomasz wyszedł z przyjaciółmi już o dobrym księżycu i wrócił dopiero na świtaniu. Antosiek chichotał przy tem opowiadaniu, mrużył bezbarwne oczy i ścierał skórę na twarzy w sieć zmarszczek tak misterną, że łyzy

serdecznego śmiechu, nie mogły sobie między nimi utorować drogi. Stary strząsał je wierzchem dłoni i aż przysiadł z nadmiaru uciechy, ale Zanowi nie wydało się to wcale zabawnym. Przypomniały mu się słowo po słowie wszystkie powiedzenia Jeżowskiego, Adama i swoje własne, wszystkie złe przepowiednie, wszystkie ponure horoskopy, na które tacy byli hojni owego wieczora. Jeżeli Oleś to słyszał, jakże łatwo w chłopięcym zapale mógł uroić sobie jakiś ofiarny obowiązek. Poszedł i oddał się w ręce wroga, by osłonić starszych, potrzebniejszych przyjaciół.

Zan przerwał gadatliwemu Antoškowi, odwrócił się i wybiegł na ulicę jak stał bez czapki. Szedł przed siebie, nie widząc świata z poza łez. Dopiero u Jeżowskiego opamiętał się trochę.

Ledwo dobywając słów ze ściśniętego gardła opowiedział wodzowi rzecz całą. Twardy Jeżowski słuchał z odwróconą twarzą: nie lubił pokazywać swoich wzruszeń.

— Trzeba ratować chłopca — burknął przesadnie ostro. — Wariat, bo wariat, ale za takiego wariata oddałbym chętnie stu innych.

— Ja też zaraz lecę do komisji — powiedział Zan, śmiejąc się przez łzy.

— Ty? do komisji? A poco?

— Jakto: poco? Oświadczyć komu należy, jak się rzecz miała w istocie.

— Ani mi się waź! Ty* Prezydent Filadelfistów? Członek rządu Filomantów? Chcesz całe Towarzystwo zgubić?

— Ależ obowiązkiem moim...

— Mnie pozwól rozsądzić, co jest w tej chwili twoim obowiązkiem. Szaleńcze! Olesia nie uratujesz, a siebie i nas zgubisz, zgubisz powtarzam. Nie

znasz Moskali? Olesia nie puszcza, a ciebie wezmą na dodatek. Nie. Inaczej trzeba.

— Więc jak? Mów, jak?

— Poczekaj. Jeszcze nie wiem. Namysleć się musimy. Dziś, ani jutro Olesia na Sybir nie powleką.

Zan zerwał się z krzesła i biegał po ciasnym pokoju, machając rozpaczliwie rękami.

— Wszystko przeze mnie! O, Boże mój, Boże! Ja winien, a ty, bezlitosny Jeżu, nie dajesz mi odkupić winy!

— Jeżeli chcesz prawdy w oczy, to pewnie, że ty jesteś winien. Ale odkupić winę możesz tylko cierpliwością i wytrzymałością. Powiem tobie na pociechę, że to może jeszcze trudniejsze, niż ofiarny wybuch, wymagający jednej chwili wielkiego napięcia. Obiecay że cierpliwość i pozwól mnie działać.

— A ty co zrobisz?

— Przede wszystkim pójdę do rektora.

Zan uspokoił się trochę. Rektor? Tak, zapewne. W ciężkiej chwili dobry i rektor. Tonący słomki się chwyta. Ale i rektor nie wiele waży wobec wielkiego księcia. Podszedł do Jeżowskiego i położył mu rękę na ramieniu.

— Dobrze obiecuję. Ale i ty mnie obiecay. Jeżeli rektor nic nie pomoże... jeżeli inne protekcje też zawiodą... jako sposób ostateczny, najgwałtowniejszy środek weźmiecie moje przyznanie się. Zrobię to najostrożniej, by Towarzystwa nie zahaczyć... ale nie pozwolę, żeby ten dzieciuch cierpiał za mnie. Zrozumiałeś?

Jeżowski gniewnym ruchem usunął mu się z pod ręki.

— Teraz będziemy o tym gadali? Musi się udać. Ach, Adam! Jak to dobrze! W samą porę przycho-

dzisz, Adamie. Zajmij się Tomkiem, wyprowadź go gdzieś na ogrody, niech mu wiatr rozpaloną głowę owieje. Mnie coś mówi, że tym razem jeszcze wszystko dobrze się skończy.

W Botanicznym ogrodzie bzy kwitły. Za Wilejką, na Zarzeczcu, stroiły fletnie słowiki. Wieczór się robił. Wilejka pluskała głośniej, niż za dnia. Mrużąc, przepowiadała sobie dawne dzieje.

Mickiewicz przystanął na brzegu, pochylił się naprzód i nadśluchiwał. Zamorskie drzewa Botanicznego ogrodu, pieczołowicie hodowane ulubieńce profesora Jundziłła, szeleściły między sobą po cudzoziemsku: obco i smutno. Skarżyły się na mgliste niebo północy, na zimne rosy, na wilgotny ciąg od ziemi, co je przejmował do rdzenia. Wieczorna majowa gwiazda migotała obojętnie tuż nad ich zziębniętymi wierzchołkami jak zielona perła.

Adam chwycił Zana za rękę.

— Posłuchaj! Słyszysz, o czym Wilejka gada? O Zygmuncie i Barbarze. Widziała ich tyle razy, jak chodzili tędy, trzymając się za ręce. Nie znam piękniejszej miłości.

Zan westchnął żałośnie.

— Daj spokój. Ja nie chcę słyszeć o miłości. Poplątała mnie życie gorzej jak tobie. Ty przynajmniej możesz czcić Marię, a ja?.. Już biedny Jean Jacques to powiedział, a i sam doświadczyłem, że serce zbyt czułe jest najfatalniejszym darem niebios. Im kto zimniejszy — tym szczęśliwszy i tym bardziej uszczęśliwiać innych zdolny.

— Nie mów tak! Bluźnisz! Ja mojej miłości wieniem, jeżeli jest co w duszy mojej dobrego i pięknego, jeżeli miałem kiedy w życiu chwilę niebieską. Miłość do Marii jest moim aniołem stróżem,

wszędzie obecna. Strzegę się, abym jej nawet myślą nie obraził.

Zan patrzył pośępnie na wodę pędzącą bez upamiętania. Thukła się o kamienie, rozdierała na strzępy błękitną sukienkę i ciskała strzępami na brzeg. Pozostawały na żwirze nadbrzeżnym brudną, zmiętą pianą.

— Ty modlisz się do Marii — ja do Feli nie mogę. Pomyśl, że idzie za Moskala. One to w wielkiej trzymają tajemnicy, nikt w mieście oficjalnie jeszcze nie wie nazwiska pana młodego. Ale ta tajemnica krzyczy głośniej od wszystkich plotek.

— W tajemnicy trzymają? A widzisz. Więc się wstydzą. Znak pewny, że gryzie je sumienie. A gdzie sumienie gryzie, tam nie wszystko stracone. Podobno widział je ktoś znowu w Wilnie. Micewiczową i Felę... Tak. Podobno przyjechały dla wyprawy. Ależ posłuchaj! Tomaszu!

— Co takiego? Zaco krzyczysz?

— Jest! Jest ratunek dla Olesia!

— Gdzie? Jaki?

— Powiadasz, że Feli idzie za Pełskiego? Niechże wstawi się za Olesiem! Niech uprōsi! Nakaże! Pełskij może, jeśli zechce, cofnąć oskarżenie.

Zan osłupiał. Jemu takie wyjście ani by się w śnie przysniło. Na razie nie mógł znaleźć odpowiednich słów i milczał, kāsając wargi. Wreszcie mruknał niechętnie:

— Feli? Cóż stąd, choćby nawet mogła? Któż podejmie się prosić ją o to?

— Ty.

— Nigdy w świecie! Wolę oskarżyć się przed komisją.

— Ale my nie wolimy! Zmiłuj się! Ja nie wątpię, że to przykra będzie dla ciebie rozmowa, ale

taką przykrość możesz znieść dla dobra sprawy. Ani wątpię, że Micewiczówna wymoże to łatwo na Pełskim, a kto wie, czy i wielkiemu księciu nie spodobałby się taki romantyczny gest? Niema co, Tomaszu, musisz udać się do Feli. Łoziński sprowadzi ją do Łuczków. Umówicie się. Tak myślę, że Feli o starych przyjaciółkach z pensjonu jeszcze nie zapomniała.

— Nielitościwie mnie ranisz. Jeżeli to rzecz konieczna — będę mówił z Felą. Głupio to się wszystko poplątało.

Ten i ów słowik próbował już głosu, coraz więcej ich śpiewało w miarę jak wieczór szedł naprzód. Jeszcze chwila i namiętne łkania słowicze targały już nieruchomym powietrzem. Zamorskie drzewa pomilkły i słuchały, Wilejka przestała gniewnie bełkotać.

Adam stanął pośrodku zlanego rosą trawnika, twarzą do wieczornej gwiazdy. Księżyc dźwignął się zza wzgórz; stanął Adamowi za plecami i obrzeżył cień głowy jego na mokrej trawie tęczową aureolką. Księżyc też zapewne podsunął Adamowi właściwe słowa pociechy dla Zana.

— Widzisz, Tomku, gadałeś na miłość, a otóż ona dobrej się sprawie przysłuży... choćby tylko taka, co związała Pełskiego i Felę.

XXXI

Olesia Łuczkę „kwartalny“ Krukowski przywiózł do aresztu na Dominikańskiej ulicy i oddał w ręce „kwartalnego“ Jackowskiego. Ten pomruczał trochę: „czemu sam nie zdajesz więźnia, tylko drugiemu narzucasz?“ Ale dopełnił należnych formal-

ności i polecił chłopca odprowadzić pod konwojem do sąsiedniego klasztoru O. O. Dominikanów, którego jedno skrzydło służyło za więzienie dla przestępców politycznych.

Zalękniony Oleś rozglądał się nieufnie po szerokim korytarzu. Wzdłuż pozamykanych mniszych celek przechadzał się żołnierz z karabinem. Eskortujący Olesia żandarm coś poszeptał z tym żołnierzem, żołnierz poszedł wgląb korytarza i powrócił z podoficerem dźwigającym olbrzymi pęk kluczy. Podoficer otworzył jedną z cel i dosyć grzecznie zaprosił Olesia do wnętrza. Oleś wszedł i wzdrygnął się nieprzyjemnie. Zatechły chłód wiał z ceglanej podłogi: pomimo wczesnej jeszcze pory ciemno było, bo małe okienko umieszczone cudacznie, jakoś z boku, niewiele dawało światła. Pod tym okienkiem — stolik, przed stolikiem, — stołek nieco kulawy, a drugi w kącie przy drzwiach; proste łóżko z desek, nawet bez siennika — to było całe umeblowanie. Oleś rozglądał się dokoła żalósnymi oczami. Dreszcz przejął go na myśl, że tu mogą być szczury. Ale zaraz przywołał sobie na ratunek wszystkie filareckie zasady i prawidła. Czyż pozwoli zachwiać się niewygodom więzienia? Nigdy.

— Głupstwo — powtarzał sobie, spacerując wzdłuż i wszerz po malutkiej izdebce. Głupstwo. Tylko... czy oni światła wcale nie dadzą? i pościeli jakiejś?... I... jeść?

Na szczęście te obawy okazały się płonne. Po godzinie lęku w gęstniejących wciąż ciemnościach wszedł brodaty strażnik z siennikiem i rozłożył go starannie na łóżku. Oglądał się przytym na Olesia, jakby chciał nawiązać rozmowę, ale nic nie powiedział i wyszedł, zamykając starannie drzwi.

Widocznie jednak pozostał gdzieś blisko w ko-

rytarzu, bo słyhać go było, jak sobie nucił jakąś straszliwie roztęsknioną, ponurą pieśń, podobniejszą rzaczej do łkania wichru stepowego i wilczego wycia niż do ludzkiej pieśni. Zdenerwowanego i zmęczonego Olesia śpiew ten doprowadzał do rozpaczcy. Poczł się bezgranicznie samotny i opuszczony przez wszystkich, taki dziwnie oderwany od swojej dotychczasowej rzeczywistości, jakby go od niej dzieliły olbrzymie połacie czasu i przestrzeni.

Próżno tłumaczył sobie, że jest zamknięty w klasztorze Dominikanów, w tym samym Wilnie, gdzie się urodził, wychował, uczył. Że klasztor stoi przy ulicy Dominikańskiej, niedaleko uniwersytetu, że tuż obok, w kolegium Pijarów, mieszka po dawnemu Staś Morawski, a u Dominikanów, na parterze, wielu akademików. Nic nie pomagało. Wewnątrz czuł się bliższy tajg Sybiru, niż rodzinnego miasta. Żegnał się w myślach z matką i siostrą, przepraszał je za wszystkie złe słowa, bolesne lekceważenia, niegrzeczne uśmiechy i krzywdzące drwiny; żegnał się z przyjaciółmi, a szczególnie z Adamem i Tomaszem, do którego czuł w tej chwili dziwną tkliwość, jakby opiekuńczą. Co też oni powiedzą wszyscy, kiedy dojdzie do nich, że on oskarżył się dobrowolnie? Będą go ratować? Tak, niezawodnie. Ale jak się wezmą do tego? Czy im się powiedzie? A jeżeli uratują szczęśliwie, będą zepewne cenić o wiele więcej niż dawniej? będą traktować jak równego sobie, nie jak malca, któremu mleko pokutuje jeszcze pod nosem.

Strażnik długo jeszcze śpiewał w kurytarzu potem łąził czas jakiś, człapiąc ciężkimi buciskami, aż znowu wszedł do celi i zapytał Olesia. czy nie chciałby światła?

Oleś gorąco tęsknił za światłem. Przepyszna,

biała noc majowa nie mogła przeniknąć do mrocznej, sklepionej celki klasztornej. Bez światła było bardzo ciężko na duszy; w kącie, pod łóżkiem chrobotąło coś obrzydliwie. Oleś miał wstręt do szczurów, na samą myśl o nich przenikał go lodowaty dreszcz. Mimo to nie odpowiedział na zapytanie strażnika. Nie chciał moskiewskiej uprzejmości.

Strażnik należał do gatunku dobroduszných Moskali. Milczenie Olesia wziął za wyrażoną zgodę. Przyniósł z korytarza łożówkę zatkniętą w pustej, ciemnozielonej butelce, przyniósł także miskę wodnistej jarzynowej zupy klasztornej i kawał czarnego chleba; służebno-zakonne jedzenie. Oleś zabrał się do zupy z takim apetytem, jakby nigdy nie wybredzał przy matczynych obiadach. Czuł ssącą pustkę w żołądku i był dziwnie zziębnięty. Zupa była rozkosznie ciepła.

Strażnik przyglądał się jedzącemu Olesiovi z wyraźną życzliwością i niekłamany współczuciem. Moskalisko było ogromne, czerwone na gębie i wiechciowato-wąsate. Chrząkał, wzdychał, kręcił głową, mrużył poczciwe, podślepowate oczka, wreszcie nie wytrzymał. Stał przed Olesiem, ręce obie założył na wypuczonym brzuchu i zagadnął:

— Sztoż, barczuk, nieboś bolno nagrieszył? A?

Oleś uśmiechnął się mimowoli.

— Ja nie wiem, czego chcą odemnie — powiedział ostrożnie.

— Nie wiecie? Ech, wy! Wszystkie wy nie wiecie. Nu, pewnie, prawitielstwo łuczsze znajet, szto można, a czewo nielzia. Ależ pan młodzieńki: u mnie w Kałużskiej gubernii, taki sam malczyszka-sy... został się. Ot, mnie was żal.

Oleś nie wiedział zupełnie, co zrobić z tym żandarmskim współczuciem. Cokolwiek przecież wzruszony, bąknął niewyraźnie:

— Cóż poradzić?

— Co? A słuszał'sia — pouczył uroczyście strażnik. — Nu, paka szto — nudno siedzieć? Pierwszy wieczór, wiadomo. Chatitie? Ja wam poplaszu.*)

I zanim Oleś zdążył odpowiedzieć, żandarm puścił się przed nim trepaka.

Bił buciskami o podłogę, że kurz wstawał ciemnymi kłębami, wyginał się, wyłamywał się najdziwaczniej, przechylał się tak, że prawie czołem dotykał ziemi, to znowu podskakiwał w górę wysoko i na podziw lekko. Upoił go taniec i po chwili zapomniał o Olesiu. Tańczył sam sobie. Wirowały po twardej mózgownicy jakieś dawne, zbiorowe wsiowe koro-wody dokoła ognisk, drobno przebierające w tańcu nogi dziewcząt i miarowe przyklaskiwanie starych bab. Tańczył, pokrzykując dziko, a Oleś patrzył na niego ciekawie jak na cudo zamorskie.

Wreszcie strażnik zasapał się, poczerwieniał, jakby mu krew miała trysnąć z głowy i zwałił się, ciężko dysząc, na stołek.

Odsapnął chwilę i. nie pytając już o pozwolenie, zaczął opowiadać bajkę; długą i powikłaną, o garbatym koniku i Janie-Carewiczu. Oleś słuchał jednym uchem, w swoich myślach pograżony. Sōdat też opowiadał raczej dla własnej uciechy... Tak zeszała im krótka noc majowa ku obupólnemu zadowoleniu.

XXXII

Nazajutrz od rana strażnik przyniósł Olesiu tobolek z domu, w którym była pościel i coś nie coś

*) Autentyczne.

matczyną ręką przygotowanych przysmaków. Asystował pilnie przy rozpakowywaniu tobołka i dał niedwuznacznie do zrozumienia, że zawartością należy się z nim podzielić. Oleś podzielił się skwapliwie, raz jeszcze przytem dziękując za wczorajszy taniec. Z powietrza chwycił ową chytrość więzienną, która podpowiadała mu niemylnie, co i jak trzeba robić.

Obiad przyniósł kozaczek Wysogierdowej. W bochenku była kartka: „Spokoju. Czuwamy“. Oleś przeczytał ją i połknął razem z kęsem tego błogosławionego chleba. Samotność nie ciążyła już tak dotkliwie, poczuł się jakby wrócony z pół drogi na Sybir. Wzmocniony na duchu szedł na komisję.

Zasiadali w niej: prokurator Botwinko, sowietnik Ławrynowicz i policmajster Szłykow. Komisję tę powołano na życzenie wielkiego księcia Mikołaja Pawłowicza specjalnie dla spraw wynikłych z zatargów pomiędzy gwardią cesarską, a młodzieżą uniwersytecką. Sprawa Pełskiego była w tym szeregu drobniejszych zajść najciekawszym rodzyńkiem, dlatego policmajster, chociaż zwykł spychać ten obowiązek na swojego zastępcę, tym razem sam zasiadał za czerwono przykrytym stołem, na którym stał uroczyste symbol państwa Rosyjskiego, zwany urzędowo „zierałem“.

Siedzący po prawej ręce policmajstra prokurator Botwinko wpatrywał się pilnie w Olesia z nieprzyjemnym uśmiechem na wąskich wargach. Sowietnik Ławrynowicz, czerwony i spotniały, bębnił palcami po stole i patrzył uporczywie w okno. Policmajster Szłykow był znudzony i zniecierpliwiony. Wieczyste zatargi gwardii jej arogancja i wymagania stanęły mu już kością w gardle. W głębi duszy nie miał za złe Olesiomu owego palnięcia w pysk. Ale

wielki księżę Mikołaj Pawłowicz i nad rosyjskimi władzami ciążył jak ołowiana chmura. Zdenerwowany długim na prowincji pobytom, drżący na myśl, że cokolwiek może ten pobyt przedłużyć, pienił się teraz ze złości. Drobnym stosunkowo fakt spoliczkowania swojego oficera traktować chciał nieomal jak zbrodnię stanu; odgrażał się że urzędników w „barami róg zegnije“, jeżeli winny w przeciągu najdalej miesiąca nie znajdzie się u stóp Kaukazu. Dlatego policmajster Szłykow dowiedział się z niemałą ulgą, że winowajca został nareszcie ujęty. Teraz miał go przed sobą i krzywił się niechętnie. Ten dzieciak doprawdy kompromitował śledztwo, szczególnie w zestawieniu z rosnącym, barczystym Pełskim. Jakże wyglądała w tych warunkach scena spoliczkowania? Komiczne. Ale indagacja musiała iść swoim trybem. Szłykow znudzonym głosem rozpoczął, mówiąc po polsku:

— Pan taki młody. Skąd w panu tyle złości? Co panu zrobił rotmistrz Pełskij, że pan odważył się rzucić na niego i znieważać oficera gwardii cesarskiej?

— Potrącił brutalnie na ulicy, a potem jeszcze powiedział: „durak“.

— Ależ... to bardzo przykre, lecz pana nie usprawiedliwia. Rotmistrz Pełskij jest zasłużonym oficerem gwardii, a pan młodziutkim studentem. Jakże można znieważać oficera w mundurze? To nie do wiary, pan musiał żywić do rotmistrza jakąś dawniejszą urazę.

— Nigdy przedtem rotmistrza Pełskiego nie widziałem — powiedział Oleś głosem możliwie najbardziej zdeterminowanym.

— A to może nie pan? może kto z pańskich przyjaciół? — wstawił znieścacka Botwinko, uśmie-

chając się zachęcająco do Olesia. — Może kto z bliskich panu został od rotmistrza Pełskiego pokrzywdzonym? może pan chciał ująć się za kolegą? I to nie? Więc sam widok cesarsko-gwardyjskiego munduru wzbudził w panu złość tak straszliwą? Czy w takim duchu wychowuje swoich uczniów uniwersytet wileński?

Szłykow jeszcze raz skrzywił się niechętnie.

— Pan prokurator zechce mnie pozwolić. Panie Łuczko, niech się pan zastanowi nad swoimi odpowiedziami, bowiem każda z nich ma dla pana przyszłości całej największą wagę. Pan musiał, do diabła, widzieć, kogo pan bije? Czy pan wie, że gwardia przyboczna — to ulubione wojsko Jego Cesarskiej Mości? że pan tym sposobem obraził samego Najjaśniejszego Pana? A czy przynajmniej czuje pan skruchę? — wpatrzył się w Olesia, jakby chciał mu podszeptać odpowiedź. Botwinko przechylił się do policmajstra i szepnął mu parę słów do ucha. Szłykow skinął przywalająco i Botwinko przejął indagację.

— Więc pan twierdzi, że tylko owo potrącenie? A czy przypadkiem między akademikami, w jakichś tam, im tylko wiadomych, tajemniczych związkach, nie zapadła uchwała umyślnego znieważania oficerów końcem ich skompromitowania? Czy nie dostał pan takowego polecenia? i czy to nie naumyślnie pan i jego towarzysze zagroździście rotmistrzowi drogę, zmuszając go niejako po potrącenia któregośkolwiek z was? No? Czy nie tak było? Proszę się przyznać.

Oleś wystraszony niespodziewanym obrotem sprawy zamilkł i usiłował rozpaczliwie zebrać do kupy rozlatujące się myśli, by nie potknąć się w

odpowiedzi. Zdziwiony wyraźnie Szłykow spojrział zezem na Botwinkę, ale podjął jego pytanie:

— Słyszał pan? Dlaczego pan milczy? Więc jakże tam z tymi związkami? Był pan przez kogoś namówiony? Był pan na rotmistrza nasłany? Przez kogo? Proszę wymienić współników.

— Ja nie mam żadnych współników.

— Nie masz pan? A jeżeli my i tak wiemy? Wszystko wiemy? Ha? co? Pan swojego uporu pożałujesz, panie Łuczko.

Oleś poczuł nagle, że siły go opuszczają. Bezradnie, rozpaczliwie zatęsknił za matką. Ścisnął zęby, by nie zawołać na głos: „mamo“! Nogi pod nim dygotały. Botwinko wstał z za stołu, podszedł i położył mu rękę na ramieniu.

— Posłuchaj pan. Ja przecież nie jestem panu wrogiem. Ja panu dobra życzę. Przecież my wiemy, co i pan sowietnik potwierdzi, że zbieraliście się na jakieś niedozwolone schadzki pod pozorem majówek. Niech pan nie będzie uparty, bo pan policmajster wyczerpie swoją cierpliwość, inaczej z panem porozmawia. No, chodził pan na te promieniste niby majówki?

— Raz byłem. W zeszłym roku. Potem pan rektor zakazał.

— I przestaliście się zbierać?

— Przestaliśmy.

— Doprawdy? A w zeszłym roku o czemeście na majówkach gadali?

— Śpiewaliśmy, piliśmy mleko, bawili się...

— I nigdy tam nie było żadnej rozmowy... powiedzmy... o... fałszywie pojętych losach tego kraju? o jego jakoby ciężkiej niedoli pod błogosławnymi rządami najmiłościwej nam panującego ce-

sarza Aleksandra? Czy takie świętokradzkie skargi nie były tam wypowiedane?

Oleś wzruszył ramionami.

— Nigdy, a nigdy.

Teraz nie wytrzymał sowietnik Ławrynowicz.

— Panie Botwinko, co też pan doprawdy! Ja tego chłopca znam. Raptus on jest i postrzelona głowa, ależ nie żaden buntowuszczyk. To syn mojego zmarłego przyjaciela — zwrócił się specjalnie do Szłykowa. — Matka rozpeściła jedynaka, nikt jego w życiu nigdy palcem nie ruszył, a tu raptem potrącili, obłajali... No, zezuł się, machnął łapą przed siebie... Ja ręczę, że nie widział wcale, kogo bije. Prawda, że nie widziałeś? — zwrócił się z koei do Olesia nakazującym tonem. — Gadaj mnie zaraz.

Oleś zrozumiał odrazu, że Ławrynowicz chce go ratować, ale tym większy porwał go gniew i bunt. Ławrynowicza trzymał za moskiewskiego zaprzedacza, a od takiego nie chciał żadnej łaski. Powiedział na złość:

— Owszem. Widziałem.

— Proszę to zaprotokółować — zaskrzeczał Botwinko w stronę jakiegoś białorzęsego urzędniczka pilnie skrobiącego piórem po arkuszu papieru. Ławrynowicz wściekłym ruchem odrzucił swój ciężki korpus na poręcz krzesła. Niewdzięczny, gupi błazen. Niechże się topi, skoro sam chce.

Policmajster Szłykow wziął ze stołu czysty arkusz i podał go Olesiowi.

— Proszę odpowiedzieć pisemnie na wyrażone tutaj pytania. Proszę się tam, przy tamtym stole. Fiodor Iwanycz, pióro dla tego kawalera.

Białorzęsy jakimś małpim ruchem przyskoczył do Olesia z piórem w rękę. Pytania starannie wy-

kaligrafowane dotyczyły wszystkich punktów poruszonych już w ustnej indagacji. Na pytanie: „czy widział, z kim ma do czynienia?“ odpowiedział jednym słowem: „widziałem“, przydając ostatniej literze kunsztowny zakrętas.

Policmajster Szłykow wziął z rąk Olesia ów papier, rzucił nań okiem. mruknął: „n-da's“ i przesunął go Botwince. Olesiowi wydało się, że słyszał, jak Szłykow powiedział po rosyjsku do Botwinki:

— A pa mojemu tut niczewo nietu. Brostie wy eto.

Botwinko coś tam odpowiedział, czego już Oleś zupełnie zrozumieć nie mógł. Potem konwojenci odprowadzili go do celi.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć; kręcił się po twardym sienniku i przypominał z bolesnym wysiłkiem zmęczonego mózgu, czy aby nie powiedział czego niepotrzebnego? czegoś, co udaremni jego ofiarę, sprowadzając na ukochanych przyjaciół nowe jakieś niebezpieczeństwo?

XXXIII

Teodor Łoziński został tedy najniespodziewanyszym sposobem oficjalnym narzeczonym ukochanej Anieli. Ta gorąco upragniona godność, obok uniesień szczęścia, przyniosła mu i sporo kłopotów. Wraz z tym narzeczeństwem objął siłą rzeczy opiekę męską w domu Łuczków i to w momencie tak trudnym. Należyte wywiązanie się z tej opieki gruntowało jego narzeczeństwo, stanowiło o jego przyszłości. Kobiety były gotowe uznać jego władzę: zaglądały mu przymilnie w oczy, wyrzekały się odrazu najzapaleńszych twierdzeń, jak tylko on skrzy-

wił się choć trochę. Wzamian za to należała im się pomoc, a przynajmniej uspokojenie najgorszej trwogi. Tymczasem możliwości Teodora kończyły się za furtką Łuczowskiego sadku. Już Jeżowski mógł więcej. Od paru dni usiłował dostać się do rektora, u którego za wykłady hodegetyki miał wielkie uważanie, ale jak dotąd usiłował bezskutecznie. Zan zgnębiony do niepoznania, starał się ze swej strony zasięgnąć wiadomości o Feli, ale również jakoś bezskutecznie. Te panie obracały się w jakichś innych, nieosiągalnych sferach.

Nareszcie, po kilku dniach oczekiwania, rektor przyjął Jeżowskiego w swoim prywatnym gabinecie. Gabinet urządzony był po spartańsku. Rektor siedział za prostym biurkiem sosnowym, na wypłóviałym fotelu. Jedyłą ozdobą tego gabinetu były angielskie sztychy, które pan Szymon wielce z nich dumny, rad pokazywał każdemu. Teraz także zaczął od sztychów i przez dobre dwadzieścia minut wytrzymał Jeżowskiego, promenując się z nim dookoła ścian i wskazując na coraz nowe piękności, które Jeżowski ze zdenerwowania widział jak przez mgłę. Wreszcie powrócił na swój wypłóviały fotel i spytał o powód tyle miłej wizyty szanownego docenta.

Ale dłuższej przemowy Jeżowskiego wysłuchał z pilną uwagą, chwilę jeszcze rozważał w milczeniu, aż wreszcie powiedział:

— Czegóż wy ode mnie chcecie? Ja mogę pójść do wielkiego księcia. Ja mogę narazić się na to, że mnie, starego człowieka, despekt spotka od młokosa, od dwudziestoczteroletniego błazna, który przypadkowo urodził się na stopniach tronu. Ale co to pomoże?

Jeżowski zdziwił się wielkiej goryczy malują-

cej się przy tych słowach na twarzy rektora Ma-
lewskiego.

— Któż lepiej od jaśnie wielmożnego pana rek-
tora, naturalnego opiekuna młodzieży, wielkiemu
księciu rzecz całą przedłoży? Łuczko — dzieciak
i nigdy w to nie uwierzę, żeby on właśnie... Nie,
to niemożliwa. To jakaś złośliwa intryga, albo
straszna pomyłka.

— Przyznał się podobno.

— To właśnie najwięcej mnie przeraża. Środki,
którymi u nas niekiedy wymuszają przyznanie...

Rektor poruszył się niecierpliwie w swoim roz-
łożystym fotelu.

— Nie opowiadaj asan babskich plotek! Polic-
majster Szlykow, choć Rosjanin, człek ludzki. Ni-
gdy nie przypuszczam... Nie... Ja inną rzecz tu wi-
dę. Rozegzaltowane uczucie na wiele ważyć się
może. Podniecacie młodzież, a potem dziwicie się
skutkom.

— Ale kto: my, panie rektorze?

— A, rozumiemy się chyba. Nie chciej, panie
Jeżowski, pojąć mnie fałszywie. Ja nie odmawiam
pomocy, tylko... moje słowo niewiele dzisiaj znaczy,
a u wielkiego księcia podobno raczej zaszkodzi. Nie
mówię — rok temu... Ale dziś...

— Obawialiśmy się tego, panie rektorze.

— Obawialiście się? — Rektor spojrział na Je-
żowskiego nieledwie rozbawiony. — Ogromnie wam
jestem za to obowiązany. A przecież, mówię w zau-
faniu, komuż, jak nie wam zawdzięczam utratę
łask możnych tego świata? Nie rób asan tyle żałos-
nej miny. Ja wam nie wymawiam. Chcę was tylko
przekonać, że jestem bezsilny.

— Pan rektor dobrodziej zechce mnie uwie-
rzyć, że jestem w rozpacz...

— Owszem. Wierzę chętnie. Ze mną było wam dosyć spokojnie. A ile razy prosiłem przez syna, by związków zaniechać? Niepotrzebne zgłoś, obce przeznaczeniu nauki zainteresowania, przedwczesne, nieopatrzone... szkodliwe, — recytował urzędowym tonem, by zaraz przejść do przyjacielskiej poufałości. — A „Instrukcją“ Franuś komponował? Od razu poznałem jego styl! Kosztowało mnie trudu niemało przekonać Bojanusa, że to rzecz błaha... i wątpię bardzo, czy przekonałem istotnie. Et, jesteście nieostrożni!

— Jaśnie wielmożny pan rektor powiedziec sobie pozwoli, że my usiłujemy być ostrożni... może nawet... pod niektórymi względami.. zabardzo... Ale wszystkich niebezpieczeństw przewidzieć niepodobna.

— Zupełnie słusznie. Tylko, widzisz panie Jeżowski, wy — to tam wasza sprawa, wy znacie swoją drogę i rozumiecie piętrzące się na niej przeciwności. Ależ malcy! malcy! Ja nie chcę pana pytać, czy Filareci nadal egzystują. Ja pozostawiam pana sumieniu pytanie, czy wolno pośród dzisiejszych okoliczności...

Jeżowski z trudem powstrzymał gniewne zachwycenie się.

— Ci malcy — to przyszłość ojczyzny! Od ich wychowania zależy jaśniejsze jutro i starych i młodych. Nam nie wolno wypuszczać ich z pod opieki na tej drodze pielgrzymiej, którą dążymy przed siebie... Nawet gdyby były pewne ofiary... nieuniknione..

Rektor zerknął z ukosa na Jeżowskiego zainteresowany jego surowym, jakby namaszczonego tonem. Zobaczył rozpłomioną twarz i pałające oczy. W blasku tych oczu kanciaste rysy Jeżowskie-

go przeobraziły się, zdawał się niemal pięknym. Ale jednocześnie jego przeraźliwa chudość dawała mu pozór ascetycznego mnicha pochłoniętego raz na zawsze przez swoje myśli, przepalonego do głębi żarem tłumionego na codzien uczucia. W rektorze obudził się przekorny sceptyk ośmnastowieczny i we współczujące pytanie włożył okruszynę drwiny.

— Wolnoż zapytać, jaki cel pielgrzymki?

— Jerozolima Wyzwolona.

Rektor spoważniał, spuścił oczy i mruknął niewyraźnie, jakby się usprawiedliwiał:

— Myśmy także tej drogi próbowali.

— I nasi synowie próbować będą, jeżeli my nie dojdziemy — odpowiedział Jeżowski.

Rektor wstał z fotela i przeszedł się kilka razy po swoim gabinecie. Potem zatrzymał się przed Jeżowskim.

— Siedź, siedź, mości docencie, nie zrywaj się! Szlachetne intencje nad wyraz cenię i napewno nie ja was potępię. Tylko... Szkoda was... Sybir szereki... dużo jeszcze ofiar pomieści, chociaż tyle już pochłonał. Strach pomyśleć! Przed wami samymi chciałbym was strzedz, a nie wiem, jak to zrobić.

— Pobłogosławić nam po ojcowsku, panie rektorze — szepnął wzruszony Jeżowski.

— Tak... Pobłogosławić... na zgubę.

— Nie my pierwsi i nie my ostatni. Ja w imieniu przyjaciół i swoim dziękuję panu rektorowi z całego serca, z całej duszy za jego ku nam troskliwość, ale nam z drogi zawracać nie pora.

— Tak, tak... Ale już skoro tak... czy nie nadto pochopnie odrzucacie „mędrca szkiełko i oko“? Przydałoby się chociaż dla dokładnego ocenienia wielkości „północnego niedźwiedzia“.

Jeżowski nagłym ruchem odrzucił w tył głó-

wę. Płowa czupryna wionęła mu jak grzywa nad czołem, blade oczy pomodrzały.

— Bo my chcemy być „rozumni szalem“! Chcemy „wspólnemi łańcuchy opasać ziemi kolistko“! My wierzymy, że „złamiemy, czego rozum nie złamie“. „Ruszymy z posad bryłę świata, nowemi ją pchniemy tory“! „Przywitamy jutrzeńkę swobody, za którą zbawienia słońce“-

— A tóż co? Także cytaty z pana Mickiewicza? Dobrze, panie Jeżowski, zrobię wszystko, co będę mógł. Ach, szaleństwo to wszystko, szaleństwo!...

Machnął gniewnie ręką i chwilę coś burczał do siebie. Obszedł biurko dokoła, powrócił na swój fotel i splótł na blacie obie ręce. Już znowu był czującym swoją godność rektorem.

— Hm. Tak, panie docencie. Gotów jestem pójść do wielkiego księcia w sprawie Łuczki, jeżeli będzie tego po mnie stanowczo żądali. Ale ponieważ przeświadczony jestem o bezużyteczności takowego demarszu, a nawet boję się jego szkodliwości, tedy najsampierw życzę wypróbować innych dróg. Nie macieź nikogo, ktoby Pełskiemu wytłumaczył konfidencjonalnie, żeby dał spokój Łuczce? żeby mu poprostu, ze względu na jego młodość wybaczył?

Jeżowski zastanowił się chwilę.

— Myśl jest przednia, panie rektorze, ale nie, niestety nikogo takiego nie mamy.

— Może... przez kobiety?

— Nie znoszę takowych sposobów.

— Trudno. Czasem trzeba nagiąć swoje surowe przekonania. Nie mamy wielu dróg do wyboru. Może Sulistrowska?

— Nikt z nas jej nie zna, ani ona się nie przyczyni... Zaślepiona w pięknym Moskału przysięga zemstę podobno temu, kto jej kochanka pokrzyw-

dził i o niełaskę wielkiego księcia przyprawił. Ale... jest podobno w Wilnie narzeczona Pełskiego... Polka... Micewiczówna.

— Micewiczówna? Nie znam. Ale czegoż tedy chcecie? to wymarzona okazja. Zna ją który z was?

— Owszem. Znamy.

— Tedy proścież na miłość Boską tę narzeczoną, niech się za Łuczką wstawi. Dla niej cóż prostszego? a chłopca uratować może. Wszystko trzeba zrobić, by zyskać na Pełskim cofnięcie oskarżenia. Bo wielki książę, choć tak dziś zawzięty, jutro czym innym zająć się może. Któż odgadnie satrapę? tyle o nim wiemy, co o wietrze nad stepami wiejącym... I pomyśleć, że my ulegamy...

Twarz mu przybrała wyraz boleśnie wzgardliwy, potem przetarł ręką czoło.

— Tak, tak. Więc tedy idź asan, rozważcie między sobą tę sprawę i dajcie corychlej znać, jakieście postanowili. Idź już teraz.

Uściskał mocno rękę Jeżowskiemu i uważnie śledził zza biurka jego zdecydowany, mocny krok ku drzwiom. W ostatniej chwili, od progu, odwołał go jeszcze.

— Wróc no, asan. Posłuchaj. Ja nie będę brał od was uroczystych obietnic, że schadzek waszych nadal zaniechacie. Ale jedno mi przyrzec musicie: nie będziecie już więcej pisać, ani drukować. A co macie napisane, to spalcie. Tu, do mnie przynieście i spalcie w mojej obecności. Nie będę waszych papierów wertował. I... nie wplątujcie Mickiewicza w te sprawy. Nie sprzyjałem ja dotąd jego poezjom, ale dzisiejsze cytaty wzięły mię jakoś za serce. Widzisz, za nim proszę, nie za synem. No, niech was Bóg ma w swojej opiece.

Stary rektor odwrócił pośpiesznie twarz i roz-

kazującym ruchem ręki pożegnał Jeżowskiego. Prezydent Filomatów chciał powiedzieć coś jeszcze, ale się nie ośmielił. Skłonił się tylko głęboko i wyszedł na ulicę.

XXXIV

Pani Micewiczowa w połowie maja przywiozła Felę do Wilna. Na święty Jerzy, jako w dzień imienin ojca Feli, odbyły się u Micewiczów uroczyste zaręczyny, ale że to było daleko, w Grodzieńszczyźnie, żadne echo tej uroczystości nie doleciało do Wilna.

Cała uwaga pani Micewiczowej skierowana była na wyprawę córki. Przyszła marszałkowa Wilamowiczowa powinna być przyzwoite swej godności stroje. Kłopotu z wydatkami nie było żadnego, w myśl intercyzy za wszystko płacił narzeczony.

Więc pani Micewiczowa z zapalem obmyślała, wybierała, dobierała, przymierzała. Fela blada i zamysłona towarzyszyła jej biernie. Feli nic właściwie nie interesowało, z wyjątkiem pytania, czy Zan wie, że ona zamąż wychodzi? i czy wie za kogo?

Dawnych znajomych nie miała ochoty spotykać, a nie miała też właściwie i sposobności. Micewiczowa wpychała się gwałtem do znacznych powinowatych, którzy z trudem ją sobie przypominali, a na nieśmiałą propozycję Feli, by zająć do Deybellów, odpowiedziała gniewnym fuknięciem.

— Mało tobie jeszcze tego pensjonu? A, nie, moja duszo. Nie mówię — twoje koleżanki, to panny z najpierwszych domów, ale ja z Albineczką konferować nie myślę. Będzie chwila czasu — to

zajdziesz przed wyjazdem sama, a nie — to i tyle tego.

Tak upadł projekt spotkania się z Anielą, która uczęszczała jeszcze na pensję Deybellów jako przychodnia. Micewiczowa nie chciała budzić w Feli niepotrzebnych wspomnień, związanych zapewne najściślej z pensją. Micewiczowa za dobrze pamiętała tkliwą rozmowę z córką i poufne zwierzenia. O wizycie u Łuczków i mówić sobie nie dała, licząc na przysłowie, że co z oczu, to z myśli.

Ale los chciał inaczej. Los zrządził, że obie damy, wychodząc od krawcowej, spotkały się oko w oko z Łuczkową i Anielą i zanim Micewiczowa obejrzeć się zdołała, już panny padły sobie w objęcia.

Micewiczowa na razie chciała jaknajbardziej skrócić niepożądaną rozmowę, ale obie spotkane kobiety zarzuciły Felę takim gradem komplementów, że macierzyńskie serce Micewiczowej rozpułnęło się jak masło majowe. A już wpadła w zachwyty, gdy po paru chwilach pośpiesznego plotkowania, Łuczkowa zaczęła błagać Felę o protekcję jej narzeczonego dla syna. Micewiczowa była zawsze wysokiego mniemania o znaczeniu społecznym swego przyszłego zięcia, ale żeby wpływy jego sięgały aż do Wilna, żeby i tu o jego łaskę zabiegano — nie spodziewała się wcale. Rozczulona nie sprzeciwiła się gorącym prośbom Łuczkowej, by Fela mogła u nich spędzić popołudnie. Przekazała swoją macierzyńską opiekę w ręce nowej znajomej i potoczyła się majestatycznie wzdłuż Trockiej ulicy. Miała tam oddać wizytę swojej osobliwszej dobrodziejce z lat dawnych, pani Tyszkiewiczowej.

Oszołomiona Fela szła na Ostry Koniec. gubiąc się w myślach. Więc to Oleś uderzył wówczas Pełskiego? Nie Tomasz? A przecież mówiono powszech-

nie zaraz po wypadku... I zacóż Oleś? I co tu pomóc może jej narzeczony, tak bardzo od spraw wileńskich daleki?

Łuczkowa i Aniela uwijały się przez całą drogę dokoła Feli z przesadną grzecznością, przechodzącą chwilami aż w nieprzyjemną pokorę. Opowiadały ciągle: o Ławrynowiczu, że ich opuścił, pogniewawszy się srodze; o Teodorze, że Anielka z nim zaręczona i że wobec tego sama nie wie, czy dobędzie na pensji do końca roku, pocóż bowiem chodzić na naukę, skoro małżeństwo już pewne? Raczej pojechać do Grodna, do ciotki, zawołanej gospodyni i przyuczać się pod jej kierunkiem do przyszłych obowiązków pani domu. Wreszcie o Olesiu, że takie z nim gorzkie zmartwienie i że niewiadomo, jak się to wszystko obróci, bo i rektor nic tu pomóc nie może. Chyba, że ona, Fela, zlituje się nad nimi w imię dawnej przyjaźni i narzeczonego uprosi... I tak dalej, i tak znowu wkrólko. aż się w głowie kręciło. Dopiero po dłuższej chwili gorączkowych opowiadań zauważyła Fela, że ani Łuczkowa, ani Anielka o nic nie pytają. Z ich słów należało wnioskować, że kim był narzeczony — wiedzą; natomiast nie interesowało je wcale, jak Fela się czuje, czy lęka się tego małżeństwa? czy bardzo żałuje panińskiego stanu? pensji i koleżanek? i całego dawnego życia? Spróbowała coś sama na ten temat, ale Aniela stężała dziwnie, jakby mróz na nią wionął i odwróciła rozmowę. Urażona Fela zamlikła. Pewnie, że to niepromieniście wychodzić za bogatego starca, ale gdy rodzice każą? gdy w tym zamążpójściu jedyny rodziców ratunek? A zresztą... co Anieli do tego?

Nadęła się trochę, co zaraz wywołało gwałtowny atak spłoszonej czułości tamtych pań. Doprawdy, trudno dziś było dojść z nimi do ładu.

Wreszcie znaleźli się w dworku na Ostrym Końcu, w tyle znajomym saloniku. Łuczkowa znikła w stronie kuchni, wołając coś o gorącej kawie i świeżych rogalikach. Anielka wpadła do jadalni, gdzie zza przymkniętych drzwi błysnęło coś, jakby szeroka, czerwona twarz Łozińskiego. Zaszepciano gorączkowo w jadalni, ale Fela nie wyłuskała z tego szeptu ani jednego słowa. Potem Łoziński, zamiast przyjść się przywitać, mignął przez sionkę i kłusa przebiegł podwórko, kołyszając się zabawnie z boku na bok. Anielka wróciła do saloniku, ujęła stojącą wciąż pośrodku Felę za obie ręce i posadziła na kanapie pod lustrem, jak bardzo ważnego gościa. Zaczęła ją bawić w zabawnie ceremonialny sposób, popatrując przytem co chwila i niespokojnie w okno. Po krótkiej rozmowie, która obracała się głównie dokoła maleńkich pensjonarskich ploteczek, weszła Łuczkowa z nieśmiertelną kawą i sakramentalnymi domowymi rogalikami. Fela jadła z trudem, dziękowała ze ściśniętym gardłem, broniła się przeciw zbyt natarczywym częstowaniom i usiłowała nie widzieć dziwnych porozumiewawczych spojrzeń między matką a córką. Atmosfera w saloniku była jakaś gęsta i Fela przemyśliwała nad tem, jakby grzecznie skrócić wizytę. Doczekała aż Łuczkowa zbierze serwis kawiany i wyjdzie z nim z powrotem do kuchni i zaczęła rozglądać się za swoim ridicule'em i mitynkami. Wtedy Anielka, spojrzawszy raz jeszcze w okno, zrobiła zdeterminowaną minę i przystąpiła do rzeczy.

— Żebyś ty, Felutko, chciała nam dopomóc, potrafiłabyś niezawodnie.

— Anielko, duszko, wytłumaczcie mnie raz, czego wy się po mnie spodziewacie?

Anielka skrzywiła się niecierpliwie.

— Nie udawaj. Ty dobrze wiesz.

Fela zaczęła sobie gwałtownie przypominać wszystkie powinowactwa, kuzynostwa i znajomości narzeczonego, o których dowiedziała się teraz z okazji mariażu. Nie. Nikt się nie nadawał. Już raczej jej własna daleka ciotka, Sulistrowska, ale do tej bliżej przez Wysogierdową.

— Z duszy, serca bym rada, ale naprawdę ja nic nie mogę.

— Już ty mnie nie gadaj, bo się zezłuję. Nie możesz narzeczonego prosić?

— Nie rozumiem, co wy myślicie o moim narzeczonym? On tutaj zupełnie nic...

— Ale co ty mnie gadasz. Naprawdę złość bierze. Złą jesteś przyjaciółką, Felu, ot co.

Rozgoryczona Fela wstała porywczo z kanapy.

— Widocznie ty mojego narzeczonego znasz lepiej ode mnie, choć prawdziwie nie wiem skąd. Ale ja nie chcę, żebyś mnie trzymała za złą przyjaciółkę. Ja poproszę narzeczonego, chociaż pojąć nie mogę, co on...

— To dobrze — przerwała Anielka, nie słuchając jej ostatnich słów. Patrzyła pilnie w okno, nasłuchiwała jakichś szmerów i także zerwała się z miejsca. — Ktoś idzie do nas, poczekaj, zdaje mi się, że to...

Wybiegła prędko i zatrzymała nadchodzącego w sieni. Fela znowu została sama, tym razem na dobre już zirytowana. Kiedyż się skończą te cudackie tajemnice?

Wróciła na swoje poprzednie miejsce i rozglądała się po saloniku. Dziwna. Ani jeden mebel nie został przesunięty, a znikła, rozwiała się bez śladu ciepła, serdeczna atmosfera tego miejsca. Meble zachowywały się sztywno i wrogo, szpinet szczyrzył

klawisze jak zły pies, nawet dywan na podłodze wyslizgiwał się zdradziecko z pod nóg. Fela oparła głowę o poręcz kanapy i przymknęła oczy. Znużona była oddawna ciągłymi gnębiącymi myślami, a teraz do wszystkich tamtych przybyła jeszcze nowa: jak zacząć mówić z marszałkiem Willamowiczem? Jak on przyjmie dziwaczną prośbę Anieli? Jak mu to wytłumaczyć? Dotychczas Fela odzywała się do narzeczonego tylko wyraźnie zagadnięta, onieśmiał ją ten obcy starszy pan, z którym absolutnie nie wiedziała, o czym by rozmawiać? Ale trudno. Obiecała i trzeba dotrzymać słowa. Nie może uchodzić za złą przyjaciółkę... Niewiele jej zostało radości na świecie, niechże choć ta przyjaźń Anielczyna zostanie.

Ktoś wszedł do saloniku i stanął o parę kroków, za stołem. Ktoś stał w milczeniu i patrzył na nią uważnie. Fela otworzyła oczy: to był Tomasz Zan.

Fela bardzo zmieszana podniosła się z kanapy, a Tomasz skłonił się nisko i ceremonialnie, jak wtedy na maskaradzie. Twarz miał z góry zamkniętą na wszelkie czułości, zamarznątą. Zdawał się tak obcym, że Fela nie mogła opędzić się wrażeniu, jakoby miała przed sobą całkowicie nieznanego pana. Jakże to już dawno temu zwiędły zeszłoroczne narcyzy.

— Moje najniższe służby pannie pułkownikównie dobrodziejce — powiedział z przesadną uniżonością Zan. — Czy mógłbym polecić się jej łasce i uzyskać względy dla prośby, którą właśnie przedłożę?

Tak mówiąc, był wściekły na siebie. Cóż pomoże gorzki sarkazm? Przecież tu naprawdę trzeba prosić. Obiecywał sobie, idąc tu na pośpieszne we-

zwanie Łozińskiego, że zachowa męski spokój. Ale jak tylko zobaczył przed sobą tę dziewczynę, poniósł go ból i żal. Nie wolno tak. Trzeba się opanować.

Fela miała żalowaną minę, która wzruszyłaby kamień, ale nie wzruszyła obrażonego kochanka. Fela patrzyła trwożliwie w zaciętą i gniewną twarz Tomasza, poruszając bezdźwięcznie skrzywionymi boleśnie ustami. Wyjąkała z trudem:

— Kiedyż nie wiem, co jabym mogła... w czym jabym mogła...

— Pani masz z pewnością wielką władzę nad umysłem narzeczonego swego.

— Ja nie wiem — wyjąkała Fela spuszczać oczy.

Zan spojrział na nią z pasją.

— Ależ tak jest, niewątpliwie. Na prośbę twoją pani, zdecydowałyby się, tak myślę, wybaczyć chłopcu młodemu i przez swoją młodość — gwałtownemu. Porywczosć jego dałaby się wytłumaczyć wielką szlachetnością charakteru. Większą, och, wiele większą, niż pani sobie wyobraża. Niech pani narzeczonemu łaskawie przedłożyć raczy, że wojna z dzieciuchem, ze studentem pierwszorocznikiem zaszczytu jemu nie przyniesie. Że lepiej tedy...

Fela zdobyła się na rozpaczliwą odwagę.

— Ale, panie Tomaszu, ja nic nie rozumiem. Z kim wojuje w Wilnie marszałek Willamowicz?

— Kto taki?

— Mój narzeczony z woli rodziców, pan marszałek grodzieński, Willamowicz.

— Więc ty nie jesteś zaręczoną Pełskiemu?

— Ja? Pełskiemu? Pan tak myślał? Wyście wszyscy tak myśleli? Tomaszu!

Porwali się oboje i stali teraz naprzeciw sie-

bie, szczęśliwi i zrozpaczeni, zdruzgotani i uradowani.

Zan pierwszy oprzytomniał i przypadł do rąk Feli.

— Więc nie? Więc nieprawda? Więc dlaczego po mieście mówili? Skąd się wzięła ta obmierzła plotka? Dlaczego myśmy się nie porozumieli?

— Bo pan Tomasz był taki zagniewany... za tańce na maskaradzie... i nie chciał ze mną rozmawiać. Ja pisałam list. Pan Tomasz nie przyjął.

— Feli! Przebaczone! Sądziłem cię zaręczoną Moskalowi. Sądziłem, że chcesz mnie pobudki swojego czynu wytłumaczyć. Nie chciałem żadnych tłumaczeń. Widziałem was oboje na maskaradzie. Wyglądaliście jak narzeczeni, a mnie powiedziano już przedtem...

— Że co?

— Że Pełskij o ciebie się stara, że Sulistrowska patronuje, a ty sprzyjasz. O, Feli, Feli!

— A nie można było mnie zapytać?

— Chciałem! Bóg mnie świadkiem jak bardzo chciałem! Tam, na maskaradzie. Szedłem do ciebie i zobaczyłem was w mazurze. O, Feli! ty nie wiesz, co mówiły temu Moskalowi twoje oczy... jak uśmiechały się do niego twoje usta.

Fela opuściła głowę. Tak, poplątało się wszystko, los przysiągł się przeciw nim. A może Pan Bóg tak pokierował, żeby jej zamężciem uratować rodziców od ruiny? Ta myśl dodała jej otuchy. Spojrzała surowo na Tomasza.

— Ja źle zrobiłam. Jak głupie dziecko mściłam się tym tańcem z Pełskim, że wy mnie tego wieczoru pietruszkę siać kazali. Ale pan Tomasz winien to był sobie i mnie, żeby spytać mnie samej, jak jest naprawdę. Ja miałam się za jego narzeczoną.

— Feli! Nie. Nie będziemy o minionych smutkach mówili. Padnij do nóg rodzicom i powiedz, że za starego marszałka iść nie możesz, bo mnie przysięgałaś. Ty jeszcze taka młoda, i pięć lat zaczekasz, a ja, niech tylko magisterstwo zrobię, na ludzi wyjdę i rodziców twoich zadowolnię, zobaczysz. Będziemy szczęśliwi. O, Feli!

Wyciągnął ramię i, jak wtedy na spacerze, chciał objąć delikatnie ramiona dziewczyny. Ale Fela usunęła się.

— Nie. To niemożliwa. Ja wtedy, myśląc, że ty mnie kochać przestałaś, dałam słowo matce mojej, że przyjmę Willamowicza. Ty nie wiesz. Ojciec mój w złych był interesach, zaraz po moich zaręczynach zadłużył się u marszałka. Nietylko na moją wyprawę, na wszystko dawał mój narzeczony. Losem braci moich zajął się bardzo gorliwie, w gospodarstwie pomaga... Gdybym zerwała, toby wszystko przepadło i ojciec nie podźwignąłby się już... A może by to jego zabiło, bo już bardzo stary i chory... Teraz cieszy się jak dziecko poprawioną sytuacją. A co on winien? co matka winna? Nie, Tomaszu, obowiązkiem moim jest wytrwać na mojej drodze.

Mówiła uroczyście, pieszcząc się trochę powagą własnych słów, a jednocześnie było jej przeraźliwie smutno. Zan pobrał bardzo i powiedział:

— Nie ja ciebie będę od spełnienia obowiązków odmawiać. Rozliczne i ciężkie dźwigamy na sobie obowiązki, a któż wolny jest od nich na ziemi? Gdybym to ja był magnatem. Gdybym nie miał na rękach czterech siostr i dwóch młodszych braci. Gdyby rodzicielskie Iwiery były odrobineczkę większe. Gdyby, gdyby i gdyby! Ha, trudno. Owóż moja Feli jest mnie po dawnemu promienistą, czyż wolno mnie żądać więcej?

— Ja nigdy nie zapomnę Tomasza.

Stali naprzeciw siebie łzawi i smutni i dumni ze swej mocy, która pozwalała im nie ugiąć się pod brzemieniem obowiązków. Za oknem rozpadał się majowy ciepły deszcz i pluskał wesoło o szyby. Na klombach i rabatkach znowu kwitły narcyzy, ale dla kogoż je zrywać? dla marszałka Willamowicza?

Zniecierpliwiona przydługą rozmową Aniela weszła do saloniku i osłupiała, nic nie rozumiejąc z tej niemej sceny. Zan skoczył ku niej.

— To nieprawda! Feli nie idzie za Pełskiego! To babska wszeteczna plotka. Teodor! Chodź tutaj! Opowiadajcie wszystkim, kogo spotkacie! Stała się Feli ciężka krzywda. Pomożecie mnie naprawić.

Aniela mrugała oczami.

— Nie idzie za Pełskiego? A za kogoż idzie?

— Za marszałka grodzieńskiego Willamowicza — wyjaśniła po raz drugi Fela.

— Za marszałka? Ale... to ona nie może nic u Pełskiego. A Oleś?

Prawda! Oleś! Zapomnieli o nim w tym zamęcie, a tymczasem cały plan ratowania rozwiązał się. Czemże go na prędcę zastąpić?

Deliberowali we czwórkę i nic wymyśleć nie mogli. Napróżno Zan tarł swoje trójkątne czoło. Łoziński przydreptywał na miejscu dla nabrania myślowego rozpędu. Dopiero Anielka wysunęła projekt cudacki, ryzykowny, ale dający nadzieję powodzenia.

— A gdybyś ty spróbowała zobaczyć się z Pełskim i poprosić go, by cofnął oskarżenie przeciw Olesiowi? Co, Feli? Pełskij może przecież powiedzieć, że nie chce gubić dzieciaka. Zyska tem sobie jedynie szacunek u ludzi. Sam wielki ksiązę nie weźmie mu chyba za złe takiej wspaniałomyślności.

— Ale jakże ja go prosić będę? Jakże ja go zobaczę?

— Ach, cielątko! Panny z najlepszych domów umieją sobie urządzać słodkie rendez-vous, a tybys nie potrafiła? To poproś Sulistrowskiej, już ona ci to zaaranżuje. Wspominałaś, że bywacie u niej teraz z matką?

— Owszem, ale...

— No widzisz! Cóż nad to prostszego? Sulistrowska pośle kozaczka do Pełskiego i już, musisz tylko wybrać się do niej bez pani matki.

Fela spojrzała bezradnie na Zana, który miał minę chmurną i złą. Rozumiał intencję Anielki, ale wściekłość go brała na myśl, że Fela będzie rozmawiała z Pełskim, że będzie go prosiła, że za spełnioną prośbę może będzie musiała udzielić mu jakiejś łaski? A w każdym razie być z nim bardzo uprzejmą. Dławiła go ta myśl. Zato Teodor ucieszył się bardzo.

— Widzisz, Anielko, babski rozum też czasem na coś się przyda! Twoja myśl przednia i wcale nie taka trudna do urzeczywistnienia. Właśnie dlatego, że Oleś taki młody, że pojedynek z nim ośmieszyłby tylko Pełskiego, a obmierzłym by go uczyniło zesłanie Olesia w sołdaty. Nie, nie, Pełskij nie ma tu innej drogi, jak tylko przebaczyć! I może to uczynić bezpiecznie. bo i wielki ksiązę, dowiedziawszy się kim jest winowajca, nie zechce upierać się przy swojej surowości.

Zan targnął się gniewnie.

— Ale ja nie chcę, żeby Feli z nim rozmawiała, żeby jego o coś prosiła! Pomyślcie, może jest inny sposób? Może Sulistrowska?

Fela podeszła do Tomasza i ostrożnie, tkliwie pogłaskała go po rękę.

— Nie trzeba się gniewać. Sulistrowska tego nie zrobi, albo bąknie coś od niechcienia. A ja naprawdę z serca poproszę. To... nie jest zły człowiek... I będę z nim przecież rozmawiała w salonie Sulistrowskiej. Zaraz jutro wybiorę się do niej.

Postanowienie zapadło i wszyscy zamilkli, jakby zmęczeni. Zan wędrował po saloniku, od okna do drzwi, poszturchując krzesła po drodze. Zamyślona i przejęta Fela układała sobie w głowie, jak się jutro pozbędzie matki i pójdzie sama do Sulistrowskiej. Aniela i Teodor szeptali coś w kącie.

Deszcz nie ustawał; szare deszczowe chmury zgęstniały jakoś, posiniały, po widnokrzęgu przemknęła jedna i druga błyskawica... zanosilo się na burzę.

Ciemność, która ogarnęła mały salonik, zwykle przed burzą uczucie gnębiącego niepokoju do reszty skwasiły humory. Anielka, widząc, że jej goście chmurniejają coraz bardziej, podeszła do szpinetu i odrzuciła wieko:

— Słuchajcie! a możebyśmy co zaśpiewali? Martwienie się nic nie pomoże. Jak się uda — pójdę na mszę do Ostrej Bramy, ale tymczasem śpiewajmy! Tu są nuty, Tomaszu.

Fela ucieszyła się propozycją.

— Ach, ślicznie! Zaśpiewajmy! Jak to już dawno temu śpiewaliśmy razem? I kto wie, czy jeszcze kiedy zaśpiewamy? Niech się mnie zdaje, że to przeszły rok, że jestem szczęśliwa...

Zan przypomniał sobie o swoim zwyczajnym mentorstwie.

— Uczenica moja musi być szczęśliwą przy pilnym spełnianiu obowiązków naznaczonych jej od losu. Uczenica moja przechowywać winna w sercu święte hasła: „Ojczyzna“, że najmilsza i wszystkich

sił naszych potrzebuje; „Nauka“, byśmy wiedzieli, którędy do ojczyzny droga; „Cnota“, bo ona hart daje i siłę wytrwania. Tego będziesz uczyć synów twoich, Feli, i będziesz, i musisz być szczęśliwą, gdy oni twoich nadziei nie zawiodą. A ja będę przyklaskiwał zdaleka.

Fela wpatrywała się chciwie w Tomasza. Nim mówił — jej samej wydawała się przyszłość łatwą i nawet pod pewnymi względami pociągającą. Ale gdy umilkł — nudna rzeczywistość wróciła do swoich praw. Dwie głębokie bruzdy zaginające kąty ust przyszłego małżonka w wieczystą podkówkę znowu uprzytomniły się nieznośnie. Ach, niechże już prędzej śpiewają.

Anielka usiadła przy szpincie i próbowała co raz to innych nutek, aż wpadła na „Filona i Laureę“. To doprawdy zakrawało na szyderstwo. Fela chciała poprosić o coś innego, mniej dla niej dotkliwego, niż ta pieśń czuła o wzajemnej miłości i bolesnej zdradzie ukochanego. Ale Tomasz ucieszył się pieśni i Fela zaniechała zamiaru.

Tomasza nie obchodziły w tej chwili aluzje do ich osobistego losu, których można się było dopatrzyć w piosence. Oczy mu się już śmiały do życia, gdy śpiewał, a gdy skończyli — powiedział wesoło:

— Czy wy wiecie, moje panny, że to ulubiona pieśń Adama?

XXXV

Przedsięwzięcie okazało się daleko trudniejszym, niż się to Feli na razie zdawało. Przede wszystkim trzeba było zataić zamiar przed matką i usunąć się na parę godzin z pod jej opieki. Tu szczęśliwie przyszła w pomoc migrena.

Pani Micewiczowa cierpiała tak bardzo, że nie rozumiała dokładnie, o co ją córka prosi. Prawie na odczepnego wymruczała zezwolenie i natychmiast z jękiem odwróciła się do ściany. Była unieruchomioną do samego wieczora.

Drugą poważną trudnością było przekonanie Sulistrowskiej. Wbrew wszelkim przewidywaniom Feli, Sulistrowska, dowiedziawszy się o jej zamiarze, poczęła rzucać les hauts cris obrażonego konwenansu. Naprawdę nie miała zamiaru narażać Arkaszy na nowe pokusy; zbyt niedawno go odzyskała.

Jednakże po półgodzinnej rozmowie zmieniła zdanie. Przekonała się, że Fela nie żywi wobec Pełskiego żadnych agresywnych zamiarów, że w planie jej niema miejsca na żadną kokieterię, a sam pomysł pociągał ją swoją romansowością. Fela wydała jej się smętną heroiną, wbrew woli, z nakazu rodzicielskiej tyranii, przyjmującą rękę starca. Ta heroina prosić będzie utraconego na wieki kochanka o łaskę dla niewinnego pacholęcia. To wszystko było porywające! Asystować przy takiej scenie, toż to kopalnia niewyczerpana dla salonowych rozmów, nawet jeżeli nazwiska przyjdzie pominąć! Sulistrowska ginęła za romantycznymi sytaczami. Ostatnio czytało dużo Walter-Scotta.

Nie tracąc czasu, zaczęła rozmyślać, jak zamiar przywieźć do skutku. Najprościej byłoby naturalnie wysłać kozaczka z liścikiem do Pełskiego i zaprosić go na filiżankę herbaty. Za pół godziny najdalej byłby już w tym salonie. Niestety, to właśnie było niemożliwe. Pełskij, biedaczysko, miał właśnie całodzienną służbę w kordegardzie, a jako będący w niełasce, musi specjalnie uważać, by się już niczem więcej księciu nie narazić. Można by więc: albo całą sprawę na jutro odłożyć...

Nie. Na jutro nie można odkładać. Pani Micewiczowa zapowiedziała kategorycznie, że jutro zrana wyjeżdża z powrotem na wieś. Wyperswadować matce? Niema żadnego sposobu. Narzeczony ma się z nimi zjechać w Mereczu. Nigdy pani Micewiczowa nie zgodzi się uchybić zięciowi, każąc mu czekać na siebie przez cały dzień w żydowskiej karczmie. Nie. Z Pełskim trzeba mówić dziś, albo wcale.

Cóż tedy? Na wszystko znajdzie się rada. Mogą wybrać się obie dziś, zaraz do kordegardy. To nie trudno. Wezmą woale na twarze, a resztę już Sulistrowska bierze na siebie.

Teraz na Felę przyszła kolej rzucać les hauts cris? Do kordegardy? Nie, nie! Niech Sulistrowska wymyśli coś innego.

Sulistrowska, już porwana ekstrawagancką imprezą, targnęła się gniewnie.

Doprawdy! Fela jest naiwnym, niemądrym ciętłkiem. Cóż w tym nadzwyczajnego? Przecie nikt jej w kordegardzie nie ugryzie. Pełskij jest młodzianem comme il faut... A pozatem... któż je zobaczy? żołdaci? Tego chyba Fela do serca sobie nie bierze? Pojadą wynajętym powozem, który zatrzymają opodal i dojdą piechotą. A zresztą... można dać spokój imprezie. Ostatecznie od tego, że jednego akademika wywiozą na Kaukaz i oddadzą, przypuścmy, w żołdacy — dziura w niebie się nie zrobi! Małoż to młodzieży na Litwie? I tak panny będą miały w czym wybierać.

Fela skoczyła i tak gwałtownym ruchem odpchnęła filiżankę z kawą, że zakolysał się delikatny gierydonik z różanego drzewa, a płyn czarny chludnął na dywan.

— Dlaczego pani myśli, że ja się boję? Owszem! Jedźmy natychmiast!

Sulistrowska zaśmiała się i pociągnęła taśmę dzwonka. — Wynająć powóz! Za kwadrans ma być przed podjazdem! — Potem pobiegła w róg buduaru, do konsoli, wyjęła z kryształowego flakonu wędnącą tam białą różę i przypięła ją Feli do sukienki.

— Weź, weź koniecznie. Jeśli obieca spełnić twoją prośbę, trzebaż jemu nagrody. Otóż powóz zajędz. Zakryj głowę woalem. Tak. Dobrze. Nie widać nic. Jedziemy. Twojej garderobianej, duszo, powie moja Franusia, że wybrałyśmy się na szpacer.

Po drodze Sulistrowska, podniecona eskapadą, próbowała szczebiotać, ale umilkła bardzo prędko, zrażona smutkiem i powagą Feli. W kordegardzie wszystkie trudności usunął złoty dukat, zręcznie wsunięty w łapę komu należy. Bilecik Sulistrowskiej, napisany zawczasu, dotarł niezwłocznie do rotmistrza Pełskiego. Rotmistrz przyzwyczajony do ekstrawagancji swojej pięknej przyjaciółki nie zdziwił się zbytnio. Kazał prosić obie damy do izby, gdzie urzędował, leżąc na szezłagu i kurząc zawzięcie lulkę. Sam wstał leniwie, obciągnął mundur na sobie, przejechał rozczapierzonymi palcami przez czuprynę i stanął jak wryty.

Zobaczył Felę. W głowie mu się zakręciło. Jakaś szalona, nieprzytomna nadzieja załomotała sercem i przycichła odrazu na widok jej twarzy surowej i oczu patrzących z wysoka.

Uklonił się w pas, jak przed ikoną i czekał w milczeniu. Był cichy, pokorny i zły na siebie za tę pokorę.

Sulistrowska ze szczerą wściekłością skonstatowała wrażenie, jakie niespodziewany widok Feli zrobił na Pełskim. Zagryzła usta aż do krwi, że mu-

siała zlizać lepka, słoną kroplę z wargi. Teraz żałowała zbyt pośpiesznej zgody. Cóż ona miała w sobie za czar tajemniczy, ta gaska?

Zniecierpliwiona jego niema adoracją, oschłym tonem zwróciła Pełskiemu uwagę, że damy stoją. Nieszczęsny rotmistrz miotnął się w kąt izby i pchnął przed siebie jakiś stołek. Wskazywał paniom miejsce na wygniecionym szezłagu i krzyczał na ordynansa, co tchu wysyłając go po wino i cukry.

Sulistowska energicznym ruchem przerwała te gościnne zapędy. Damy wpadły tylko na chwileczkę. Imć panna Felicja Micewiczówna chciała dziś nieodzownie zobaczyć się z rotmistrzem. Ma prośbę. Zaraz ją sama wypowie.

Pełskij zrobił taki ruch, jakby chciał zesunąć się ze stołka i paść na kolana, ale powstrzymał się wpół drogi i zawisł jakoś dziwacznie w powietrzu.

— Rozkazuj, pani! — powiedział głębokim, matowym głosem.

Fela zebrała wszystkie siły i odrzuciła precz całą swoją zwykłą nieśmiałość.

— Przychodzę, panie rotmistrzu, żądać od pana wspaniałomyślności. — Przychodzę. — ...zacięła się na chwilę — prosić pana za kuzynem moim, Aleksandrem Łuczka. On pana ciężko obraził...

Zaczęła mówić śpieszniej, bo oczy Pełskiego pełnęły czerwono.

— Ale to jest jeszcze dzieciak, panie rotmistrzu, on ma dopiero szesnaście lat, w zeszłym roku gimnazjum skończył. On panu satysfakcji honorowej dać nie może, a skoro tak, czyż kara administracyjna jemu wymierzona zadowolni w jakiejkolwiek mierze pana rotmistrza? Czyż gwardia cesarska wojuje z dziećmi? Och, panie rotmistrzu, cofnij oskarżenie!

Podniosła powieki i spojrzała mocno Pełskiemu w oczy. Rotmistrz siedział nieruchomy, zaczarowany jej spojrzeniem.

— Proszę pomyśleć: wezmą jego w żołdacy... on zginie gdzieś na Kaukazie, bo jest delikatny, wrażliwy... a matka jego na śmierć się zapłacze... i co panu z tego przyjdzie?

— Mnie jego imperatorskie wysoczeństwo przykazało odnaleźć winnego — mruknął posępnie Pełskij.

— Toż i znalazł pan rotmistrz. ale, widząc młodość delikwenta, zrzeknie się oskarżenia. Wspaniałomyślność taka...

— Mnie za wspaniałomyślność taką mogą, owszem pochwalić, ale mogą także do sybirskawo połka zesłać, albo do kamczackiego garnizonu... Bo moim wodzem jest we własnej osobie brat autokratora Wszechrosji, jego wola o naszym gwardiackim losie stanowi. Jemu nie podobać się—rzecz straszna, a nigdy niewiadomo, czym się gniew jego wywoła. Czy mam dla dogodzenia wam narazić się na gniew wielkiego księcia? czy takiej ofiary żądacie ode mnie, mademoiselle?

Fela spuściła oczy. Istotnie. Jakim prawem żądała ofiary? cóż mogła dać wzamian? parę słów współczucia? błahe zapewnienia przyjaźni? Zmiejszana — nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z pomocą jej przyszła Sulistrowska.

— A już też, panie Arkady, nie oczerniaj wielkiego księcia. Nigdy w to nie uwierzę, by czyn szlachetny miał zyskać jego dezaprobatę. Zbyt dobrze znaną mi jest wielkoduszność jego cesarskiej mości, nieodrodnego brata anielskiego Imperatora. Ach! zważcie tylko państwo, jaki to romantyczny obraz, godny pióra największych poetów świata! Dzielny

oficer zostaje krwawo obrażony... szuka winnego w słusznej zapalczywości i znajduje... chłopię nieletnie. Wzruszony łzami kobiet — wybacza... A wspaniałomyślny brat najpotężniejszego z monarchów potwierdza swoją łaską to przebaczenie. Czyż to nie rozczulające?

Pełskij patrzył uparcie w podłogę. Prośba Feli zaskoczyła go i rozczarowała. Myślał, że będzie cze gość żądała dla siebie, a ona o tego „driannego malczyszke“, który swoim głupim podwinięciem się pod rękę ośmieszył go przed całym Wilnem! Anioła by pasja zadusiła! Dla starszego, poważniejszego przeciwnika można by wyrobić zezwolenie na pojedynek, a potem niechby wielki ksiązę robił z nim, co chciał. Ale jak tu pojedynkować się z szesnastoletnim szczeniakiem?

W jakim sposob, u licha, ten chuderlawiec mógł jego, Pełskiego, uderzyć? W ostatniej chwili chyba przyskoczył, czy jak? Bo nie oskarżałby się niewinnie. Poco? Rozumie chyba, co go czeka!

Pełskij nie mógł już dzisiaj ręczyć honorem za przebieg sceny na Antokolu. Jej żywy obraz przyćmiły długie rozpaczliwe pijatyki następnych dni. Już nic nie wiedział. Może to naprawdę był Łuczko?

Ale jeżeli tak, może, wzięwszy wszystkie względy pod rozwagę, naprawdę przebaczenie byłoby najlepszym wyjściem? Podobno już w piechocie pokrywano z niego, że z bachorami wojuje. Koledzy z gwardii nigdy nie darują podania się na pośmiewisko piechurom. Ale drożył się jeszcze przez jakąś ponurą kokieterię.

— Ot, pani, skłonił się Karolinie — mnie przekonywać raczyła, że jego imperatorskie wysoczesstwo takowego postępku za złe mnie nie weźmie, że, kto wie, może nawet pochwalić zechce. A ja nie je-

stem tego wcale pewny. Mnie mogą do piechotnego pułku odesłać stacjonującego gdzieś bardzo daleko, na Uralu, czy na Sibiri... Ale wam jasne panie to wszystko jedno, sawsiem wsio rawno!

Zauważył z przyjemnością, że Fela zatrzepotała powiekami.

— Och, nie! Mnie by pana rotmistrza było żal, bardzo żal!

Pełskij zapomniał, że właściwie odegrywał małeńką komedyjkę, w tej chwili czuł się tak jakby naprawdę groziło mu zesłanie. Uśmiechnął się gorzko.

— Ech! żal!.. Cóż!.. ja nie śmiem wątpić! Może i w prawdę żal. A jednak żądasz pani ode mnie, mademoiselle, narażenia mojej kariery i wiesz, że ja odmówić nie potrafię... a wzamian nie dajesz nic... nic...

Patrzył pilnie w oczy Feli, szukał wrażenia. A Fela straciła całe swoje nowonabyte wzięcie przyszłej damy; stuliła usta w podkówkę i bąkała żałośnie:

— Daję wdzięczność gorącą... szacunek...

— Ech... wdzięczność... szacunek..! Wy, Polki, wszystkie jednakie. Oczarować człowieka, duszę z niego wywlec, a potem odepchnąć — sumienie w was nie zakrzyczy.... A potem przyjdzie taka czarownica i powiada: „powieś się, moł, brat, albo kark sobie skręć, bo mnie tem oddasz usługę.“ Moskal dla was nie bliźni, nie człowiek. I co w was za moc taka, że ot, widzisz, ile to wszystko warte, a na skinięcie damy leziesz dobrowolnie w zgubę. I zadarmo leziesz, „dureń okrągły“! Tfu ty czort! I zaczem tylko my k'wam przyjechali?

Sulistrowskiej zbrzydła do ostateczności ta scena. Nie poczuwała się do żadnej krzywdy względem Pełs-

kiego, a była chyba niezaprzeczenie polską damą. Wysunęła się naprzód i zaryzykowała siarczyste, gorącą pociechę obiecujące oko, którego Pełskij, wpatrzony w Felę, nie zauważył. To wyprowadziło do reszty z równowagi piękną Karolinę.

— Ech, panie rotmistrzu, wolne żarty! Nikt wam nie każe siedzieć tu między nami, skoro wam tu tak gorzko, aniby kto płakał, gdybyście się jednego dnia wszyscy nad Nową wyprowadzili. A co do Łuczki, jak sobie chcesz, rotmistrzu, nie w mówisz we mnie, że tu ponosisz jakąś wielką ofiarę. Ale gdy trwasz w gniewie, nie pozostaje nam nic innego, jak przeprosiwszy za inkomodację...

Przerażona Fela targnęła Sulistrowską za rękaw, ale sprytna dama, opędziwszy się nieznacznym syknięciem, pociągnęła Felę do drzwi. Pełskij zastąpił im drogę.

— Och, jaka pani gorąca! Czy ja mówił, że ja nie przebaczę?

Karolina zatrzymała się w pół kroku.

— No więc?

— Ja gotów na wszystko, byle pani... byle panie — poprawił się szybko — nie gniewały się na mnie. Tak i być! Ja spełnię waszą prośbę, mademoiselle, ale wzamian... o tę różę poproszę... O tę różę, co tuli się do waszego serduszka, taka biała i czysta jak wy! Tej róży mnie nie odmówicie, mademoiselle, a stanie się według waszego rozkazu.

Spłoszona Fela odczepiła od sukienki swoją różę i podała Pełskiemu. Rotmistrz skoczył, chwycił różę, przycisnął ją do ust, potem wpił się ustami w rękę Feli i zaraz odskoczył. Wyglądał jak obłąskawiony wilk.

— Tak i być. Ja stanę jutro do raportu do mego pułkownika... Ja powiem, że mnie koledzy za złe ma-

ją... że ja sam widzę... że nie honor mnie z dziecia-
kiem wozit'sia... I wszystko takie. Nasz pułkownik
stary... dobry człowiek, on weźmie mnie w opiekę i
jak trzeba wielkiemu księciu rzecz przedłoży. Da,
da, to tylko wy, Polaki myślicie, że co ruski człowiek,
to dziki zwierz — ludojad. Naprawdę to ono tak nie
jest. Ot, ja pokażę.

Wzruszył się i w tej chwili wyglądał bardzo pięk-
nie. Fela na jedną króciutką sekundę poczuła przy-
ływ dawnych grzesznych uczuć. Spojrzała łaska-
wiej... rotmistrz podał się naprzód z obłąkanym
uśmiechem... Sulistrowska wzięła Felę za rękę i wy-
prowadziła coprędzej z izby dyżurnej. Była ziryto-
wana i prawie niegrzecznie pożegnała Felę natych-
miast po powrocie do domu. Potem, gdy została sa-
ma, usiadła na ulubionej kozetce obitej ponsowym
atłasem i zaczęła pilnie rozmyślać.

— Arkady wyraźnie zapomnieć nie może tej
cielęcinki. A przytem zabiorą go z Wilna z pewnoś-
cią. Jechać z nim? Nie miałyby sensu. Szwagrowie,
bracia zmarłego męża, nie omieszkaliby dać odczuć
krnąbrnej bratowej swojego niezadowolenia, a w
testamencie mężowskim były takie różne klauzule...
Awanturować się po całej Rosji za najprzystojniej-
szym choćby oficerem gwardii i to w dodatku o su-
chym chlebie? Nie. Dosyć tego. Niech sobie Arkady
radzi, jak chce. Czas pomyśleć o nawiązaniu innych
koneksji, zarówno przyjemnych, jak pożytecznych.

XXXVI

Zamkową ulicą, od Ratusza ku Uniwersytetowi,
szedł zwolna i dostojnie wszystkim w Wilnie znany
medyk i poeta, pan Stanisław Rossołowski. Stąpał

z partesa, górnje, rozglądał się z wyższością dokoła: co chwila uchylał kapelusza mijającym znajomym: jednym pośpiesznie, nadskakująco, innym obojętnie, jeszcze innym zgoła nonszalancko.

Czczota, którego spotkał na zakręcie w zaułek Literacki, przywitał z powściągliwą, lecz niemniej wyszukaną grzecznością. Zatrzymał go pośrodku ulicy, w najświetniejszym żarze, podzielił się z nim miłościwie swoimi uwagami o przedwczesnych tegorocznych upałach i zagadnął łaskawie o stan interesów. Czczot roześmiał się dobrodusznie:

— Zawsze u mnie to samo. Już ja do śmierci chyba „piszczyk“ Radziwiłłowskiej Masy. Cóż robić. Pocieszam się foremną poezją, którą sobie na ten koniec ułożyłem: „siadłeś w błocie — siedźże już Czczocie“.

Rossołowski roześmiał się z aprobatą.

— Wcale... wcale... Lubię zgrabne kalambury jak nikt w Wilnie. Ale jak skoro o poezji mówimy... ach, panie Janie, kończą się dobre czasy! Zmierzcha szlachetna sztuka poetycka, prostactwem się omracza, z majestatycznej królowej w grubą chłopkę się przeistacza. O, me miserum! proponowałem przed dwoma laty panu Mickiewiczowi, żeby mnie swoje pisemka pokazał. Doradziłbym, zaopiekowałbym się chętnie tyle obiecującym talentem. Nie poznał się młodzik na mojej życzliwości, odepchnął pomocną rękę i otóż masz!

Zalękniony Czczot mrugał pośpiesznie pocziwymi oczami, usiłując w pocie czoła zrozumieć. Wreszcie wydało mu się, że wpadł na trop; wykrzyknął uradowany:

— Pan łaskawy napewno myśli, ile poezja straci na nieudanym wojażu Adama za granicę? O, dob-

ry, zacny panie Stanisławie! Pan chciałeś dopomóc Adamowi? a on nie docenił? Wybacz, on trochę dziwak, jak zwykle poeta, ale my wszyscy, jego przyjaciele...

— Wojażu?... ależ... ja o „Balladach i Roman-sach“. Podobne horrendum! Przysięgłem sobie na Styksowe bagno do śmierci ich nie czytać. Nie mogę psuć sobie smaku.

Zdetonowany Czeczot przestępował z nogi na nogę. Nie jeden w Wilnie gadał podobnie jak Rossołowski, ale żeby tak w oczy... najbliższemu przyjacielowi... Należało chyba wybuchnąć jak wulkan? Ale w takie gorąco...

Rossołowski zgrzał się także; ocierał pot z czoła szarawą ze starości chustką i wzdychał głęboko. Nie zdawał się widzieć Czeczotowego oburzenia.

— Pół życia oddałbym za szklankę mrożonej oranżady. Nie należy unosić się w upał, to bardzo niezdrowo, ale krew nie woda, mosterdzieju, trudno poecie patrzeć zimno na poetyckie herezje! Alboż waść w duszy nie to samo myślisz, Czeczocie?

Pochylił się naprzód, przyjrzał się zbliiska wyrazowi twarzy Czeczota i już nie czekał odpowiedzi. Pożegnał się coprędzej. Czeczot ulżył sobie, splu-nawszy mu w ślad.

Dzybata nakszałt bociana figura Rossołowskiego znikła na zakręcie Świętojańskiej. Upał lał się z nieba rozpalonymi do białości strugami, zdawało się, że brukowce topnieją i miękną mury. Czeczot poruszył palcami nóg w ciężkim, zapyłonym trzewiku. Wieś! zaroszona łąka! wilgotna trawa, ścieląca się miękko pod obolałe stopy! Cuda! rozkosze dla innych.

Ale tymczasem możnaby chociaż do ogrodu Malewskich na Oстрыm Końcu, Ożywiony dobrym po-

mysłem poszedł raźniej w górę Zamkowej. Daleka droga opłacała się różanym zapachem w ogrodzie i niedalekim już szumem sosen na Rossie.

W altance siedziały obie panny Malewskie, Tomasz i Adam. Dworek tulił się lęklonie pod ochroną srebrnolistnych topoli, jak jego właściciel, były rektor Szymon Malewski chronił się pod dach dworku na dalekim przedmieściu, by uniknąć kondolencyjnych pytań i współczujących westchnień. Odszedł i oddał ster Uniwersytetu w zastępcze ręce księdza Kłagiewicza.

Czczot próżno szukał smutnych wrażeń dni ostatnich na różowym buziaku ślicznej rektorówny Zosi. Niewiele ją to obeszło. Dworek na Oстрыm Końcu był lepszą o tej porze roku oprawą dla jej urody, niż rektorskie mieszkanie w uniwersyteckim domu. a że chłopcy i tu do niej trafią — nie wątpiła. Marynia troskała się za dwie. Co chwila odbiegała do ojca siedzącego w ciasnym oszklonym ganeczku i pytała, czy mu czego nie potrzeba? Stary rektor znacznie stracił na surowości: schudł i twarz mu zmaląła, krzywił się jakoś żałośnie. Raz wraz chwycił córkę za rękawek muślinowej sukienki, albo za jasny warkocz i odchodzącą z powrotem przyciągał do siebie, by jeszcze jej coś szepnąć na ucho. Czczot na ten widok poczuł, że go żal szczypie za serce. Znikły wszystkie dawne urazy i niechęci, jakie żywiło się nieraz do starego, zbyt lęklwego rektora. Pozostała świadomość, że skrzywdzony został przez tę samą złą siłę, która groziła najświętszym celom Towarzystwa Filomatycznego.

Czczot podszedł do staruszka, przywitał, wysłuchał kilku utyskiwań na różne sprawy wileńskie, potem usiadł w altanie obok Adama.

— Jakie nowiny? Cóż Oleś Łuczko?

— Osowiały po kozie. Wstrząsa się za każdym szelestem i blednie, gdy kto nagle do drzwi zapuka. Łuczkowa biada, że go tam pewnie katowali i wzywa wszystkich piorunów na głowę Botwinki. Ale sam Oleś nic nie gada.

— Próbowałem i ja pytać — wstawił Zan, gorączkując się, jak zwykle w ostatnich czasach, gdy o Łuczce była mowa. — Próbowałem. Sciska mnie za rękę, płacze i błaga, by mu dać zapomnieć o kwarterze na Dominikańskiej ulicy. Najłatwiej by na wsi zapomniał.

— Toteż właśnie — Adam oderwał się od kontemplacji zawilego rysunku, jaki tworzyły na altowym stole cienie winnych liści. — Miałem wam powiedzieć. Staniewicz chce Łuczkę brać do Józinowa. Niby to dla synowców na guwernera, ale to pozór, bo jaki tam z Oleśka guwerner!

— Poczciwy Zygmunt! Trzeba mu tedy wysłać naszego biedaka coprędzej. Ale sobie powinszować możemy wychowanka.

— To już nie wychowanek, Janku, to brat nam równy duchem. Kto wie, czy ja sam... gdyby mnie postawiono przed oczy skutek podobnego bohaterstwa... Bo wiecie? mniej w nim podziwiam, że wziął winę na siebie, jak to, że wytrwał w postanowieniu swoim. A miał przeciw sobie jaszczurczy wzrok Botwinki i grubiaństwo Szłykowa. Słuchajcie! Jedna jest tylko nagroda godna jego poświęcenia.

— Cóż myślisz?

— Ze wprowadzić go musimy do Towarzystwa Filomatycznego.

— Dobry będzie nabytek — mruknął Adam poprzez swoją wieczystą lulkę, ale Czeczot nie zdał się zadowolony z Zanowego pomysłu.

— Oleś bardzo pięknie postąpił, ani słowa, ależ

on młody, nierozważny. A nasze tajemnice? Przypominam wam, jakieście długo mnie trzymali za drzwi mi, a przecież znaliście mnie od najmłodszych lat, przecież byłem dobrze starszy i stateczniejszy od Olesia.

Adam skoczył przez stół, porwał Czczota i zakręcił nim, aż chmura piasku zasypała biegnącą od ojca Marynię.

— Idę po truskawki! dla was! nie oslepiajcie mnie, bo do grzędy nie trafię. — Krzyczała, machając wesoło koszykiem i pobiegła zgrabna, słońcem obla-
na, rozanimowana obecnością Adama i tak prawie ładnie jak Zosia.

Zdyszany Czczot wyrwał się z Adamowych objęć.

— Cóż to znowu za szały, Adalu?

— Cieszę się, bo nareszcie znalazłem w tobie bodaj cień egoisty! Dotąd nie mogłem tego cudu doka-
zać. Aha! potrafisz być zawziętym? Już dwa lata z górą siedzisz w samym środku wszystkich filomac-
kich tajemnic, a jeszcze tamtej zwłoki darować nam nie możesz. Otóż straciłeś anielskość twoją, a ja, sta-
ry grzesznik, raduję się, bo może będziemy sąsiado-
wać w czyśćcu.

Zan niecierpliwie obrywał winne liście i roz-
rzucał po całej altanie.

— Dajcie spokój głupstwow. Co myślicie? Jez się zgodzi?

— Zgodzi się napewno, jeżeli ja zostanę ojcem chrzestnym Olesia. — Adam spoważniał nanowo —
trudno doprawdy o lepszego kandydata pomiędzy Filaretami. Jeszcze przed wyjazdem Olesia urządzi-
my uroczystość jego zaprzysiężenia. Ale, ale... a cóz...
jego sprawa?

— W grodzie.

— To chwała Bogu! W sądzie grodzkim, byle szło wszystko należyty trybem, bez żadnych nakazów i presji, nie złego Olesiowi nie zrobią. Prawda. mości jurysto? Jurysto! Gdzieżeś ty się zapatrzył?

Czczot ściągnięty z niebieskiego obłoku, na którym odbywał przed chwilą jakieś romantyczne podróże, mrugał zabawnie oczami ku wielkiej uciezce Zana. Celu podróży domysleć się nie było trudno: piękna Zosia Malewska stała o kilkanaście kroków, przy kłobie stulistnych róż.

Stała obrócona ku furtce, widocznie kogoś jeszcze naczekiwała. Jej czysty profilek odcinał się prześlicznie na tle ciemnozielonego grabowego szpaleru. Zan wstał i własną osobą zasłonił Czczotowi rozkoszny widok.

— Uważaj teraz. Napatrzysz się potem. Jako jurysta — musisz odpowiedzieć: co grozi Łuczce w grodzie? w sądzie grodzkim? no?

— Odsuń się, Tomalku! Odsuń się! Nie przywódź mnie do grzechu! Sąd grodzki — głupstwo. Tam sami swoi, a to z Moskałem sprawa, Łuczko był napadnięty, mogą go nawet całkiem uniewinić, byle wielki książę już się nie wtrącał więcej.

— Niema obawy. Wielki książę już stracił interes do całej sprawy.

— Tak? A skąd ty to wiesz, Adamie? Mickiewicz poczerwieniał.

— Puttkamer mnie mówił. Był w Wilnie przedwczoraj... widziałem się z nim... Dałem mu do Bolciennik mój tomik... Obiecałem wówczas, kiedyśmy to razem z Tomaszem jeździli... Więc pierwszy egzemplarzyk, który wyszedł z pod prasy... Mniejsza o to. Więc Puttkamer mnie mówił, że wielki książę ma teraz nową pasją, pochłaniającą całą jego uwagę: musztruje żydów na placu rewji.

— Co takiego?

— Jak słyszysz. Gromadami spędzają żydów na plac, tak ze wszystkim, w chałatach i pejsach, a książkę ich ćwiczy jak żołnierzy; tylko zamiast karabinów — pałki im dają. Podobno wcale nieźle wyczyniają niektórzy z pejsatych egzercyrunkowe zwroty. Wszystkie damy zgorzone tym. niezmiernie.

Zan pochylił się naprzód, położył łokcie na al-tanowym stole, wsadził głowę między Adama i Jana i gadał zbliska, zniżonym głosem, chociaż nikt oprócz jabłoni usłyszeć ich nie mógł.

— Co tam żydzi! Zabawy Mikołuszki wnet się skończą, bo gwardie z Wilna wychodzą. Ale owóż nad Newą zbierają się chmury i ciągną ku nam. Wiecie wy, co gadają po mieście? Podobno nasz jaśnie oświecony kurator usłyszał coś przykrego w czasie wiosennego przelotu „Nietoperza“, a co usłyszał — oddał zawiązką naszemu „dziadulowi“ i stąd to nagłe złożenie rektoratwa.

— Cyt! Marynia nadchodzi.

— Nie. Przystanąła i rozmawia z Zosią. Podobno pod kuratora podkopał się już głęboko Nowosilców, który kuratorskiej godności pragnie dla siebie i dlatego...

— Nie gadaj głupstw. Wprawdzie Nowosilców obrasta podobno w łaski „Nietoperza“, ale stąd do kuratorstwa jeszcze bardzo daleko. „Nietoperz“ nie taki głupi, żeby się usług Czartoryskiego pozbywał.

— Będziesz widział jego mądrość, jak się zło stanie. Podobno Towarzystwo Szubrawców ma być lada dzień rozwiązane. Podobno „Wiadomości Brukowe“ już zawieszono. Podobno uniwersytetowi mają odebrać opiekę nad szkołami i skasować wizytatorów wybieranych z pośród obywateli, a naznaczyć urzędników-Rosjan...

— A skończ że już raz z twojem „podobno“. Ja tu przyszedłem po chwilkę wytchnienia, spracowany jak mrówka, zgrzany jak ruda mysz, a ten mnie najmiłsze chwilki zatruwa. Bodaj cię, ja idę do Zosi!

Zosia Malewska, pobladała z gorąca, z usteczkami wilgotnymi i dyszącymi jak u rybki, stała na zwirowanej ścieżce obok fontanny. Słońce prześwieślało blond włoski, te same, które u biednej Maryni przybrały ton żółtej słomy, i czyniło z nich nad czołkiem aureolkę. Czeczot, zbliżając się, zaznaczył zgięcie kolana i wypowiedział z namaszczoną galanterją:

„Powitają przyjaciele
mnie, młodej wiosny aniołka“.

Panna Zosia zarumieniła się uprzejmie, ale uznała za stosowne komplement uchylić.

— O, to nie o mnie. To o Zosi Sliźniównie. Któż nie wie, że pan Jan myśli o tamtej Zosi? Ja nikomu miłych słówek nie kradnę.

— Pani jesteś okrutna. Czem obraziłem Zofiję? Pani znęcasz się nad swoim wiernym sługą. Pani wierzyć nie chcesz moim słowom. A owóż zobaczmy, kto ma rację.

— Kto ma rację? — Zosia patrzyła ciekawie z pod ukwieconego kapelusika, niepewna, do czego to doprowadzi?

Czeczot pochylił się nad różanym krzakiem.

— Które z nas trafnie i prędzej policzy, ile ten krzak ciernisty róż tuli na zielonym łonie, to prawdę mówiło. A nuże, panno Zosiu!

Rozbawiona Zosia w dwa paluszki ujęła sukienkę i skoczyła ze ścieżki na trawnik. Pochyliła się nad krzakiem, biegała świecącymi oczkami po kwia-

tach i pąkach, rozchyłała liście, kłując się o ciernie i piszcząc cieniutko. Nareszcie wyprostowała się tryumfująco:

— Piętnaście!

Czczot skłonił się ceremonialnie.

— Szesnaście.

— Ale ja nie liczyłam zielonych pąków.

— Ja także nie.

— Ależ... liczę jeszcze raz. Piętnaście! Tylko piętnaście! Pan Jan przegrał! Proszę pokazać, gdzie jest szesnasta róża?

— Tutaj.

Czczot skłonił się raz jeszcze przed klaszczącą w ręce panienką, a Zosia, zwyciężona dwornością adoratora, podała mu uroczyście rączkę do pocałowania.

Zan stanął w progu altany i rozglądał się po różanym ogródku przed dworkiem, po jabłonnym sadku za dworkiem. Popatrzył na słońce gorejące w szybach okiennych, w niebo, co kładło błękitne odbłaski na ściany domku, na pnie drzewne, nawet na trawę, a modrzyło się bez przeszkód w fontannie. Zan wcisnął ręce w kieszenie czamarki i kiwał głową w zadumie nad tym wszystkim.

— Ładnie popatrzeć, ładnie popatrzeć! A co potem będzie?

Marynia, która właśnie chciała przemknąć się mimo Zana do altany, przystanęła spłoszona. Poszła oczami za Tomaszowym wzrokiem i obejrzała po kolei dworek i ogród, jabłonie, róże i fontannę, jak coś, co może lada chwila zapaść się pod ziemię. Furtka skrzypnęła, dając wejście komuś odwiedzającemu pana Szymona, a Marynia drgnęła, jakby to już zły los wchodził przez tę furtkę. Tomasz dostrzegł jej pomieszenie i dotknął leciuchno ramienia.

— Nie trzeba się bać.

Panna Marynia spłoniła się pod leciuchnym dotknięciem, jak pod gorącą pieszczotą.

— Śniłam dzisiaj Franusia, że go złe psy opadły, a on się nie mógł obronić. Uciekał do pana Adama, a pan Adam wyszedł jemu naprzeciw i także od złych psów napadnięty został. To źle wróży. Prawda, panie Tomaszu?

— Niech pani łaskawie samego zapyta Adama. On się zna na snach, jego nowe poema całe snami przepełnione będzie. Ja, kiedy guwernerowałem różnym grzecznym chłopczykom, uczyłem ich zawsze nie trwożyć się marami.

— A czem się pan Tomasz trwoży?

— Ja? — Tomasz wstrząsnął się niby pies, co wyłazi z wody, przejechał ręką po twarzy i zagadał pośpiesznie tym samym tonem, jaki przybierał zwykle, gdy chciał odwrócić od czegoś uwagę Filaretów.

— Ja? ja się wcale nie trwożę. Oho! mnie dobrze! Lubię gruszki, a już za dwa miesiące będą gruszki. A wcześniej będą wiśnie. U mojego stryja w Iszkołdzi, bardzo dużo wiśni! Dobrze by tam zawięzić Adama, ale on nie zechce. On tylko do Bol...

Rzucił okiem na zmieniającą się raptownie twarz Maryni i urwał. Poco ją ranić niepotrzebnie? Biedna dziewczyna. Gdyby Adam był mądry... Ale nie. On nie chciał być mądry. Obojętnie mijał rozmodlone oczy Maryni i rwał się całym sobą ku Bolcienikom, gdzie nie czekało go nic, prócz gorzkich rozczarowań. A czy nie tak samo było z nim, z Tomaszem, i Felą? Małoż to innych „Deybellanek“ wdychało do niego skrycie, kiedy on gonił marę, szczęście innemu przeznaczone?

A Marynia, śledząc na twarzy Adama drogę

jego myśli i wzruszeń, grzebała już po raz Bóg wie który nikłe resztki własnych nadziei. Nigdy, nigdy jej zła czy dobra wola nie wykrzesze z niego tyle radości, ani tyle cierpienia! Nigdy, choćby mu wszystkie uczucia i obowiązki przyniosła w ofierze.

— On mnie dlatego tylko trochę lubi, — pomyślała żałośnie, — że mam na imię Maria, tak samo jak Puttkamerowa. Nawet przy Zosi żywszy jest, niż przy mnie. I w „Dziadach“ dla Zosi jest śpiewek, a dla mnie nic, nic...

Podniosła oczy z nad skubanej chusteczki. Chciała powiedzieć Adamowi, że nie dba o takie rzeczy, że zawsze pozostanie mu wierną, do grobowej deski, choćby nigdy najmniejszego wierszyka dla niej nie ułożył. Że wydarłaby sobie serce z piersi, by jemu zwrócić Marylę i zapewnić szczęście doczesne jakiego pragnął. Że gotowa była krzyżem leżeć w Ostrej Bramie, byle Najświętsza Maria, patronka ich obu, zlitowała się i odmieniła jemu smutne życie... Ale nie powiedziała nic z tego wszystkiego. Nawet gdyby potrafiła wypowiedzieć jasno— i tak by się nie ośmieliła. Zamiast gorących, dygocących ze wzruszenia, łzami przepojonych słów — dygnęła ładnie i powiedziała tonem dobrze ułożonej, gospodarnej panienci:

— Proszę na podwieczorek.

XXXVII

Pełskij dotrzymał święcie obietnicy danej Feli. Stał do raportu przed oblicze dowódcy swojego pułku i zameldował, jako oskarżenia się zrzeka ze względu na młodość oskarżonego i łzy jego matki. Stary pułkownik zakłopotał się tym meldunkiem.

— Wy sami nie wiecie, czego chcecie, Arkady Iwanowiczu — burczał po ojcowsku. — Nie wstyd wam tak „bujanić“, w durne awantury wdawać się, a potem, ni z tego, ni z owego na „popiatnyj dwor“? Wiecie co? Ja was podejrzewam, że wy tego chłopca tak i nie rozpoznaliście. W „pijanom widie“ byliście? A? Mnie, staremu, przyznać się możecie. Już ja wiem, jak to było: chłopak przed kolegami przechwalał się z głupoty, przed komisją przyznał się ze strachu, a bestia Botwinko rozdmuchać chciał incydent, żeby na order zasłużyć. Cierpieć ja nie mogę tych „pierekińczyków“! No, cóż, po mojemu może ono i lepiej tak: wspaniałomyślność okazać. a tam „końce w wodę“. Ja wszystko po porządku dołożę jego imperatorskiej wysokości.

Ojcowski ton starego pułkownika dźwignął trochę Pełskiego na duchu. Już się nawet zgnębiony rotmistrz nie oburzył na podejrzenie o „pijanom widie“. Byłe wybrnąć na sucho z przekłętej awantury i wiedzieć, co będzie jutro!

Jego imperatorska wysokość, wysłuchawszy najpoddanej relacji, tyczącej nowego obrotu sprawy rotmistrza Pełskiego, raczyła wzruszyć pogardliwie ramionami i wycedzić przez zęby:

„Durak“.

Poczem natychmiast zaczęła mówić o czem innym.

Wielkoksiażące słówko, jakkolwiek prócz adiutantów i pułkownika nikt go nie słyszał, błyskawicą obleciało całe Wilno i wszędzie wytłumaczone zostało jako zupełne desinterressement. Rektor, jeszcze naówczas Malewski, wiedział o nim już nazajutrz zrana i, jak tylko nadeszła przyzwoita godzina, pojechał do generał-gubernatora Litwy. To była je-

dna z ostatnich rektorskich czynności Szymona Ma-
lewskiego.

Generał-gubernator Rimskij - Korsakow był
człowiekiem ludzkim, bywał wiele w polskim to-
warzystwie i estymował sobie te stosunki. Nie
cierpiał też wielkiego księcia, bo ten wysoko po-
stawiony młodzieniec nie pozwolił mu kiedyś usiąść
w swojej obecności. I wreszcie Rimskij-Korsakow
miał ukochanego syna-jedynaka rozmiłowanego bez
pamięci w Ludce Śniadeckiej.

Ta ostatnia okoliczność sprawiła, że pochyliły
się ku sobie głowy dam w tajemniczej naradzie,
której przewodniczyła pani Salomea Becu. Skut-
kiem narady była majówka na Pohulance, a w cza-
sie majówki — z ręcznie ukartowane sam na sam
czarnolokiej Ludki z pięknym generał-gubernato-
rowiczem. Nie było to sam na sam pierwszym ani
ostatnim, ale tym razem posłużyło dobrej sprawie.
Generał-gubernator uproszony przez syna, uspokoi-
ony obojętnością wielkoksiążęcą, dał znak guber-
natorowi. Z kancelarii gubernatorskiej polecenie
spadło jeszcze niżej, na biurko policmajstra Szły-
kowa, a stamtąd stoczyło się na sam dół drabiny,
gdzie czuwał „kwartalny“ Jackowski. Przed Ole-
siem, po miesięcznym przeszło zamknięciu, otwo-
rzyły się wrota Dominikańskiego klasztoru, a spra-
wa jego naturalną rzeczą kolejną powędrowała do
grodu.

Tyle brzemiennie w dobroczynne skutki słów-
ko: „durak“ wyrwało się jego cesarskiej wysokości
w chwili osobliwie złego humoru. Zazwyczaj Mi-
kołaj Pawłowicz uniknął tego rodzaju wyrażań.
Pragnął uchodzić w oczach Europy za księcia o do-
skonalszym polorze. W stosunkach ze zwykłymi
śmiertelnikami, nawet wówczas gdy żaden cudzo-

ziemiec nie był obecnym, jego cesarska wysokość przestrzegał zimnej a wykwintnej grzeczności. Sta-
rał się być uprzejmym nawet dla lokai, ani się
zwracał przez „ty“ do wysokich dygnitarzy, jak to
zwykł czynić ojciec jego, nieboszczyk-cesarz Paweł.
Naogół Mikołaj Pawłowicz brał ton brata Aleksan-
dra, jakkolwiek bez właściwego cesarzowi trochę
kliwego sentymentalizmu.

Ale w chwilach zmęczenia, smutku, czy roz-
drażnienia, niekiedy wywołany drobiazgiem naj-
błahszym w świecie, budził się w Mikołaju Pawło-
wiczu przyczajony potwór, pół tygrysa, pół małpy,
ten sam, co zawładnął nieszczęsną duszą brata Kon-
stantego. Wówczas Mikołaj Pawłowicz walił w swo-
je otoczenie grubiańskimi słowami. jak ciężką „rus-
ską dubiną“, tłukł i łamał cenne przedmioty i po-
rywał się na młodszych oficerów ze szpicrutą. Ofi-
cerowie jego świty, na czas takich burz, zapadali
się bez śladu w zakamarki pałacowe, a sam pałac,
niegdyś biskupi, potem uświęcony mieszkaniem ce-
sarza Napoleona, trząsał się ze zgrozy przed swoim
aktualnym mieszkańcem, tyle obcym dostojnemu
klasycznemu stylowi.

Tego dnia, kiedy Pełskij dostał wezwanie do
kancelarii komendanta en chef obu pułków gwardii
cesarskiej, wielkksiążęcy dowódca był od rana pod
władzą tygrysięgo potwora. Wywłókł go z ciemnych
głębin niebacznego adiutanta niebaczną uwagą, że je-
go cesarska wysokość ze wszech miar godniejsza
jest następstwa tronu, niż brat Konstanty.

Miało to być dworackie pochlebstwo przycze-
pione do okazji przymierzania nowego galowego
munduru. Ale wielki książę patrzył właśnie w lu-
stro i porównywał swój grecki profil z fizjonomią
znieawidzonego brata, który mu zabierał koronę.

Wściekłość ściągnęła wielkiemu księciu wszystką krew z twarzy do serca. Adiutant znał tę bladość, rozumiał, że palnął gaffę i zdrętwiał na myśl, że brat cesarski na nim zechce wyładować gniew. Ale adiutant był ulubieńcem cesarzowej matki, Mikołaj Pawłowicz nie śmiał go sponiewierać. Idąc do kancelarii na swoje codzienne niby urządowanie, szukał w myślach innej ofiary. Dobry czy zły los podsunął mu rotmistrza Pełskiego.

Właściwie Pełskij, z chwilą gdy się ośmieszył odkryciem winowajcy dzieciaka, nie był już godzien wielkoksiążęcej uwagi. A i cała awantura straciła na ostrości, skoro nie rozgniewała cesarza i nie przedłużyła pobytu gwardii na wygnaniu. Oba pułki wyjść miały już w przyszłym miesiącu, skrypt cesarski w tej mierze od wczoraj leżał w biurku.

Co się tyczy Pełskiego — ten odchodził z gwardii. To rozumiało się samo przez się. Ceremoniał odmeldowania się wielkiemu księciu był tylko prostą formalnością. Ale ten spoliczkowany, ośmieszony, niemożliwy oficer, był w tej chwili znakomitym objektem do wyładowania dławiącej pasji.

Wielki książę Mikołaj Pawłowicz spojrział na Pełskiego, wyprężonego ponad ludzką możność, i nie zakomenderował: „spocznij“. Patrzył i czuł na wargach zimny, okrutny uśmiech, który lubił w sobie, bo ludzie przed tym uśmiechem bledli i tracili głowy. W miarę jak Pełskij tracił ją także, wielki książę czuł w sobie narastającą złą uciechę. Boi się fajdak? Tak. Dobrze. Niech się boi w obliczu członka świętej rodziny cesarskiej.

Wyszedł zza biurka, założył w tył ręce i zbliżył się do Pełskiego o pół kroku. Pełskij patrzył pilnie w ordery kłębiące się złościście na wielko-

książęcym mundurze i starał się nie mrugnąć. Wielki książę wytrzymał go tak jeszcze parę minut.

— Ach, to pan? To pana rotmistrza biją polscy studenci, a pan nie umiesz obronić się? I pan myślisz, że ja w gwardii trzymać będę takie... śmiecie?— przysunął twarz tuż do twarzy Pełskiego i syknął mu w same oczy: — Swołocz etakuju?... Ty sukiny-synu!

Pełskiemu zdawało się, że pokój wiruje w coraz szybszym pędzie. Przelatywały mu przez głowę strzępy słów Karoliny Sulistrowskiej o wielkoduszności cesarskiego brata i gorzki śmiech wykrzywił roztrzęsione wargi. Wielki książę podniecał się własną pasją, a Pełskij chwiał się pod naporem obelżywych słów. Jeszcze sekundę wytrzymać... jeszcze sekundę... Uderzy? A co, jeśli uderzy?... Carski brat.

Adiutant stał cały czas w głębi nieruchomy jak posąg.

Naraz wielki książę urwał w pół obelgi i wrócił za biurko ze swawolnym, prawie chłopięcym uśmiechem. Rozbawiła go niespodziewana myśl, doskonały figiel.

Brat „Kostia“ nie znosił pięknych oficerów; w ich ironicznych oczach jego własna brzydota odbijała mu się boleśniej niż w lustrze. Gdyby mu tak posłać tego wystraszonego piękniusia z adnotacją, że dzieje się to na życzenie brata-cesarza? Zanim warszawska kancelaria skomunikuje się z petersburską w tej mierze, brat „Kostia“ będzie miał czas jakiś u swojego boku spoliczkowanego adiutanta. To będzie dobra anegdota dla dworu wielkiej księżny Anny, zaniedbanej Konstantego małżonki, którą on tam podobno z jakąś panną Grudzińską zdradza.

Mikołaj Pawłowicz tak się pomysłem ucieszył, że uśmiechnął się miłościwie do unicestwionego Pełskiego. Wyczekał jeszcze chwilę i rzucił jak bombę:

— Pojedziesz do Warszawy.

Do Warszawy? Pełskij już myślał, że Sybir go nie minie! Złapał powietrze ustami, jak ktoś, kto wynurza się z wody. Ale zaraz zamajaczyła mu w zmaconej świadomości wykrzywiona złośliwie gęba Konstantego. Rosyjski oficer w Królestwie Kongresowym? w domenie polskiego wojska? to chyba tylko adiutant Naczelnego Wodza...

Mikołaj patrzył teraz na Pełskiego z miną kota obserwującego mysz wypuszczoną na chwilę z pazurów. Śmieczył go ten człowiek: pot ściekał mu z pod czupryny i usta drżały zabawnie jak u dziecka. Przez cały czas milczał, tylko wargami ruszał, a teraz wydobył z siebie jedno, nienaturalne i krzykliwe: „rad staraćsia, wasze imperatorskoje wyszczestwo“. Mikołajowi obrzydła już ta scena, skinieniem ręki odprawił rotmistrza i zasiadł w fotelu przed biurkiem. Z nienaganną uprzejmością zwrócił się do swego adiutanta:

— I cóż tam mamy dzisiaj, Siergiej Antonowiczu? Proszę o meldunki.

Pełskij nie pamiętał jak wrócił na swoją kwatere, jak skrzyczał ordynansa od serca za jakieś drobne przewinienie i posłał go po wódkę. Ocknął się przy kieliszku i w gronie przyjaciół, a wówczas doszedł do wniosku, że właściwie nic złego się nie stało, a nawet mogło być znacznie gorzej. Przyjaciele, jak przyjaciele: jedni wyrażali współczucie przysłemu podkomendnemu Konstantego, inni wyrażali zazdrość przysłemu zdobywcy serc pięknych warszawianek, a wszyscy pili na koszt Pełskiego

i oświadczeni mu się z niezmienną życzliwością, teraz, kiedy już chmura, co nad nim wisiała, zasuwała się powoli za horyzont.

Po całonocnej pijatyce wybrał się Pełskij z pożegnalną wizytą do Karoliny Sulistrowskiej, ale nie został przyjęty. Piękna Karolina nawiązywała właśnie nowe koneksje, a wiadomo, jak delikatną rzeczą jest wszelkie nawiązywanie. Pierwsze nitki tak łatwo się rwą...

I stało się, że kiedy Pełskij odjeżdżał z Wilna, płakało po nim jedno tylko serduszek niewieście: należało do pewnej młodziutkiej szwaczuski, którą piękny rotmistrz rozkochał w ostatniej chwili, przypadkiem i mimochodem. Ona jedna płakała, ale żegnać i ona nie miała czasu. Wykańczała pilne zamówienie: strój pasterski dla pani Sulistrowskiej na zabawę ogrodową w letniej rezydencji Sapienhów na Antokolu.

XXXVIII

Olesiowi Łuczce dni wlokły się powoli. Było mu ciągle mdło i nudno na duszy. Gniotło uczucie nieodwołalnego poniżenia, bolesnego pogwałcenia najświętszych ludzkich praw, uczucie, które przesładuje zazwyczaj tych, co wyszli z więzienia.

Łuczkowa w obecności Olesia chodziła na palcach, wystrzegała się trzaskania drzwiami i wrzasków na służącą. Nie gderwała nawet na Anielkę za przydługie spacerowanie sam na sam z narzeczonym. Teraz bowiem wszystkie powszednie troski Łuczkowej zbiegły się nad głową Olesia w jedną wielką i poważną troskę: jak zdrętwiałego syna powrócić samemu sobie?

W pocziwym, lecz mało przenikliwym umyśle

Łuczkowej układało się to w sposób bardzo prosty: trzeba było przywrócić chłopcu przede wszystkim dobry apetyt, a przez to rumieńce. W dalszym ciągu już sama przez się powróci dawna beztrosliwa wesołość. Łuczka wzięła się do rzeczy także od najbliższego sobie końca; zaczęła od podsuwania Olesowi różnych smakowitych potraw, a gdy to nie skutkowało, chwyciła się perswazji, płaczących próśb, wreszcie wyrzutów.

I tak, pomimo najlepszej woli Olesia, pomimo wieczornych modlitw Łuczkowej, sprawy pomiędzy nim a matką zaczęły się znowu psuć w fatalny sposób. Na szczęście czuwał nieoceniony Teodor Łoziński i zaaranżował coprędzej wyjazd Olesia na wieś do Staniewiczów. Z chwilą gdy zbawienne postawienie zapadło — Oleś złagodniał znacznie i już cierpliwiej znosił matczyne wyrzekania. Począł nawet okazywać pewne zainteresowanie otaczającym go sprawom dnia codziennego; a kiedy któregoś gorącego czerwcowego popołudnia Łoziński zawezwał go na jakąś tajemniczą schadzkę, Oleś roześmiał się z radości i przygasłe oczy nabrały mu blasku.

Kiedy szli nagrzanymi ulicami, oświadczył Łoziński, że starania u władz uniwersyteckich dobry wzięły skutek. Pełniący zastępczo obowiązki rektora ksiądz Kłągiewicz obiecał, że byle sprawa Łuczki w grodzie skończyła się pomyślnie, on nie widzi przeszkód, by Łuczko od jesieni mógł wrócić na uniwersytet. Pozostanie zatem na rachunku strat jedynie zmarnowanie pierwszego roku, co nie jest znowuż wielką biedą, zważywszy młodość delikwenta.

Oleś pocieszył się znacznie, bo gryzł go lęk przed relegacją. Rozruszał się na dobre i począł żywo pytać Łozińskiego, dokąd idą? Ale były mentor

zbył go szerokim śmiechem i uściskiem ręki.

Tak zaszli do znajomej Olesiovi oficyny przy pałacu Paców. W znajomej stancji siedzieli wszyscy znajomi: Adam i Tomasz, Czeczot rozpromieniony jak panna na pierwszym balu, Józef Kowalewski, Ignacy Domejko, Zenowicz, Staniewicz, Fortunat Jurewicz, i jeszcze inni, mniej Olesiovi znani. Było ich razem coś około trzydziestu, wszyscy siedzieli obok siebie, na krzesłach ustawionych w półkrag, za dużym stołem, wszyscy mieli odświeżone miny, że pomieszany Oleś nie wiedział, jak ich witać. Zrobił krok ku nim, ale Adam dał mu znak głową, by pozostał na boku.

Zaraz potem Czeczot odłączył się od uroczystego grona, poprowadził Olesia do stołu, ustawił wprost naprzeciw zajmującego prezydjalne miejsce Jeżowskiego, a sam stanął po Olesiowej prawej stronie. Jeżowski podniósł się, uderzył w stół małą laseczką hebanową i powiedział:

— Otwieram posiedzenie Towarzystwa Filomatycznego.

Olesiovi serce zamarło ze słodkiego wzruszenia. Towarzystwo Filomatyczne? To, o czem szep-tano bardzo głucho i niewyraźnie między Filaretami? Olimp tajemniczy, szczyt nieosiągalny! I nagle, tak zupełnie poprostu... tu, w tej stancji, przy-ćmionej od rozrośniętych pod oknami akacji i bzów...

Jeżowski mówił pięknie o celach i zadaniach Towarzystwa i Oleś pił chciwie każde słowo. Miał wrażenie, że otwierają się przed nim jakieś żelazne wrota, a za wrotami widnieje szeroka, zalana słońcem droga, wiodąca w błękit i zieloność rozchwianych młodym zbożem pól. Przymknął oczy i słuchał jak muzyki. A to były poważne słowa surowego prezydenta Filomatów, malujące przyszłe obo-

wiązki. Mętne przecucia pod uderzeniami tych słów zmieniały się w niezbitą pewność. Życie przyszłe, skierowane w wytknięte ściśle łożysko, stawało się jasne i proste, a niebezpieczeństwa, których nie tail Jeżowski, traciły wszelką grozę. Były wplecione w krąg obowiązków tak naturalnie i ściśle, że lęk przed nimi stawał się bezcelowy.

Jeżowski mówił:

— Nie na chwilę, nie dla momentalnej zabawy, ale na całe życie związek nasz częścią spraw naszych uczyniliśmy. Nie nauka, nie ćwiczenia, pod których hasłem zgromadzamy się, stanowią istotę naszego związku: serca nasze są istotną związku zasadą. Ich węzły nigdy nie zerwane dają moc, która nie wielu jest znana. W tobie, nowy bracie, serce bliskie naszym widzimy. Gorliwość twoja i poświęcenie się, jak są piękną przyszłości wróżbą, tak je również chlubnym uwieńcza zaufaniem Towarzystwo Filomatyczne, wynosząc cię, kolego, na członka czynnego. Bracie, przyjmujemy cię do nielicznego, lecz sercem i zamiarami mocno spojonego zgromadzenia. Przyjmujemy cię za towarzysza zamiarów i prac naszych w tem przekonaniu, że, zgadzając się duszą i sercem z nami, nadziei Towarzystwa nie zawiedziesz.

Skądś, nagle znalazł się na stole krucyfiks między dwoma płonącymi świecami. Przez łzawą mgłę, zobaczył Oleś, że wszyscy Filomaci wstają. Czeczot popchnął go delikatnie bliżej do stołu. Łuczko uniół dwa palce w górę.

— Przysięgam i ślubuję Bogu w Trójcy Wszechmogącemu, Polsce i Litwie, i wam, bracia... że wszystkich sił moich użyję...

Słowa przysięgi toczyły się zwolna pod zady-mionym sufitem. Płomyki świec migotały nikle, le-

dwo widzialne w blasku czerwcowego słońca. Za oknami świegotliwe wróble podkładały pod uroczyste formuły swoje hałaśliwe melodie.

Wszystko zdawało się być jasne, spokojne, słoneczne.

Powszechna wesołość wzięła miejsce skończonej uroczystości. Wszyscy Filomaci po kolei chwyтали nowego brata w objęcia, aż zmordowany Oleś upadł na krzesło obok Zana. Tomasz objął go razem z krzesłem, nachylił ku sobie i pocałował w czoło.

— Jestem twoim wieczystym dłużnikiem, pamiętaj o tym. A teraz, kiedyś już Filomatą — jedź na wieś, odpoczywaj i wracaj jesienią do pracy! Niemała będzie! Ani się spodziewasz, jak orać w ciebie myślimy. No, tylko nie bez! Od dziś nie jesteś już dzieckiem.

Kiedy Staniewicz z nowego tytułu wakacyjnego opiekuna wyprowadził współprzymotnego Olesia, kiedy uczestnicy zebrania rozeszli się jeden po drugim, starszyczna filomacka została sama po raz ostatni w tym roku. Wówczas ukryty starannie na czas uroczystości frasunek wylazł z kąta i powrócił na czoła. Jeżowski zebrał najbliższych w ciasny krąg dokoła stołu.

— Muszę wam oznajmić, bracia, postanowienie moje, ostatnio powzięte. Przyjąłem miejsce nauczyciela w szkole Benedyktynów w Trokach i wyjeżdżam od jesieni na stałe. Prezydenturę Towarzystwa Filomackiego złożę w ręce Onufrego Pietraszkiewicza, który na ten czas powróci z Lublina do Wilna.

Po kilku chwilach oszołomioną ciszę przerwał wybuch Czczota.

— Zwariowałeś? Dlaczego? Chory jesteś? Ależ wyglądasz lepiej, niż w zeszłym roku! Przecie

i z Trok kierować nami możesz! Rezygnacja twoja, to istne szaleństwo!

Czczot aż spotniał z wielkiej alteracji, ale inni byli spokojni. Widocznie Adam wiedział zawczasu, a Zan spodziewał się czegoś podobnego. Te ich wieczne najściślejsze tajemnice! Czczot chwycił Jeżowskiego za obie ręce i przekładał zboliałym głosem, że Pietraszkiewicz po dwu latach nieobecności wypadł z toku wileńskich spraw. Że skoro Adam nieodwołalnie powraca do Kowna, a Malewski ciągle bawi zagranicą, skoro Zan musi czas jeszcze dłuższy pozostać na boku, rezygnacja Jeżowskiego pozostawi resztę w zamieszaniu i rozterce, jak owce bez pasterza. Jeżowski na wszystkie perswazje potrząsał uparcie głową.

— Nie rozpaczaj, ale posłuchaj mnie, Janku. Szaleństwem byłoby, gdyby waszym prezydentem pozostał, albo wyznaczył po sobie Tomasza. Nie, dawny triumwirat możecie uważać za zmarły. Ani ja, ani Franciszek, ani Tomasz nie wrócimy już między was w dawnej postaci. Dlaczego? Bo tak być musi. Uwierzysz w to, gdy się wmyślisz w dni ostatnich koleje. Co do nas, w rzeczach tylko wielkiej wagi wolno wam będzie wywoływać z grobów nasze cienie. Duchy tylko latające dokoła waszych głów widzieć macie!

Czczot wyłamywał sobie palce ze skonsternowania.

— Wy trzej — duchy? Dobrze! Adam jeszcze dawniej duchem został, wyjeżdżając do Kowna. Ale wówczas, choć wielka utworzyła się jama, jeden ubył i można go było zastąpić. A dziś? Odchodzicie wszyscy razem? a któż pozostanie?

— Powiedziałem: Onufry. A jemu do pomocy ty i Żegota Domeyko. Taki będzie nowy rząd trzech

mężów. A pomocników macie dowoli, tylko ich w ryzach trzymajcie. Trzydziestu Filomatów i co lepsi ze Związku Przyjaciół! Starczy was, byleście tylko chcieli. Zresztą, łatajcie, radźcie, teraz wasza kolej!

— Czeczot zwiesił strapioną głowę, Zanowi żal się go zrobiło. Przerwał swoją niekończącą się wędrówkę dokoła pokoju.

— Ja nie wiem, czy te twoje ostrożności są konieczne, Jeżu? Śledztwo uniwersyteckie skończone tak jak na niczem. Po wycofaniu „Instrukcji“ i małym deszczu z wielkiej chmury Pełskiego, mamy chyba spokój zapewniony przynajmniej na parę lat!

— Tak myślisz? — Jeżowski uśmiechnął się smutno. — Ja nie jestem tyle dobrej myśli. Mnożą się ciągle znaki na ziemi i na niebie. A to śledztwo? To śledztwo jest dla nas ową pierwszą świecą z „Dziadów“ Adama. Pamiętasz? „Czas ucieka, życie mija, i pierwsze światło zgasło“.

Czeczot płakał prawie z rozdrażnienia.

— Więc tymbradziej, tymbardziej potrzeba twojej, Jeżu, doświadczonej ręki! Pomyśl jeszcze nad tem, nie opuszczaj nas!

Jeżowski gryzł usta. Widać było, jak męczy go ta rozmowa. Wreszcie Mickiewicz dał znak Czeczotowi, by przestał nalegać i, posłuszny zawsze Adamowi, Janko zamilkł.

Zmierzch zapadał. Kończyło się ostatnie posiedzenie dotychczasowego rządu Filomatów.

Kiedy wychodzili wszyscy czterej: Mickiewicz, Jeżowski, Czeczot i Jan, drzwi pałacowej oficynki zapadły się za nimi, stukając głucho. Wróbli wrzask na dziedzińcu wzmógł się niepomiernie: ptaki rozpoczynały swój zwykły wieczorny sejm.

Czczot rzucił w rozświegotaną gromadę kamieniem.

— One mogą drzeć się o swoich sprawach na cały świat, a my? Gorszi jesteśmy od nędznych wróbli! Długoż tego będzie?

— Aż się dopełni, co przeznaczone. — Adam przyoblekł się nagle w dziwną dostojność i głos mu zabrzmiał jakoś wzniosłe i surowo. — Długi szereg pokoleń złoży głowy na kamieniu grobowym ojczyzny, aż przyjdzie to pokolenie, które kamień grobowy podniesie.

Czczot czuł zawsze lęk przed Adamem, ilekroć ukochany przyjaciel uderzał w taki górny i dostojny ton. Nic nie odpowiedział, westchnął głęboko i zamyślił się o swoich przyszłych obowiązkach.

Zan szedł na końcu i raz po raz dotykał ręką kieszeni. Szeleścił tam pewien list. Był to list Weli Zborowskiej do Anieli Łuczkówny i zawierał opis ślubu i wesela Feli Micewiczówny z marszałkiem Willamowiczem.

Ślub odbył się w sam dzień świętego Jana i miał być nad wyraz wspaniały. Wela Zborowska, jako najbliższa przyjaciółka i daleka sąsiadka, zaproszona na druchnę, unosiła się w liście nad toaletą panny młodej i cukrową kolacją.

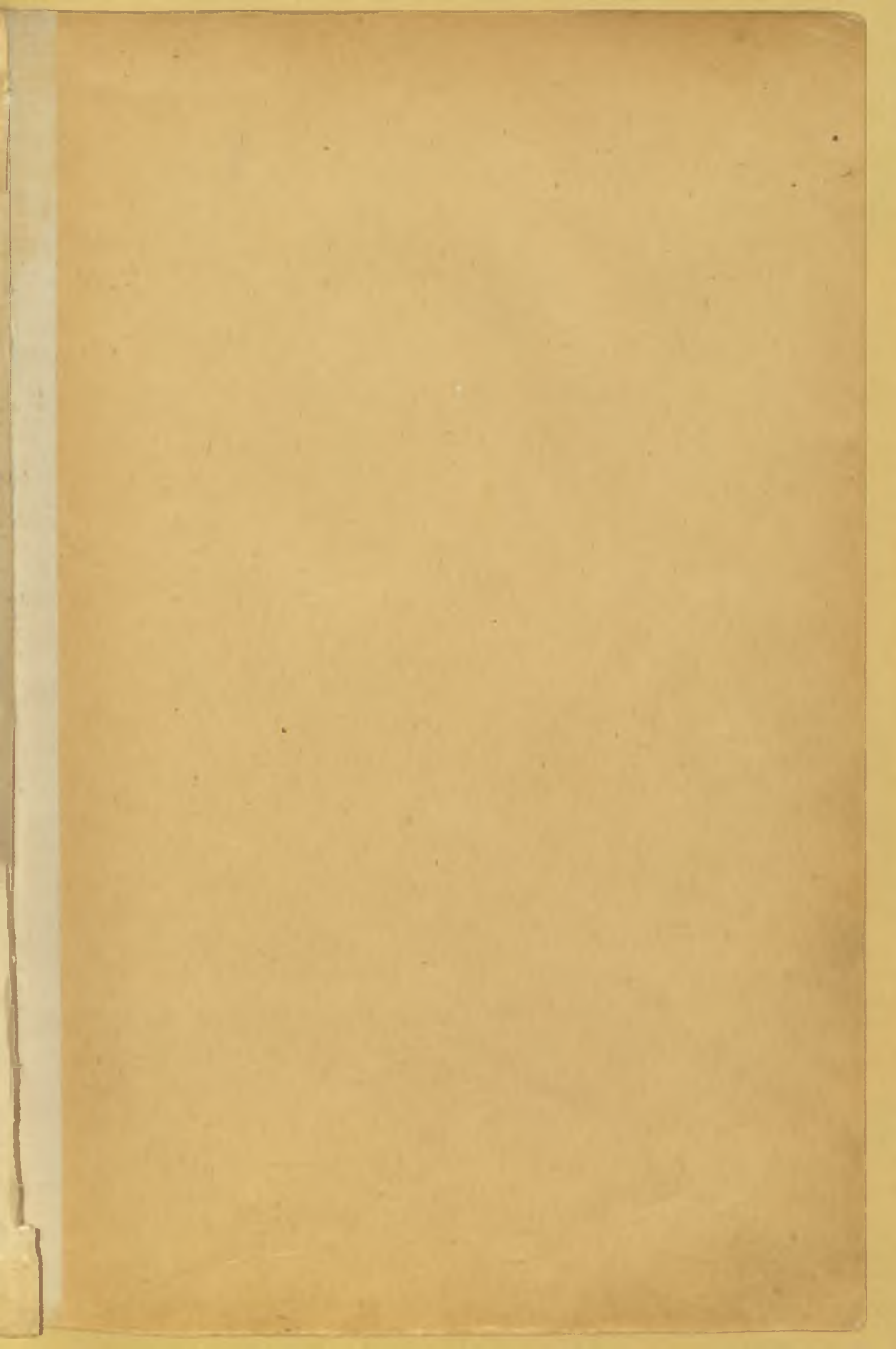
Liliowe mgiełki zwiastujące nadchodzący mrok snuły się nad dachami kamienic. Złociły się dachy i gorzały okna domów, płonął jaskrawo krzyż na wieży jakiegoś kościoła. A dzwony cierpliwie nawoływały na Anioł Pański, próżno usiłując zagłuszyć zwyczajny gwar miasta.

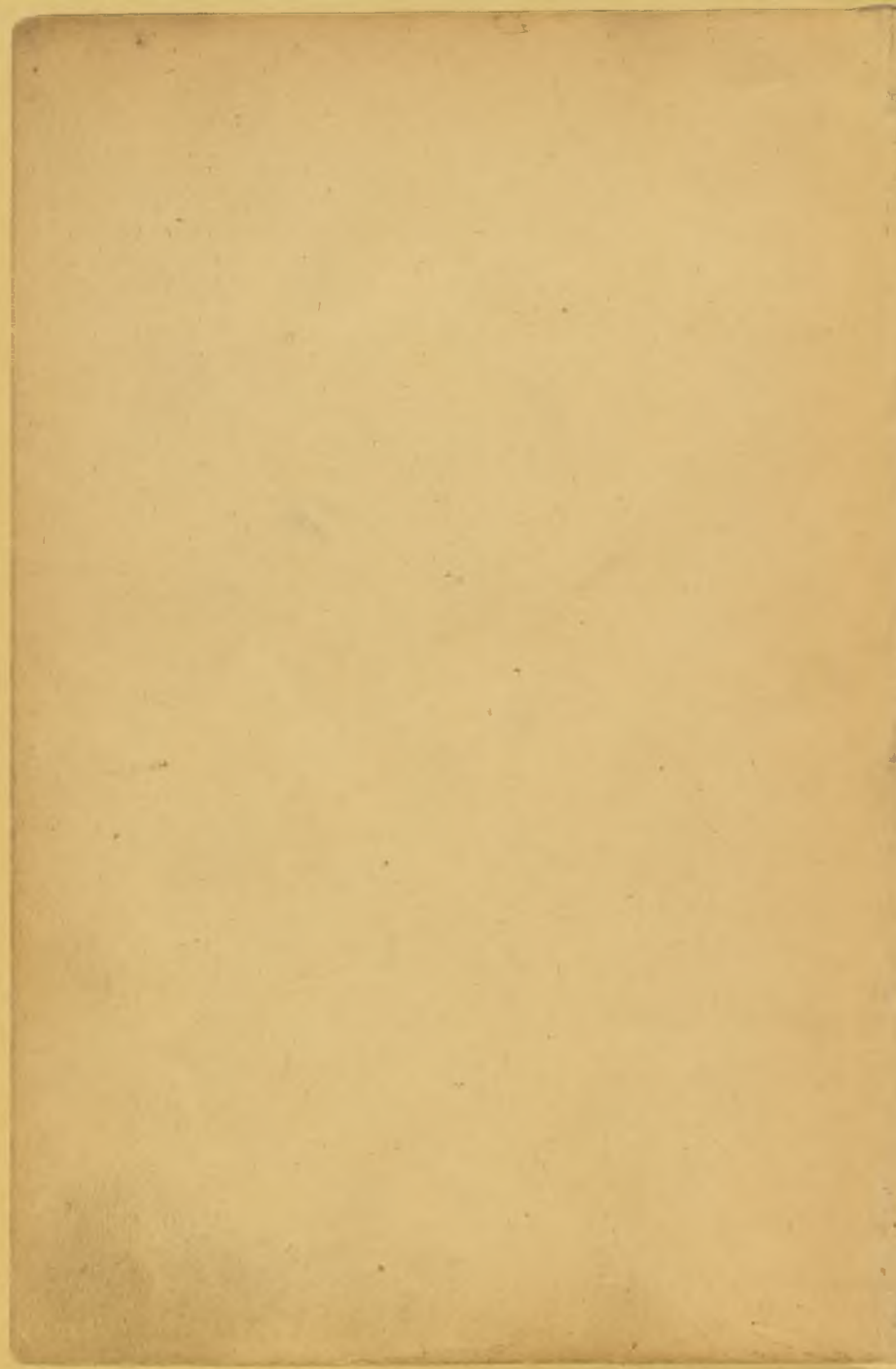
Zan patrzył w rumiane niebo i przepowiadał sobie w myślach słowa listu, ostatniej nitki, która go jeszcze z Felą wiązała. Usiłował myśleć o tem

pogodnie. Tyle jeszcze będzie słonecznych zachodów, wróżących, jak dziś, krwawą czerwień — burzliwe jutro. Tyle jeszcze potrzeba będzie sił! Dzień wczorajszy niech się z Przeszłością połączy.

K O N I E C

X. 10. 19. 38
H.





**W A N D A
DOBACZEWSKA**

**Tam, gdzie się
serca palą...**

R

WMBP Bydgoszcz

nr inw. : 1938 - 404



M1 404.1938

Luzine Kerll
47-5063-319-321



